



GORZKA
CZEKOLADA



EMELIE SCHEPP

NAZNACZENI NA ZAWSZE

Media Rodzina

EMELIE SCHEPP

NAZNACZENI NA ZAWSZE

Tłumaczyła Magdalena Landowska

Media Rodzina

Dedykuję H.

NIEDZIELA 15 KWIETNIA

— CENTRALA ALARMOWA 112, co się stało?

— Mój mąż nie żyje...

Dyspozytorka Anna Bergström usłyszała w słuchawce drżący kobiecy głos. Spojrzała szybko w róg stojącego przed nią komputera, zegar wyświetlał 19.42.

— Jak się pani nazywa?

— Kerstin Juhlén. Mój mąż nazywa się Hans, Hans Juhlén.

— Skąd pani wie, że nie żyje?

— Nie oddycha, leży tylko. Znalazłam go, gdy przysłam do domu. Jest też krew, na dywanie jest krew — zaszłochała kobieta.

— Czy jest pani ranna?

— Nie.

— Czy ktoś inny jest ranny?

— Nie, mój mąż nie żyje!

— Rozumiem. Gdzie się pani teraz znajduje?

— W domu.

Dyspozytorka wzięła głęboki oddech.

— Czy może mi pani podać adres?

— Ulica Östänvägen 204, Lindö. Żółty dom, stoją przed nim duże donice.

Palce Anny szybko poruszały się po klawiaturze, podczas gdy wzrokiem szukała ulicy Östänvägen na elektronicznym planie miasta.

— Wysyłam pomoc — powiedziała uspokajającym głosem. — Proszę się ze mną nie rozłączać.

Anna nie otrzymała żadnej odpowiedzi i mocniej przycisnęła jedną ze słuchawek do ucha.

— Halo? Jest tam pani?

— On naprawdę nie żyje.

Kobieta znów zaszłochała. Szlochnięcia przeszły niemal natychmiast w histeryczny płacz i jedynym, co było słycać w telefonie centrali alarmowej, był przeciągły, pełen przerażenia krzyk.

Komisarz policji kryminalnej Henrik Levin i aspirant policji Maria Bolander wysiedli z volva w dzielnicy Lindö. Chłodne powietrze znad Morza Bałtyckiego wdzierало się pod cienką wiosenną kurtkę Henrika. Zapiął zamek pod samą szyję i włożył ręce do kieszeni.

Na wyłożonym kamieniami wjeździe stał czarny mercedes, dwa samochody policyjne i karetka. Kawalek od odgradzonego taśmami terenu zaparkowały dwa kolejne samochody, które, jak się dało wywnioskować z umieszczonych na nich

napisów, należały do konkurujących ze sobą lokalnych gazet.

Dwóch dziennikarzy z różnych redakcji, próbując dojrzeć cokolwiek, stanęło tak blisko taśmy odgradzającej, że aż wcinała się ona w ich puchowe kurtki.

— Ale będzie zabawa, niech to diabli.

Aspirant Maria Bolander, albo też Mia, jak ją nazywali wszyscy znajomi, z irytacją potrząsnęła głową.

— I do tego mają też rzeźby.

Zerknęła na granitowego lwa, potem jej wzrok zatrzymał się na wysokich na metr donicach, w pobliżu których stanęli.

Henrik Levin odpowiedział jej milczeniem i zaczął iść w górę oświetlonego chodnika, prowadzącego w stronę domu przy Östanvägen 204. Małe kupki śniegu przy szarym krawężniku świadczyły o tym, że zima jeszcze się nie poddała. Przywitał się z posterunkowym Gabrielem Mellqvistem stojącym przy drzwiach wejściowych.

Henrik otrzepał z siebie śnieg, otworzył przed Mią ciężkie drzwi wejściowe, po czym oboje weszli do środka. We wnętrzu tej wspaniałej willi wrzało jak w ulu. Technicy pracowali systematycznie nad znalezieniem i zabezpieczeniem ewentualnych odcisków palców i innych śladów. Zdążyli już za pomocą pędzla i proszku zbadać wszystkie drzwi i klamki, teraz skupili się na fragmentach ścian, o które ktoś mógł się opierać. Od czasu do czasu błysk lampy aparatu fotograficznego rozświetlał skąpo umeblowany pokój. Ciało mężczyzny leżało w salonie na pasiastym dywanie.

— A niech to cholera — zaklęła Mia.

— Lepiej bym tego nie ujął — zgodził się Henrik.

— Kto go znalazł?

— Żona, Kerstin Juhlén. Znalazła go martwego, gdy wróciła do domu.

— Gdzie teraz jest?

— U góry, na piętrze. Razem z Hanną Hultman.

Henrik spojrzał na leżące przed nim ciało. Martwy mężczyzna nazywał się Hans Juhlén i był szefem działu do spraw przyznawania azylu w urzędzie imigracyjnym.

Komisarz obszedł ciało i pochylił się nad twarzą nieboszczyka. Przyglądał się dokładnie mocnym szczękom, ogorzałej twarzy oraz siwemu zarostowi i skroniom. Przy wielu okazjach widział Hansa Juhléna w mediach, ale pokazywane wówczas archiwalne zdjęcia przedstawiały kogoś mało podobnego do tego starzejącego się mężczyzny, który leżał teraz przed nim martwy. Miał on na sobie dokładnie wyprasowane spodnie i pasiastą koszulę w jasnoniebieskim kolorze. Bawełniany materiał nasiąknął krwią, która utworzyła na piersi czerwone plamy.

— Patrz, ale nie dotykaj.

Technik kryminalistyki Anneli Lindgren, stojąca akurat przy okazałych rozmiarów oknach, rzuciła w stronę Henrika znaczące spojrzenie.

— Zastrzelony?

— Tak, na to wygląda, dwie rany wlotowe.

Henrik podniósł się i rozejrzył po salonie, który zdominowała kanapa i dwa skórzane fotele. Pośrodku stał szklany stół z chromowanymi nogami, a na ścianach wisały obrazy Ulfa Lundella.

Przeciągnął ręką po brodzie i pod palcami wyczuł ostry zarost. Meble wyglądały na nietknięte, nic nie zostało przewrócone.

— Żadnych śladów walki — zwrócił się do stojącej za nim Mii.

— To prawda — odpowiedziała, nie odrywając wzroku od owalnego stolika, na którym leżał brązowy, skórzany portfel. Wystawały z niego trzy banknoty po pięćset koron każdy i Mię naszła wielka ochota, by ich dotknąć, poczuć je między palcami. A najchętniej wyjęłaby wszystkie z portfela. Albo tylko jeden, tak by nikt nic nie zauważył. Opamiętała się jednak i cicho powiedziała sama do siebie, że dosyć już tego. Musi wziąć się w garść.

Wzrok Henrika powędrował do dużego wykuszu wychodzącego na ogród i zatrzymał się na Anneli Lindgren, która za pomocą pędzla szukała odcisków linii papilarnych.

— Znalazłaś coś?

Anneli Lindgren spojrzała na niego znad okularów.

— Jeszcze nie, ale według żony Juhléna to okno było otwarte, gdy przyszła do domu, więc mam nadzieję, że znajdę na nim coś więcej niż odciski jej palców.

Anneli Lindgren wróciła do pędzlowania. Pracowała pomału i dokładnie, kawałek po kawałku.

Henrik przeciągnął ręką po włosach i zwrócił się do Mii.

— Może zamienimy kilka słów z panią Juhlén?

— Idź sam na górę, a ja w tym czasie rozejrzę się tutaj.

Kerstin Juhlén siedziała okryta kocem w sypialni na łóżku małżeńskim i pustym wzrokiem wpatrywała się w nocny stoliczek.

Posterunkowa Hanna Hultman z szacunkiem zrobiła krok do tyłu i zamknęła drzwi za Henrikiem. Idąc do góry, wyobrażał sobie Kerstin Juhlén jako drobną, elegancko ubraną osobę, zastał zaś kobietę o mocnej budowie, szeroką w pasie, ubraną w sprany T-shirt i ciemne dzinsy ze stretchu. Niezupełnie tego się spodziewał. Miała zaczerwienione oczy i spuchniętą od płaczu twarz. Jej zbyt jasne blond włosy obcięte były na pazia, a czarne odrosty zdradzały, że od ostatniej wizyty u fryzjera minęło sporo czasu.

Henrik oderwał od niej wzrok i rozejrzył się po sypialni. Najpierw rzucił okiem na komodę i ścianę z fotografiami. Na środku wisało zdjęcie szczęśliwej pary młodej. Fotografia wyblakła już nieco, wisała tam z pewnością od wielu lat. Nagle zdał sobie sprawę, że Kerstin Juhlén mu się przygląda.

— Nazywam się Henrik Levin, jestem komisarzem policji kryminalnej — powiedział, uświadamiając sobie jednocześnie, że mówi szeptem. — Proszę przyjąć

moje kondolencje i wybaczyć mi, ponieważ muszę zadać pani kilka pytań.

Kerstin wytarła łzę z policzka rękawem swetra.

— Rozumiem.

— Czy mogłaby pani opowiedzieć o tym, co się stało, gdy wróciła pani do domu?

— Weszłam do środka i... i... on tam leżał.

— Czy pamięta pani, która była wtedy godzina?

— Mniej więcej za dwadzieścia ósma.

— Czy jest pani pewna?

— Tak.

— Czy po wejściu do domu zauważyła pani kogoś jeszcze?

— Nie. Był tu tylko mój mąż, który...

Warga jej zadrżała, po czym kobieta zakryła twarz dłońmi. Henrik zdawał sobie sprawę, że nie jest to dobry moment na długie przesłuchanie, więc postanowił ograniczyć się do najważniejszych kwestii.

— Kerstin, wkrótce otrzyma pani pomoc, ale zanim odejdę, muszę zadać jeszcze kilka pytań.

Kerstin odsłoniła twarz i położyła dłonie na kolanach.

— Tak?

— Wspomniała pani, że gdy weszła pani do domu, jedno z okien było otwarte.

— Tak.

— I to pani je zamknęła?

— Tak.

— Czy zamykając okno, zauważyła pani na zewnątrz coś dziwnego?

— Nie... nie.

Kerstin wyjrzała przez okno sypialni. Henrik włożył ręce do kieszeni i przez chwilę się zastanawiał.

— Zanim się pożegnamy, chciałbym spytać, czy życzy pani sobie, abyśmy do kogoś zadzwonili? Do jakiegoś przyjaciela lub krewnego? Albo do dzieci?

Wdowa Juhlén spuściła wzrok i spojrzała na swoje trzęsące się dłonie. Otworzyła usta i wydała z siebie ledwie słyszalny szept.

Henrik nie był w stanie nic zrozumieć.

— Przepraszam, czy mogłaby pani powtórzyć?

Kerstin przymknęła na krótką chwilę oczy, a następnie odwróciła umęczoną twarz w stronę komisarza. Wzięła głęboki oddech, by odpowiedzieć na pytanie.

Znajdująca się na dole w pokoju dziennym Anneli Lindgren poprawiała okulary.

— Myślę, że coś znalazłam — powiedziała, przyglądając się śladowi, który pojawiał się na futrynie okna. Mia podeszła do niej i zobaczyła bardzo wyraźny odcisk ręki.

— Tu jest jeszcze jeden. — Anneli wskazała na drugi ślad. — Należy do dziecka — stwierdziła tonem nieznoszącym sprzeciwu i poszła po aparat, by udokumentować

znalezisko.

Mia próbowała ukryć ziewnięcie, gdy Anneli stała przy oknie i ustawiała ostrość obiektywu w swoim canonie EOS 1D. W tym samym czasie Henrik schodził na dół. Trzymał rękę pięć centymetrów nad poręczą, krocząc pomału po szerokich stopniach z lakierowanego dębu.

Anneli przełożyła przez głowę pasek aparatu i kiwnęła na Henrika.

— Chodź — powiedziała. — Znaleźliśmy odciski ręki.

— Ciekawe — stwierdził, stając koło Mii.

— Są małe — odrzekła Anneli, po czym podniosła po raz kolejny aparat do twarzy, ustawiła ostrość i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie.

— Należą do dziecka — dodała Mia, ponownie ziewając.

Henrik wyglądał na wstrząśniętego. Na czole pojawiły się zmarszczki, a brwi ściągnęły się ku podstawie nosa. Pochylił się w stronę okna, by zobaczyć ślady. Przez chwilę stał nieruchomo i przyglądał się liniom, które tworzyły pewien wzór, unikalny wzór. Pochodzący od małej dłoni.

— Dziwne — wymruczał, prostując się. Znow zaczął się zastanawiać i doszedł do tego samego wniosku.

— Jest to bardzo dziwne — powtórzył, tym razem głośniej.

— Co w tym dziwnego? — spytała Mia.

Henrik spojrzał na nią i po chwili odpowiedział:

— Oni nie mają dzieci.

PONIEDZIAŁEK 16 KWIETNIA

PROCES SIĘ ZAKOŃCZYŁ i Jana Berzelius była zadowolona z wyroku. Od początku była całkowicie pewna, że podejrzany mężczyzna zostanie skazany za pobicie ze szczególnym okrucieństwem.

Skopał swoją siostrę do nieprzytomności na oczach jej czteroletniego synka i zostawił w mieszkaniu, żeby tam umarła. Nikt nie miał wątpliwości, że była to zbrodnia na tle honoru. Mimo to adwokat Peter Ramstedt wiercił się z zakłopotaniem, gdy ogłaszano wyrok.

Jana kiwnęła głową w jego stronę, opuszczając salę. Nie chciała dyskutować z nikim o werdykcie, a najmniej już z tuzinem reporterów, którzy oczekiwali przed sądem z mikrofonami i kamerami. Dlatego skierowała się w stronę wyjścia awaryjnego i pchnęła białe drzwi przeciwpożarowe. Szybko zbiegła ze schodów, spoglądając na zegarek. Była 11.35.

Unikanie dziennikarzy stało się dla Jany Berzelius bardziej regułą niż wyjątkiem. Trzy lata temu, gdy rozpoczęła pracę w prokuraturze w Norrköping, było inaczej. Wówczas cieszyło ją zainteresowanie mediów jej osobą. Gazeta „Norrköpings Tidningar” dała na przykład taki tytuł jednemu ze swoich artykułów: *Udany debiut wybitnej studentki w sądowych ławach*. W reportażach na jej temat pojawiały się hasła takie jak: „błyskawiczna kariera” i „następczyni Prokuratora Generalnego”. Ale Jana Berzelius nie myślała o tym teraz, pokonując ostatni stopień schodów.

Telefon komórkowy zawibrował w kieszeni jej marynarki, zatrzymała się więc przed wejściem do garażu, by go wyjąć. Zanim odebrała, szybko spojrzała na wyświetlacz. Jednocześnie pchnęła drzwi, prowadzące do ogrzewanego pomieszczenia.

— Witaj, ojcze — powiedziała.

— No i jak poszło?

— Dwa lata więzienia i dziewięćdziesiąt tysięcy odszkodowania.

— Jesteś zadowolona z wyroku?

Karłowi Berzeliusowi nigdy nie przyszłoby do głowy, by pogratulować córce wygranej sprawy, i Jana już dawno przyzwyczaiła się do jego małomówności. Jej matka, Margaretha Berzelius, mimo całej swej czułości, zawsze wolała sprzątanie domu od dziecięcych zabaw i wieszanie prania od czytania bajek. Przedkładała też pucowanie okien nad usypianie córki. Teraz Jana miała trzydzieści lat i traktowała rodziców z tym samym bezuczuciowym szacunkiem, w jakim ją wychowali.

— Jestem zadowolona — odpowiedziała z naciskiem.

— Twoja matka pyta, czy pierwszego maja przyjdiesz w odwiedziny? Najwyraźniej zaplanowała na ten dzień rodzinną kolację.

— O której?

— Dziewiętnasta zero zero.

— Przyjdę.

Jana rozłączyła się, otworzyła czarne bmw X-6 i usiadła za kierownicą. Położyła aktówkę na skórzanym fotelu pasażera, pozostawiając telefon komórkowy na kolanach.

Matka Jany również miała w zwyczaju dzwonić do córki po skończonym procesie. Ale nigdy przed mężem, takie były reguły. Więc gdy Jana ponownie usłyszała sygnał telefonu, podniosła go natychmiast do ucha, wprawną ręką wycofując jednocześnie samochód z ciasnego miejsca parkingowego.

— Witaj, matko.

— Cześć, Jana — odpowiedział jej męski głos.

Jana wcisnęła hamulec i samochód zatrzymał się z szarpnięciem. Głos należał do prokuratora Torstena Granatha, jej przełożonego.

— I jak?

Jana zdziwiła się, że interesuje go wynik procesu, ale krótko streściła werdykt sądu.

— Ładnie, ładnie, choć dzwonię właściwie z czymś zupełnie innym. Chciałbym, abyś wspomogła mnie w jednym ze śledztw. Zatrzymaliśmy kobietę, która znalazła swojego męża martwego i wezwała policję. Pracował jako szef działu przyznawania azylu w urzędzie imigracyjnym. Według policji został zastrzelony. Zamordowany. Masz w tej sprawie wolną rękę.

Jana słuchała w milczeniu, a Torsten kontynuował:

— Gunnar Öhrn i jego zespół czekają w komendzie policji. Co ty na to?

Jana spojrzała na deskę rozdzielczą. 11.48. Wzięła krótki oddech i wprawiła samochód w ruch.

— Już tam jadę.

Jana Berzelius weszła szybkim krokiem do komendy policji w Norrköping i wjechała windą na trzecie piętro. Stukot jej obcasów odbijał się echem po szerokim korytarzu. Ze wzrokiem skierowanym do przodu kiwnęła lekko głową w stronę dwóch umundurowanych policjantów.

Szef zespołu śledczego, Gunnar Öhrn, czekał na nią przed swoim biurem.

— Witaj — powiedział, wskazując jej drogę do sali spotkań, położonej na samym końcu korytarza. Na jednej z dłuższych ścian znajdowały się prawie same okna, które wychodziły na rondo Norrtullsrondellen, gdzie właśnie wzmógł się ruch w związku z przerwą obiadową. Przeciwległą ścianę zajmowała dużego formatu biała tablica do pisania oraz ekran, a pod sufitem wisiał projektor.

Jana podeszła do owalnego stołu, gdzie cały zespół siedział już w oczekiwaniu. Przywitała się z komisarzem Henrikiem Levinem, następnie skinęła głową w stronę Oli Söderströma, Anneli Lindgren i Mii Bolander, po czym zajęła miejsce.

— Decyzją prokuratora rejonowego Torstena Granatha Jana Berzelius będzie

prowadzącym śledztwo w sprawie Hansa Juhléna.

— Ach tak.

Mia Bolander zacisnęła usta, skrzyżowała ręce na piersi i odchyliła się do tyłu. Zerknęła podejrzliwie na swoją rówieśniczkę i obiekt nienawiści, po czym stwierdziła w duchu, że śledztwo z Janą Berzelius przy sterze będzie z pewnością uciążliwe.

Te nieliczne razy, kiedy to Mia była zmuszona współpracować z Janą, pozostawiły u policjantki niemiłe wspomnienia. Jana miała wyjątkowo nieciekawą osobowość, uważała Mia. Była sztywna i nigdy się nie rozluźniała. Gdy się pracuje razem, trzeba się poznać, pójść po pracy na piwo albo dwa i trochę pogadać. O wszystkim. Albo o niczym. Ale Mia dość szybko się zorientowała, że Jana nie przepada za takimi momentami. Nie można było nawet zadać jej najbliższego pytania o życie prywatne — za każdym razem odpowiadała wyniosłym spojrzeniem. I to była jedyna odpowiedź, jaką się od niej otrzymywało.

Mia uważała, że Jana Berzelius jest zadufaną w sobie cholerną primadonną. Niestety nikt inny nie podzielał jej opinii o pani prokurator. Wręcz przeciwnie, wszyscy pokiwali z zadowoleniem głowami, gdy Gunnar przedstawił ją jako prowadzącą śledztwo.

Lecz tym, czego Mia najbardziej nienawidziła, było pochodzenie Jany. Jana Berzelius była panią z wyższych sfer, Mia Bolander córką pracowników fizycznych. Jana to odziedziczone pieniądze, Mia pożyczone.

Już to stanowiło wystarczający powód, by nie zawierać bliższej znajomości z panną dziwaczką.

Kątem oka Jana dostrzegła nienawistne spojrzenie aspirant Bolander, ale postanowiła je ignorować. Otworzyła aktówkę i wyjęła z niej zeszyt oraz długopis opatrzony inicjałami.

Gunnar Öhrn opróżnił butelkę wody mineralnej Loka i zebrał stertę wydrukowanych i skopiowanych sześć razy dokumentów, tak aby każdy mógł otrzymać swój zestaw.

Wśród nich znajdowało się zgłoszenie zdarzenia, zdjęcia miejsca zbrodni i najbliższego otoczenia, szkic domu państwa Juhlénów, w którym odnaleziono ciało, i krótki opis ofiary. Na koniec załączono listę działań podjętych w kolejnych godzinach po znalezieniu Hansa Juhléna.

Gunnar dwa razy uderzył plikiem dokumentów w stół, po czym wskazał na linię czasu narysowaną na tablicy. Streścił też raport o rozmowie z żoną ofiary, Kerstin Juhlén, który był podpisany przez policjantów z wydziału prewencji.

— Trudno jednak było do niej dotrzeć — przyznał Gunnar. — Znajdowała się na granicy hysterii, głośno krzyczała i mówiła od rzeczy. Raz popadła nawet w hiperwentylację. I cały czas powtarzała, że to nie ona to zrobiła, że tylko znalazła go w salonie martwego.

— Więc ją podejrzewamy? — spytała Jana, cały czas rejestrując niechętnie

spojrzenia Mii.

— Tak, jest to godny uwagi trop, kobieta nie ma na razie żadnego alibi.

Gunnar przewracał leżące przed nim kartki.

— Okej, podsumowując. Hans Juhlén został zamordowany wczoraj między 15.00 a 19.00 przez nieznanego sprawcę. Badania kryminalistyczne wykazały, że zabójstwa dokonano w domu, ciało nie zostało więc przywiezione tam z innego miejsca. Mam rację?

Spojrzał w stronę Anneli Lindgren.

— Tak, zgadza się. Zginął w miejscu znalezienia.

— Ciało zabrano do Zakładu Medycyny Sądowej o godzinie 22.21, a przeszukiwanie domu trwało do późna w noc.

— To prawda, i oto, co udało mi się znaleźć.

Anneli położyła na stole dziesięć kartek A4. Na każdej z nich widniało tylko jedno zdanie.

— Były dobrze schowane, leżały na samym spodzie jednej z szaf w sypialni. Są to listy z pogrózkami.

— Czy wiemy od kogo? — spytał Henrik, wyciągając rękę po kartki. Jana w tym czasie zrobiła notatkę o listach w swoim zeszycie.

— Nie. Otrzymałam te kopie dziś rano z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego, ale na odpowiedź będziemy musieli poczekać co najmniej do jutra — odpowiedziała Anneli.

— Co jest na nich napisane? — spytała Mia.

— To samo na każdej kartce: „Zapłać teraz, albo przyjdzie ci zapłacić wyższą cenę”.

— Szantaż — skwitował Henrik.

— Na to wygląda. Rozmawialiśmy z wdową Juhlén, lecz ona twierdzi, że nic nie wiedziała o tych listach i wyglądała przy tym na szczerze zdumioną.

— Żadnego zgłoszenia szantażu? — spytała Jana, marszcząc czoło.

— Nie, nie wpłynęło do nas żadne zgłoszenie, ani od ofiary, ani od żony, ani też od nikogo innego — odpowiedział Gunnar.

— A jak wygląda sytuacja z narzędziem zbrodni? — spytała Jana.

— Nie zostało dotychczas odnalezione, ani na miejscu zdarzenia, ani w okolicy — oznajmił Gunnar.

— Nie znaleźliście żadnych śladów DNA ani śladów butów?

— Nie — powiedziała Anneli. — Ale mamy za to odciski linii papilarnych. Gdy Kerstin przysłała do domu, jedno z okien w salonie było otwarte i możemy być raczej pewni, że sprawca wyskoczył przez to okno. Niestety, Kerstin zamknęła okno, co utrudniło nam pracę, lecz mimo to udało się znaleźć dwa interesujące ślady.

— Czyje? — spytała Jana, trzymając w pogotowiu długopis, by zapisać imię i nazwisko.

— Nie wiemy, ale wygląda na to, że należą do dziecka. Jednak najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że państwo Juhlén nie mają dzieci.

Jana podniosła wzrok znad zeszytu.

— To jeszcze nic nie znaczy. Z pewnością znają kogoś, kto ma dzieci. Przyjaciele? Krewni? — spytała.

— Nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać z Kerstin Juhlén na ten temat — odparł Gunnar.

— To niesłychanie ważne, by przesłuchać ją w tej sprawie. Najlepiej niezwłocznie.

Jana wyjęła terminarz z aktówki i otworzyła go na aktualnej dacie. Jasnożółte strony były starannie zapisane przypomnieniami, godzinami i nazwiskami.

— Chcę, byśmy z nią porozmawiali jeszcze dzisiaj.

— Zadzwoń do jej adwokata, Petera Ramstedta — odparł Gunnar.

— To miło — odrzekła Jana, dowiedziawszy się, że nie będzie mogła od razu zapisać spotkania w terminarzu. Zamknęła go z hałasem, który sprawił, że Mia drgnęła i znów zaczęła wpatrywać się w nią z nienawiścią.

— Poinformuj mnie o godzinie przesłuchania, gdy uda ci się z nim skontaktować — dodała, odkładając terminarz do dopasowanej przegródki w aktówce. — A gdy mowa o przesłuchaniach, rozmawialiście z sąsiadami?

— Tak, z najbliższymi — odpowiedział Gunnar.

— I co?

— Nic. Nikt nic nie widział ani nie słyszał.

— Trzeba więc spytać innych, z całej ulicy, a nawet okolicy. W dzielnicy Lindö jest mnóstwo domów i wiele z nich ma duże kompleksy okienne.

— Tak, to wiesz doskonale — prychnęła Mia.

Jana spojrzała Mii w oczy.

— Mam na myśli to, że ktoś musiał coś widzieć.

Mia odwzajemniła spojrzenie, ale w końcu pierwsza spuściła wzrok.

— Co wiemy o Hansie Juhlénie? — kontynuowała Jana.

— Z tego, co udało się nam ustalić, wiódł całkiem zwyczajne życie — odparł Gunnar, spoglądając w leżące przed nim dokumenty. — Urodził się w 1953 roku w Kimstad, miałby więc teraz pięćdziesiąt dziewięć lat. Dzieciństwo spędził w Kimstad, jego rodzina przeprowadziła się do Norrköping w 1965 roku, gdy miał dwanaście lat. Skończył studia ekonomiczne i, zanim został zatrudniony w księgowości urzędu imigracyjnego, przepracował cztery lata w jednym z biur rachunkowych, a następnie osiem lat w urzędzie skarbowym. Spotkał Kerstin, gdy miał zaledwie osiemnaście lat, i już po roku wzięli ślub cywilny. Mają domek letniskowy nad jeziorem Vättern. To wszystko, co mam.

— Znajomi? — spytała Mia zachmurzona. — Wiemy coś na ten temat?

— O przyjaciółach na razie nic nie wiemy, ale, jak już mówiłem, rozpoczęliśmy tworzenie listy — odparł Gunnar.

— Trzeba koniecznie przeprowadzić szczegółowe przesłuchanie Kerstin — dodał Henrik.

— Wiem — przytaknął Gunnar.

— Telefon komórkowy Juhléna? — spytała Jana.

— Poprosiłem operatora o listę rozmów, mam nadzieję, że jutro będę ją miał — wyjaśnił Gunnar.

— A co wykazała obdukcja?

— W obecnej chwili wiemy, że Hans Juhlén został zastrzelony i że umarł w miejscu znalezienia ciała. Lekarz sądowy napisze wstępny raport jeszcze dzisiaj.

— Chcę mieć kopię.

— Henrik i Mia pojedą do niego po spotkaniu.

— Dobrze. Pojadę z nimi — oznajmiła Jana i uśmiechnęła się w głębi duszy, gdy usłyszała głębokie westchnienie aspiranta Bolander.

MORZE BYŁO WZBURZONE, więc smród panujący w tym niewielkim pomieszczeniu wzmógł się jeszcze bardziej. W jednym z kątów siedziała siedmioletnia dziewczynka. Chwyciła sukienkę mamy i zakryła nią nos. Wyobrażała sobie, że leżą teraz w domu w łóżku, albo w kołysce, bo kołysanie statku właśnie z tym jej się kojarzyło.

Oddech dziewczynki był przyśpieszony. Każdy wydech unosił materiał spódnicy nad buzię, a przy wdechu opadał i przyklejał się do ust. Zaczęła oddychać jeszcze szybciej. Nabrała dużo powietrza i z całej siły dmuchnęła w tkaninę, która odfrunęła, odkrywając jej twarz.

Wyciągnęła rękę, by znów ją złapać. Wówczas, w przytłumionym świetle, zobaczyła na podłodze swoje lustro. Było różowe, z motylkiem, przez środek szkła przechodziło duże pęknięcie. Znalazła je w worku ze śmieciami, który ktoś wyrzucił na ulicę. Wzięła teraz lustro do ręki i przejrzała się w nim. Złapała opadający na czoło kosmyk i zaczęła przyglądać się swoim ciemnym, potarganym włosom, dużym oczom i długim rzęsom.

Ktoś bardzo głośno zakaszłał i dziewczynka drgnęła. Próbowała dojrzeć kto to, ale w ciemności trudno było odróżnić twarze.

Zastanawiała się, kiedy będą na miejscu, ale nie miała już odwagi pytać. Tata uciszył ją, gdy po raz piąty spytała, jak długo jeszcze mają siedzieć w tej głupiej metalowej puszcze. Teraz mama zakaszłała. Ciężko się tu oddychało, naprawdę ciężko. Było ich zbyt wielu na tę niewielką ilość tlenu.

Dziewczynka pozwoliła dłoni wędrować wzdłuż metalowej ściany. Wyciągnęła palec wskazujący i środkowy i zaczęła galopować nimi po ścianie na dół aż do podłogi. Mama zawsze się śmiała, gdy tak robiła, i mówiła, że urodziła prawdziwą amazonkę.

Tam, gdzie mieszkała, w baraku w La Pintana, budowała pod stołem stajnię, a lalka służyła jej za konia. Przez ostatnie trzy lata marzyła, żeby dostać na urodziny własnego kucyka, choć wiedziała, że jest to niemożliwe. Rzadko otrzymywała prezenty i nie było nawet pewne, czy dostanie cokolwiek na urodziny. Przecież ledwo starcza na jedzenie, mówił tata. Mimo to dziewczynka marzyła o własnym koniu, chciałaby jeździć na nim do szkoły. Jechałaby szybko, tak szybko, jak teraz jej palce galopowały z powrotem do góry po ścianie.

Tym razem mama się nie śmiała. Jest pewnie zmęczona albo co, pomyślała dziewczynka i spojrzała w górę na twarz mamy.

Och, czy dużo jeszcze było do końca? Głupia, głupia, głupia podróż! To nie będzie bardzo długa podróż, powiedział tata, gdy pakowali ubrania do plastikowych worków. Mieli przeżyć przygodę, wielką przygodę, i przez krótki czas płynąć statkiem do nowego domu, gdzie miała poznać dużo nowych przyjaciół. To miło, bo bardzo lubiła bawić się z kolegami i tam, gdzie mieszkała, miała ich wielu.

Niektórzy z jej przyjaciół też byli z nią w podróży, na przykład Danilo i Ester. Lubiła Danila, bo był miły, ale nie Ester. Czasami była niegrzeczna, dokuczała innym i takie tam. Było też z nimi kilkoro innych dzieci, ale ich nie znała, nigdy wcześniej ich nie widziała. Nie lubiły płynąć statkiem, a przynajmniej nie to najmłodsze, niemowlę, które płakało przez cały czas. Choć akurat teraz było cicho.

Dziewczynka galopowała palcami po ścianie do góry i na dół. Wyciągnęła się, aby dosięgnąć ręką jak najwyżej i jak najniżej. Gdy palce dotarły zupełnie na dół, aż do rogu, poczuła pod nimi jakieś uwypuklenie, jakiś sztyd.

Pochyliła się i zaczęła przyglądać się małej srebrnej tabliczce, przykręconej śrubami do ściany. Próbowwała dojrzeć, co było na niej napisane. V... P... a potem jedna litera, której nie znała.

— Mamo? — wyszeptała. — Co to jest za literka?

— X — wyszeptała mama w odpowiedzi. — To jest X.

X, pomyślała dziewczynka. V, P, X, O, a następnie kilka cyfr. Policzyła je. Było ich sześć.

SALĘ SEKCYJNĄ OŚWIETLAŁY zawieszony pod sufitem silne jarzeniówki. Na środku znajdował się stół z błyszczącej stali, a pod białym prześcieradłem rysowały się kontury ciała. Na nierdzewnym stoliku stał długi rząd plastikowych pojemników opatrzonych numerami identyfikacyjnymi, obok leżała piła do rozcinania czaszki. W powietrzu unosił się metaliczny zapach mięsa.

Jana Berzelius podeszła do stołu sekcyjnego, przywitała się ze stojącym naprzeciw lekarzem sądowym Björnem Ahlmannem i wyjęła notatnik.

Henrik Levin stanął koło Jany, zaś Mia Bolander została przy wejściu, oparta plecami o drzwi. Henrik też chętnie by z nią tam został.

Wizyty w sali sekcyjnej zawsze były dla niego trudne. Zupełnie nie podzielał fascynacji Björna martwymi ludźmi. Zastanawiał się, jak może on codziennie z takim spokojem zajmować się zwłokami. Chociaż należało to do obowiązków Henrika, w dalszym ciągu trudno mu było oglądać śmierć z bliska. Po siedmiu latach służby wciąż musiał powstrzymywać grymas, gdy odsłanianie ciała. Na Janie zaś wydawało się to nie robić najmniejszego wrażenia. Nigdy nawet się nie skrzywiła, i Henrik zastanawiał się, czy istniało cokolwiek, co mogłoby ją poruszyć. Wiedział, że z pewnością nie były to wybite zęby, wyklute oczy, odcięte palce i ręce ani też odgryzione języki i poparzenia trzeciego stopnia. Wiedział to, bo razem oglądali te obrażenia, przy czym dla niego kończyło się to niezmiennie opróżnieniem żołądka.

Mimika Jany była doprawdy ekstremalnie oszczędna, nie było po niej nigdy widać zdenerwowania czy też złości. Prawie nie przejawiała emocji. Nieczęsto się uśmiechała, a jeśli nawet czasami wbrew wszystkiemu pojawiał się na jej twarzy uśmiech, to raczej w postaci prostej kreski. Wymuszonej kreski.

Komisarz uważał, że ten powściągliwy sposób bycia nie pasował do jej wyglądu. Długie ciemne włosy, wielkie brązowe oczy i jasna karnacja domagały się żywszego języka ciała. Może jest to tylko maska przybierana w pracy, myślał Henrik. Może chce zachować pozory, dopasować surowy sposób bycia do zawsze eleganckiej marynarki, spódnicy trzy czwarte i obowiązkowych wysokich obcasów, które dodawały kilka centymetrów do tych stu siedemdziesięciu dwóch, którymi obdarzyła ją natura. Może poza pracą okazywała uczucia.

A może nie.

Björn Ahlmann ostrożnie podniósł prześcieradło, odsłaniając nagie ciało Hansa Juhléna.

— Zobaczmy. Tu mamy jedną ranę wlotową, a tu drugą — powiedział Björn, wskazując na dwie otwarte rany w klatce piersiowej. — Oba strzały zostały doskonale wymierzone, ale to ten był śmiertelny.

Björn przesunął rękę, wskazując na wyższą z ran.

— Dwa strzały — stwierdził Henrik.

— Dokładnie.

Björn wziął zdjęcie z tomografii komputerowej i przymocował je na panelu specjalnie do tego przeznaczonym.

— Gdyby ująć to chronologicznie, najpierw otrzymał strzał w dolną część klatki piersiowej, który powalił go na ziemię. Upadł do tyłu, co spowodowało krwawienie podtwardówkowe w tylnej części głowy. Spójrzcie tutaj.

Björn pokazał czarną plamę na zdjęciu rentgenowskim.

— Ale nie umarł ani od strzału, ani od uderzenia w głowę. Nie. Przypuszczam, że gdy Hans Juhlén leżał na podłodze, sprawca podszedł do niego i strzelił jeszcze raz. Tutaj.

Wskazał na drugą ranę postrzałową w ciele.

— Ten strzał przeszedł prosto przez chrząstki klatki piersiowej aż do osierdzia, co od razu spowodowało zgon.

— Umarł więc od kuli numer dwa. — Henrik powtórzył raz jeszcze słowa lekarza sądowego.

— Tak.

— Broń?

— Znalezione łuski wskazują na to, że został zastrzelony z doskonale znanej wam broni. Był to Glock.

— Trudno będzie ją odnaleźć — powiedział Henrik.

— Dlaczego? — spytała Jana. W tym samym momencie w jej kieszeni zawibrował telefon.

Wszyscy doskonale to słyszeli, lecz Jana telefon zignorowała.

— Wybierasz, jakie rozmowy odebrać? — spytała Mia od drzwi. — Ta nie była wystarczająco ważna, czy jak?

Jana nie odpowiedziała, lecz ponownie zwróciła się w stronę Henrika.

— Dlaczego?

— Bo Glock jest bardzo popularną bronią. W Szwecji używa go wojsko, a w wielu innych krajach policja, więc lista pozwoleń będzie długa — odpowiedział.

— Musimy to zatem powierzyć komuś, kto ma dużo cierpliwości — skomentowała Jana i znów poczuła krótką wibrację w kieszeni. Zostawiono wiadomość głosową.

— Żadnych śladów walki? — spytała Mia od drzwi.

— Nie. Na ciele nie ma oznak przemocy: żadnych zadrapań, siniaków czy śladów duszenia. Został zastrzelony szybko i skutecznie.

Björn spojrzał na Henrika i na Janę.

— Plamy pośmiertne wskazują na to, że zmarł w miejscu znalezienia. Ciało nie zostało przeniesione, lecz...

— Gunnar już nam to mówił — przerwała mu Mia.

— Tak, rozmawiałem z nim dziś rano. Ale jest coś...

— Żadnych odcisków palców? — spytała.

— Nie. Ale...

— Narkotyki?

— Nie, żadnych narkotyków ani też alkoholu. Lecz...

— Złamania kości?

— Nie. Czy mogę teraz dokończyć zdanie?

Mia zamilkła.

— Dziękuję. To, co wydaje się interesujące, to ułożenie rany wlotowej w stosunku do wylotowej. Z tą raną wlotową...

Björn wskazał na wyższą z ran.

— ...nie ma nic dziwnego, kula przeszła prostopadle przez ciało. Za to druga kula przeszła ukośnie. I sądząc z różnicy między ranami, sprawca, strzelając, musiał klęczeć albo leżeć lub też siedzieć, by potem, jak już mówiłem, gdy mężczyzna leżał na podłodze, podejść do niego i strzelić mu prosto w serce.

— Jak egzekucja — odezwała się Mia.

— To już zostawiam wam do oceny, ale tak, na to wygląda.

— Więc ofiara stała, gdy została trafiona pierwszą kulą — upewnił się Henrik.

— Tak, i strzał padł z przodu.

— Tylko jak ktoś mógł klęczeć albo leżeć i strzelić do niego z przodu? To nie ma sensu, byłoby to bardzo dziwne — powiedziała Mia. — Chodzi mi o to, że przecież jeśli ktoś usiadłby przed nim na podłodze i potem do niego strzelił, Juhlén zdążyłby zareagować.

— Może i zareagował lub też znał mordercę — stwierdził Henrik.

— Albo był to jakiś cholerny karzeł, czy coś w tym rodzaju — zaśmiała się na głos Mia.

Henrik spojrział na nią i westchnął.

— To już musicie przedyskutować między sobą. W każdym razie Hans Juhlén według mojej oceny zginął w ten właśnie sposób. Tu jest wszystko opisane.

Björn wyjął kopie z wynikami sekcji, Henrik i Jana wzięli po jednym egzemplarzu.

— Zgon nastąpił w niedzielę między godziną 18.00 a 19.00. Wszystko znajdziecie w protokole.

Jana przeglądała otrzymaną kopię. Björn Ahlmann słynął ze swoich wyczerpujących i szczegółowych opisów i już na pierwszy rzut oka widać było, że i tym razem nie zawiódł.

— Dziękujemy za sprawozdanie — zwróciła się do lekarza, po czym wyjęła telefon z kieszeni i odsłuchiwała wiadomość.

Gunnar Öhrn nagrał tylko jedno krótkie zdanie.

„Przesłuchanie z Kerstin Juhlén o 15.30”. Tylko tyle, nawet się nie przedstawił.

Jana włożyła telefon do kieszeni.

— Przesłuchanie o wpół do czwartej — zwróciła się ściszym głosem do Henrika.

— Co? — zainteresowała się Mia.

— Przesłuchanie o wpół do czwartej — powiedział głośno i wyraźnie Henrik do Mii, która już właśnie miała coś powiedzieć, gdy Jana znów zabrała głos.

— To wszystko — rzekła.

Lekarz sądowy poprawił zsuwające się okulary.

— Wystarczy to wam?

— Tak.

Nie śpiesząc się, nakrył materiałem leżące przed nimi nagie ciało. Mia otworzyła drzwi i cofnęła się, by przypadkiem nie otrzeć się w wyjściu o Janę.

— Gdybyśmy mieli jakieś pytania, odezwiemy się — powiedział Henrik, wychodząc z sali sekcyjnej.

Ruszył za innymi w kierunku windy.

— Jak najbardziej — odpowiedział Björn za ich plecami. — Wiecie, gdzie mnie szukać — dodał, ale jego głos utonął w szumie z rur klimatyzacyjnych biegnących pod sufitem.

Pod kierownictwem Torstena Granatha w prokuraturze w Norrköping pracowało dwanaście osób na pełen etat. Piętnaście lat temu, gdy objął stanowisko szefa prokuratury, średni wiek pracowników był wysoki, lecz podczas jego rządów dokonano się wiele zmian, gdyż Torsten przyjął politykę odmładzania kadry i wymienił starzejący się personel. Podziękował wielu wiernym pracownikom, odprawił znudzonych administratorów i pomógł wypalonym specjalistom wyruszyć na poszukiwanie nowych wyzwań w życiu zawodowym.

Mniej więcej wówczas, gdy Jana Berzelius została zatrudniona, Torsten Granath znacznie zredukował liczbę pracowników, zostawiając jedynie cztery osoby. Jednak w tym samym roku zwiększono obszar podlegający prokuraturze w Norrköping; miała odtąd zajmować się nie tylko przestępstwami ze swojego powiatu, ale i z pobliskich Finspång, Söderköping i Valdemarvik. Również wzrastający handel narkotykami wymusił ponowne zwiększenie liczby pracowników. Torsten Granath zatrudnił więc kolejne osoby i obecnie w prokuraturze w Norrköping było dwanaście etatów.

Dzięki tej konsekwentnej polityce jednostka Torstena mogła pochwalić się młodymi, kompetentnymi pracownikami. Średnia wieku spadła do czterdziestu lat. Jedynym, który miał już swoje lata, był sam Torsten Granath. Po sześćdziesiątych drugich urodzinach zwolnił nieco tempo i ostatnio coraz częściej zatapiał się w marzeniach o zadbanych, zielonych polach golfowych. Mimo to sercem należał do prokuratury. Kierowanie nią było jego życiowym zadaniem i chciał się jemu oddawać aż do emerytury.

Biuro Torstena należało do tych przytulnych, o domowej atmosferze, ze zwisającymi aż do podłogi firankami, zdjęciami wnuków w połączonych ramkach na biurku i z zielonym, miękkim dywanem na podłodze. Po dywanie chodził zawsze w tę i z powrotem, gdy rozmawiał przez telefon, i tak też właśnie zastała go tego

popołudnia Jana Berzelius, wchodząc do wydziału. Przywitała się krótko z Yvonne Jansson, sekretarką pracującą w prokuraturze już od dwudziestu lat.

Yvonne zatrzymała Janę w połowie kroku.

— Halo!

Wręczyła jej żółtą samoprzylepną kartkę, na której widniało dobrze znane Janie nazwisko.

— Mats Nylinder z gazety „Norrköpings Tidningar” chciałby jakąś informację na temat morderstwa Hansa Juhléna. Najwyraźniej doszło do nich, że to ty prowadzisz śledztwo. Mats powiedział, że jesteś mu winna kilka słów, ponieważ dziś przed południem wymknęłaś się z sądu. Czekał tam na ciebie przez godzinę, aby otrzymać jakiś komentarz na temat wyroku.

Jana milczała, więc Yvonne kontynuowała:

— Niestety, nie jest jedynym, który tu dzwonił. To morderstwo zainteresowało wszystkie gazety w Szwecji, każdy chce mieć jakiś dobry tytuł na jutro.

— A ja nie zamierzam nikomu go dać. Możesz ich odesłać do rzeczniczki prasowej policji. Ode mnie nie usłyszą żadnych komentarzy.

— A więc żadnych komentarzy.

— Nie. Możesz to też przekazać Matsowi Nylinderowi — dodała Jana i skierowała się w stronę swojego biura.

Ciemna wykładzina korytarza tłumiła stukanie obcasów, które rozniosło się echem, gdy tylko weszła na parkiet swojego czworokątnego biura.

Było urządzone bardzo prosto, z nutą elegancji. Biurko i praktyczne półki na książki z drewna tekowego mieściły same segregatory. Wszystkie z czarnymi grzbietami, z wydrukowanymi komputerowo etykietkami, czcionką Times New Roman. Po prawej stronie na biurku stał srebrny, trzypoziomowy stojak na korespondencję, po lewej lampa stołowa, też w srebrnym kolorze, oraz telefon. Środek biurka zajmował przenośny komputer marki HP z siedemnastocalowym ekranem. Na oknie stały dwie białe orchidee w wysokich doniczkach.

Jana zamknęła drzwi, zdjęła marynarkę i powiesiła ją na oparciu skórzanego fotela. Czekając, aż się uruchomi komputer, wpatrywała się w stojące na parapecie kwiaty. Lubiła swoje biuro, było duże, przestrzenne. Tak ustawiła biurko, żeby siedzieć plecami do okna i poprzez ścianę ze szkła mieć pełny obraz tego, co się działo na korytarzu.

Jana ułożyła koło komputera wielką stertę pozwów, o wiele wyższą od klawiatury. Na oko ma z pięć centymetrów, pomyślała. Co najmniej pięć.

Zerknęła na zegarek. Zostało jej tylko półtorej godziny do przesłuchania Kerstin Juhlén.

Nagle poczuła się zmęczona i zniechęcona. Pochyliła głowę i podrapała się po karku. Delikatnie przeciągnęła opuszkami palców po nierównej w tym miejscu skórze, a następnie przyglądała dłonią włosy, by równo leżały na plecach.

Przejrzała pierwsze wezwania sądowe i postanowiła pójść po filiżankę kawy. Po chwili wróciła do biura, lecz resztę dokumentów pozostawiła nietkniętą.

Na dwunastu metrach kwadratowych mieścił się stół z krzesłami, zakratowane okno na jednej ścianie i lustro weneckie na drugiej. Henrik Levin włączył magnetofon w tym pozbawionym jakiegokolwiek charakteru pomieszczeniu. Głośno i wyraźnie wymówił pełne imię Kerstin Juhlén oraz jej numer ewidencyjny, a następnie nagrał komunikat:

— Poniedziałek szesnastego kwietnia, godzina piętnasta trzydzieści. Przesłuchanie prowadzi komisarz Henrik Levin, świadkiem jest aspirant policji Mia Bolander. Przy przesłuchaniu obecni są również prokurator Jana Berzelius oraz adwokat Peter Ramstedt.

Kerstin Juhlén siedziała koło Petera Ramstedta z rękoma splecionymi na stole. Była blada i nieumalowana, włosy miała nieuczesane, kolczyki zniknęły z uszu.

— Czy wiecie, kto go zabił? — wyszeptwała.

— Nie, jest za wcześnie, byśmy mogli coś powiedzieć — odrzekł Henrik, spoglądając poważnie na siedzącą przed nim kobietę.

— Ja tego nie zrobiłam. Wiem, że tak uważacie, dlatego tutaj jestem, ale ja tego nie zrobiłam.

— My nic nie uważamy...

— Ale to nie ja! Ja tego nie zrobiłam!

— Jak już mówiłem, my nic nie uważamy, ale musimy wszystko dokładnie zbadać. Dlatego prosimy, by jeszcze raz opowiedziała nam pani o tym, co się wydarzyło ubiegłej niedzieli, gdy wróciła pani do domu.

Kerstin wzięła dwa głębokie wdechy. Rozplotła dłonie, ułożyła je na kolanach i oparła się o krzesło.

— Wróciłam do domu... ze spaceru.

— Była pani sama, czy miała towarzystwo?

— Szłam sama, do kąpieliska i z powrotem.

— Proszę mówić dalej.

— Gdy wróciłam do domu, zdjęłam płaszcz. Zawołałam Hansa, ponieważ wiedziałam, że o tej porze powinien być już w domu.

— Która była wtedy godzina?

— Mniej więcej wpół do ósmej.

— Proszę kontynuować.

— Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, więc stwierdziłam, że pewnie nie wrócił jeszcze z pracy. Ostatnio pracował nawet w niedzielę. Poszłam do kuchni, żeby wypić szklankę wody, i wtedy zobaczyłam na blacie kuchennym kartony z pizzą, więc już wiedziałam, że jednak jest w domu. W niedzielę mamy w zwyczaju jeść pizzę na kolację. Tak więc... zawołałam jeszcze raz, i potem, dokładnie nie pamiętam, ale chciałam po coś iść, może po odświeżające soku, tak, tak, miałam przynieść soku,

poszłam więc do salonu i on tam leżał. Wtedy zadzwoniłam na policję.

— Kiedy pani zadzwoniła?

— Zaraz po tym... gdy go znalazłam.

— Co pani zrobiła następnie?

— Poszłam na górę. Kobieta z centrali kazała mi tak zrobić. Powiedziała, że nie mam go dotykać, więc poszłam na górę.

Henrik spojrzał na siedzącą przed nim kobietę. Jej stan budził litość. Była wyraźnie podenerwowana. Skubała materiał swoich jasnoszarych spodni i miała rozbiegany wzrok.

— Pytałem już o to wcześniej, ale muszę spytać jeszcze raz. Czy widziała pani w domu kogoś jeszcze?

— Nie.

— Na zewnątrz?

— Nie, już mówiłam.

— Żadnego samochodu na ulicy?

— Nie.

Kerstin odpowiedziała zdecydowanym głosem. Pochyliła się w bok, ku podłodze i przeciągnęła palcami po ścięgnię przy pięcie, jakby chciała się podrapać.

— Proszę opowiedzieć nam o swoim mężu — zmienił temat Henrik.

— Co mam wam powiedzieć?

— Był szefem urzędu imigracyjnego, prawda?

— Tak, dobrze wykonywał swoją pracę.

— Czy może podać nam pani więcej szczegółów? W czym był dobry?

— Zajmował się wszystkim po trochu. Był w końcu szefem...

Kerstin umilkła i spuściła głowę.

Henrik zauważył, że z trudnością przełknęła ślinę. Pewnie próbowała powstrzymać łzy.

— Możemy odczekać chwilę, jeśli pani chce — zaproponował Henrik.

— Nie, nie trzeba. Nie trzeba.

Wzięła głęboki oddech. Zerknęła na adwokata Petera Ramstedta, który bawił się swoim długopisem leżącym na stole, i zaczęła opowiadać.

— Tak, mój mąż był szefem urzędu. Podobała mu się ta praca. Wspiął się pomału po szczeblach kariery, całe życie poświęcił tej instytucji. Jest... był osobą, która dawała się lubić, miły dla wszystkich, bez względu na to, skąd pochodzili. Nie miał uprzedzeń. Chciał pomagać, to dlatego ta praca tak mu odpowiadała.

Kerstin zrobiła krótką przerwę i po chwili podjęła wątek.

— Urząd imigracyjny spotykał się w ostatnich czasach z ostrą krytyką.

Henrik skinął głową.

— Państwowa komisja rewizyjna po przeprowadzonej kontroli uznała za naganne praktyki urzędu imigracyjnego przy zakupie i wynajmie mieszkań dla imigrantów.

W ubiegłym roku wydatki urzędu na te mieszkania wyniosły pięćdziesiąt milionów koron, z czego dziewięć milionów zostało wydane na niedozwolone umowy bezpośrednio. Odkryto też nielegalne umowy z właścicielami nieruchomości, a w niektórych wypadkach umowy nie zostały w ogóle zawarte. Gazety opublikowały wiele reportaży na ten temat.

— Hans bardzo przejął się krytyką. Przybyło więcej uchodźców, niż się spodziewali, i dlatego musiał w krótkim czasie znaleźć dla nich jakieś zakwaterowanie. A wtedy coś poszło nie tak.

Kerstin zamilkła. Zadrżała jej warga.

— Było mi go naprawdę szkoda.

— Wydaje się, że dobrze orientowała się pani w pracy męża — stwierdził Henrik.

Kerstin nie odpowiedziała. Otarła łzę, widać było, że chciała coś dodać.

— Poza tym pojawiły się też problemy z utrzymaniem porządku.

Prawie na jednym wydechu opowiedziała, że w obozach dla uchodźców spotykano się z przemocą i kradzieżami. Imigranci niepokoiли się o swój los i wiele razy dochodziło między nimi do kłótni, przez co personel opłacany przez urząd imigracyjny miał problemy z utrzymaniem porządku.

— O czym doskonale wiemy — wtrącił Henrik.

— Tak, oczywiście — powiedziała Kerstin, prostując się. — Wielu imigrantów czuło dyskomfort i Hans robił wszystko, co w jego mocy, by uczynić pobyt w obozach na tyle przyjemnym, na ile było to możliwe. Nie należało to jednak do najłatwiejszych zadań. Przez wiele nocy z rządu ktoś uruchamiał alarm przeciwpożarowy. Ludzie zaczęli się bać i Hans nie widział innego wyjścia, jak tylko zatrudnić więcej osób, które kontrolowałyby obóz. Musicie wiedzieć, że mój mąż angażował się osobiście i wkładał serce w to, co robił.

Henrik pochylił się do przodu, uważnie wpatrując się w Kerstin. Nie wyglądała już teraz tak żałośnie. Pojawiło się w niej coś jeszcze, coś w rodzaju uczucia ulgi.

— Hans wiele czasu spędzał w biurze. Wracał późno i każdej niedzieli jechał do pracy. Trudno było przewidzieć, kiedy wróci do domu i na kiedy ma być gotowa kolacja, dlatego zazwyczaj w drodze powrotnej kupował pizzę. Tak jak wczoraj.

Kerstin Juhlén ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową. Wrócił strach i poczucie zagubienia.

— Ma pani prawo przerwać zeznania — powiedział Peter Ramstedt, delikatnie kładąc dłoń na jej ramieniu.

Jana zarejestrowała ten gest. Adwokat od zawsze miał słabość do kobiet i był bardzo skłonny do pocieszania. A jeśli nadarzała się możliwość, posuwał się dalej.

Kerstin uniosła nieco jedno ramię, co najwyraźniej dało adwokatowi do zrozumienia, że ma zabrać rękę. Wyjął chusteczkę, którą Kerstin przyjęła z wdzięcznością i głośno wydmuchała nos.

— Przepraszam — powiedziała.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Henrik. — Więc, jeśli dobrze zrozumiałem, pani mąż miał dość stresującą pracę.

— Nie, no więc... Tak, ale nie wiem wszystkiego. Nie mam już na to siły... Myślę... że najlepiej będzie, jak porozmawiacie o pracy Hansa z jego sekretarką.

Henrik zmarszczył czoło.

— A to dlaczego?

— Tak będzie najlepiej — wyszeptała Kerstin.

Henrik westchnął i pochylił się do przodu poprzez stół.

— Jak się nazywa ta sekretarka?

— Lena Wikström. Była jego asystentką przez niemal dwadzieścia lat.

— Oczywiście porozmawiamy z nią.

Ramiona Kerstin opadły, splotła ręce i powstrzymała ich drżenie.

— Jeśli mogę spytać — odezwał się Henrik — czy pani i pani mąż byliście sobie bliscy?

— Co ma pan na myśli? Oczywiście, że tak.

— Były między wami nieporozumienia?

— Do czego zmierza pan komisarz? — spytał Peter, pochylając się poprzez stół i pstrykając dwa razy ze złością długopisem. Klik, klik.

— Zmierzam do posunięcia do przodu śledztwa — odparł Henrik.

— Nie, rzadko się kłóciliśmy — odparła wolno Kerstin.

— Kto poza panią należał do najbliższych mu osób?

— Rodzice Hansa nie żyją już niestety od wielu lat. Oboje zmarli na raka. Nie miał bliskich przyjaciół, więc można powiedzieć, że nasze kontakty towarzyskie były dość ograniczone. Ale to nam odpowiadało.

— Siostra? Brat?

— Ma przyrodniego brata, który mieszka w Finspång. Ale niezbyt często się spotykali, za bardzo się od siebie różnili.

— To znaczy?

— Są po prostu inni.

— Jak on się nazywa?

— Lars Johansson, wszyscy mówią na niego Lasse.

Mia Bolander przysłuchiwała się dotychczas rozmowie ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Teraz spytała prosto z mostu:

— Dlaczego nie macie dzieci?

Kerstin zupełnie zaskoczyło to pytanie. Szybko podwinęła nogi pod krzesło. Tak szybko, że spadł jej jeden but.

Henrik i Mia spojrzeli na siebie. On — z irytacją, ona — zadowolona z zadanego pytania. Kerstin jęknęła, schylając się po but. Poprawiła się na krześle i położyła ręce na stole, jedną na drugiej.

— Jakoś tak wyszło — odpowiedziała krótko.

— Dlaczego? — dociekała Mia. — Nie mogliście mieć dzieci?

— Ależ skąd, myślę, że mogliśmy. Tylko tak jakoś wyszło.

Henrik chrząknął i zabrał głos, by zapobiec dalszym pytaniom Mii.

— No dobrze. Nie mieliście zbyt wielu znajomych, czy tak?

— Tak, to prawda.

— Kiedy ostatni raz ktoś was odwiedził?

— Bardzo dawno temu. Hans przecież ciągle pracował...

— A inne wizyty, elektryk, hydraulik?

— Koło świąt Bożego Narodzenia jakiś mężczyzna zadzwonił do drzwi, sprzedawał losy, ale poza tym nie...

— Jak wyglądał?

Kerstin spojrzała na Henrika ze zdziwieniem.

— Wysoki blondyn, bardzo sympatyczny. Lecz nie kupiłam od niego losów.

— Czy były z nim jakieś dzieci?

— Nie, nie miał ze sobą dzieci.

— Znacie kogoś, kto ma dzieci?

— Cóż, przychodzi mi na myśl jedynie przyrodni brat Hansa.

— Ma dzieci?

— Tak, ośmioletniego syna.

— ...i był z nim u was w domu?

Kerstin wpatrywała się w Henrika.

— Nie za bardzo rozumiem te pytania... ale, nie, nie był u nas w domu już od wieków.

Jana Berzelius zapisywała usłyszane informacje. Nazwisko brata Hansa otoczyła kołem. Lars Johansson.

— Czy ma pani jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógłby chcieć zabić pani męża? — spytała.

Kerstin pokręciła się na krześle i wyjrzała przez okno, po czym odpowiedziała:

— Nie.

— Czy pani mąż miał jakichś wrogów? — spytał Henrik.

Kerstin spojrzała na stół i wzięła głęboki oddech.

— Nie, nie miał.

— Czy był zły na kogoś albo z kimś pokłócony?

Wydawało się, że Kerstin go nie słyszy.

— Kerstin?

— Słucham?

— Czy nikt nie był na niego zły?

Kerstin pokręciła energicznie głową, tak że aż zatrzęsała się jej zwiotczała skóra pod brodą.

— To dziwne — powiedział Henrik i położył na stole przed nią kopie listów

z pogroźkami. — Bo znaleźliśmy u was w domu to.

— To? A co to takiego?

— To pani ma nam powiedzieć.

— Ale ja nie wiem, co to jest.

— Wygląda na listy szantażujące. Więc pani mąż musiał mieć jednego lub więcej wrogów.

— Ależ nie...

Kerstin znów pokręciła głową.

— Bardzo chcielibyśmy się dowiedzieć, kto jest nadawcą tych listów.

— Nie mam pojęcia.

— Nie?

— Nie, nigdy wcześniej ich nie widziałam.

Klik, klik, słychać było kliknięcia długopisu Petera Ramstedta.

— Moja klientka mówi, że nie wie, co to są za kartki. Czy moglibyście to sobie zanotować? Unikniecie wówczas zadawania w kółko tego samego pytania.

— Adwokat powinien wiedzieć doskonale, jak wygląda przesłuchanie. Bez pytań nie ma odpowiedzi.

— Proszę więc zadawać odpowiednie pytania. Kerstin nigdy wcześniej nie widziała tych kartek.

Peter wpatrzył się w Henrika, który uciekł wzrokiem. Klik, klik.

— Więc nie wie pani, czy pani mąż był przez kogoś zastraszany?

— Nie.

— Żadnych podejrzanych telefonów?

— Nie sędzę.

— Nie sądzi pani, czy jest pani pewna?

— Nie, nie było żadnych telefonów.

— Nie zna pani nikogo, kto chciałby go ostrzec? Lub zemścić się?

— Nie. Ale praca sama w sobie wystawiała go na pewne zagrożenie.

— Proszę wyjaśnić.

— No więc... Mój mąż uważał, że proces podejmowania decyzji w sprawach azylu jest bardzo męczący i trudny. Nie lubił dawać imigrantom odmownych decyzji, nawet jeśli to nie on sam ich o tym informował. Wiedział, że wiele osób było zrozpaczonych, gdy się dowiadywało, że nie mogą zostać w Szwecji. Ale nikt mu nie groził ani też nikt nie chciał się na nim zemścić, jeśli o to chodzi.

Henrik zastanawiał się przez chwilę, czy znajdująca się przed nim kobieta mówi prawdę. Hans Juhlén mógł oczywiście ukrywać przed nią listy, ale mimo to wydawało się mało prawdopodobne, że przez tyle lat pracy w urzędzie imigracyjnym nikt nigdy mu nie groził i że nie rozmawiał o tym z żoną.

— Hans Juhlén musiał czuć się czasem zagrożony, zważywszy na stanowisko, jakie zajmował — powiedział Henrik do Jany po zakończonym przesłuchaniu. Wolnym

krokiem opuszczali salę przesłuchań. Ona szła przodem, on za nią.

— Tak — potwierdziła krótko Jana.

— Co sądzisz o Kerstin?

Jana zatrzymała się na korytarzu i zastanawiała się, podczas gdy Henrik zamykał drzwi.

— W domu nie ma śladów walki — stwierdziła.

— Może wszystko było dobrze zaplanowane.

— Więc sądzisz, że jest winna?

— Żona zawsze jest winna. — Henrik się uśmiechnął.

— Tak, prawie zawsze. Ale w obecnej chwili nic nie wskazuje na jej związek z morderstwem.

— Wydawała się zdenerwowana.

— To nie wystarczy.

— Wiem, ale mam przeczucie, że nie mówi nam prawdy.

— Prawdopodobnie nie, ale by wydać nakaz aresztowania, muszę mieć coś więcej. Jeśli nie zaczniesz mówić albo nie zdobędziecie jakichś dowodów, będę musiała ją wypuścić. Macie trzy dni.

Henrik przeczesał ręką włosy.

— A sekretarka? — spytał.

— Sprawdźcie, co wie. Chcę, żebyście z nią porozmawiali zaraz jutro. Ja mam niestety cztery rozprawy, które zajmą mi cały dzień, więc nie mogę z wami jechać, ale zdaję się na was.

— Oczywiście. Pojadę do niej razem z Mią.

Jana pożegnała się z Henrikiem i ruszyła ku wyjściu, przechodząc obok pozostałych pięciu sal przesłuchań znajdujących się w areszcie.

Jako prokurator regularnie odwiedzała areszt. Kilka weekendów i nocek w roku miała też tutaj obowiązkowe dyżury lub znajdowała się w gotowości, pod telefonem. Dyżury ustalano według powtarzającego się schematu, tak aby zawsze był dostępny prokurator, gdy trzeba było podjąć decyzję w nagłych sprawach, jak na przykład w kwestii zatrzymania jakiejś osoby. Wiele razy Jana bywała wzywana, czasami w środku nocy, by rozstrzygać w takich właśnie wypadkach.

Obecnie areszt był pełen. Spojrzała w górę i podziękowała opatrności, że nie ma dyżuru w najbliższy weekend. Jednocześnie przypomniała sobie o dyżurze za dwa tygodnie. Zatrzymała się i wyjęła terminarz z aktówki, po czym przewróciła kartki do soboty, dwudziestego ósmego kwietnia. Żadnej notatki. Niedziela dwudziestego dziewiątego kwietnia również pusta.

Zmarszczyła czoło, musiała się pomylić. Była przekonana, że ma dyżur właśnie wtedy. Odwróciła kilka kolejnych kartek i zobaczyła notatkę pod wtorkiem. Pierwszy maja: dyżur. Pomyślała o kolacji z rodzicami. Od razu spochmurniała, nie mogła w żadnym wypadku mieć dyżuru i kolacji w ten sam dzień. Oczywiście nie musiała

bezwzględnie pojawić się u rodziców, ale nie chciała zrobić ojcu zawodu.

Musi się z kimś zamienić, pomyślała, wkładając terminarz z powrotem do aktówki. Podniosła się i ruszyła korytarzem, zastanawiając się, kogo mogłaby poprosić o zastępstwo. Wybór padł na Pera Åströma. Per był swoistą mieszanką odnoszącego sukcesy prokuratora i lubianego pracownika społecznego. Jako koleżanka po fachu darzyła go szacunkiem, a podczas trzech lat znajomości zawiązało się między nimi coś w rodzaju przyjaźni.

Per miał trzydzieści trzy lata. Był wysportowany, grał w tenisa we wtorki i w czwartki. Blondyn, z dołeczkiem w brodzie i oczach różnej barwy. Perfumy Fahrenheit. Trochę rozgadany, ale sympatyczny. I tyle, nic więcej.

Jana miała nadzieję, że uda jej się namówić Pera do zamiany. Jak by się opierał, spróbuje go przekupić. Winem. Tylko czerwonym czy białym? Zastanawiała się nad wyborem, wsłuchując się w takt wystukiwany obcasami na podłodze. Czerwone czy białe. Czerwone czy białe. Czerwone czy białe.

Rozważała przez chwilę zejście do garażu schodami, ale w końcu zdecydowała się pojechać windą. Skręciła w korytarz, i gdy zobaczyła, że adwokat Peter Ramstedt podjął taką samą decyzję, od razu pożałowała. Stała za nim w odpowiedniej odległości.

— Ach, Jana — odezwał się Peter na jej widok, huśtając się na podszwach butów.
— Słyszałem, że byłaś popatrzeć na ciało Hansa Juhléna.

— Skąd wiesz?

— Wiem to i owo.

Peter uśmiechnął się krzywo, ukazując wybielone zęby.

Jana milczała.

— Więc lubisz zwłoki.

— Nie, próbuję prowadzić śledztwo.

— Od dziesięciu lat jestem adwokatem i nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby prokurator był obecny przy oględzinach zwłok.

— Może mówi to więcej o innych prokuratorach niż o mnie.

— Nie lubisz swoich kolegów po fachu?

— Tego nie powiedziałam.

— Czy nie jest łatwiej robić jak inni, zostawić policji brudną robotę i kierować wszystkim przez telefon?

— Nie interesuje mnie to, co łatwe.

— Wiesz, czasem prokurator może utrudnić śledztwo.

— W jaki sposób?

— Przez wybijanie się zawsze na pierwsze miejsce.

Po tych słowach Jana Berzelius postanowiła zejść do garażu schodami i przy każdym stopniu przeklinała adwokata Petera Ramstedta.

PRZESTAŁO HUŚTAĆ. SIEDZIELI w ciszy, zamknięci w ciemnym kontenerze.

— Jesteśmy na miejscu? — spytała dziewczynka.

Mama nie odpowiedziała. Ani tata. Wydawali się trochę nieobecni. Mama kazała jej usiąść prosto i dziewczynka zrobiła tak, jak jej powiedziano. Inni też zaczęli się poruszać. Atmosfera stała się nerwowa, jeszcze więcej osób zaczęło kaszleć i nawet ona czuła, jak ciepłe, duszne powietrze wdziera jej się do płuc. Tata też ciężko zakaszał.

— Jesteśmy już na miejscu? — spytała jeszcze raz. — Mamo? Mamo!

— Cicho! — zganił ją tata. — Masz być zupełnie cicho.

Dziewczynka się obraziła i demonstracyjnie podciągnęła kolana pod brodę.

Nagle podłoga pod nią zadrżała. Upadła na bok i wyciągnęła rękę, by się podeprzeć. Mama chwyciła ją i przycisnęła mocno do siebie. Było cicho przez długą, długą chwilę, a potem poczuli, że są unoszeni w górę.

Każdy starał się złapać czegokolwiek, gdy chwiejnie przenoszono ciasny, trzydziestotonowy kontener ze statku. Dziewczynka kurczowo obejmowała mamę w pasie, lecz i tak uderzyła się w głowę, gdy kontener ciężko wylądował na ziemi. W ich nowym kraju. W ich nowym życiu.

Mama wstała i podniosła ją do góry. Dziewczynka spojrzała na Danila, który cały czas siedział oparty plecami o ścianę. Miał szeroko otwarte oczy i tak jak wszyscy inni wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z zewnątrz. Trudno było usłyszeć cokolwiek przez metalowe ściany, ale gdy się wyteżyło słuch, można było wyróżnić stłumione głosy. Prawda, że tak? Tak, ktoś rozmawiał na zewnątrz kontenera. Dziewczynka spojrzała na tatę. Uśmiechnął się do niej i ten uśmiech był ostatnim, co zobaczyła, zanim otworzyły się drzwi kontenera i oślepiło ich jasne światło.

Na zewnątrz stało trzech mężczyzn. Trzymali coś w rękach, coś dużego i srebrnego. Dziewczynka widziała już wcześniej takie przedmioty, z czerwonego plastiku, pryskające wodą.

Nagle jeden z mężczyzn zaczął głośno krzyżeć na innych. Miał coś dziwnego na twarzy, jakąś bliznę, olbrzymią. Nie mogła oderwać od niej wzroku.

Mężczyzna z blizną wszedł do kontenera i zaczął wymachiwać trzymanym w ręku srebrnym przedmiotem. Cały czas krzyżał. Nie rozumiała, co mówił, jej rodzice też nie. Nikt nie rozumiał, o co mu chodzi.

Mężczyzna podszedł do Ester i chwycił ją za sweter. Ester się wystraszyła, jej mama też, lecz nie zorientowały się, co się dzieje, a potem było już za późno. Mężczyzna przyciągnął do siebie Ester; trzymając ją pewnym chwytem za gardło, wycofał się z kontenera, cały czas z tą srebrną rzeczą wycelowaną w stronę mamy i taty Ester. Nie mieli odwagi, żeby cokolwiek zrobić, stali więc zupełnie nieruchomo.

Dziewczynka poczuła, jak ktoś mocno chwycił ją za ramię. To był tata, który szybko

schował ją za swoimi nogami. Mama rozszerzyła spódnicę, żeby jeszcze bardziej ją ukryć.

Dziewczynka stała zupełnie cicho, najciszej, jak tylko mogła. Zza spódnicy nie mogła dojrzeć tego, co się działo, ale wszystko słyszała. Słyszała, jak dorośli zaczęli krzyczeć. Krzyczeli: Nie, nie, NIE! I słyszała zrozpaczony głos Danila.

— Mamo! — wołał. — Mamo!

Dziewczynka zakryła sobie uszy, by nie słyszeć płaczu i krzyków innych dzieci. Choć głosy dorosłych były jeszcze gorsze, krzyczeli i płakali głośniejsze niż dzieci, przycisnęła więc jeszcze mocniej dłonie do uszu. Aż w końcu, zupełnie nagle, zapanowała cisza.

Dziewczynka odłoniła uszy i słuchała. Spróbowała wyrzeć zza nóg taty, ale gdy tylko się poruszyła, przycisnął ją mocno do ściany, aż zabolęło.

Dziewczynka słyszała zbliżające się kroki i czuła, jak tata coraz mocniej przyciska ją do metalowej ściany. Już prawie nie mogła oddychać i, właśnie gdy miała powiedzieć „au”, usłyszała dźwięk, jakby czegoś kruszonego, po czym tata upadł na podłogę. Leżał teraz przed nią, nieruchomo. Gdy spojrzała w górę, zobaczyła mężczyznę z raną. Uśmiechał się.

Mama rzuciła się do przodu i złapała ją z całych sił. Mężczyzna spojrzął na nich i znów coś krzyknął. Mama odkrzyknęła w odpowiedzi:

— Zostaw ją!

Wtedy uderzył ją ręką, którą trzymał w dłoni.

Dziewczynka poczuła, jak ręce mamy obsuwają jej się po brzuchu i nogach. Mama leżała na podłodze z wytrzeszczonymi oczami. Nie mrugała, tylko patrzyła przed siebie.

— Mamo!

Potem poczuła rękę na swoim ramieniu. Mężczyzna szarpnął ją i, trzymając mocno za ramię, wywlókł z kontenera.

A potem usłyszała ten dźwięk, ten straszny dźwięk, gdy zaczęli odpalać te srebrne rzeczy. Nie było w nich wody. Woda nie wydawała takiego dźwięku. Strzelali czymś twardym, prosto w ciemność.

Prosto w mamę i tatę.

WTOREK 17 KWIETNIA

JANA BERZELIUS OBUDZIŁA SIĘ o piątej rano. Znów miała ten sam sen. Nie dawał jej spokoju, zawsze śniło jej się to samo. Usiadła na łóżku i otarła pot z czoła. Czuła suchość w ustach. Możliwe, że krzyczała. Rozprostowała zaciśnięte pięści. Paznokcie zostawiły na dłoniach odciśnięte półksiężyce.

Sen prześladował ją, odkąd mogła sięgnąć pamięcią. Ten sam sen, te same obrazy. Denerwował ją, nie miała pojęcia, co to oznacza. Badała i analizowała na każdy możliwy sposób wszystkie pojawiające się w nim symbole i ich znaczenia, ale i to nic nie dawało.

Poduszka leżała na podłodze. Rzuciła nią? Pewnie tak, bo znajdowała się daleko od łóżka.

Podniosła poduszkę, oparła ją o wezglowie i okryła się kołdrą. Po dwudziestu minutach przekręcała się i wiercenią stwierdziła, że i tak nie uda jej się zasnąć ponownie. Wstała więc, wzięła prysznic, ubrała się i zjadła talerz jogurtu z musli.

Z filiżanką kawy w ręku przyglądała się niepewnej pogodzie za oknem. Mimo iż minęła już połowa kwietnia, zima wciąż nie dawała za wygraną. Gwałtowne deszcze przeplatały się z zamieciami śnieżnymi, a temperatura utrzymywała się poniżej zera, zarówno w nocy, jak i w dzień.

Ze swojego mieszkania w Knappingsborg miała widok na rzekę i salę koncertową Louis de Geer. Z salonu mogła poza tym przyglądać się osobom przechodzącym przez tę malowniczą część miasta ze sklepikami, kawiarniami i restauracjami. Dzielnica została niedawno wyremontowana, zachowując przy tym swój oryginalny charakter.

Jana zawsze chciała mieć mieszkanie z wysokim sufitem, i gdy zatwierdzono pierwsze plany dzielnicy, jej ojciec zajął kolejkę, aby wykupić mieszkanie dla córki, która właśnie skończyła studia. Dzięki łutowi szczęścia, albo też może licznym rozmowom telefonicznym, Karl Berzelius miał możliwość pierwszy wybrać mieszkanie i zdecydował się na zakup tego, które miało czterdzieści metrów kwadratowych więcej niż pozostałe, osiągając całkowitą powierzchnię stu dziewięćdziesięciu sześciu metrów kwadratowych.

Jana podrapała się po karku. Swędzenie dawało się jeszcze bardziej we znaki w ostatnich dniach z powodu zimnej i deszczowej pogody. Kupiła w aptece maść, według sprzedawczyni najnowszą na rynku, ale jak na razie nie widziała żadnej poprawy.

Zaczesała włosy na bok i przełożyła je przez prawe ramię, odsłaniając kark. Delikatnie nałożyła małą grudkę maści na bliznę układającą się w zdeformowane litery, a potem znów ją zakryła.

Wyjęła z garderoby granatową marynarkę, a na wierzch włożyła beżowy nieprzemakalny płaszcz marki Armani.

O wpół do dziewiątej opuściła mieszkanie, poszła do samochodu i w siąpiącym deszczu pojechała do sądu. Rozmyślała o pierwszej sprawie dotyczącej przemocy w rodzinie. Rozprawa zaczynała się o dziewiątej. Czwarta i ostatnia sprawa nie zakończy się z pewnością przed wpół do szóstej.

To będzie długi dzień, stwierdziła.

Było tuż po dziewiątej, gdy Henrik Levin i Mia Bolander przekroczyli próg urzędu imigracyjnego. Zgłosili swoje przybycie w recepcji i otrzymali wejściówki.

Sekretarka Lena Wikström rozmawiała akurat przez telefon, gdy weszli do jej pokoju na drugim piętrze. Pokazała gestem, że za chwilę skończy i będzie mogła im pomóc.

Z biura Leny widać było pomieszczenie, w którym jeszcze do niedawna pracował Hans Juhlén. Henrik zauważył, że pokój wyglądał, jakby ktoś go posprzątał, szerokie biurko było prawie puste. Komputer zajmował niemal połowę blatu, a na drugiej połowie leżała sterta segregatorów. Biuro Leny Wikström było dokładnym przeciwieństwem pokoju Juhléna: wszędzie walało się pełno papierów, na biurku, na teczkach, pod teczkami, na półkach, na podłodze, na stojaku na dokumenty i w koszu na śmieci. Nic nie było poukładane. Dokumentacja, zamówione bilety i korespondencja — wszystko leżało na stosach.

Henrik poważnie zaczął się zastanawiać, jak sekretarka mogła pracować w takim chaosie.

— No, już. — Lena odłożyła słuchawkę. — Witam państwa.

Uścisnęła rękę Henrikowi i Mii i poprosiła, aby usiedli na sfatygowanych krzesłach dla odwiedzających, które stały obok jej biurka, po czym od razu zabrała głos:

— To straszne, co się wydarzyło. Ciągłe nie mogę tego zrozumieć, jest to po prostu przerażające. Przerażające. Wszyscy zastanawiają się, kto to mógł zrobić. Ciągłe odbieram telefony, a jest przecież wiele innych rzeczy, którymi powinnam się zająć. Choć to oczywiste, że ludzie się niepokoją, gdy zamordowano ich szefa. Został bowiem zamordowany, prawda? Och, to naprawdę przerażające.

Lena zaczęła dłubać przy swoich niedbale pomalowanych paznokciach. Trudno było określić jej wiek. Henrik przypuszczał, że była tuż przed sześćdziesiątką. Miała krótko ścięte ciemne włosy, była ubrana w jasnofioletową cienką bluzkę, w uszach tkwiły pasujące do niej kolczyki. Wyglądała elegancko i zamożnie, jeśli pominąć odchodzący lakier u paznokci, rzecz jasna.

Mia otworzyła notes i przygotowała długopis.

— Podobno pracowała pani z Hansem Juhlénem przez wiele lat?

— Tak, ponad dwadzieścia — odpowiedziała Lena.

— Od Kerstin Juhlén wiemy, że było to niecałe dwadzieścia.

— Niestety, nie jest zbyt dobrze poinformowana w sprawach dotyczących jej męża.

Nie, przepracowaliśmy razem dokładnie dwadzieścia dwa lata. Ale nie byłam jego sekretarką przez cały ten czas, wcześniej miałam innego szefa, który odszedł na emeryturę przed wielu laty i Hans objął po nim stanowisko. Hans pracował wcześniej w dziale ekonomicznym i spotykaliśmy się nierzadko w związku z kwestiami finansowymi, ponieważ często towarzyszyłam w tych spotkaniach ówczesnemu szefowi.

— Według Kerstin Hans wydawał się zestresowany w ostatnim czasie, czy się pani z tym zgadza? — spytał Henrik.

— Zestresowany? Nie, ja tak nie uważam.

— Mówiła nam o krytyce, z którą nie tak dawno spotkał się urząd imigracyjny.

— Tak? No rzeczywiście. W gazetach pisali, że źle rozplanowaliśmy fale uchodźców, lecz trudno wiedzieć dokładnie, ile osób przybędzie, można tylko przewidywać. A przewidywanie jest w końcu tylko przewidywaniem.

Lena wzięła głęboki oddech:

— Przed trzema tygodniami przyjęliśmy dużą grupę uchodźców z Somalii, co oznaczało wiele pracy, zarówno przed, jak i po przybyciu imigrantów. Hans nie chciał ryzykować kolejnej afery w mediach, wziął krytykę na poważnie.

— Miał jakichś wrogów? — spytał Henrik.

— Nie, mnie o niczym nie wiadomo. Ale z naszą pracą związane jest w końcu pewne ryzyko. Wiele osób zaczyna się denerwować i stawiać, gdy dowiadują się, że nie mogą zostać w Szwecji, więc jeśli spojrzeć na to od tej strony, to mamy wokół pełno wrogów. Stąd też firma ochroniarska, która zawsze jest tu obecna — wyjaśniła Lena.

— Nawet wieczorami i w nocy?

— Tak.

— Więc otrzymywaliście jakieś pogróżki?

— Nie, nie w stosunku do kogoś konkretnie. Ale wiele osób ma nieprzyjazne nastawienie do całego urzędu. Pewnego razu jakiś mężczyzna oblał się benzyną, wbiegł do recepcji i groził, że się podpali, jeśli nie otrzyma pozwolenia na pobyt. Niektórzy to prawdziwi szaleńcy. Nie uwierzycie, jakich to ludzi można spotkać.

Henrik oparł się o krzesło, twarde oparcie gniotło go w plecy poprzez cienką tapicerkę. Spojrzał na Mię, która notowała usłyszane informacje, i przeszedł do kolejnego pytania:

— Czy moglibyśmy porozmawiać z ochroniarzem, który miał służbę w ubiegłą niedzielę?

— W ubiegłą niedzielę? Kiedy został...

— Tak.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Lena podniosła słuchawkę telefonu i zaczęła przeglądać listę z numerami, wiszącą na prawo od biurka. Kiedy dodzwoniła się do agencji ochrony, ta obiecała przysłać

niezwłocznie Jensa Caveniusa, który pełnił służbę w budynku w niedzielę.

— Więc nic pani nie wiadomo, żeby Hans czuł się szczególnie zagrożony w ostatnim czasie? — spytał Henrik.

— Nie — odpowiedziała Lena.

— Żadnych dziwnych listów ani rozmów telefonicznych?

— Nie. Otwieram całą korespondencję, więc... Nie, nic nie zauważyłam.

— Czy wie pani coś na temat kontaktów Hansa Juhléna z jakimś dzieckiem?

— Nie, a dlaczego?

Henrik nie odpowiedział. Poprawił się na niewygodnym krześle i zadał kolejne pytanie.

— Czy wie pani może, co robił Hans, gdy przebywał tutaj późnymi wieczorami i w weekendy?

— Dokładnie nie wiem, ale zajmował się robotą papierkową, pismami i tym podobnym. Nie lubił komputerów i używał ich rzadko, więc drukowałam dla niego wszystkie dokumenty i raporty.

— Czy była pani obecna, kiedy pracował? — spytała Mia, wskazując długopisem na Lenę.

— Nie, w ubiegłą niedzielę nie. Chciał być sam. To dlatego lubił pracować wieczorami i w weekendy, bo wtedy nikt mu nie przeszkadzał.

Mia skinęła głową i zapisała coś w notatniku.

— Mówiła pani, że niektóre osoby zachowują się niebezpiecznie. Czy moglibyśmy dostać listę wszystkich ubiegających się o azyl?

— Tak, oczywiście. Z tego roku, czy z poprzednich lat?

— Na początek wystarczy z tego roku.

Lena wyszukała listę w katalogu komputera. Jej laserowa drukarka firmy Brother rozpoczęła pracę i zaczęła wypluwać kolejne strony z nazwiskami w porządku alfabetycznym. Lena w ciszy odbierała kartki. Gdy drukarka wydrukowała dwadzieścia stron, zaczęła mrugać czerwona kontrolka.

— Że też człowiek musi się męczyć z takim sprzętem — zdenerwowała się Lena, robiąc się przy tym zupełnie czerwona. Otworzyła pojemnik na papier, który, ku jej zdziwieniu, nie był pusty.

— A co tym razem? — powiedziała podniesionym tonem, zamykając pojemnik.

Drukarka zazgrzytała, ale czerwona kontrolka nadal wskazywała, że coś jest nie tak.

— Najlepsze urządzenia to te, które działają, prawda? — powiedziała poirytowana, oczekując na odpowiedź, która nie padła.

Henrik i Mia siedzieli w milczeniu.

Lena ponownie otworzyła pojemnik drukarki i upewniła się, że jest w nim papier, po czym go zamknęła. Tym razem z trzaskiem. Drukarka zazgrzytała, ale nie pojawiły się żadne nowe wydruki.

— Że też zawsze coś musi się psuć! — Sekretarka uderzyła pięścią w przycisk włączający drukarkę, czym od razu przywróciła ją do działania. Przeczesała ręką włosy i zachichotała zadowolona, że w końcu udało jej się wydrukować listę do końca. W tej samej chwili zadzwonił telefon i recepcjonistka przekazała Lenie, iż przybył Jens Cavenius.

Jens Cavenius stał oparty o ścianę w recepcji. Dziewiętnastolatek wyglądał na dopiero co przebudzonego. Oczy miał zaczerwienione, włosy były po jednej stronie zmierzwione, a po drugiej przyklapnięte. Miał na sobie ocieplaną dzinsową kurtkę i białe tenisówki Converse. Gdy zobaczył Henrika i Mię, odsunął się od ściany, wyciągając rękę na powitanie.

— Może usiądziemy — zaproponował Henrik.

Wskazał ręką w stronę jasnych kanap, na prawo od recepcji, otoczonych dwumetrowymi plastikowymi jukami. Pośrodku stał biały, sięgający do kolan stolik. Widniał na nim stojak z broszurami po arabsku.

Jens opadł na kanapę, pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i spoglądał wyczekująco na Henrika i Mię. Usiedli naprzeciwko niego.

— Pracowałeś tu ubiegłej niedzieli? — spytał Henrik.

— Dokładnie tak — odparł Jens.

— Czy Hans Juhlén był wtedy w biurze?

— Tak. Trochę pogadaliśmy, w końcu był tu, jakby na to nie patrzeć, szefem.

— Która była wtedy godzina?

— Coś koło siódmej.

Henrik spojrzał na Mię i zauważył, że ma ochotę przejąć prowadzenie rozmowy. Skinieniem głowy pozwolił jej na to.

— O czym rozmawialiście?

— Właściwie tylko się przywitaliśmy. Tak można by powiedzieć — wyjaśnił Jens.

— No i? — zachęcała go Mia do dalszego mówienia.

— A właściwie skinęliśmy głowami, to znaczy ja kiwnąłem w jego stronę, gdy przechodziłem koło jego biura.

— Nie było tam nikogo innego?

— Nie, jak babkę kocham. W niedzielę nie ma tu żywej duszy.

— Gdy przechodziłeś koło biura Hansa Juhléna, zauważyłeś może, co robił?

— Nie. Ale słyszałem, że pisał na komputerze. Gdy się pracuje jako strażnik, trzeba mieć bardzo dobry słuch, żeby wychwycić dziwne albo podejrzanе dźwięki. Widzenie w ciemności też mam nie najgorsze, szczerze mówiąc, byłem najlepszy w testach przy rekrutacji. A co!

Doskonałość zmysłów Jensa nie zrobiła na Mii większego wrażenia. Podniosła z ironią brwi i zwróciła się w stronę Henrika, który utkwiał wzrok w jednej z juk. Gdy zrozumiała, że zagubił się we własnych rozmyślaniach, szturchnęła go w ramię. Mocno.

- Komputer Hansa Juhléna? — spytała.
- Tak? — ocknął się Henrik.
- Wydaje się, że używał go dość często.
- No tak, cały czas — przytaknął Jens, uderzając w dłoń.
- Uważam, że trzeba go wziąć do analizy — stwierdził Henrik.
- Zgadzą się — odparła Mia.

Posterunkowy Gabriel Mellqvist zadrżał z zimna. Buty przepuszczały wodę, a lodowaty deszcz spływał po policyjnej furazerce prosto na kark. Nie wiedział, gdzie znajdowała się teraz jego koleżanka Hanna Hultman. Ostatnio widział ją, gdy stała przed numerem trzydziestym szóstym i czekała, aż ktoś otworzy jej drzwi. Tego przedpołudnia odwiedzili ze dwadzieścia domów, ale jak na razie nie znaleźli nikogo, kto ubiegłej niedzieli widział w okolicy coś, co mogłoby mieć znaczenie dla śledztwa. Żadnego obcego mężczyzny ani kobiety. Z drugiej jednak strony owego dnia większości osób mieszkających na tej ulicy nie było w domu. Przebywali na polach golfowych, w domkach letniskowych, na konkursach jeździeckich i Bóg wie gdzie jeszcze. Jedna mama widziała małą dziewczynkę przechodzącą ulicą koło jej willi, najprawdopodobniej wracała do rodziców po zabawie u koleżanki lub kolegi. Gabriel zastanawiał się, dlaczego w ogóle mu o tym wspomniała.

Zaklął pod nosem i spojrzął na zegarek. Czuł suchość w ustach, był zmęczony i chciało mu się pić — wyraźne sygnały, że poziom cukru niebezpiecznie się obniżył. Mimo to skierował kroki ku następnej willi, otoczonej wysokim kamiennym murem.

Zbieranie informacji po domach nie należało do jego ulubionych zajęć, a już z pewnością nie w rześmistym deszczu. Ale rozkaz przyszedł z najwyższej instancji policji kryminalnej, więc lepiej było usłuchać.

Furtka i brama były zamknięte na klucz. Gabriel rozejrzał się dookoła. Stąd ledwo było widać Östansvägen, gdzie dokonano zbrodni. Nacisnął przycisk domofonu i czekał na odpowiedź. Nacisnął jeszcze raz, dołączając do tego „Halo”. Szarpnął delikatnie zamkniętą furtkę, która zaskrzypiała w odpowiedzi.

Gdzie do cholery była teraz Hanna? Ciągłe nie było jej widać. Nie weszła przecież w jakąś boczną uliczkę, nie, z pewnością by go o tym uprzedziła. Na pewno.

Gabriel westchnął. Popatrzył w stronę willi, w nadziei dostrzeżenia jakiegoś ruchu w oknach. Cofnął się o krok, by lepiej widzieć, i wszedł prosto do kałuży. Poczował, jak czarna skarpetka nasiąka zimną wodą. Wspaniale, naprawdę cudownie.

Jeszcze raz spojrzął na dom. W dalszym ciągu nie dostrzegał w nim żadnych oznak życia. Nagle ogarnęło go uczucie, że to zbieranie informacji po domach jest zupełnie bez sensu. Chciałby to skończyć najlepiej zaraz, w tej chwili, pojechać do najbliższej restauracyjki i po prostu coś zjeść. Ale wówczas dostrzegł kącikiem oka coś, co się poruszało. Wyteżył wzrok, by zobaczyć, co to takiego. Kamera! Nacisnął ponownie na przycisk domofonu, zaczął nawoływać raz za razem i w całym tym podeksycytowaniu nie zwrócił uwagi na ogarniające go pomału uczucie słabości.

Czterdzieści minut i dziewięćdziesiąt koron później Henrik Levin był najedzony. Tajlandzki bufet oferował zbyt wiele pysznych potraw. Mia Bolander towarzyszyła mu, ale wybrała lżejszy obiad w postaci sałatki.

Henrik pożałował wyboru, gdy tylko usiedli w samochodzie. Czuł się ospały i ociężały, dlatego pozwolił Mii prowadzić do komendy policji.

— Czy mogłabyś mi przypomnieć następnym razem, żebym też wybrał sałatkę?
— spytał.

Mia się zaśmiała.

— Mogłabyś?

— Nie jestem przecież twoją matką. Ale dobrze, niech będzie. Emma chce, żebyś schudł?

— Uważasz, że jestem za gruby?

— Na twarzy nie.

— Dziękuję.

— Brakuje ci seksu, co?

— Słucham?

— No cóż, postanowiłeś ograniczyć jedzenie, a to znaczy, że chcesz schudnąć. A kiedyś czytałam w gazecie, że najczęstszą przyczyną odchudzania się u mężczyzn jest to, że chcieliby częściej uprawiać seks.

— Ależ ja mówiłem tylko o sałatce. Po prostu następnym razem chciałbym zjeść sałatkę. Co w tym złego?

— Nic.

— Uważasz, że jestem za gruby?

— Nie. Henriku, nie jest się grubym, ważąc osiemdziesiąt kilo.

— Osiemdziesiąt trzy.

— Przepraszam, osiemdziesiąt, cholera, trzy kilo. Prawdziwe ciacho z ciebie, dlaczego chcesz się odchudzać?

Mia przekomarzała się z Henrikiem, zerkając na niego ukradkiem.

Henrik milczał, zatrzymując dla siebie prawdziwą przyczynę przejścia na dietę.

Mia nie musiała wiedzieć, że przed siedmioma tygodniami powziął postanowienie, iż rozpocznie program odchudzania opierający się na ubogich w węglowodany kolacjach. Poza tym chciał też znaleźć czas na więcej ruchu podczas tygodnia. Ale wprowadzenie w życie nowych zwyczajów okazało się dość skomplikowane. Między innymi dlatego, że tajlandzkie jedzenie smakuje o wiele lepiej, gdy jest podane z ryżem. A po pracy był tylko dom, kolacja, kąpiel, zabawa, układanie do snu, telewizja i spanie. Gdy się ma w domu pięcio- i sześciolatka, niemożliwe jest zrobienie czegokolwiek innego, czegoś wychodzącego poza codzienne obowiązki rodzinne. Co prawda nie przedłożył jeszcze tej kwestii Emmie, nie spytał, czy mógłby jeden lub dwa wieczory w tygodniu chodzić na siłownię. Choć sprawa i tak była przegrana, w głębi duszy Henrik wiedział, jaką usłyszy odpowiedź. Zdecydowane nie.

Emma uważała, że i tak zbyt mało czasu poświęcał rodzinie. Nadgodzin miał wiele. Ale to była praca i na ten temat trudno dyskutować. Sport był trochę trudniejszą kwestią i budził w Emmie gwałtowne emocje. Henrik właściwie nie rozumiał dlaczego, przecież sport poprawia samopoczucie, a gdyby trochę potrenował, miałby więcej mięśni i byłby atrakcyjniejszym mężczyzną. Zastanawiał się, czy to ostatnie nie było najlepszym argumentem w sprawie siłowni. Jeśli Emma pozwoliłaby mu na trening dwa razy w tygodniu, miałaby w łóżku bardziej umięśnionego mężczyznę. A on więcej seksu, taką żywił nadzieję. Sytuacja obopólnej korzyści.

W tych nielicznych momentach, kiedy pytał Emmę, czy mógłby pójść grać w piłkę nożną z drużyną z pracy, spotykał się zawsze z odmową. Weekendy były dla rodziny, mieli siedzieć razem w ogrodzie, jechać do zoo w Kolmården, iść do kina — po prostu razem spędzać czas. Henrik i Emma mieli być wyłącznie dla siebie, zajmować się sobą, przytulać się.

Ale Henrik nie lubił się przytulać, on lubił seks. Koniec, kropka. Seks jest najważniejszym dowodem, że kocha się swojego partnera, tak uważał. Nieważne, gdzie ani kiedy to się robi — ważne, że się robi. Emma tak jednak nie uważała. Dla niej seks musiał być zmysłowy i odprężający, trzeba było mieć dużo czasu i takie tam wymysły. Otoczenie odgrywało olbrzymią rolę. Łóżko małżeńskie pozostało więc ich jedyną oazą namiętności, i to tylko wówczas, gdy dzieci spały. A ponieważ Felix przechodził teraz okres strachu przed duchami i każdego wieczoru upierał się, by zasnąć w ich łóżku, ilość seksualnych doświadczeń była niewielka. To sprawiło, że Henrik przyzwyczał się do kładzenia się spać z nadzieją, że potem będzie lepiej. W ostatnich tygodniach, dzięki swojej ubogiej w węglowodany diecie, miał jeszcze większą ochotę. Nie mógł wyjaśnić dlaczego, ale w jakiś sposób hormony obudziły się w nim do życia. A Emma odpowiedziała na sygnały, to trzeba jej przyznać. Przynajmniej ten jeden raz, przed dokładnie czterema tygodniami, gwoli ścisłości.

Henrik powstrzymał kwaśne odbicie z żołądka. Nigdy więcej bufetu, pomyślał. Następnym razem weźmie tylko sałatkę, bezwzględnie.

Gdy Henrik i Mia weszli do sali spotkań, powitała ich wiadomość, że posterunkowy Gabriel Mellqvist zemdleł podczas zbierania informacji po domach w Lindö.

Znalazła go staruszka, która słyszała kilkukrotne dzwonięcie do drzwi, ale ponieważ poruszała się na wózku inwalidzkim, nie mogła szybko się przemieszczać. Gdy w końcu otworzyła drzwi, zobaczyła leżącego przed furką policjanta.

— Całe szczęście nadeszła wówczas Hanna Hultman, odszukała w kieszeni Gabriela strzykawkę z glukagonem i wstrzyknęła mu go w udo — powiedział Gunnar. — To była zła wiadomość. Dobra jest taka, że przed domem kobiety zamontowano kamerę. Rejestruje to, co się dzieje na ulicy, i umieszczona jest tutaj.

Gunnar zrobił krzyżyk na mapie dzielnicy wiszącej na ścianie obok wykresu następstwa wydarzeń.

Wszyscy byli obecni. Wszyscy oprócz Jany, stwierdziła Mia z zadowoleniem.

— W najlepszym wypadku zapis z ostatniej niedzieli jest jeszcze na jakimś serwerze. Chcę, Ola, żebyś to od razu sprawdził.

— Teraz? — spytał Ola Söderström.

— Tak, teraz. Niezwłocznie.

Ola się podniósł.

— Poczekaj — zatrzymał go Henrik. — Myślę, że mamy dla ciebie coś jeszcze. Skonfiskowaliśmy komputer Hansa Juhléna i musimy go przeszukać.

— Czy rozmowa z Leną Wikström dała nam coś jeszcze?

— Lena nie potwierdziła wersji Kerstin Juhlén na temat metod pracy Hansa. Według żony pracował on zawsze przy komputerze, zaś według sekretarki nigdy. Wiem, że wrażenia mogą być czasem mylące, ale mimo wszystko wydaje mi się dziwne, że mają tak odmienne zdanie w tej kwestii.

Ola, Gunnar i Anneli przyznali mu rację.

— Lena nie uważa też, aby Hans Juhlén był szczególnie zestresowany w ostatnim czasie, w każdym razie nie aż tak bardzo, jak twierdzi jego żona — wyjaśnił Henrik.

— Ale to tylko jej pogląd. Chyba aż tak dobrze go nie znała. Moim zdaniem był cholernie zestresowany. Bo ja bym była, gdyby najpierw opisano mnie we wszystkich gazetach, a do tego dostawałabym listy z pogrózkami — zaproponowała Mia.

— Właśnie — zgodził się Ola.

— Lena przyznała, że niektórzy imigranci stawali się agresywni wobec urzędu, gdy dowiadywali się, iż nie mogą pozostać w Szwecji. Dlatego poprosiliśmy o listę wszystkich osób, które w tym roku ubiegały się o azyl — dodał Henrik.

— Dobrze. Coś jeszcze? — spytał Gunnar.

— Nie — odrzekł Henrik. — Więc wywiad w okolicy nie dał za wiele?

— Zero świadków? — spytała Mia.

— Nie, nie mamy nikogo — odrzekł Gunnar.

— To nie jest, do cholery, normalne. Czy naprawdę nikt niczego nie widział? — Mia zabrała ponownie głos. — W końcu od czegoś musimy zacząć.

— Obecnie nie mamy żadnych świadków. Nic. Zero. Dlatego mam nadzieję, że film z kamery coś nam da. Ola, sprawdź, czy możemy niezwłocznie uzyskać zapis — powiedział Gunnar. — A potem zajmiesz się komputerem Hansa. Ja zaś się dowiem, czy jest już gotowy spis rozmów od operatora. Jeśli nie, będę dzwonił i się naprzykrzał. Anneli, pojedź jeszcze raz na miejsce zbrodni i rozejrzyj się. Może znajdziesz coś nowego, w obecnym położeniu wszystko jest cenne.

DZIEWCZYNIKA NAJPIERW TYLKO PŁAKAŁA. Histerycznie. Ale teraz czuła się spokojna. Nigdy wcześniej nie doznała takiego uczucia. Jakby wszystko działało się w zwolnionym tempie.

Siedziała z ciężką głową opartą o uda, ręce zwisały po bokach, jakby straciła w nich czucie. Słyszała dobiegający z daleka warkot silnika samochodu dostawczego, którym jechali. Skóra na nogach piekła. Posikała się, gdy ją trzymali, by włożyć igłę w ramię.

Spojrzała ostrożnie na lewą rękę, na mały, czerwony ślad. Był maluśki. Zachichotała. Tyci. Tyci tyciuni. Strzykawka też była tycia.

Samochód skręcił i asfalt zamienił się w żwir. Dziewczynka odchyliła głowę i oparła się, próbując utrzymać równowagę i nie uderzyć się o twarde wnętrze samochodu. Albo o kogoś innego. Siedzieli ciasno jeden przy drugim, cała siódemka. Danilo, znajdujący się koło niej, też wcześniej płakał. Nigdy przedtem nie widziała go płaczącego, zawsze tylko uśmiechniętego. Lubiła jego uśmiech i chętnie go odwzajemniała. Ale teraz nie mógł się uśmiechać. Srebrna taśma szczelnie zaklejała mu usta i potrzebne do oddychania powietrze wciągał przez nos.

Naprzeciwko nich siedziała kobieta. Wyglądała na złą, na bardzo złą. Bardzo, bardzo złą. Wrrr. Dziewczynka zaśmiała się w myślach. A potem opadła bezwładnie z powrotem, opierając głowę o uda. Była zmęczona, najbardziej ze wszystkiego chciałyby zasnąć. W swoim łóżku. Z lalką, którą pewnego razu znalazła na przystanku autobusowym. Brakowało jej ramienia i nogi, ale była to najpiękniejsza lalka, jaką kiedykolwiek widziała. Miała ciemne loki i różową sukienkę. Bardzo tęskniła za lalką. Została z mamą i tatą. Później po nią pójdzie, jak już wróci do kontenera.

Wtedy wszystko znów będzie dobrze.

I pojedą z powrotem.

Do domu.

POŚLANIEC PRZYWIÓZŁ WŁAŚNIE zapis z kamery firmy ochroniarskiej. Ola Söderström otworzył paczkę i szybko podłączył niewielki dysk do swojego komputera. Od razu ukazały się obrazy przedstawiające Östanvägen. Niestety, ta ruchoma kamera nie sięgała aż do domu Hansa Juhléna. Lecz, sądząc z kąta obrazu, musiała być umieszczona kilka metrów nad ziemią, może ze trzy, i miała na tyle duży zasięg, że rejestrowała nawet to, co się działo na ulicy. Jakość odbioru była dobra, Ola był też zadowolony z ostrości. Szybko przewinął godziny niedzielnego przedpołudnia. Przeszła kobieta z psem, biały lexus opuścił ulicę, kobieta z psem wróciła.

Gdy zegar na taśmie wskazał 17.30, zwolnił tempo przewijania, aby dokładnie od godziny 18.00 zacząć oglądać nagranie w normalnej prędkości. Pusta ulica wyglądała na zimną i wietrzną. Szara pogoda utrudniała dostrzeżenie ewentualnych ruchów, a oświetlenie z lamp ulicznych pozostawiało wiele do życzenia.

Ola zaczął się zastanawiać, czy można by było wyregulować naświetlenie, żeby wyraźniej widzieć otoczenie, gdy nagle dostrzegł chłopca.

Zatrzymał klatkę. Zegar wskazywał 18.14.

Ponownie nacisnął przycisk na klawiaturze i nagranie ruszyło. Chłopiec szybkim krokiem przeszedł na skos przez ulicę i zniknął z pola widzenia.

Ola jeszcze raz obejrzał sekwencję. Chłopiec miał na sobie ciemną bluzę z kapturem, skrywającym twarz. Szedł z opuszczoną głową, a obie dłonie trzymał w dużej kieszeni na brzuchu.

Ola westchnął. Przeciągnął dłonią po twarzy i włosach. To tylko spieszące dokądś dziecko. Włączył ponownie nagranie, po czym oparł się o krzesło z rękoma splecionymi za głową.

Gdy zegar zatrzymał się na godzinie 20.00, w dalszym ciągu nic się nie pojawiło. Żadnego ruchu. Ani jeden samochód nie przejechał w tym czasie ulicą, nie przeszedł też żaden człowiek. Tylko chłopiec. Właśnie w tym momencie dotarło do Oli, co przed chwilą zobaczył. Chłopca.

Wstał tak szybko, że krzesło z hukiem upadło na podłogę.

— Wyglądasz na bardzo zadowolonego.

Gunnar drgnął, gdy usłyszał głos Anneli Lindgren. Stała w drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Włosy miała ściągnięte w prosty kucyk, co jeszcze bardziej podkreślało jasny błękit jej oczu i wydatne kości policzkowe.

— Tak, właśnie obiecano mi przysłać listy rozmów — wyjaśnił. — Faksem. Wystarczyło trochę podnieść głos.

— I pomyśleć, ile radości może sprawić taka rzecz — odrzekła Anneli.

— Tak, prawda? A ty nie miałaś może właśnie gdzieś iść?

— Owszem, czekam tylko na posiłki. Jest to bardzo duży dom, nie można zajmować się wszystkim samemu.

— Myślałem, że lubisz pracować w pojedynkę.

— Czasem tak, ale na dłuższą metę staje się to męczące. I wtedy dobrze jest mieć kogoś przy boku.

Anneli przekrzywiła głowę.

— Ale nie musicie przecież sprawdzać wszystkiego od nowa, zajmij się tylko tym, co jest interesujące.

— To chyba jasne. Za kogo ty mnie właściwie masz?

Anneli wyprostowała głowę i się podparła.

— À propos — odezwał się Gunnar. — Sprzątałem w komórce i znalazłem kilka twoich rzeczy.

— Sprzątałeś komórkę?

— Tak, a co? — Gunnar wzruszył ramionami. — Musiałem tam trochę poukładać i znalazłem karton z ozdobami. Chcesz je z powrotem?

— Mogę po nie przyjechać w tygodniu.

— Nie, lepiej będzie, jak przyniosę ci je do pracy. A teraz, jeśli pozwolisz, sprawdzę, czy dotarły listy rozmów, jak mi obiecano.

Anneli odwróciła się w stronę drzwi i prawie zderzyła się z rozgorączkowanym Olą Söderströmem, który w tym samym momencie wpadł do biura Gunnara.

— Co się dzieje? — spytał Gunnar.

— Myślę, że coś znalazłem. Chodź!

Gunnar wstał szybko i podążył za Olą. Przyglądał się idącemu przodem o dwadzieścia lat młodszemu koledze, który wielkimi krokami zmierzał do pokoju komputerowego.

Ola był wysoki i szczupły, ze szpiczastym nosem. Miał na sobie džinsy, czerwoną kraciastą koszulę i, jak każdego dnia, czapkę z dzianiny. Bez względu na to, jaką temperaturę wskazywał termometr, czy na dworze było plus czy minus trzydzieści stopni, czapka musiała być. Czasem czerwona, czasem biała, czasem w pasy, czasem w kratkę. Dzisiaj czarna.

Gunnar wiele razy wyrażał swoją opinię na ten temat i prosił, aby Ola unikał noszenia nakrycia głowy w godzinach pracy. Jednak gdy liczba upomnień przekroczyła osiemdziesiąt pięć, poddał się. Przede wszystkim dlatego, że czapka była drobnostką przy niesłychanej biegłości Oli w dziedzinie informatyki.

— Spójrz na to. — Ola wystukał coś na klawiaturze i nagranie ruszyło. Oczom Gunnara ukazał się chłopiec, którego zarejestrowała kamera. — Pojawia się dokładnie o 18.14. Przechodzi na drugą stronę i wydaje się, że zmierza ku ulicy Östanvägen, ku domowi Hansa Juhléna.

Gunnar przyglądał się ruchom chłopca. Były one sztywne, prawie że mechaniczne.

— Pokaż jeszcze raz — poprosił, gdy postać chłopca zniknęła z ekranu.

Ola zrobił to, czego sobie życzył jego szef.

— Zatrzymaj obraz! — rozkazał Gunnar, przybliżając twarz do ekranu. — Możesz powiększyć?

Ola nacisnął Ctrl + Z i ujrzeli postać chłopca o krok bliżej.

— Trzyma ręce w kieszeni. Lecz kieszeń jest zbyt wypukła, musi coś w niej mieć — stwierdził Gunnar.

— Anneli znalazła przecież odciski palców dziecka — powiedział Ola. — Może należą do tego chłopca?

— W jakim może być wieku? — spytał Gunnar.

Ola przyjrzał się postaci chłopca. Mimo iż miał on na sobie bluzę z kapturem, można było dostrzec pod nią kontury ciała. Ale to wzrost przesądził sprawę.

— Powiedziałbym, że osiem, dziewięć lat — odrzekł Ola.

— Wiesz, kto ma syna w wieku ośmiu lat?

— Nie.

— Przyrodni brat Hansa Juhléna.

— Shit.

— Przybliź jeszcze bardziej.

Ola znów powiększył obraz.

Gunnar pochylił się w stronę ekranu. Zmrużył oczy i przyglądał się uwypukleniu na bluzie chłopca.

— Wiem, co ma w kieszeni.

— Co?

— Pistolet.

Henrik Levin i Mia Bolander jechali z Norrköping do Finspång. Milczeli, każde zatopione we własnych myślach.

Henrik zjechał na pobocze, aby odnaleźć na nawigatorze GPS poszukiwany adres. Elektroniczna mapa pokazywała, że brakowało 150 metrów do celu, a głos poinformował go, że ma jechać prosto na następnym rondzie. Zastosował się do poleceń i znalazł się w gęsto zabudowanej dzielnicy mieszkalnej Dunderbacken.

Mia wskazała na wolne miejsce parkingowe obok pojemników na segregację śmieci, w których piętrzyły się papiery i kartony. Ktoś porzucił stare radio przy zielonych kontenerach.

— Więc tak mieszka ten przyrodni brat — powiedziała Mia.

Wysiadła z samochodu, przeciągnęła się i głośno ziewnęła.

— Ej, zobacz, pantery idą grać w bingo — powiedziała, wskazując na trzy starsze panie pomału sunące po chodniku.

— Może po prostu idą do centrum.

— Tak, by pograć w bingo. Nic innego nie robią, no chyba że czasem wpadną na zupę do kościelnej jadłodajni.

Henrik spojrzał z irytacją na koleżankę. Zamknął drzwi samochodu. Mia też, tylko

mocniej.

Na skrawku zieleni między blisko siebie położonymi budynkami nie było wielu ludzi. Dwoje dzieci bawiło się wiaderkiem i łopatką w piaskownicy obok huśtawek. Surowa kwietniowa pogoda zabarwiła ich policzki na czerwono. Tata siedział na pobliskiej ławce, całkowicie pochłonięty telefonem komórkowym. Obok przeszła kobieta w zimowym płaszczu sięgającym kostek, z siatką zakupów w każdej ręce. Pozdrowiła długowłosego mężczyznę, który właśnie odpinał żółty rower marki Monark od stojaka na rowery.

Henrik i Mia przeszli przez podwórze i odnaleźli właściwy budynek. Weszli do klatki numer trzydzieści cztery. W wejściu natknęli się na lekko ubranego mężczyznę. Usunął się na bok i dalej stał w miejscu, huśtając się na podszewkach butów, tak jakby kogoś niecierpliwie wyglądał.

Mia rzuciła okiem na tablicę przy windzie i odszukała nazwisko. Lars Johansson, trzecie piętro. Weszli po schodach i zadzwonili do mieszkania.

Lars otworzył od razu, ubrany tylko w bokserki i wyblakłą koszulkę z emblematem drużyny piłkarskiej IFK Norrköping. Był nieogolony i miał podkrążone oczy. Masował sobie kark, ze zdziwieniem wpatrując się w stojącą przed nim parę policjantów.

— Czy mamy przyjemność z panem Larsem Johanssonem? — spytał Henrik.

— Tak, a o co chodzi?

Henrik przedstawił się, a Mia pokazała odznakę policyjną.

— A ja myślałem, że jesteście z jakiegoś brukowca czy coś. Dziennikarze biegają tu cały cholerny czas. Ale wchodźcie, u licha! Nie jest posprzątane, więc nie zdejmujcie butów. Usiądźcie w pokoju, pójdę tylko włożyć na siebie spodnie. Muszę też pójść się odlać, poczekacie chwilę, co?

Lars wycofał się do łazienki. Henrik spojrział na Mię, która z trudnością powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem. Pokręciła głową i weszła do przedpokoju.

Przez otwarte drzwi do łazienki widzieli Larsa, który wyciągnął parę bawełnianych spodni z kosza na pranie, a potem zamknął drzwi i przekręcił zamek.

— Wejdziemy dalej? — spytał Henrik, robiąc uprzejmy gest w stronę Mii. Ona skinęła głową i skierowała się do pokoju dziennego.

Na lewo znajdowała się kuchnia, w zlewie stały brudne talerze, a obok nich piętrzyły się puste kartony po pizzy. W zlewozmywaku stał zawiązany worek ze śmieciami. Przylegająca do kuchni sypialnia była ciasna, a łóżko niebieskiego koloru niepościelone. Żaluzje były spuszczone, a na podłodze leżały kawałki klocków lego różnej wielkości. Na wprost znajdowała się toaleta, a na lewo pokój dzienny.

Henrik zawahał się, czy usiąść na brązowej kanapie. W rogu leżała kołdra, więc domyślał się, że kanapa służyła też jako miejsce do spania. Pomieszczenie było niewywietrzone.

Usłyszeli hałas spuszczonej wody i Lars wyszedł z łazienki w spodniach za krótkich o pięć centymetrów.

— Usiądźcie. Ja tylko... — Zrzucił poduszkę i kołdrę na pomarańczowy gumolit pokrywający podłogę.

— No już, usiądźcie. Kawy?

Henrik i Mia podziękowali, po czym zajęli miejsca na kanapie, która wydała przy tym świszczący dźwięk ulatującego powietrza. Zapach potu wdarł się do nosa Henrika, od czego zebrało mu się na wymioty. Lars usiadł na stołku z zielonego plastiku i podciągnął spodnie do góry o kolejnych kilka centymetrów.

— Lars — zaczął Henrik.

— Mówcie do mnie Lasse, tak jak wszyscy.

— Okej, Lasse. Przede wszystkim chcieliśmy panu złożyć kondolencje.

— Z powodu brata, tak, cholerna sprawa.

— Bardzo to pana poruszyło?

— Nie, właściwie to nie. Wiecie, nie byliśmy takimi super przyjaciółmi, on i ja. Byliśmy przyrodni braćmi, ze strony matki. Ale przecież nie trzeba się spotykać non stop, tylko dlatego, że jest się krewnymi. Nie trzeba nawet się lubić, jeśli o to chodzi.

— Żyliście w niezgodzie?

— Tak, a właściwie nie, albo, cholera, sam nie wiem.

Lasse zastanawiał się przez chwilę. Uniósł nieco jedną nogę, podrapał się w kroczu przez spodnie, ukazując tym samym dziurę wielkości pięciokoronówki. Potem zaczął opowiadać o relacji z bratem. Że była zła, że w ostatnim roku nie mieli ze sobą żadnego kontaktu. I że była to wina hazardu. Ale teraz już nie grał, ze względu na syna.

— Zawsze mogłem pożyczyć pieniądze od brata, gdy brakowało. Nie chciał, żeby Simon chodził z pustym brzuchem. Wiecie, z socjała nie żyje się tak super, trzeba zapłacić czynsz i takie tam.

Lasse potarł lewe ucho dłonią, a potem kontynuował:

— Ale potem coś się stało. Brat stał się skąpy, zaczął twierdzić, że nie ma pieniędzy. Choć za grosz w to nie wierzyłem. Jak się mieszka w Lindö, to się ma pieniądze.

— Czy wie pan, co się stało?

— Nie, powiedział tylko, że nie może mi więcej pożyczać. Że jego stara tak zarządzała. Ja obiecywałem, że oddam, trochę by to trwało, ale w każdym razie obiecywałem. Nie dostałem jednak żadnych pieniędzy. Co za idiota, skąpy idiota. Mógłby sobie podarować befsztyk jednego wieczoru i dać mi choć ze stówę, no nie? Ja bym tak zrobił, gdybym był na jego miejscu, ma się rozumieć.

Lasse uderzył się w pierś.

— Kłóciliście się o pieniądze?

— Nie, nigdy.

— I nigdy nie groził pan swojemu przyrodniemu bratu?

— Może najwyżej padło jakieś przekleństwo, ale nie groźby.

— Ma pan więc syna — odezwała się Mia.

— Tak, nazywa się Simon.

Lasse pokazał im zdjęcie uśmiechniętego, piegowatego chłopca.

— Choć tu ma pięć lat, a teraz osiem.

— Czy ma pan jakieś lepsze zdjęcie syna, niedawno zrobione? — spytał Henrik.

— Zaraz zobaczę.

Lasse sięgnął w stronę przeszklonej szafy i wyciągnął z niej zabałaganioną szufladę. Kartki papieru, baterie i kable, wszystko leżało jedno na drugim. Był tam też sygnalizator pożaru, plastikowy dinozaur bez głowy oraz papierki po słodyczach. I jedna rękawiczka.

— Nie wiem, czy mam coś dobrego. Zdjęcia, które robią w szkole, są cholernie drogie. Za dwadzieścia zdjęć chcą czterysta patyków, czysta grabież!

Wyrzucał na podłogę kartki, aby lepiej widzieć, co znajduje się w szufladzie.

— Nie, nie mam nic porządnego. Choć może w komórce coś się znajdzie.

Zniknął w kuchni i wrócił ze starodawnym telefonem w ręku. Przystanął i zaczął wciskać klawisze.

Henrik zauważył, że brakowało przycisku przewijania i Lasse był zmuszony używać małego palca, aby dotrzeć do folderu ze zdjęciami.

— Tu jest — powiedział Lasse, podając Henrikowi telefon. Komisarz przyglądał się zdjęciu widocznemu na ekranie.

Fotografie o niskiej rozdzielczości ukazywały dosyć wysokiego i nadal piegowatego chłopca. Jasnorude włosy, łagodne oczy.

Henrik poprosił Lassego o przesłanie dwóch zdjęć na jego telefon za pomocą MMS-a i w ciągu minuty miał już je w swojej galerii obrazów.

— Simon jest teraz w szkole? — spytał Henrik, wkładając telefon do kieszeni spodni.

— Tak — odparł Lasse, siadając z powrotem na stołku.

— Kiedy wróci do domu?

— W tym tygodniu jest u swojej matki.

— Był u pana w ubiegłą niedzielę?

— Tak.

— Gdzie się znajdowaliście między piątą a siódmą po południu?

Lasse przeciągał rękoma po łydkach, na dół i do góry.

— Hmm... Wieczór pokerowy, wiecie jak to jest. Trzeba się zjawić, gdy starzy kumple proszą. Ale to był ostatni raz. Bo przecież ja nie gram, już nie.

MĘŻCZYŻNA Z BLIZNĄ CHODZIŁ w tę i z powrotem i patrzył na nich dzikim wzrokiem. Stali na boso, w rzędzie, na kamiennej podłodze. Okna były zakryte, ale poprzez szpary w deskach, z których zrobione były ściany, wpadały promienie słoneczne.

Usta i policzki bolały dziewczynkę w miejscu, gdzie wcześniej miała przyklejoną srebrną taśmę. Podczas jazdy samochodem trudno jej było oddychać. Gdy potem wepchnięto ich na małą łódkę, zrobiło jej się niedobrze i musiała co rusz połykać wymiociny podchodzące jej do gardła. Kobieta oderwała im taśmy z ust, dopiero gdy znaleźli się w tym dużym pomieszczeniu, swojego rodzaju sali.

Dziewczynka rozglądała się dookoła, nie poruszając głową. Na suficie widniały duże krokwie pokryte pajęczynami. Może to była stajnia? Nie, pomieszczenie wydawało się znacznie większe. Nie było tu też dywanu ani materaca, na którym można by spać, nie mógł to więc być dom. Nic w sali nie przypominało w każdym razie domu, oprócz kamiennej podłogi, rzecz jasna. Dziewczynka też taką miała u siebie w domu. Ale u nich kamienie były zawsze ciepłe, a te tutaj zimne jak lód.

Dziewczynka zadrżała, ale od razu się wyprostowała. Próbowwała stać tak sztywno, jak tylko się dało. Danilo też, wypiął pierś i podniósł głowę. Ale Ester nie, ona tylko płakała. Zakryła rękoma twarz i nie chciała przestać płakać.

Mężczyzna podszedł do niej i coś krzyknął. Nie rozumiała, co mówił, żadne z nich nic nie rozumiało. Dlatego zapłakała jeszcze głośniejsze. Wówczas mężczyzna podniósł rękę i uderzył ją tak mocno, że upadła na ziemię. Skinął na dwóch innych dorosłych, którzy stali przy ścianie. Chwycili Ester za ręce i za nogi, po czym wynieśli ją z pomieszczenia. To był ostatni raz, kiedy dziewczynka ją widziała.

Mężczyzna podszedł pomału ku dziewczynce i pochylił się, tak że jego twarz znalazła się tylko kilka centymetrów od jej twarzy. Wpatrując się w nią lodowatym wzrokiem, powiedział coś po szwedzku, czego dziewczynka nigdy nie zapomniała.

— Nie płacz — powiedział. — Nigdy więcej nie płacz. Nigdy.

SIEDZĄCA W SALI SPOTKAŃ Mia Bolander powstrzymała ziewnięcie. W śledztwie w sprawie morderstwa Hansa Juhléna pojawiło się sporo znaków zapytania, z czego najbardziej konkretny dotyczył chłopca, którego zdjęcie projektor właśnie wyświetlał na ścianie.

Dla Gunnara Öhrna sprawa chłopca była najwyższej wagi. Albo miał on jakiś związek z morderstwem, albo też był najważniejszym świadkiem w śledztwie. Bez względu na to, jaka była prawda, musieli go znaleźć. A to znowu oznaczało chodzenie po domach, tym razem z pytaniem, czy ktoś rozpoznaje chłopca.

Mia cieszyła się, że ma już za sobą służbę jako posterunkowa. Rozmowy z sąsiadami nie stanowiły wielkiego wyzwania, nie było w tym też nic ekscytującego.

Pierwsza ze wszystkich chwyciła największą bułeczkę cynamonową, leżącą na porcelanowej misie pośrodku stołu, i od razu włożyła połowę do ust.

Mia była osobą nastawioną na współzawodnictwo, co w zasadzie było winą jej starszych braci. W dzieciństwie wszystko zależało od tego, kto będzie pierwszy. Bracia, którzy byli pięć i sześć lat starsi od niej, rywalizowali, kto więcej razy podciągnie się na drążku, kto pierwszy będzie w młodzieżowej świetlicy, kto najdłużej wytrzyma bez spania. Mia daremnie walczyła o to, by zaimponować braciom. Nigdy nie pozwolili jej wygrać, nawet w coś tak głupiego jak memory.

Stało się więc dla niej naturalne, że trzeba rywalizować właściwie we wszystkim, i ta chęć współzawodnictwa nie zmalała z upływem lat. A ponieważ została do tego obdarzona dosyć gorącym temperamentem, wiele kolegów i koleżanek ze szkoły godziło się, by stawiała na swoim. Już na etapie nauczania początkowego wiele razy odsyłano ją do domu z powodu kłótni ze starszymi uczniami.

W piątej klasie tak mocno uderzyła kolegę, że aż go zraniła. Wciąż go pamięta, chłopiec w jej wieku z szerokim nosem. Drażnił ją i rzucał w nią kamyczkami podczas lekcji gimnastyki. Był też jedynym, który miał lepszy czas od niej w biegu na sto metrów, a to nie mogło mu ująć płazem. Po lekcji Mia kopnęła go w nogę i wymierzyła prawy prosty, co skończyło się wizytą u szkolnej pielęgniarki, a następnie przewiezieniem do szpitala, gdzie opatrzono mu pęknięcie piszczela. Mia dostała uwagę w dzienniku od dyrektora szkoły, co jednak mało ją obeszło. Na następnej lekcji gimnastyki była najszybsza i tylko to się liczyło.

Mia usiadła po turecku na krześle i zjadła resztę bułeczki. Cukrowa posypka rozsypała się po stole, pozgarniała więc ręką białe cukrowe perełki w mały kopczyk. Następnie pośliniła palec wskazujący i pozjadała perełki jedną po drugiej.

W podstawówce grono jej znajomych nie było zbyt duże. Drugiego dnia siódmej klasy, gdy jej najstarszy brat zginął podczas bójki rywalizujących gangów, postanowiła, że pójdzie pod prąd. Najpierw musiała przeżyć w nieprzyjaznym klimacie przedmieścia, gdzie każdy chciał się wyróżnić, czym tylko się dało.

Piercing, farbowane włosy, włosy krótko ścięte, ogoleni na zero, tatuaże, rany cięte, otwarte rany — nic nie było tam obce. Także dla Mii, która przebiła sobie igłą brew, by pasować do tego ekstremalnego otoczenia. Na zewnątrz wyglądała więc tak jak inni, była jedną z nich. Ale tym, co odróżniało ją od kolegów i koleżanek z klasy, było jej nastawienie. Ona naprawdę chciała coś w życiu osiągnąć. Dzięki swojej przekornej postawie i chęci rywalizacji dotarła do końca dziewiątej klasy szkoły podstawowej. Postanowiła, że nie przegra życia jak jej brat, lecz będzie zwyciężcą.

Mia wzięła jeszcze jedną bułeczkę cynamonową. Potem podała misę Henrikowi, który przecząco pokręcił głową.

Zespół zebrał się na ostatnim spotkaniu dnia. Chłopiec był głównym tematem i już od ponad godziny rozważali jego ewentualny udział w sprawie.

Ola pokazał klatkę z filmu zarejestrowanego przez kamerę. Chłopiec był lekko odwrócony, przechodził przez ulicę. Za pomocą klawiatury Ola wyświetlał zdjęcie za zdjęciem, pomału. Zespół śledził kroki chłopca i ostatnim, co zobaczyli na ekranie, był jego kaptur.

Henrik wyjął swój telefon i popatrzył dla porównania na zdjęcie syna Lassego Johanssona, co rozwiało wszystkie podejrzenia w stosunku do Simona.

— Bratanek Juhléna jest niższy. Poza tym chłopiec z filmu jest mocniejszej budowy albo może bardziej umięśniony — powiedział.

— Mogę zobaczyć? — poprosił Ola, wyciągając rękę po komórkę. Przyjrzał się zdjęciu na ekranie.

— A do tego Simon ma jasnorude włosy. Wydaje mi się, że nasz chłopak jest ciemnowłosy, tak to w każdym razie wygląda — dodał Henrik.

— W takim razie skreślamy Simona. Ale pozostaje pytanie: kim jest ten chłopiec? Musimy go odnaleźć — stwierdził Gunnar i przeszedł do sprawozdania dotyczącego wykazu rozmów. Ola, który zazwyczaj sprawdzał wszystkie dane techniczne, teraz siedział głęboko zapatrzony w film z kamery, więc aby było szybciej, Gunnar sam zajął się przeglądaniem wykazu. Położył teraz na środek stołu plik kopii i poprosił, aby każdy zaopatrzył się w jeden egzemplarz.

Henrik upił łyk kawy i otworzył na pierwszej stronie.

— Ostatnią rozmowę Hansa Juhléna mamy w niedzielę o 18.15, dzwonił do pizzerii Miami. Ola?

Ola wstał i zaznaczył rozmowę na wykresie zdarzeń na ścianie.

— Pizzeria potwierdziła rozmowę i poinformowała nas, że odebrał pizzę o 18.40. Pozostałe połączenia znajdziecie na kolejnej stronie — powiedział Gunnar.

Przewrócili kartkę.

— Nie jest tego wiele — skomentował Henrik.

— Nie, jest raczej mało. Większość od i do żony. Jedna rozmowa z firmą samochodową, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego — odrzekł Gunnar.

— A SMS-y? — spytała Mia.

— I tu nie ma nic szczególnego — wyjaśnił Gunnar.

Mia zamknęła wykaz i rzuciła go na stół, po czym wepchnęła do ust resztę bułeczki.

— Co teraz robimy?

— Wykaz nic nam nie dał, więc musimy odnaleźć chłopca — stwierdził Gunnar.

— Czy wiemy coś więcej o przyrodnim bracie? — spytała Anneli.

— Tylko tyle, że mieszka sam i jest uzależniony od hazardu — odpowiedział Henrik.

— Był karany? — spytała Mia.

Gunnar zaprzeczył.

— Mnie się nie wydaje, by był zamieszany w to morderstwo — powiedziała Mia, usypując na stole nowy kopczyk z perełek cukru. Tym razem jednak strąciła je na podłogę.

— Czy nie możesz użyć kosza na śmieci, jak normalni ludzie? — spytał Henrik.

Mia spojrzała na niego bykiem, westchnęła i spuściła stopy na podłogę. Schyliła się i zaczęła zbierać cukier.

— Skończ z tym teraz — zniecierpliwiał się Gunnar.

— Co? — spytała Mia spod społu.

— Zostaw okruszki i usiądź — powiedział.

— Ale...

— Usiądź.

Mia usiadła na krześle i z przekorą uśmiechnęła się do Henrika. On w odpowiedzi skrzyżował ręce na piersiach.

— A co sądzicie o żonie Hansa Juhléna? — spytał Gunnar.

— Też nie uważam, żeby to była ona — powiedziała Mia przymilnym głosem.

— Zgadzam się z Mią. Czym by się kierowała? Nie mamy zbyt wielu dowodów, żadnych świadków, żadnych śladów — odezwała się Anneli.

— Lasse powiedział nam coś interesującego, a mianowicie, że Hans Juhlén nagle popadł w kłopoty finansowe — odezwał się Henrik. — Jako że otrzymywał listy z pogrózkami, możemy przyjąć, że ktoś miał na niego haka i że to tam szły pieniądze.

— Może miał długi związane z hazardem? — zastanawiała się Mia.

— Możliwe, to mogłoby wyjaśnić, dlaczego był taki zestresowany w ostatnim czasie. Może nie chodziło tylko o krytykę, ale i o te listy.

— Prawda, weźmiemy to za punkt wyjścia. Musimy sprawdzić jego konto. Ola, zajmiesz się tym jutro z samego rana — zarządził Gunnar.

— A komputer? — spytał Ola.

— Najpierw informacje o koncie, potem komputer. To by było na tyle — zakończył spotkanie Gunnar.

Henrik spojrzał na zegarek i zaklął w myślach, gdy zobaczył, że było już wpół do ósmej. Znowu nadgodziny. Prawdopodobnie Emma była już po kolacji, a dzieci spały.

A niech to.

Burczało mu w żołądku i postanowił kupić bagietkę na najbliższej stacji benzynowej. Trudno, mimo wszystko będą węglowodany.

Westchnął i wypił do końca kawę, która zdążyła już ostygnąć.

Henrik starał się przekręcić klucz w zamku tak cicho, jak tylko to było możliwe. Szybko otworzył drzwi, wszedł na korytarz i od razu poszedł do toalety.

Następnie umył dokładnie ręce i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. W ciągu trzech ostatnich dni zarost zwiększył się o kolejnych kilka milimetrów i potrzeba ogolenia się była bardziej nagląca, niż myślał. Prawą ręką przeciągnął po zarosniętym policzku i brodzie. Nie miał ochoty się teraz golić. Może najwyżej przysznic.

Przeczesał ręką brązowe włosy i zauważył jeden siwy na skroni. Od razu go wyrwał i wrzucił do zlewu.

— Cześć.

Emma zajrzała do łazienki. Jej włosy były niedbale upięte w wysoki kok. Miała na sobie czerwony dres i czarne skarpetki.

— Cześć — odpowiedział Henrik.

— Prawie nie słyszałam, jak wszedłeś — powiedziała Emma.

— Nie chciałem zbudzić dzieci.

— Jak minął dzień?

— Okej. A twój?

— Dobrze. Zdążyłam pomalować biurko w korytarzu.

— To dobrze.

— Tak.

— Na biało?

— Na biało.

— Wezmę przysznic.

Emma oparła głowę o futrynę. Kosmyk włosów osunął się na czoło, założyła go więc ręką za ucho.

— Co jest? — spytał Henrik.

— Co?

— Wydaje mi się, jakbyś chciała mi coś powiedzieć.

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Okej.

— W telewizji jest ładny film, położę się w łóżku i będę tam oglądać.

— Zaraz przyjdę, tylko wezmę przysznic.

— I się ogolisz.

— I się ogolę.

Emma uśmiechnęła się i zamknęła drzwi do łazienki.

No tak, pomyślał Henrik, szukając golarki w szufladzie. Więc mimo wszystko będzie dziś golenie.

Piętnaście minut później Henrik przyszedł do sypialni z ręcznikiem zawiniętym dookoła bioder. Emma leżała pochłonięta jakimś znakomitym dramatem, który otrzymał nawet dwa Oscary. Henrik obawiał się, że przyjdzie mu obejrzeć końcówkę tego wyciskającego łzy z oczu filmu. Ku swojemu zadowoleniu zauważył, że pięciolatka wyjątkowo nie było w ich łóżku.

— Felix? — spytał.

— Śpi u siebie. Narysował dla ciebie rysunek z duchem.

— Jeszcze jeden?

— Tak — odpowiedziała Emma, nie odrywając oczu od wiszącego na ścianie telewizora.

Henrik usiadł na brzegu łóżka i rzucił okiem na ciasno splecioną parę na ekranie telewizora. Pomyślał, że skoro Felix był w swoim pokoju, jest możliwość, żeby...

Odłożył ręcznik i wsunął się pod pierzynę. Przywarł do Emmy i położył rękę na jej nagim brzuchu, lecz jej oczy utkwione były cały czas w ekranie. Henrik podparł głowę i zaczął ją głaskać, do góry i na dół, po brzuchu i jeszcze trochę niżej, po udach. Poczul rękę Emmy na swojej i przez chwilę bawili się palcami pod kołdrą.

— Wiesz co... — zaczął.

— Mmm.

— Kochanie...

— Tak?

— Chciałbym cię o coś spytać.

Emma nie odpowiedziała. Wpatrywała się w parę całującą się długo i namiętnie.

— Tak sobie myślałem, że wiesz, chciałbym zacząć ćwiczyć. I pomyślałem sobie... czy mógłbym... chodzić na siłownię dwa wieczory w tygodniu. Po pracy.

Emma drgnęła i po raz pierwszy oderwała wzrok od filmu. Spojrzała na niego zawiedziona.

Henrik oparł się na łokciu.

— Proszę cię, żabko.

Emma uniosła brwi. Potem demonstracyjnie zdjęła rękę Henrika ze swojego brzucha.

— Nie — odpowiedziała krótko i przeszła do śledzenia finału romantycznej historii.

Henrik leżał dalej oparty na łokciu. Potem położył się na plecy, z głową na poduszce. Przeklinał samego siebie. Czy naprawdę musiał w ten sposób to powiedzieć? „Proszę cię” i do tego jeszcze „żabko”? To nie było dobre. Zupełnie idiotyczne. Głupie.

Gapił się przez chwilę w sufit, potem poprawił poduszkę i odwrócił się plecami do Emmy. Westchnął. Do tego dziś też nici z kochania. I to wszystko była jego własna

cholerna wina.

Gdy Jana Berzelius i Per Åström postanowili opuścić knajpkę Durkslaget, zaczął padać śnieg. Per zaproponował kolację, by uczcić postępy prawne w sprawie brudnego rozwodu, i w końcu Jana przystała na propozycję. Gotowanie w pojedynkę nie było jej ulubionym zajęciem, ani też Pera.

— Dziękuję za wspólnie spędzony wieczór — powiedziała, wstając od stołu.

— Chętnie to powtórzę. Jeśli masz ochotę — odpowiedział Per z uśmiechem.

— Nie, nie mam ochoty — odrzekła Jana, nie odwzajemniając uśmiechu.

— To są fałszywe zeznania.

— Wcale nie, drogi panie prokuratorze.

— Nie?

— Nie.

— Czy mam ci przypomnieć, że lubisz przebywać w moim towarzystwie?

— Ani trochę.

— Może drinka, zanim pójdziemy do domu?

— Nie sądzę.

— Miałbym ochotę na coś z ginem. Wezmę to, co zawsze. A ty?

— Nie, dziękuję.

— W takim razie zamówię dwa.

Jana westchnęła, gdy Per poszedł w stronę baru. Niechętnie usiadła i zaczęła przyglądać się płatkom śniegu za oknem. Oparła łokcie na stole i podparła brodę splecionymi rękoma. Spojrzała na Pera rozmawiającego z barmanem.

Napotkała jego wzrok, pomachał jej tak, jak to robią małe dzieci, otwierając i zamykając dłoń. Pokręciła tylko głową i odwróciła wzrok do okna.

Po raz pierwszy spotkała Pera, gdy wprowadziła się do swojego nowego biura w prokuraturze. Jej szef, Torsten Granath, przedstawił ich sobie i Per zaczął grzecznie wypytywać Janę o zwyczaje panujące w prokuraturze. Pytał też o dobre restauracje, o muzykę i o wszystko inne niezwiązane z pracą. Jana odpowiadała krótko. A na niektóre pytania w ogóle nie udzieliła mu odpowiedzi. Per nie przejął się jej brakiem wylewności i kontynuował litanie różnych zbędnych pytań. Jana czuła się jak podczas przesłuchania i oznajmiła, że kończy rozmowę. Potem krótko poinformowała go, że nie lubi paplać o niczym. A on tylko uśmiechnął się do niej głupkowato, i od tamtego dnia ich przyjaźń zaczęła się rozwijać.

Knajpka wypełniła się ludźmi, zrobiło się ciasno od zimowych kurtek, a brązowe kafle na podłodze stały się mokre od śniegu. Głośny szmer rozmów i ciche brzęczenie szklanek. Mało lamp i dużo świeczek.

Jana oderwała wzrok od okna i spojrzała z powrotem na bar, na lustrzaną półkę za barmanem. Zaczęła przyglądać się oferowanym alkoholom, na etykietach odczytywała nazwy takie, jak Glenmorangie, Laphroaig i Ardbeg. Wiedziała, że te trunki należą do klasyków i że produkuje się je w Szkocji. Jej ojciec był zapalonym

miłośnikiem whisky i upierał się, by przy każdym rodzinnym obiedzie spróbować kolejnej bursztynowej odmiany. Jana nie podzielała gustów ojca, ale została nauczona, że nie odmawia się zaoferowanego drinka. Sama wolała kieliszek białego wina, musiało być schłodzone i pochodzić z Bordeaux.

Per wrócił do stolika i Jana podejrzliwie spojrzała na zawartość szklanki, którą postawił przed nią na stole.

— Jak mocne? — spytała.

— Czwórka.

Jana spojrzała bykiem na towarzyszącego jej kawalera.

— Okej, okej, szóstka. Przepraszam.

Przyjęła przeprosiny. Pociągnęła drinka i skrzywiła się z powodu gorzkiego smaku.

Trochę później, gdy opróżnili już kieliszki i Per uparł się, aby zamówić kolejne, rozmowa przekształciła się w przyjacielską sprzeczkę na temat moralności i etyki w świecie prawników. Po przedyskutowaniu różnych historii dotyczących co głośniejszych spraw i wątpliwej famy adwokatów, zeszli na znudzonych ławników.

— Mówiłem o tym już wcześniej i znów to powtórzę, trzeba zmienić system powoływania ławników, aby to były osoby, które rzeczywiście są zainteresowane prawem i sądownictwem — powiedział Per.

— Zgadza się — przytaknęła Jana.

— Średnia wieku wśród ławników to około sześćdziesięciu lat, toż to nedorzecznosc. Potrzebni są czujni ludzie, o lotnym umyśle. To w końcu ich głosy są potem decydujące.

— Jak najbardziej.

— Ostatnio w Sztokholmie dwoje nastolatków zażądało ponownego przeprowadzenia sprawy, ponieważ jeden z ławników uciał sobie drzemkę w sądzie.

— Słyszałam o tym.

— To nie do pomyślenia, że trzeba powtarzać proces tylko dlatego, że jeden z ławników zasnął podczas rozprawy. Musieli go budzić, to doprawdy niesłychane — kontynuował Per.

Zamilkł i pociągnął łyk drinka. Potem przechylił się przez stół i spojrzął na Janę poważnym wzrokiem. Jana odpowiedziała takim samym poważnym spojrzeniem.

— Co? — spytała.

— Jak idzie z morderstwem Hansa Juhléna?

— Wiesz, że nie mogę wyjawiać żadnych informacji.

— Wiem. Ale jak idzie?

— W ogóle nie idzie.

— O co w tym chodzi?

— Słyszałaś, co powiedziałam.

— Nie możesz czegoś opowiedzieć? *Off the record?*

— Daj spokój.

— Czy to jakaś brudna sprawa?

Per uśmiechnął się do Jany, poruszając przy tym znacząco brwiami.

— Z pewnością jest trochę brudna, co? To normalne, gdy zamieszani są szefowie.

Przewróciła oczami i potrząsnęła głową.

— Tłumaczę twoje milczenie jako potwierdzenie.

— Nie możesz tego robić.

— Mogę. Na zdrowie, tak poza tym.

ŚRODA 18 KWIETNIA

TO JOHN HERMANSSON znalazł chłopca.

Miał skończonych siedemdziesiąt osiem lat i był wdowcem od pięciu lat. Mieszkał w Viddviken, w małej wiosce nad brzegiem morza, pięć kilometrów od Arkösundu. Dom był tak naprawdę za duży dla tego samotnego mężczyzny, a jego utrzymanie wymagało zbyt wiele pracy. Ale trzymała go tutaj miłość do pobliskiej natury. Po śmierci żony zaczął mieć problemy ze snem. Budził się coraz częściej nawet o czwartej nad ranem i zamiast leżeć w łóżku, wychodził na długie spacery, bez względu na pogodę. Nawet w tak mroźny poranek jak ten. Dwadzieścia pięć minut po czwartej włożył kalosze, płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł z domu. Słońce dopiero co wstało i oświetlało pokrytą szronem trawę w ogrodzie. Powietrze było wilgotne.

Minął furtkę i postanowił pójść nad morze. Do plaży i skał wychodzących na Bråviken było jedynie kilkaset metrów. John wszedł na wąską, żwirową ścieżkę prowadzącą na plażę. Kamyki trzeszczały pod jego stopami.

John szedł ścieżką, która skręcała w prawo, i po minięciu dwóch dużych świerków znalazł się nad morzem. Woda przypominała taflę lustra, co nie zdarzało się często. Zatoka Bråviken rzadko była spokojna, zazwyczaj fale były tu bardzo wysokie. John wciągnął głęboko powietrze i spojrzał na parę, która wydostała się z jego płuc przy wydechu. Właśnie miał zawracać, gdy jego wzrok przyciągnął przedmiot leżący na skraju plaży. Było to coś srebrnego, połyskiwało w słońcu. Podeszedł bliżej i pochylił się, by lepiej widzieć. Był to pistolet i nosił ślady krwi.

Kawałek dalej trawa była zabarwiona na czerwono. Ale wzrok Johna spoczął na czymś, co znajdowało się jeszcze dalej, pod jednym ze świerków. Chłopiec. Leżał na boku z szeroko otwartymi oczami. Lewe ramię było wykręcone pod dziwnym kątem, a głowa cała we krwi.

Johnowi zrobiło się niedobrze, zaczął ciężko oddychać. Nogi się pod nim ugięły, musiał usiąść na pobliskim kamieniu. Nie mógł się podnieść, siedział tam tak, z ręką na ustach, wpatrując się w martwego chłopca.

I wiedział, że ten straszny widok pozostanie już w jego pamięci na zawsze.

Zgłoszenie wpłynęło na policję w Norrköping o godzinie 5.02.

Pół godziny później dwa samochody policyjne skręciły na żwirową drogę w Viddviken, a po upływie kolejnych pięciu minut przyjechała karetka do Johna Hermanssona, który cały czas siedział na kamieniu niedaleko morza. Poślaniec roznoszący poranne gazety zwrócił uwagę na starszego mężczyznę i podeszedł, by spytać, jak się czuje. Mężczyzna wskazał wówczas na martwego chłopca, a potem zaczął się kołysać do przodu i do tyłu, wydając z siebie tylko dziwne, bełkotliwe

dźwięki.

Tuż po godzinie szóstej jeszcze jeden samochód policyjny skręcił na zwirową drogę.

Przodem szybkim krokiem szedł Gunnar Öhrn, a zaraz za nim podążali Henrik Levin i Mia Bolander. Anneli Lindgren nadeszła tuż po nich, z torbą z narzędziami potrzebnymi do badań kryminalistycznych miejsca zdarzenia.

— Zastrzelony — stwierdziła, wciągając gumowe rękawiczki.

Chłopiec wpatrywał się w nią martwymi oczami, usta miał suche i popękane. Obszerna bluza z kapturem była brudna i poplamiona krwią. Bez słowa wyjęła telefon i zadzwoniła do lekarza sądowego Björna Ahlmanna.

Odebrał po drugim sygnale.

— Tak?

— Masz robotę.

To było nieuniknione. Telegram szwedzkiej agencji prasowej TT z wiadomością o znalezieniu w Norrköping zamordowanego chłopca dotarł niesłychanie szybko do wszystkich mediów w Szwecji i rzeczniczka prasowa policji otrzymała mnóstwo telefonów od dziennikarzy, którzy chcieli dowiedzieć się więcej o morderstwie. Jako że zamordowano nieletniego, cały kraj był poruszony i w porannych programach telewizyjnych wypowiadali się na ten temat różni eksperci z dziedziny kryminalistyki. Ponieważ niedaleko miejsca zdarzenia odnaleziono też broń niebędącą narzędziem zbrodni, wiele osób uznało, że chłopiec należał do jakiejś organizacji przestępczej, co dało zarzewie dyskusjom o szerzącej się wśród młodzieży przemocy i jej konsekwencjach.

Gdy zadzwonił telefon z informacją o chłopcu, Jana Berzelius spała. Wstała z łóżka i postanowiła wziąć chłodny prysznic. Ponieważ miała kaca, chętnie zostałaby w łóżku całe przedpołudnie. To wszystko była wina Pera. Trzy giny z tonikiem to więcej, niż była w stanie znieść. A do tego wcześniej wypili na spółkę butelkę wina do kolacji i zaniedbali zasadę picia szklanki wody na przemian z winem.

Po orzeźwiający prysznicu wzięła tabletkę przeciwbólową i pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku, wyciągnięta na łóżku z mokrymi włosami. Policzyła do dziesięciu, potem ubrała się, umyła zęby i wyszukała opakowanie gum do żucia o miętowym smaku. Dopiero wtedy była gotowa na spotkanie w komendzie.

— Nie zdradzajcie żadnych szczegółów. Nic nikomu nie mówcie. Nie wiem, jak prasa potrafi do wszystkiego dotrzeć, ale jakoś im się zawsze udaje. Więc bądźcie cicho.

Gunnar Öhrn był poważny. Wygląda na prawdziwie poruszonego, myślała Jana Berzelius, przesuając w ustach gumę do żucia.

— Jesteśmy tu, aby rozeznać się w sytuacji po znalezieniu martwego chłopca w Viddviken dzisiaj rano.

Gunnar za pomocą magnesu przyczepił do białej tablicy zdjęcie i kontynuował:

— Anneli, która ciągle jest na miejscu zdarzenia, powiedziała, że został zastrzelony i że śmierć nastąpiła między godziną 19.00 a 23.00 w niedzielę. Według niej połamana roślinność wskazuje na to, że chłopiec był w ruchu, a z obrażeń wynika, że został zastrzelony od tyłu.

Gunnar wypił łyk wody i odchrząknął.

— W chwili obecnej nie wiemy, czy wobec ofiary została użyta przemoc albo czy była wykorzystana seksualnie. Dowiemy się tego z sekcji zwłok, lekarz sądowy obiecał nam dostarczyć protokół jak najszybciej, mamy nadzieję, że już jutro. Ubrania zostały wysłane do zbadania.

Wstał z miejsca.

— Przechesujemy okolicę i jak na razie nie znaleźliśmy ani odcisków butów, ani nic innego należącego do sprawcy. W obecnej sytuacji jesteśmy pewni jedynie tego, że chłopiec z Viddviken jest tym chłopcem, którego zarejestrowała kamera na Östanvägen.

— A narzędzie zbrodni? — spytał Henrik.

— Na razie nie wiadomo. Został zastrzelony, ale nie wiemy z jakiej broni. Jesteśmy za to zupełnie pewni, że leżący koło chłopca pistolet to Glock, a Hans Juhlén został zabity...

— ...z Glocka — dokończył Henrik.

— Tak jest. Numer seryjny jest nieznany, wysłałem pistolet do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego, które porówna wyłobienia na nabojach. Jeśli te, które zabiły Hansa Juhléna, będą pasowały do znajdujących się w pistolecie, możemy podejrzewać, że chłopiec jest zamieszany w morderstwo. Zdjęliśmy również jego odciski palców.

— I co? — spytała Mia.

— Pasowały. Odciski palców znalezione w domu Hansa Juhléna pochodzą od chłopca — wyjaśnił Gunnar.

— Więc tam był — stwierdziła Mia.

— Tak. I oczywiście nasuwa się myśl, że to on...

— ...jest mordercą.

Jana niewyraźnie wymówiła te dwa słowa i poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa przeszedł ją dreszcz. Zdziwiła się swoją reakcją.

— ...jest mordercą, właśnie — powtórzył Gunnar.

— Ale, do cholery, dzieciaki nie mordują. Nie w ten sposób. A już w ogóle nie tutaj, w Norrköping, w Lindö. Wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, by on mógł to zrobić — powiedziała Mia.

— Być może. Ale w tym momencie wszystko wskazuje na niego.

— Ale jaki miałby motyw? — spytał Henrik. — W jakim celu ośmiolatek wysyłałby listy z pogrozkami do szefa urzędu imigracyjnego i potem go zamordował?

— To, czy chłopiec jest mordercą czy też nie, pozostaje do wyjaśnienia. Musimy

też odnaleźć tego, kto zastrzelił chłopca — powiedział Gunnar.

— Lecz kim jest ten chłopiec?

— Tego jeszcze nie wiemy. Nie wiemy też, dlaczego znajdował się w Viddviken i jak tam się dostał. W każdym razie nie leżał w wodzie, tyle wiemy. Wiemy też, że poruszał się od strony morza w stronę lądu — wyjaśnił Gunnar.

— Uciekał przed kimś — stwierdził Henrik.

— Na to wygląda — przytaknął Gunnar.

— Czy nie było śladów opon samochodowych? — spytał Henrik.

— Nie. Na razie nic nie znaleźliśmy — odrzekł Gunnar.

— Więc przyplłynął łódką i morderca też musiał się na niej znajdować — wydedukował Henrik.

— Choć nie wykluczamy, że dostał się tam samochodem albo innym środkiem transportu — powiedział Gunnar.

— Świadców? — spytała Mia.

— Zero. Ale sprawdzamy całe wybrzeże, od Viddviken po Arkösund.

— Lecz kim ten chłopiec jest? — odezwał się ponownie Henrik.

Gunnar wziął głęboki oddech.

— Z tego, co nam wiadomo, nie figuruje w żadnej z naszych kartotek, ale chciałbym, Mio, żebyś dokładnie przyjrzała się wszystkim wypadkom zaginięć dzieci. Sprawdź zarówno nowe, jak i zamknięte sprawy, nawet przedawnione. Weź zdjęcie chłopca i porozmawiaj z opieką społeczną, sprawdź szkoły i świetlice. Może będziemy musieli też poprosić o pomoc ludzi — powiedział Gunnar.

— Przez media? — zainteresował się Henrik.

— Tak, chociaż wolałbym tego uniknąć. Bo się wtedy zrobi... jak to powiedzieć... rozgardiasz.

Gunnar podszedł do mapy wiszącej na ścianie i wskazał na miejsce zdarzenia.

— Tutaj znaleziono ciało. Szukamy więc łódki albo pojazdu, który znajdowałyby się w okolicy Viddviken między godziną 19.00 a 23.00.

Przeciagnął ręką w górę mapy.

— Jedna z jednostek zajmuje się zbieraniem wywiadu od mieszkańców, a patrol z psem przeczesuje najbliższą okolicę.

— Co robimy z Kerstin? — spytała Jana. — Jeśli nie dacie mi żadnego dowodu, jutro rano muszę ją wypuścić.

— Może ona wie, kim jest chłopiec? — spytała Mia.

— Musimy też porozmawiać z nią o sytuacji finansowej Hansa — powiedział Gunnar. — Ola, ty zajmiesz się danymi z kont bankowych. Rachunek bieżący, oszczędnościowy, akcje, fundusze i co tam tylko jest możliwe. Sprawdź wszystko.

Ola skinął w odpowiedzi.

— Henrik, przesłuchaj Kerstin. Jeszcze z nią nie skończyliśmy. Jeszcze nie — powiedział Gunnar.

BOLAŁO. WIEDZIAŁA, ŻE BĘDZIE BOLAŁO. Słyszała przez ściany. Ale nie wiedziała, że będzie bolało aż tak bardzo.

Jeden z dorosłych kazał jej iść z sobą do ciemnej komórki. Tam związał jej ręce za plecami i przegiął głowę do przodu. Oстрыm kawałkiem szkła wyrył jej na karku nowe imię. Kera. Odtąd tak się nazywała, stała się Kerą i na zawsze miała nią pozostać. Mężczyzna z brzydką blizną zrobił jej zastrzyk w ramię, mówiąc przy tym, że teraz już nigdy nic jej się nie może stać. Jednocześnie z uczuciem spokoju, które rozchodziło się po ciele, wzrastała także jej wewnętrzna moc. Nie czuła strachu. Czuła się silna. Niepokonana. Nieśmiertelna.

Dorośli zostawili ją w komórce ze związanymi rękoma, aby nie dotykała rany, zanim się nie zagoi. Gdy ją w końcu wypuścili, czuła się słaba, było jej zimno i straciła apetyt.

Dziewczynka próbowała zobaczyć litery w lustrze, ale nie dawała rady. Uniósła rękę do karku. Zapieкло, skóra nadal była opuchnięta. Utworzył się strup i nie mogła się powstrzymać, żeby go nie skubać, a wtedy rana zaczęła krwawić. Zdenerwowała się na siebie i próbowała zatrzymać krwawienie rękawem sweterka. Ale czerwone plamy powiększały się za każdym razem, gdy przykładała materiał do karku.

Spojrzała na rękaw. Plamy były duże, odkręciła więc kran i próbowała zmyć krew. Ale to nie pomogło, było jeszcze gorzej. Teraz rękaw był nie tylko zakrwawiony, ale i mokry. No tak.

Oparła się o ścianę i spojrzała w górę na sufit. Okrągła lampa dawała słabe światło, w kloszu leżały martwe muchy. Jaką dostanie karę? Nie miała dotykać karku. Mówili to przecież. Rana powinna się zupełnie zagoić, bo gdy się będzie jej dotykać, zrobi się brzydka.

Osunęła się na ziemię z plecami opartymi o ścianę. Przerwa prawie się skończyła, musiała opuścić toaletę. Jak długo znajdowała się na wyspie? Miesiąc? Może dłużej. W każdym razie z drzew opadły wszystkie liście. Uważała, że złotobrzazowe liście były takie piękne. U siebie w kraju nigdy nie widziała drzew, które w ten sposób zmieniałyby kolory. Za każdym razem, gdy stała na baczność na podwórzu, miała ochotę rzucić się w złote sterty liści. Ale nigdy nie mogła tego zrobić. Musiała się tylko bić. Cały czas. Z wątłym Minosem. Nawet z Danilem. Był on większy i lepiej zbudowany, dlatego nie była dla niego przeciwnikiem. Nie chciał jej bić, ale był zmuszany. Gdy się nie biło, dostawało się lanie, potężne lanie, więc Danilo bił. Najpierw próbował być ostrożny, popchnął i uderzył w policzek. Ale wtedy mężczyzna z brzydką blizną podniósł go do góry za włosy, aż mu ich trochę wyrwał.

Próbowała się bronić, atakowała Danila kopniakami i uderzeniami, ale to nie pomagało. W końcu Danilo uderzył ją tak mocno w usta pięścią, że pękły jej wargi. Były opuchnięte przez trzy dni. Potem nadszedł czas na kolejną walkę, przeciw

innemu chłopcu, młodszemu od dziewczynki. Gdy specjalnie wymierzył cios w spuchniętą wargę, oszalała ze złości i tak mocno szarpnęła go za ucho, że upadł na ziemię. A ona cały czas kopała go i biła, aż mężczyzna z blizną musiał wkroczyć między nich. Uśmiechał się. Potem wskazał na swoje oczy, szyję i krocze.

— Oczy, szyja, krocze — powiedział. — Nic innego.

Dziewczynka usłyszała dzwonek. Czas na kolejną lekcję.

Wycisnęła mokry rękaw tak mocno, jak tylko potrafiła. Woda kapiała na podłogę, tworząc małą kałużę. Urwała kawałek papieru i wytarła wodę. Potem wstała i spuściła papier w brudnym klozecie.

Podwinęła lekko rękaw, by ukryć plamy krwi, potem otworzyła drzwi toalety i wyszła.

ADWOKAT PETER RAMSTEDT zenerwował się telefonem Henrika Levina. Dyszał do słuchawki, głos miał ostry i nieprzyjemny. Dwa razy powtórzył, że absolutnie nie ma czasu na uczestniczenie w kolejnym przesłuchaniu Kerstin Juhlén, a już na pewno nie wtedy, kiedy zaproponował komisarz.

— Ponieważ mojej klientce zależy, abym towarzyszył jej przy przesłuchaniu, a ja w tym momencie znajduję się w sądzie, pasowałoby lepiej, gdybyśmy spotkali się dziś wieczorem albo jutro przed południem — powiedział Peter.

— Nie — odparł krótko Henrik.

— Słucham?

— Nie — powtórzył Henrik. — Nie pasuje ani dziś wieczorem, ani jutro. Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, lecz prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i chcemy rozmawiać z Kerstin Juhlén teraz.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Po chwili znów dało się słyszeć głos adwokata. Mówił bardzo wolno, cedząc słowa:

— A ja nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że jako prawnik muszę być obecny podczas przesłuchania.

— Dobrze, w takim razie widzimy się o jedenastej.

Henrik zakończył rozmowę.

Za dwie minuty jedenasta adwokat Peter Ramstedt wkroczył do sali przesłuchań. Był cały czerwony. Umyślnie z hałasem postawił aktówkę na podłodze i zajął miejsce obok Kerstin Juhlén. Uśmiechnął się przesadnie uprzejmie do Henrika i Jany, po czym włożył komórkę do kieszeni prążkowanej marynarki.

Rozpoczęto przesłuchanie.

Henrik zabrał głos i od razu spytał o sytuację finansową Hansa Juhléna. Kerstin dość chętnie odpowiadała na pytania. Ale gdy doszedł do szczegółów, stała się oszczędniejsza w słowach.

— Jak już mówiłam, nie miałam dostępu do konta męża, dlatego nie wiem, jakie jest saldo — powiedziała.

Dodała przy tym, że jego pensja wpływała na ich wspólne konto oszczędnościowe i stamtąd odciągane były pieniądze na kredyt mieszkaniowy i inne stałe wydatki. Hans wziął na siebie odpowiedzialność za finanse ich obojga i to z jego pieniędzy się utrzymywali.

— To on się wszystkim zajmował — powiedziała Kerstin.

— Z tego, co rozumiem, dobrze się wam powodziło finansowo? — spytał Henrik.

— Tak, bardzo dobrze.

— Ale Hans był oszczędny?

— Tak, to prawda.

— Czy to dlatego nie chciał pomagać finansowo swojemu bratu?

— Lasse tak powiedział? Że nie dostawał pieniędzy? — Głos Kerstin zmienił się, mówiła teraz głośniej.

Henrik nie odpowiedział. Spojrzał na jasnoróżowy T-shirt, który miała na sobie kobieta. Szew okrągłego dekoltu rozciągnął się, a z jednego rękawa zwisała nitka. Naszła go nieopisana ochota, by przechylić się przez stół i urwać ją. Jak taka nitka mogła umknąć jej uwagi, zastanawiał się. Niemożliwe było przeoczyć coś takiego, po prostu nie można było tego nie zauważyć.

— Pewnie, że dostał pieniądze — powiedziała Kerstin. — Dostał o wiele za dużo pieniędzy. Hans chciał mu pomóc, ale Lasse roztrwaniał wszystko na hazard. Hans chciał, aby Simonowi nic nie brakowało, i w końcu zaczął przelewać pieniądze na konto chłopca. Ale ponieważ Lasse był jego pełnomocnikiem, wyjął pieniądze i przegrał wszystko na gonitwach konnych, co do korony. To oczywiste, że mój mąż się zdenerwował i przestał pomagać im finansowo. Może nie było to sprawiedliwe w stosunku do chłopca, ale co innego mógł zrobić?

— Według Lassego to pani wstrzymała wypłaty — powiedział Henrik.

— Nie, Lasse myli się w tej kwestii.

Kerstin uniosła kciuk do ust i zaczęła obgryzać poszarpany paznokieć.

— Ostatnio nie dostawał więc żadnych pieniędzy? — spytał Henrik.

— Nie, od roku.

Henrik się zastanawiał. Przeciągnął ręką po brodzie i stwierdził, że nadal była gładka po wczorajszym goleniu. Następnie spojrzał na Kerstin. I na wiszącą nitkę.

— Przejrzymy wasze konta bankowe — powiedział.

— Dlaczego?

Kerstin spojrzała na Henrika i zaczęła obgryzać inny paznokieć.

— By sprawdzić, czy pani zeznania się zgadzają.

— Musicie mieć zezwolenie — odezwał się Peter, przechylając się przez stół.

— Już jest gotowe — ucięła Jana, pokazując upoważnienie podpisane jej nazwiskiem.

Peter parsknął głośno, oparł się i położył rękę na ramieniu Kerstin. Ta spojrzała na niego i Henrik zauważył u niej nerwowe drganie lewej powieki.

— Więc dobrze — powiedział Henrik. — Mam jeszcze jedno ważne pytanie. Dziś rano został znaleziony martwy chłopiec. Tu jest jego zdjęcie.

Położył na stole przed Kerstin dwa zdjęcia o dużej rozdzielczości, jedno z miejsca znalezienia, a drugie z filmu zarejestrowanego przez kamerę.

Kobieta szybko rzuciła wzrokiem na zdjęcia i przejechała ręką po udzie, by wytrzeć poobgryzane paznokcie ze śliny.

— Musimy znaleźć tego, kto zamordował pani męża, i zaręczam, że to zrobimy. Na razie nie mamy innych podejrzanych oprócz pani. Więc jeśli chce pani stąd wyjść, musi pani spróbować się zastanowić, czy widziała tego chłopca w pobliżu waszego

domu — powiedział Henrik.

Kerstin zastanawiała się przez chwilę.

— Nigdy wcześniej go nie widziałam — powiedziała. — Przysięgam, nigdy go nie widziałam. Nigdy!

— Na pewno?

— Z całą pewnością.

Ból głowy zelżał. Mimo to Jana Berzelius wzięła jeszcze jedną tabletkę przeciwbólową i popiła ją dużym łykiem wody. Przez dłuższą chwilę nie zakręcała kranu, aby woda była naprawdę zimna. Nie ma nic gorszego od letniej wody i dlatego rozważyła zakupienie maszyny lodowej do kącika kuchennego w prokuraturze. Choć nie miała pojęcia, gdzie można by ją umieścić. Przestrzeń była ograniczona, a automat do kawy zajmował jedną czwartą powierzchni. Była tam też zmywarka o szerokości czterdziestu pięciu centymetrów, obok której umieszczono sięgającą do pasa lodówkę. Obie z nierdzewnej stali, tej samej marki.

Jana wzięła jeszcze jeden łyk wody i postawiła szklanekę obok zlewu. Miała sporo pracy. Musiała odpowiedzieć na mejle i telefony. Dwa pozwy wciąż czekały na zatwierdzenie, a Yvonne wręczyła jej kolejne trzy.

Do kuchni wszedł Torsten Granath, spieszenie podszedł do półki na ścianie i zdjął z niej porcelanową filiżankę.

— Dużo pracy? — spytała Jana.

— A czy kiedyś było tu inaczej?

Torsten obrócił się, by ustawić filiżankę w automacie do kawy, ale w pośpiechu wyslizgnęła mu się i poszybowała na podłogę. Jana zareagowała błyskawicznie, łapiąc filiżankę w locie.

— Ładny chwyt.

Jana bez słowa wręczyła filiżankę szefowi.

— Czy to tego uczą w elitarnych szkołach, takich jak ta twoja Lundsberg?

Jana milczała. Torsten, przyzwyczajony do jej małomówności, umieścił filiżankę, tym razem ostrożnie, w ekspresie do kawy.

Wybrał świeżo parzoną kawę, ale automat nie odpowiedział.

— Co jest z tym automatem?

— Jest nowy.

Spróbował ponownie, i jeszcze raz. W końcu zmienił na espresso.

— Jak się nawet nie potrafi wydostać od automatu kubka zwyczajnej kawy, to może czas na zbieranie manatków.

— Albo przynajmniej na zmniejszenie tempa — odrzekła Jana.

— Nie, na to nie mam czasu. A tak przy okazji, jak idzie ze sprawą Hansa Juhléna?

Jana wzięła do ręki zaparowaną szklanekę, po czym wylała jej zawartość do zlewu, otworzyła zmywarkę i umieściła ją na najwyższej półce.

— Jutro muszę wypuścić jego żonę — powiedziała. — Nie mam nic, co

wskazywałyoby na jej związek z morderstwem. Peter Ramstedt się ucieszy.

— Co to jest za człowiek! Traktuje prawo wyłącznie jako biznes!

— A kobiety jako zapłatę.

Torsten uśmiechnął się szeroko do Jany.

— Wierzę w ciebie — powiedział.

— Wiem.

Jana wiedziała, że mówił to szczerze. Wierzył w nią od pierwszego dnia, gdy przekroczyła próg prokuratury. Dzięki fantastycznej opinii, jaką wyrobiła sobie w okresie próbnym, mimo olbrzymiej konkurencji otrzymała bardzo atrakcyjne stanowisko prokuratora w Norrköping. To, że była córką prokuratora generalnego Karla Berzeliusa, pewnie również nieco ułatwiło sprawę. Karl Berzelius miał dobre układy w administracji publicznej, a w szczególności w szwedzkich sądach.

Jednak przez studia przygotowujące przeszła na własną rękę. Skończyła prawo z najwyższymi ocenami na prestiżowym uniwersytecie w Uppsali i jej ojciec był dumny, gdy się obroniła. A może tylko zadowolony. Sama nie wiedziała, bo nie było go na miejscu. Była za to Margaretha, która przekazała wiadomość córce.

— Twój ojciec przesyła ci pozdrowienia i gratulacje — powiedziała, podając Janie bukiet bordowych goździków. Było też poklepanie po ramieniu. No i uśmiech, który wyjaśniał, że to musi wystarczyć.

Nie podlegało żadnej dyskusji, że Jana miała pójść w ślady ojca. Wybranie innego zawodu w ogóle nie wchodziło w rachubę, słyszała o tym od dzieciństwa. Dlatego też miała nadzieję, że Karl osobiście jej pogratuluje. Ale tego nie zrobił.

Jana podrapała się po karku i skrzyżowała ręce na piersi. Spojrzała na Torstena, który ciągle się uśmiechał, i zaczęła się zastanawiać, czy dzwonił do niego jej ojciec. Karl Berzelius od dwóch lat był na emeryturze, ale to nie powstrzymało go od angażowania się w szwedzki system prawny. A już na pewno, jeśli dotyczyło to spraw prowadzonych przez jego córkę: dwa razy w miesiącu omawiał pracę Jany z jej przełożonym, a Torsten nie potrafił się temu sprzeciwić. Jana też nie.

Taki był Karl.

Zdecydowany.

Uśmiech zniknął z twarzy Torstena. Wyjął filiżankę z kawą z automatu i oparzył się, gdy tylko dotknął wargami gorącego napoju. Skrzywił się i cicho zaklął.

— Nie, muszę lecieć. Mam wizytę u weterynarza o czwartej. Żona martwi się o Luddego, ostatnio zbyt często zdarzało mu się wypróżniać w domu. Same problemy z takimi mopsami. Dziękuję za złapanie filiżanki, zaoszczędziłaś nam wydatku.

Mrugnął do Jany i zniknął w drzwiach.

Jana stała oparta o granitowy blat, spoglądając za szefem.

— Nie ma za co — powiedziała cicho do siebie.

Wyciąg z konta państwa Juhlénów miał pięćdziesiąt sześć stron. Urzędnicy bankowi byli bardzo chętni do pomocy i Ola Söderström dziękował im trzy razy z rzędu.

Teraz szybko przeglądał informacje o prywatnym koncie Hansa Juhléna. Każdego dwudziestego piątego dnia miesiąca przychodził przelew z urzędu imigracyjnego w wysokości siedemdziesięciu siedmiu tysięcy koron. Ola zagwizdał, gdy zobaczył tę okazałą sumę, o tyle wyższą od jego trzydziestu trzech tysięcy.

Dwa dni później, dwudziestego siódmego każdego miesiąca, z konta wychodził przelew w wysokości prawie całej pensji Hansa Juhléna. Pozostawało tylko tysiąc pięćset koron, i tak było od ostatnich dziesięciu miesięcy.

Dopiero gdy doszedł do wspólnego konta oszczędnościowego małżonków, zrozumiał, że coś jest nie tak. To tam trafiały pieniądze z konta Hansa Juhléna i w tym nie było jeszcze nic dziwnego. Zwracały zaś na siebie uwagę duże pobrania gotówki, opiewające na czterdzieści tysięcy koron, zawsze tego samego dnia i w tym samym oddziale banku.

Zawsze dwudziestego ósmego. Zawsze w Swedbanku. I zawsze pod adresem Lidaleden 8.

Wiadomość o dużych pobraniach pieniędzy dotarła do Henrika Levina w windzie komendy policji. Zasięg był tu słaby i Henrik musiał się skupić, by usłyszeć, co mówi Ola. Oparł się o szarą ścianę windy i przechylił głowę, aby trzymać telefon jak najwyżej. Gdy i to nie pomogło, stanął tuż przy drzwiach. Tam zasięg był nieco lepszy, ale mimo to Henrik aż zacisnął powieki, by zrozumieć, co próbował mu powiedzieć Ola. W końcu dotarła do niego ta informacja.

— Więc z ich wspólnego konta wyjmowano co miesiąc czterdzieści tysięcy? — spytał, wychodząc z windy.

— Tak, zawsze tego samego dnia, przez dziesięć miesięcy — potwierdził Ola. — Pozostaje pytanie, do czego były potrzebne te pieniądze. By zapłacić nadawcy listów z pogrózkami?

— Musimy się tego dowiedzieć.

Henrik rozłączył się i ruszył w stronę wyjścia, dzwoniąc jednocześnie do Mii z pytaniem, czy chciałyby wybrać się z nim do banku w Hageby.

— Płacił czterdzieści tysięcy miesięcznie? Nieprawdopodobne!

— Jedziesz ze mną do Hageby czy nie?

— Nie, mam za sobą dopiero połowę roboty — wyjaśniła Mia i dodała, że przejrzenie wszystkich spraw zaginionych dzieci zajęło jej dużo czasu.

Kontakt z pomocą społeczną nie przyniósł rezultatu i jak dotychczas ani mieszkańcy obozów dla uchodźców, ani żaden z nauczycieli miejskich szkół podstawowych nie rozpoznał chłopca. Jeśli nikt nie rozpozna go do końca dnia, Mia będzie zmuszona rozszerzyć zakres poszukiwań i zwrócić się do pobliskich gmin.

— Ale może być i tak, że ten chłopiec nie posiadał dokumentów. Że pochodzi z innego kraju i znalazł się tutaj bez kontaktowania się z urzędem imigracyjnym — powiedziała Mia.

— No tak, choć jakiś kontakt z tym urzędem musiał mieć, jako że był u Hansa

Juhléna w domu — powiedział Henrik.

— To prawda — przyznała Mia.

Henrik wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę samochodu. Otworzył go, cały czas z telefonem przy uchu.

— ...albo po prostu rodzice nie wiedzą o jego zaginięciu. Może nie czytają gazet i myślą, że syn jest u kolegi, krewnych albo u kogoś jeszcze — kontynuowała Mia.

— To prawda, choć uważam, że większość rodziców wie, gdzie znajduje się ich dziecko, i zadzwoniłoby na policję, gdyby nie wróciło do domu na czas. Czy ty byś tak nie zrobiła? — spytał Henrik, zatrzymując się na czerwonym świetle przed przejściem dla pieszych.

Przez ulicę przeszła mama z dwojgiem małych dzieci, które stawiały wielkie kroki, aby nie dotknąć asfaltu pomiędzy pasami. Niebieskie pompony u ich czapek podskakiwały przy każdym kroku.

— Tak, ja z pewnością tak bym zrobiła, ale nie wszyscy rodzice zachowują się podobnie.

— To prawda.

— W każdym razie możemy mieć nadzieję, że wpłynie do nas zgłoszenie o zaginięciu chłopca. Miło by było dowiedzieć się, kto to taki.

— A może wizyta w którejś z pozostałych szkół przyniesie jakieś rezultaty.

Henrik zakończył rozmowę, odłożył komórkę do przegródki przy dźwigni zmiany biegów i wyjrzał przez okno. Mama z dziećmi przeszła przez ulicę i zniknęła za rogiem domu.

Henrik przejechał dłonią po kierownicy i westchnął. Myślał o martwym chłopcu. Dziwne, że nadal nikt go nie szukał. A jeszcze dziwniejsze było to, że odciski palców chłopca odnaleziono w domu Hansa Juhléna. Czy mieli do czynienia z pedofilią? Czy był to żądny zemsty chłopiec, który chciał zabić swojego agresora? Myśl ta nie była absurdalna, lecz tak odpychająca, że Henrik natychmiast ją porzucił.

Ruch na ulicy Kungsgatan był duży, dlatego jechał pomału, obok rynku Skvallertorget aż do parku miejskiego. Na rondzie wybrał trzeci zjazd i kontynuował jazdę po Södra Promenaden. Gdy wyjechał na drogę E22, ruch zelżał i po paru kilometrach zjechał w stronę Galerii Mirum.

Duży, kryty parking był zupełnie pusty i gdy wysiadł z samochodu, jego kroki odbijały się echem od betonowych płyt.

Henrik wszedł do mocno oświetlonego oddziału Swedbanku na dziesięć minut przed jego zamknięciem. Trzech interesantów z numerkami w dłoniach czekało na załatwienie swoich spraw. Klientów obsługiwał młodo wyglądający urzędnik, z zaczesanymi do tyłu włosami; reszta kas była zamknięta.

Henrik pokazał odznakę policyjną. Obiecano mu pomoc, jeśli tylko będzie mógł poczekać dziesięć minut, które pozostały do zakończenia dnia pracy.

Usiadł w jajowatym fotelu i zaczął przysłuchiwać się reklamie zapraszającej do

sklepu H&M na drugim piętrze galerii. Przyglądał się przy tym przechodzącym obok osobom.

— Dobrze więc, panie komisarzu. Proszę pójść za mną.

Urzędnik skinął ręką w stronę Henrika i wskazał mu drogę za kasami. Zajęli miejsca przy podłużnym stole w niewielkiej sali spotkań.

Dyrektor oddziału, niska kobieta około pięćdziesiątki w bluzce w czerwone róże, weszła do pokoju, aby towarzyszyć przy rozmowie.

Henrik wyjaśnił powód wizyty.

— Dziękuję, że zjawił się pan u nas osobiście. Jak pan wie, obowiązuje nas tajemnica służbowa. Rozmawiałam dziś z pana kolegą — powiedziała kobieta.

— Z Olą?

— Tak, z Olą. Przekazaliśmy mu wszystkie dane na temat konta państwa Juhlén.

— Wiem. Zauważyliśmy, że Hans Juhlén wyjmował czterdzieści tysięcy koron każdego miesiąca, tutaj, w państwa banku, i zależałoby nam bardzo na dowiedzeniu się, dlaczego podejmował tak duże sumy.

— Rzadko pytamy naszych klientów, do czego potrzebne są im pieniądze, ale jesteśmy bardzo restrykcyjni, jeśli chodzi o podejmowanie dużych kwot w gotówce. Klienci, którzy chcą wyjąć sumę przekraczającą piętnaście tysięcy koron, muszą nas o tym powiadomić z wyprzedzeniem.

— Rozumiem. W takim razie Hans Juhlén musiał powiadamiać państwa wielokrotnie o chęci podjęcia pieniędzy — powiedział Henrik.

— Nie, to nie on to robił — zaprzeczyła kobieta.

— Więc kto w takim razie?

— Jego żona, Kerstin Juhlén.

Gunnar Öhrn trzymał ręce na kierownicy. Słuchał reportera w radiu, który najpierw opowiedział o akcji charytatywnej sprzedawania kwiatków pierwszomajowych, a potem obiecał puścić legendarną piosenkę. Gdy tylko w głośnikach zabrzmiały pierwsze tony, Gunnar rozpoznał głos piosenkarza i zaczął wybijać takt popularnego rockowego singla.

Bruce Springsteen.

— *The Boss. Oh yeah!* — wykrzyknął.

Podkręcił radio i zaczął wybijać takt refrenu z jeszcze większym zapałem.

Zerknął na siedzącą obok Anneli Lindgren, by zobaczyć, czy zaimponowało jej perkusyjne solo wybite na kierownicy. Nie, raczej nie. Siedziała z zamkniętymi oczami, opierając się o zagłówek.

Było wpół do czwartej po południu. Anneli pracowała na miejscu znalezienia chłopca w Viddviken przez ostatnie dziesięć godzin. Gdy przybył Gunnar, miała na sobie gumowe spodnie i stała po pas w morzu. Wyszła mu nas spotkanie, brodząc w wodzie.

— Jak idzie? — spytał Gunnar.

— Pobrałam kilka próbek wody — odpowiedziała Anneli, odpinając sprzączki na ramionach i ściągając gumowe spodnie. — Przeczesałismy okolicę. Na ślady butów nie ma co liczyć, wygląda na to, że przechodzi tędy bardzo wiele osób.

— Sprawdziliście dno zatoki?

— Dwa razy, lecz nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni.

— A kulę?

— Też nie. Ale mamy co innego. Chodź, to ci pokażę.

Gunnar poszedł za Anneli w stronę zwirowej drogi. Po dwudziestu metrach zesła z twardo ubitej drogi na pobocze i ostrożnie odgięła znajdujące się tam gałęzie. Gunnar pochylił się, by zobaczyć, co chciała mu pokazać, i w tym samym momencie uśmiech rozjaśnił jego oblicze.

Na ziemi widniały ślady opon.

I były głębokie.

Anneli nie posiadała się z radości z powodu znalezienia śladów, ale to było przed godziną. Teraz siedziała cicho na fotelu pasażera.

Gunnar ściszył radio.

— Zmęczona? — spytał.

— Tak.

— Dasz radę przyjść na spotkanie? Umówiłem się z resztą na czwartą.

— Oczywiście.

— Potem mogę podzucić cię do domu.

— To miło z twojej strony, ale muszę wziąć samochód, Adam ma trening piłki nożnej o ósmej. Zapomniałeś?

— A niech to, pewnie. Dziś jest przecież środa.

Gunnar oparł się o okno.

— Ale jego też mógłbym podzucić. Oczywiście jeśli chcesz. Możemy pojechać tam razem — powiedział.

— Tak, jeśli masz ochotę, to... Chętnie.

Anneli potarła policzki.

— O nie — powiedział Gunnar, łapiąc się za czoło.

— Co się stało? — spytała Anneli.

— Znów zapomniałem. Karton z ozdobami.

— Nic nie szkodzi.

— Ale to już ostatni z twoimi rzeczami.

— Jeśli leżał w komórce aż do teraz, może poleżeć tam jeszcze trochę.

— Nie, dziś wieczorem ustawię go przed drzwiami wyjściowymi. Wtedy na pewno będę pamiętał.

— Dobry pomysł.

— Prawda?

Na krótką chwilę zapadła cisza.

— Fajnie, że jedziesz z nami dziś wieczorem. Adam się ucieszy — powiedziała Anneli.

— Wiem — odpowiedział Gunnar.

— Ja też się cieszę.

— Wiem.

— A ty nie?

— Anneli, przestań. To nie ma sensu.

— Dlaczego nie?

— Dlatego.

— Spotkałeś kogoś innego?

— Nie. Ale postanowiliśmy, że tak teraz będzie.

— Ty tak postanowiłeś. Ja nie.

— Okej, tym razem ja tak postanowiłem. I nie chcę, byś czegokolwiek próbowała, chcę, aby zostało tak, jak jest. Uważam, że między nami dobrze się układa, to znaczy, że utrzymujemy wszystko na odpowiednim poziomie.

— Na twoim poziomie.

— Co masz na myśli?

— Nic.

— Chciałem być miły i zaproponowałem, że podwożę cię i Adama, co w tym złego?

— Nie musisz nas podwozić. Poradzimy sobie bez twojej pomocy.

— Okej, w takim razie zapomnijmy o tym.

— Niech więc tak będzie.

— Dobrze.

— Dobrze.

Gunnar wymruczał coś i podkręcił radio w sam raz w porę, by usłyszeć ostatnie tony przeklętej piosenki rockowej.

Anneli szła korytarzem cztery kroki za Gunnarem. Usta miała zaciśnięte, wzrok utkwiony w jego plecy. Wiedziała, że czuje jej spojrzenie, więc z tym większą złością się w niego wpatrywała. Tylko dlatego.

Gunnar przystanął na chwilę przy swoim biurze.

Anneli zauważyła, że w jego przegródce leżał faks z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Pewnie coś ważnego. Jednak nic nie powiedziała, tylko poszła dalej, wiedząc doskonale, że Gunnar i tak zaraz odczyta wiadomość. Szła korytarzem z naburmuszoną miną, ale gdy tylko przekroczyła próg sali spotkań, wzięła się w garść i zostawiła na boku sprawy osobiste.

Anneli i Gunnar postanowili, że nie będą z nikim rozmawiać o swoim związku, więc nigdy otwarcie nie okazywali uczuć. Byli parą już na rok przed zatrudnieniem Anneli w wydziale kryminalnym w Norrköping, któremu szefował Gunnar. Gdy w intrancie policji ogłoszono nabór na stanowisko technika kryminalnego, Anneli

przedstawiła swoje doświadczenia zdobyte w pracy w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym w Linköping i przesłała podanie do odpowiedzialnej za rekrutację osoby, która w tym wypadku była jej kochankiem. Anneli nie widziała przeszkód, by pracować razem ze swoim życiowym partnerem. Gunnar z kolei stanął przed dylematem i na początku rozważał odrzucenie podania Anneli. Ale ponieważ jej doświadczenie zawodowe przewyższało doświadczenie wszystkich pozostałych kandydatów, decyzja Gunnara o zatrudnieniu właśnie jej była dość logiczna i racjonalna. Sprawę ułatwiało też to, że Gunnar i Anneli trzymali swój związek w tajemnicy i zdecydowali, że również potem będą się starać, aby nie dowiedzieli się o nim koledzy z pracy.

Lecz wieść o ich związku rozeszła się dość szybko i złośliwe języki doniosły, że Anneli dostała stanowisko technika kryminalistycznego drogą łózkową. Nie miało żadnego znaczenia, że obdarzona była wyjątkową umiejętnością wyszukiwania rzeczy nietypowych, takich jak połamana roślinność albo lekko zatarte ślady opon, obok których inni przechodzili obojętnie. Ludzie widzieli tylko to, co chcieli: że była w związku ze swoim szefem.

Tym, czego wiele osób nie wiedziało albo nie miało ochoty się dowiedzieć, był fakt, że w związku Anneli i Gunnara zdarzały się dość liczne przerwy. Ze względu na syna próbowali mieszkać razem, ale gdy skończył dziesięć lat, zmęczeni się sobą. Patrzyli na siebie bardziej jak na kolegów z pracy, a nie jak na kochającą się parę. Ich uczucia przypominały kolejkę górską, rozchodzili się i schodzili aż siedem razy. Ostatnim razem mieszkali pod jednym dachem przez dziesięć miesięcy. Potem Gunnar chciał przerwy i oznajmił jej to przed miesiącem.

Anneli odrzuciła wszystkie myśli o Gunnarze, gdy przywitała się z siedzącymi przy stole Mią i Olą.

Mia od razu zabrała głos.

— Mamy świadka, który widział biały samochód dostawczy niedaleko Viddviken.

Anneli już miała jej coś odpowiedzieć, gdy do sali wpadł Gunnar. W ręku trzymał faks z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego.

— Zidentyfikowali odciski palców na listach z pogrózkami — powiedział podniecony. — Gdzie jest Henrik?!

— Przesłuchuje ponownie Kerstin. Wygląda na to, że kłamała w sprawie pieniędzy — szybko odpowiedział Ola.

— Nie tylko w tej sprawie skłamała. Muszę się z nim natychmiast skontaktować!

Szyja adwokata Petera Ramstedta była ogniście czerwona, gdy po raz drugi tego samego dnia wkroczył do sali przesłuchań.

Cisnął aktówkę na stół, wyciągnął z niej zeszyt i długopis, po czym rzucił ją prosto na podłogę. Obiema rękoma rozpiął marynarkę, ściągnął ją z siebie energicznie i dopiero potem zajął miejsce. Siedział teraz ze skrzyżowanymi rękoma i prawym kciukiem klikał długopisem. Bez przerwy.

Henrik Levin uśmiechał się lekko do siebie. Miał w ręku asa. Zeznania pracowników banku były ważne, ale wszystkie kawałki układanki zaczęły do siebie pasować dopiero po telefonie Gunnara.

— Chciałbym panią spytać — zaczął Henrik, zwracając się do Kerstin Juhlén, która siedziała przygarbiona na brzeżku krzesła. Jej żółte plastikowe pantofle wystawały spod stołu.

— ...czy zazwyczaj płaci pani za zakupy gotówką czy kartą?

Kerstin podniosła wzrok na Henrika. A potem na żółto-czarnego ptaka wyszytego na jego swetrze.

— Kartą.

— Nie płaci pani nigdy gotówką?

— Nie.

— Nigdy?

— Może czasami.

— Jak często?

— Nie wiem. Może raz w miesiącu.

— Skąd bierze pani gotówkę?

Peter wciąż klikał długopisem.

Henrika naszła wielka ochota, by wyrwać mu długopis, przełamać na pół, a potem wylać atrament na czerwony krawat adwokata.

Kerstin przerwała te rozmyślenia.

— Wyjmuję z bankomatu.

— Z którego bankomatu?

— W centrum handlowym Ingelsta, w tym przy kawiarni.

— Zawsze idzie pani do tego samego bankomatu?

— Tak.

— Ile pieniędzy ma pani w zwyczaju wyjmować?

— Pięćset koron.

— Nie wyjmuje pani nigdy pieniędzy z banku?

— Nie. Nigdy.

Kerstin włożyła mały palec do ust i głośno odgryzła paznokieć.

— Więc nigdy nie była pani w żadnym banku?

— Ależ tak, oczywiście, że byłam.

— Kiedy ostatnim razem?

— Może przed rokiem.

— Co tam pani robiła?

— To było dawno temu. Nie pamiętam dokładnie.

— Więc od tamtego czasu nie była pani w żadnym banku?

Peter położył obie ręce na stole, odsłaniając czerwone spinki u mankietów, i zaczął klikać drugą ręką.

Henrikowi znów przysłała ochota, żeby mu zniszczyć długopis, przełknął jednak ślinę, policzył do dziesięciu i powtórzył pytanie:

— Więc od tamtego czasu nie była pani w żadnym banku?

— Nie, nie byłam.

— To dziwne — powiedział Henrik. — Mamy dwóch świadków, którzy twierdzą, że była pani w oddziale banku w Hageby.

Peter od razu przestał klikać.

Na chwilę zrobiło się zupełnie cicho.

Henrik słyszał nawet swój oddech.

— Ale ja tam nie byłam — powiedziała Kerstin przestraszona.

Henrik wstał, poszedł w kąt pomieszczenia i stanął pod kamerą zamontowaną pod sufitem. Wskazał na nią palcem.

— W każdym banku znajdują się takie kamery, które filmują wchodzące i wychodzące osoby.

— Chwileczkę — powiedział Peter, również wstając z miejsca. — Muszę zamienić kilka słów z moją klientką.

Henrik udawał, że nie słyszy.

Wrócił do stołu, położył na nim obie ręce i spojrzał prosto na Kerstin.

— Pytam więc jeszcze raz. Czy była pani w banku w Hageby?

Peter położył szybko rękę na ramieniu Kerstin, by powstrzymać ją od odpowiedzi na pytanie.

Lecz ona go nie posłuchała.

— Może byłam.

Henrik usiadł na krześle.

— Co tam pani robiła?

— Podjęłam gotówkę.

Peter puścił ramię Kerstin, westchnął i też usiadł.

— Ile pieniędzy pani podjęła?

— Kilka tysięcy. Może dwa.

— Proszę przestać kłamać. Wyjmowała pani czterdzieści tysięcy ze wspólnego konta przez dziesięć miesięcy.

— Naprawdę?

— Jak już pani mówiłem, mam dwóch świadków, Kerstin.

— Proszę nie odpowiadać — spróbował ponownie Peter, ale znów został zignorowany przez swoją klientkę.

— W takim razie niech i tak będzie — powiedziała cicho, na co adwokat już nie mógł powstrzymać złości i rzucił długopisem przez cały pokój przesłuchań.

Henrik nie był na to przygotowany i schylił się, mimo iż długopis minął go w dość dużej odległości, po czym uderzył w drzwi i upadł na podłogę. Henrik zerknął na długopis i stwierdził, że cholerstwo niestety się nie rozpadło. Potem spojrzał

poważnie na Petera, którego twarz przybrała purpurowy kolor. Pasuje do spinek u mankietów, pomyślał Henrik, uśmiechając się w głębi duszy. Nic jednak nie powiedział, czym jeszcze bardziej zdenerwował adwokata. A potem odezwał się spokojnie i rzeczowo:

— Do czego były pani potrzebne te pieniądze?

— Na ubrania.

— Na ubrania?

— Tak.

— Więc wydawała pani na ubrania czterdzieści tysięcy koron w miesiącu?

— Tak.

— Proszę nie wziąć mi tego za złe, ale za taką sumę można chyba kupić coś lepszego niż T-shirt i plastikowe buty.

Kerstin szybko wciągnęła stopy pod stół.

— I przez dziesięć miesięcy ktoś przysyłał wam listy z pogrózkami — powiedział.

— Ja nic o tym nie wiem.

— Myślę, że jednak pani wie.

— Nie, naprawdę. Przysięgam. To od was się o nich dowiedziałam.

— Więc nigdy nie widziała pani tych listów? Nigdy ich pani nie dotykała?

— Nie, nie, nie! Nigdy. Nigdy.

— No dobrze. Znowu mówi pani nieprawdę. Przesłaliśmy bowiem listy do zbadania i znaleźliśmy na nich odciski palców.

— Ach tak?

— Te odciski należą do pani.

Kerstin popatrzyła dookoła rozbieranym wzrokiem.

Nerwowo skubała swoje dresowe spodnie.

— Mam pani powiedzieć, co o tym sędzę? — spytał Henrik. — Uważam, że nie kupiła pani za te pieniądze ubrań. Uważam, że podjęła pani pieniądze, by dać je osobie, która wysyłała listy z pogrózkami. Mamy dziesięć listów i dziesięć razy wyjmowała pani z banku dużą sumę pieniędzy.

— Nie... Ja nie...

— Kerstin, rozczarowuje mnie pani. Proszę zacząć mówić prawdę i opowiedzieć, jak było w rzeczywistości.

Peter wstał od stołu, poprawił marynarkę i poszedł do drzwi, aby podnieść długopis. Specjalnie zwlekał. Za plecami Henrika próbował gestami pokazać Kerstin, żeby nic nie mówiła. Ani słowa więcej. Ale jej ramiona opadły.

Przełknęła ślinę.

I zaczęła opowiadać.

Wszystko.

Henrik siedział w areszcie i spoglądał na swoje puste dłonie. Przesłuchanie się skończyło, ale w głowie pozostało mnóstwo myśli.

Jeszcze raz zaczął rozważać to, co się zdarzyło. Od momentu, gdy wargą Kerstin zaczęła drżeć. Gdy wstała i szybkimi krokami w plastikowych pantoflach podeszła do okna.

Gdy wytarła łzy z policzków.

Gdy zaczęła opowiadać, co robił jej mąż.

— Uważam, że nigdy go tak naprawdę nie znałam. Był zawsze w jakiś sposób nieobecny. Zawsze... Wiedziałam, że coś było nie tak. Wiedziałam to od momentu, gdy zażądał, abym zakrywała twarz poduszką. Żądał tego ode mnie, bo inaczej chciało mu się wymiotować. Tak mówił.

Kerstin pociągnęła nosem.

— To było na początku, byliśmy świeżo po ślubie. Robił takie dziwne rzeczy. Czasem budziłam się w środku nocy, a on siedział na łóżku i gapił się na mój biust, a potem krzyczał na mnie, że jestem głupią, pieprzoną pizdą i wkładał swojego... swojego...

Kerstin z trudnością wydobywała z siebie słowa. Wytarła nos w rękaw.

— Wkładał go tak głęboko, że nie mogłam oddychać. Gdy skończył, mówił, że jestem obrzydliwa, że musi się iść umyć, bo dotykał swojej obrzydliwej, szpetnej żony.

Kerstin zapłakała. Po chwili uspokoiła się i przez moment milczała. A potem znów zaczęła mówić:

— Nigdy nie chciał ze mną współżyć. Myślałam, że potem będzie lepiej, że pewnego dnia wszystko się ułoży, że po prostu miał za dużo spraw na głowie i że trzeba mu współczuć. Ale wtedy zaczął z innymi, zaczął... musiały się bać, musiały się go bać. Nie potrafię zrozumieć, jak on mógł, ja...

Zaczęła płakać w głoś, z otwartymi ustami.

— Opowiadał o tym, jak jedna kobieta krzyczała, gdy gwałcił ją na podłodze. Jak widać było w jej oczach narastającą panikę, gdy w nią wchodził. Śmiał się, gdy zaczęła lecieć jej z tyłu krew. A potem... ona krwawiła... a on... do jej ust...

Kerstin zakryła twarz rękoma i opadła na podłogę.

— Och, Boże...

Henrik wciąż słyszał jej płacz, choć teraz był sam w pokoju przesłuchań.

Wyjrzał przez okno, przy którym wcześniej stała Kerstin. Siedział tak przez pięć minut, patrząc na bladoszare światło na dworze.

Wstał. Za pół godziny idzie do sali spotkań, by porozmawiać z resztą zespołu.

Taką podjął decyzję.

Henrik Levin pomału wszedł po schodach i pustym teraz korytarzem podążał do sali spotkań, znajdującej się na trzecim piętrze komendy policji. Nie patrzył na przegródki pocztowe, obrazy ani nie zaglądał do otwartych na oścież mijanych po drodze biur. Wzrok miał skierowany w podłogę, mniej więcej dwa kroki przez sobą.

Gunnar Öhrn zauważył, że wygląda na zmęczonego i spytał, czy chciałby

przesunąć spotkanie o godzinę, ale Henrik upierał się, by przedstawić od razu najważniejsze informacje z przesłuchania Kerstin. Stał przy stole i zwrócił się do swoich kolegów.

— Listy z pogrózkami skierowane były do Hansa Juhléna — zaczął. — Wykorzystał seksualnie wiele kobiet ubiegających się o azyl, obiecując im, że dostaną prawo stałego pobytu. Ale nigdy nie spełniał swoich obietnic. Pewnego razu tak skrzywdził młodą dziewczynę, że poskarżyła się bratu. Gdy przyszedł pierwszy list, Kerstin wiedziała, że był od niego. Wiedziała to, ponieważ Hans lubił się chwalić swoimi tak zwanymi podbojami. Opowiadać o tym, jak naiwne były dziewczęta. O tym, jak płakały, gdy zmuszał je do uprawiania seksu.

Anneli Lindgren wierciła się na krześle, nieprzyjemnie było tego słuchać.

— Kerstin zadbała o to, by listy nie dostały się w ręce Hansa. To ona je otwierała. Rozważała pójście na policję. Aby zapobiec dalszym gwałtom. Rozwód był jedynym słusznym rozwiązaniem, ale nie wiedziała, kim by była bez swojego męża. Kto wówczas by się nią zajął? Nie miała przecież żadnych pieniędzy. Gdyby sprawa wyszła na jaw, oznaczałoby to koniec kariery jej męża i wtedy również ona nie miałaby z czego żyć. Poza tym wszyscy wytykaliby ją jako tę, która była żoną gwałciciela. Więc wolała schować listy i płacić. W zamian za milczenie — zakończył Henrik.

— Jak można kryć kogoś, kto cię krzywdzi? — spytała Mia.

— Nie wiem. Hans Juhlén był cholernym skurwysynem. Według Kerstin znęcał się nad nią, a wszystko zaczęło się, gdy przed dwudziestoma laty dowiedziała się, że nigdy nie będzie mogła zajść w ciążę. Dawał jej odczuć, że to jej wina, przypominał jej o tym każdego dnia. Krótko mówiąc, poniżał ją.

— A ona mu na to pozwalała?

— Tak.

— I nigdy nie odkrył, że pieniądze znikają z konta? — spytał Gunnar.

— Odkrył. Spytał ją o to, ale wtedy skłamała, że były to wydatki na jakiś większy zakup do domu, na zapłacenie rachunków, na naprawy. Wściekł się wtedy i zaczęli się kłócić, co skończyło się tym, że ją uderzył. A potem nigdy więcej już nie pytał. Pewnie miał to gdzieś. Podobnie jak swoją żonę.

— Kto przysyłał listy z pogrózkami? — spytała Mia.

— Yusef Abrham z Erytrei, z Afryki. Mieszka w Hageby razem z siostrą. To dlatego Kerstin tam wyjmowała pieniądze. Zaraz po spotkaniu jedziemy z nim porozmawiać. Czy nie będzie wam przeszkadzało, jeśli... — Henrik wskazał na puste krzesło.

— Ależ skąd, usiądź — powiedział Gunnar. Był przyzwyczajony do taktownego zachowania Henrika, mimo to dodał:

— Nie musisz nawet pytać.

— Pewnie, wystarczy sobie usiąść, do cholery — dodała Mia.

Henrik odsunął krzesło i usiadł. Od razu otworzył butelkę wody mineralnej i wlał połowę zawartości do szklanki. Gaz łaskotał go w podniebienie.

Jana Berzelius siedziała w milczeniu u szczytu stołu i się przysłuchiwała.

Skrzyżowała nogi, po czym spytała:

— Czy Kerstin do czegoś się przyznała?

Henrik pokręcił przecząco głową.

— Więc w dalszym ciągu nie mamy nic, co łączyłoby ją z morderstwem, a to oznacza, że muszę ją wypuścić.

— Miała przecież powód, żeby zabić męża. Mam na myśli to, jak ją traktował. Mogli na przykład się pokłócić i wtedy Kerstin wyciągnęła pistolet i go zastrzeliła — powiedziała Mia.

— A pistolet? Skąd by go wzięła? I po zastrzeleniu męża dałaby go chłopcu, który wyszedł przez okno? — spytał Henrik.

— Nie wiem. Sam coś w takim razie wymyśl! — odcięła się Mia.

Henrik spojrzał na nią zmęczony.

— Okej, uspokójmy się. Jana ma rację, musimy wypuścić Kerstin — stwierdził Gunnar.

— A co z Larsem Johanssonem? — spytała Jana.

— Skreśliliśmy go, ma mocne alibi, może je potwierdzić wiele osób.

— Więc teraz mamy tylko chłopca i tego Yusefa Abrhama?

— Tak, i komputer Hansa Juhléna — dodał Gunnar.

— No właśnie — powiedział Ola Söderström. — A to idzie dość wolno. Sprawdziłem dysk twardy, i najzabawniejsze, a może najmniej zabawne jest to, że wszystko jest na nim wykasowane.

— Wykasowane? — spytała Mia. — Ale można chyba odzyskać dane?

— Tak, oczywiście. Nie ma problemu z dokumentami i plikami cookies. Jeśli tylko nie potraktowali dysku IEM.

Ola Söderström zauważył pytające miny zespołu.

— To znaczy impulsem elektromagnetycznym. Wtedy wszystko się kasuje. Są firmy, które to robią.

— Więc Hans Juhlén chciał coś ukryć — stwierdził Henrik.

— Być może. Zobaczymy, co nam powie przeczesanie dysku programami.

— A nie mówiłem, że to brudna sprawa?

Per Åström uśmiechał się szeroko do Jany Berzelius.

Przez przypadek natknęli się na siebie przed prokuraturą i postanowili wzgardzić kawą z automatu w pracy i pójść do kawiarni na Bagarstugan. Spacer zajął im pięć minut, mieli też szczęście i nie musieli czekać w kolejce przy barze. Jana przeczytała dokładnie menu i zastanawiała się, czy jest dostatecznie głodna, żeby zjeść dużą kanapkę z pieczywa na zakwasie, z suszoną szynką i serem cheddar. W końcu każde z nich zamówiło filiżankę kawy, do której zdecydowali się wziąć sucharki z dżemem

z wiśni, i zajęli miejsca przy oknie.

Kawiarnia urządzona w nowoczesnym skandynawskim stylu sprawiała wrażenie hotelowego lobby. Czarne skórzane krzesła stały dookoła owalnych dębowych stołów, w kątach zaś ustawiono po dwa fotele z wysokimi oparciami. Z sufitu zwisały lampy o różnym kształcie, z czarnego i czerwonego materiału, a gości witał przyjemny zapach dopiero co wyjętego z pieca pieczywa.

— Żałuję, że coś ci powiedziałam o śledztwie — zwróciła się Jana do Pera.

W zaufaniu opowiedziała mu o ciemnej stronie Hansa Juhléna.

— Ależ to doprawdy fascynujące! Wyobraź sobie tylko, co będzie, jak media dowiedzą się, że szef urzędu do spraw imigracji wykorzystywał seksualnie ubiegające się o azyl dziewczęta — powiedział Per, uśmiechając się do Jany.

— Jeśli nie ściszysz głosu, dowiedzą się o tym bardzo szybko.

— Przepraszam.

— To bardzo skomplikowane śledztwo.

— Opowiedz coś jeszcze.

— Ale nikomu ani słowa, okej? — Jana utkwiała oczy w Perze. — Okej?

— Obiecuję. Więc to jest *off the record*, tak?

— Tak, to jest *off the record*. A teraz słuchaj. Hans Juhlén zostaje zastrzelony i w jego domu policja znajduje odciski palców dziecka. To samo dziecko też zostaje zastrzelone, a do tego ma przy sobie pistolet, z którego zginął Hans Juhlén. A potem to z dziewczętami...

— Ta brudna sprawa...

— Nazywaj to, jak chcesz, ale potrafisz mi wytłumaczyć, jak to wszystko jest powiązane?

— Nie.

— Okej, dziękuję.

— Proszę.

Jana uniosła filiżankę do ust. Spojrzała na Pera, na koszulę w romby podszytą ciemnoniebieskim materiałem. Miał do tego pasującą marynarkę i krawat. Niezwykle elegancko ubrany. Jak daleko Jana mogła sięgnąć pamięcią, Per zawsze był singlem. Miał za sobą ze dwa dłuższe związki, ale nie czuł się za dobrze, mieszkając pod jednym dachem z drugą osobą.

— Lepiej mieszkać samemu, niż czuć się samotnym, będąc z kimś — powiedział przed dwoma laty.

Jana wiedziała, że praca i zaangażowanie na rzecz młodzieży pochłaniały jego cały czas. Nigdy nie próbowała nakłonić Pera, by zwolnił. Nie miała w zwyczaju wtrącać się w cudze życie. Nawet jego.

Choć były po temu okazje, nigdy między nimi nie zaiskrzyło. Dla Jany Per był przyjacielem i kolegą po fachu. Nie było w tym cienia romantyzmu.

— Potrzebuję twojej pomocy — powiedziała Jana, odstawiając filiżankę na stół.

— Ale ja naprawdę nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi — odpowiedział Per.

— Nie miałam na myśli śledztwa. Muszę zamienić się z tobą dyżurem świątecznym.

— Dlaczego?

— Kolacja z rodzicami we wtorek pierwszego maja.

Per przekrzywił głowę i zagwizdał.

— Pięknie, pięknie.

— Wcale nie. Ale dostaniesz dobry rocznik jako wynagrodzenie. Czerwone czy białe?

— Żadne. Zrobię to dla ciebie, jeśli opowiesz mi więcej o tym świntuchu Hansie. Chcę szczegółów. Zastanawiam się nad sprzedaniem tej historii, może uda mi się zarobić trochę grosza.

— Jesteś beznadziejnym przypadkiem.

Jana zmusiła się do uśmiechu i odgryzła kawałek zatopionego w dżemie sucharka.

Gdy Makda Abrham zobaczyła ich z okna kuchennego, pomyślała od razu, że chodzi o mężczyznę z urzędu imigracyjnego. Wiedziała, że nadejdzie ten dzień. Wiedziała, że będzie musiała opowiedzieć o tych strasznych rzeczach, przez które musiała przejść.

Niepokój wzrastał i gdy otworzyła drzwi, tak ją ścisnęło w środku, że musiała złapać się ściany. Trudno jej było zrozumieć imiona policjantów i nawet nie spojrzała na legitymacje, które jej pokazali.

— Szukamy Yusefa Abrhama — powiedział Henrik, chowając legitymację.

Przyglądał się stojącej przed nim kobiecie. Młoda, może dwudziestoletnia, ciemne oczy, podłużna twarz, długie włosy, bransoletka z materiału i sweterek z dekoltem.

— Dlaczego? — spytała.

— Jest w domu?

— Ja... siostra. Dlaczego?

Makdzie trudno było znajdować odpowiednie słowa. A nie mieli rozmawiać z nią? Dlaczego chcieli widzieć się z Yusefem?

Zagarnęła ciemne włosy za ucho i odsłoniła rząd pereł w małżowinie usznej.

— Chcemy tylko porozmawiać z nim o Hansie Juhlénie.

Policja wymówiła jego imię.

Tego obrzydliwca.

Tego perwersyjnego mężczyzny, którego nienawidziła najbardziej na świecie.

— Yusef! Policja! — zawołała Makda w głąb mieszkania.

Odsunęła się na bok i wpuściła Henrika i Mię do środka, a sama podeszła do zamkniętych drzwi i zapukała w nie ostrożnie.

Henrik i Mia czekali w korytarzu.

Na podłodze leżał gałkankowy dywanik, a przytwierdzona na ścianie półka na

kapelusze była pusta. Pod nią stały trzy pary butów, z czego dwie to były sneakersy znanej firmy, śnieżnobiałe i najprawdopodobniej niedawno zakupione. Henrik wiedział, że sporo kosztowały. Poza tym korytarz był nieumeblowany, żadnej komody, żadnych obrazów ani krzeseł.

Makda ponownie zapukała w zamknięte drzwi i powiedziała coś niezrozumiałego w języku, który Mia rozpoznała jako tigrinia.

Makda uśmiechnęła się przepaszająco w stronę policjantów i zapukała raz jeszcze.

Henrik i Mia stojący w korytarzu postanowili pomóc Makdzie, która wyraźnie zaczynała się niepokoić. Weszli do środka, nie zdejmując butów, i stanęli przy drzwiach. Stamtąd widać było kuchnię, jej drzwi stały otworem. Nawiew nad kuchenką był włączony, a stojąca na niej popielniczka wypełniona niedopałkami. Z drugiej strony znajdowała się sypialnia i pokój dzienny. Również tu, podobnie jak w korytarzu, prawie nie było mebli.

— Yusef, otwórz drzwi. Chcemy tylko z tobą porozmawiać.

Henrik zapukał do drzwi kilka razy, ale bez odzewu.

— Otwórz w tej chwili!

Zapukał mocniej, znowu kilka razy.

Wtedy usłyszeli dochodzące z pokoju skrzypnięcie.

— Co to było? — spytała Mia, która również zwróciła uwagę na ten hałas.

— Brzmiało to jak okno, które...

W tym samym momencie zobaczyła ciemnoskórego mężczyznę przebiegającego koło drzwi kuchennych.

— Do diabła! — krzyknęła Mia, wbiegając do kuchni, a następnie wybiegając przez drzwi wyjściowe na podwórze.

Henrik ruszył za nią.

Mia widziała, jak biegnący przed nią na bosą mężczyznę przeskoczył przez krzaki i zniknął z pola widzenia.

— Zatrzymaj się!

Przyspieszyła, również przeskakując przez krzaki. Widziała, jak mężczyzna skręcił na plac zabaw. Kilkoma krokami przemierzył piaskownicę i przeskoczył przez płotek odgradzający huśtawki. Mia była tuż za nim. I znów zawołała, by się zatrzymał. Przeskoczyła przez płotek i pobiegła po wąskiej ścieżce dla pieszych i rowerzystów w ślad za mężczyzną. Teraz brakowało jej tylko kilku metrów, aby go złapać. Nikt z nią nie wygra.

Nikt.

Wyteżyła mięśnie, odstęp zmniejszyła się z każdym krokiem. Na końcu ścieżki dopadła go i powaliła na ziemię dobrze wymierzonym skokiem. Oboje potoczyli się po śniegu. Mia szybko zareagowała, chwyciła leżącego mężczyznę za ramię i przygięła je do pleców. A potem odetchnęła.

Henrik przybiegł po chwili, wyjął kajdanki i spiął nimi z tyłu ręce mężczyzny.

Zmusił go do wstania i zanim poprowadził do samochodu, pokazał mu swoją legitymację.

Makda też pobiegła za nimi, ale poddała się przy placu zabaw. Gdy zobaczyła brata w kajdankach prowadzonego przez policjantów, zakryła dłońmi usta i potrząsnęła głową. Podeszła do Yusefa i powtarzała coś w języku tigrinia. Potem chwyciła go za szyję i zaczęła głośno krzyczeć.

Oskarżająco.

Mia odciągnęła ją na bok.

— Musimy z nim porozmawiać — powiedziała Mia uspokajająco, prowadząc dziewczynę w stronę huśtawek.

— Pojedzie z nami do komendy. Nie musisz się niepokoić.

Mia zatrzymała się, położyła ręce na ramionach Makdy i popatrzyła jej w oczy.

— Posłuchaj mnie teraz. Będziemy chcieli porozmawiać również z tobą. O tym, co się wydarzyło. O tym, przez co musiałaś przejść. Wyślę do ciebie policjanta znającego twój język, któremu będziesz mogła wszystko opowiedzieć.

Makda nie rozumiała, co mówiła policjantka. Ale z jej oczu wyczytała, że było to coś pozytywnego. Skinęła głową. Mia uśmiechnęła się i opuściła plac zabaw. Makda nie wiedziała, dokąd ma pójść. Stała więc w miejscu.

Przestraszona.

I zupełnie zdezorientowana.

Gdy tylko zajęli miejsca, Yusef Abrham łamaną angielszczyzną wyjaśnił, że nie zna ani słowa po szwedzku. Henrik Levin i Mia Bolander przez czterdzieści minut szukali dla niego tłumacza. Gdy ten przybył w końcu do komendy i Yusef powiedział, że ma problemy z mówieniem ze względu na przeziębione gardło, Mii skończyła się cierpliwość. Rzuciła listy z pogrózkami na stół, przyprawiając wszystko długą salwą przekleństw, którą tłumacz przełożył na język tigrinia, choć bez tych samych emocji. Yusef łypnął na nią spode łba, z pogardą.

Po kilku kolejnych przekleństwach ze strony Mii westchnął głośno i zaczął opowiadać o Hansie Juhlénie. O tym, jak wykorzystywał Makdę. Jak pewnego zimnego styczniowego wieczoru przyszedł do ich mieszkania, mówiąc, że chciałby porozmawiać z Makdą o jej pozwoleniu na pobyt.

— Makda była w domu sama i nie chciała go wpuścić, ale on wszedł siłą do mieszkania i zgwałcił ją w korytarzu — powiedział Yusef. — Gdy wróciłem do domu, Makda siedziała w swoim pokoju i płakała w głoś. Chciałem jej pomóc, ale zakazała mi komukolwiek o tym mówić.

Przewrócił oczami i powiedział, że naiwna nadzieja Makdy na otrzymanie pozwolenia na pobyt spowodowała, że otwierała za każdym razem, gdy Hans Juhlén pukał do drzwi.

Yusef dotrzymał słowa i nikomu nie pisał słowa o tych schadzkiach, ale jednocześnie zaczął podejrzewać, że Hans Juhlén kłamał i nie ma zamiaru załatwić

pozwolenia dla jego siostry.

— Wydawał się idiotą, a idiotom nie można ufać.

Gdy minęły trzy miesiące i Makda w dalszym ciągu nie otrzymała pozytywnej odpowiedzi z urzędu imigracyjnego, Yusef postanowił użyć tej samej metody co Hans Juhlén — szantażu. Ale zamiast seksu chodziło o pieniądze. Starannie wybrał moment, schował się i zarejestrował poniżający akt na swoim telefonie komórkowym. Potem napisał list z pogrózkami. Po paru tygodniach skontaktowała się z nim Kerstin. Prosiła go i błagała, aby wycofał groźbę, ale Yusef był uparty.

— Hans Juhlén wykorzystywał moją siostrę, to ja mogłem wykorzystywać jego. Jeśli żona nie zapłaciłaby, o wszystkim doniósłbym mediom. Wysłałbym każde ujęcie do każdej gazety w całej tej pieprzonej Szwecji!

Kerstin doceniła powagę sytuacji i już na drugi dzień przyszła z pieniędzmi.

— Ale nie powiedziałem nic Makdzie, zatrzymałem wszystkie pieniądze dla siebie. Jak chciała się pieprzyć, to jej sprawa — powiedział.

— Sam napisałeś te listy? — spytał Henrik.

— Tak.

— Więc znasz szwedzki?

Yusef uśmiechnął się szyderczo.

A potem odpowiadał na wszystkie pytania w płynnym szwedzkim.

Mieszkał w Szwecji od półtora roku i szybko nauczył się języka. Urodził się i wychował w Erytrei, ale opuścił kraj z powodu zamieszek.

— Mieliśmy szczęście — powiedział — że nam się tu udało dotrzeć. Że przeżyliśmy całą drogę. Że nie trafiliśmy do jednego z kontenerów widm.

— Co masz na myśli, mówiąc kontenery widma? — spytał Henrik.

— Podróż do nowego kraju nie zawsze jest bezpieczna. Szczególnie dla nielegalnych uchodźców. Wiele osób umiera w drodze. Czasami wszyscy. Tak było w Afganistanie, w Irlandii, w Tajlandii. A nawet tutaj.

— Tutaj? — spytał Henrik.

— Tak.

— W Szwecji?

— Tak.

— Dziwne. Wiedzielibyśmy o tym, jeśliby tak było — powiedziała Mia.

— Nie wszystko, co się wydarza, wychodzi na jaw. Ale... mimo to... moi rodzice też tu przybędą — stwierdził Yusef.

— Kiedy? — spytał Henrik.

— W przyszłym roku, tak myślę. W Erytrei jest niebezpiecznie.

— Dobrze — powiedział Henrik. — Ale wróćmy do listów. Opowiedziałeś komuś o nich?

Yusef potrząsnął głową i podrapał się po dłoni.

— Wiesz, że popełniłeś przestępstwo, co? — spytała Mia.

— To był tylko list, a nie groźba.

— Mylisz się, to była groźba. A grożenie komuś jest postrzegane w tym kraju jako bardzo poważne przestępstwo. Prawdopodobnie pójdziesz za to do więzienia — powiedziała Mia.

— Ale warto było.

Yusef nie protestował, gdy asystujący przy przesłuchaniu policjant zaprowadził go do aresztu. Szedł pomału i wyglądał na odprężonego. Tak jakby mu ulżyło, że powiedział prawdę.

Ola Söderström siedział na biurowym krześle i patrzył na ekran komputera, który stanowił jedyne źródło światła w pomieszczeniu. Przeglądał pliki w komputerze Hansa Juhléna. Od czasu do czasu słychać było głuchy stukot windy przemieszczającej się z piętra na piętro. Na suficie szumiał wentylator, a dysk twardy bzyczał z irytacją w poszukiwaniu usuniętych plików. Teraz umilkł. Skanowanie się zakończyło.

Zobaczmy, pomyślał Ola. Wiedział, że gdzieś musiało zostać coś interesującego. Zawsze tak było. We wszystkich komputerach. Tylko trzeba było wiedzieć, gdzie szukać. Komputery skrywały więcej, niż można sobie było wyobrazić, i często trzeba było przeglądać pliki wielokrotnie. Albo używać różnych programów.

Zaczął od przeglądania plików cookies Hansa Juhléna, by zobaczyć, jakie strony internetowe odwiedzał. Jego oczom ukazały się tytuły z najważniejszych szwedzkich dzienników i Ola szybko przejrzał artykuły o urzędzie imigracyjnym. Większość była o nielegalnych umowach mieszkaniowych zawieranych przez urząd z właścicielami mieszkań i pośrednikami. Jedna seria reportaży podawała w wątpliwość wiedzę szefostwa na temat zasady publiczności działań, a jakiś dziennikarz analizował negocjacje, w których Hans Juhlén odgrywał kluczową rolę. Krytyka była ostra i urząd imigracyjny wielokrotnie spotykał się z pytaniem, dlaczego tyle czasu zajęło uregulowanie praktyk dotyczących mieszkań dla ubiegających się o azyl. Hans Juhlén twierdził, że trudno było stworzyć formularz przetargowy, jako iż „istnieje różnica w zakupie kopiarki i takiej usługi”.

Był pod presją, pomyślał Ola, przechodząc do kolejnych plików cookies. Pojawiły się cztery strony o środkach transportu oraz jedna o kontenerach morskich. Potem wyświetliła się długa lista stron z treścią pornograficzną, przede wszystkim z ciemnoskórymi kobietami.

Ola przeciągnął się, czekając, aż komputer pokaże te dokumenty, które znajdowały się na dysku twardym Hansa Juhléna. Folder za folderem pojawiały się na pulpicie. Statystyka 2012, nazywał się jeden z nich. Ola otworzył go i przyjrzał się wykresowi porównującemu liczbę ubiegających się o azyl w 2011 i 2012 roku. Tabela dotyczyła piętnastu krajów, z których przybywało najwięcej uchodźców. W pierwszych miesiącach tego roku największą ilość zezwoleń na pobyt przyznano osobom pochodzącym z Somalii. Po nich figurowały Afganistan i Syria.

Ola otworzył folder z materiałami informacyjnymi i formularzami, przejrzał sprawozdania z działalności i raporty dotyczące takich tematów, jak Sport i imigracja, Europejski fundusz uchodźców, Napływ siły roboczej. Rzucił okiem na materiały z konferencji, listy regulujące, pisma, zestawienia danych, przepisy i informacje prawne. Trzy z folderów na dysku twardym nie zostały jeszcze nazwane i to w jednym z nich znalazł ten dokument.

Ola zauważył, że usunięto go w niedzielę o godzinie 18.35. Otworzył go, przejeżdżając przez niego myszką. Była to bardzo dziwna strona, zupełnie pusta poza kilkoma pojedynczymi wierszami zapisanymi kursywą, zawierającymi zarówno znaki, jak i cyfry.

Było tego razem dziesięć linijek.

VPXO410009

CPCU106130

BXCU820339

TCIU450648

GVTU800041

HELU200020

CCGU205644

DNCU080592

CTXU501102

CXUO241177

Ola Söderström zaczął się zastanawiać, co mogły oznaczać te litery i cyfry.

Zaznaczył pierwszy wiersz, a potem wkleił go do wyszukiwarki Google, ale otrzymał odpowiedź, że szukanie nie przyniosło żadnego rezultatu. Powtórzył czynność z pozostałymi wierszami i za każdym razem dostawał tę samą odpowiedź. Spróbował wyszukać same litery, ale rezultat był podobny. Najpierw pomyślał, że ma przed sobą wiadomość zapisaną jakimś szyfrem. Może szyfrem osobistym. Zaczął się zastanawiać nad różnymi możliwościami. Czy mogło to oznaczać coś innego? Imię? Pierwsze cyfry czyjegoś numeru ewidencyjnego? Odrzucił ostatnią teorię.

Zegar wskazywał kilka minut przed północą i podczas najbliższych godzin nocnych misterium kombinacji pozostało nierozwiązane.

POT KAPĄŁ JEJ Z CZOŁA.

Dziewczynka walczyła, jak tylko potrafiła.

Prawa pięść do przodu, kucnąć, lewa pięść do przodu, kopać, kopać, kopać. Mężczyzna z brzydką blizną wskazał na swoje oczy, na gardło i na krocze.

— Oko, gardło, krocze! — krzyknął.

Dziewczynka odkrzyknęła to samo.

— Oko, gardło, krocze!

Prawa pięść do przodu, kucnąć, lewa pięść do przodu, kopać, kopać, KOPAC!

— Czekać na atak!

Dziewczynka zastygła w bezruchu. Mężczyzna zniknął z pola widzenia.

O nie, myślała. Tylko nie atak z zaskoczenia! Nienawidziła tego. Nie miała problemu z walką bezpośrednią, była w niej bardzo dobra. Miała doskonałą intuicję i zdolność błyskawicznej reakcji. Szczególnie w walce z nożem. Wiedziała, gdzie ma przenieść ciężar, aby dosięgnąć ostrzem gardła napastnika. Najpierw należało sprawić, by stracił równowagę, a potem powalić go na ziemię. Tu zazwyczaj sprawdzało się kilka dobrze wymierzonych kopniaków w kolana. Jeśli to nie wystarczyło albo jeśli napotykała na duży opór, uderzała przeciwnika wiele razy w głowę, łokciem lub kolanem.

Przeciwko Danilowi, albo też Hadesowi, jak było wyryte na jego karku, używała zazwyczaj prostych uderzeń, przy których zaciskała pięść, tuż zanim jej ręka dotarła do jego gardła. Gdy zginał się z bólu, chwytala go za głowę i uderzała kolanem w twarz, aż upadał na ziemię. Choć często potrafił ją przechytryć i pierwszą powalić na ziemię. Wtedy siadał jej na klatce piersiowej i zaciskał ręce na gardle, jakby chciał ją udusić. Czasem robiło jej się ciemno przed oczami, ale takie były reguły treningu. Miała cierpieć i za żadną cenę się nie poddawać, nawet gdy ogarniała ją ciemność.

W ostatnim czasie stała się silniejsza fizycznie i coraz częściej potrafiła przekuć swoją przegraną w zwycięstwo. Dobrze wymierzony kopniak w plecy albo nerki Hadesa zazwyczaj wystarczał, by się uwolnić. Jeśli do tego udało jej się kopnąć go w twarz, mogła nawet wygrać walkę.

Kopnięcia były niezmiernie ważne w bezpośrednim starciu. Ćwiczyła, jak przesunąć biodro, by mieć w nodze jak najwięcej siły. Obroty wymagały utrzymania równowagi, powtarzała więc kopnięcia z dodatkowym obciążeniem na plecach, by odnaleźć punkt ciężkości w każdej pozycji. Wiedziała, że doskonale opanowanie technik walki mogło uratować jej życie, przed snem miała więc w zwyczaju powtarzać je po cichu. Noga do przodu, podnieść kolano, przekreślić, kopnąć.

Ćwiczenia na wytrzymałość również nie były takie złe. Nauczyła się uśmierzać ból, zakopując się nago w zimnym śniegu. Bieganie pod górę albo przyspieszanie do maksimum na krótkich dystansach też można było znieść. Najbardziej ze wszystkiego

nie lubiła ataków, bo był w nich element zaskoczenia. Pewnie, że wiele razy wcześniej ćwiczyła atak i obronę, w pozycji stojącej, siedzącej i leżącej. Również walkę z bronią i przeciwko wielu napastnikom naraz, w ciemności, w ciasnych pomieszczeniach i w sytuacjach stresowych. Ale ciągle nie mogła przyzwyczać się do napaści z zaskoczenia.

Utkwiła wzrok w jednym punkcie na ścianie i nasłuchiwała. Prawdopodobnie będzie musiała długo tak stać. To też należało do treningu. Pewnego razu czekała na stojąco siedem godzin, zanim została napadnięta. Ręce i nogi drżały, ciało było odwodnione. Lecz w tej sytuacji dziewczynka wyłączyła wszystkie uczucia. Nie odczuwała bólu. Była przecież Kerą. Boginią śmierci. Która nigdy się nie poddawała.

Nagle usłyszała odgłos kroków. Zabrzmiało to, jakby ktoś się skradał za jej plecami. I dokładnie tak było, ktoś szedł w jej stronę.

Napięła mięśnie i z dzikim wrzaskiem obróciła się do tyłu. Mężczyzna z brzydką blizną był blisko, dziewczynka widziała nóż wypuszczony z jego ręki z dużą prędkością. Podążyła za nim wzrokiem i złapała go w locie wprawnym chwytem. Mocno ścisnęła rękojęść dłonią. Napotkała wzrok mężczyzny. Wziął rozbieg i rzucił się do przodu. Dziewczynka błyskawicznie przyjęła odpowiednią pozycję i użyła całej swojej siły, by unieść piętę i wymierzyć kopniak. Trafiła bezbłędnie.

Mężczyzna upadł na ziemię, dziewczynka natychmiast znalazła się przy nim, postawiła jedną stopę na jego klatce piersiowej i przyłożyła mu nóż do skroni. Jej ciemne oczy płonęły. Uniosła lekko nóż i rzuciła nim mocno o ziemię. Wylądował dwa centymetry od głowy mężczyzny.

— Dobrze — powiedział, patrząc na nią wyzywającym wzrokiem.

Wiedziała, że musi to powiedzieć.

Choć czuła odrazę.

— Dziękuję, tato — wydusiła z siebie.

CZWARTEK 19 KWIETNIA

BUTY BIEGOWE BĘBNIŁY o asfalt. Jana Berzelius skręciła z ulicy Järnbrogatan i zamieniła twarde podłoże na żwirową ścieżkę poprowadzoną wzdłuż rzeki. Po ćwiczeniach rozciągających w domu udała się na orzeźwiająca rundkę. Ciągłe się jeszcze nie rozgrzała i czuła, jak zimno przenika przez czarne getry z lycry. Była cienko ubrana, ale za kilometr będzie się pocić.

Całą zimę delectowała się bieganiem na dworze. Ani śnieg, ani plucha czy zimne wiatry nie zdołały zniechęcić jej do treningu. Biegała w każdą pogodę i zawsze tą samą trasą, ulicą Sandgatan do parku miejskiego, potem dalej do Himmelstalund i z powrotem. Woląла miasto od biegania w plenerze, nie miała ochoty przemierzać wielu kilometrów samochodem, by potem biegać w świetle latarni elektrycznych. Jazda samochodem była dla niej stratą czasu. Gdy uprawiała sport, chciała zaczynać od razu.

Ćwiczenie w zamkniętych pomieszczeniach nie było dla niej, nie miała najmniejszej ochoty na branie udziału w jakichkolwiek zajęciach aerobiku. Lubiła samotność i uważała bieganie za najlepszą formę ruchu.

Nie musiała też chodzić na siłownię, by wzmocnić mięśnie, w domu miała własne przyrządy do ćwiczeń. Po dziesięciokilometrowym biegu ćwiczyła zawsze pompki i przysiady, a przed prysznicem stawała pod drążkiem i podciągała się na ramionach, aż drążek znajdował się pod jej brodą. Teraz chciała sprawdzić, ile razy jej się uda, i doliczyła do dziewiętnastu, zanim wyczerpana upadła na podłogę.

Była 6.57, zostało jej jeszcze sporo poranka. Przyłożyła palec wskazujący i środkowy do nadgarstka, by zmierzyć puls. Gdy poczuła, że jest już normalny, wstała i ściągnęła z siebie ubranie.

Prysznic zajął jej dwadzieścia minut. Wybrała pasujący do siebie komplet bielizny i wyszukała lekko prześwitującą bluzkę w pokoiku służącym za garderobę. Do tego włożyła ciemnoniebieskie spodnie i pasującą do nich marynarkę.

Usmażyła cztery pasczki boczku oraz dwa jajka i akurat zdążyła ze śniadaniem na poranne wiadomości w telewizji. Po długim zagranicznym reportażu nastąpiła wzmianka o martwym chłopcu znalezionym niedaleko Norrköping, który mimo usilnych starań nie został jeszcze zidentyfikowany. Ukazało się zdjęcie uśmiechniętego Hansa Juhléna i reporter postawił pytanie, czy istnieje jakieś powiązanie między tymi dwiema ofiarami, dodając, że prawdopodobnie otrzymają odpowiedź na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, którą policja regionu Östergötland ustaliła na godzinę dziewiątą.

Od prezenterki pogody dowiedziała się, że znad Anglii nadchodzi nowa fala brzydkiej pogody. Dziewczyna mówiła wyraźnie i uśmiechała się sympatycznie,

ostrzegając przed chaosem spowodowanym zamieciaми śnieżnymi w środkowej Szwecji. Obfite jak na kwiecień opady śniegu sprawiły, że miesiąc ten już teraz przeszedł do historii, a wciąż zapowiadano nowe śnieżyce. Gdy rozpoczęły się reklamy, wyłączyła telewizor. Nałożyła dyskretny makijaż, umyła zęby i rozczesała włosy. Przejrzała się w lustrze, ale nie była do końca zadowolona z wyglądu, więc nałożyła jeszcze jedną warstwę tuszu do rzęs. Pocienie się spowodowane niedawnym treningiem sprawiało, że bluzka przyklejała jej się do pleców. Jediną radą było schłodzić się, dlatego, schodząc do garażu, przewiesiła marynarkę przez rękę.

Z powodu mgły i śliskiej nawierzchni droga do Zakładu Medycyny Sądowej w Linköping zabrała jej pięćdziesiąt pięć minut, zamiast jak zwykle czterdzieści. Samochody na autostradzie posuwały się w ślimaczym tempie i Jana musiała się skupiać, by jechać po odpowiedniej stronie przerywanej linii rozdzielającej pasy ruchu. Na wysokości Norsholm mgła nieco zrzędała, a przy zjedzie do Linköping Północ widoczność była już normalna.

Jana weszła głównym wejściem i skierowała się do pokoju lekarza sądowego Björna Ahlmana.

Mimo iż do ustalonego spotkania brakowało piętnastu minut, komisarz Henrik Levin i aspirant Mia Bolander byli już na miejscu. Siedzieli w fotelach dla gości w jasno oświetlonym biurze. Na stojącej przy ścianie brzozonej biblioteczce stały rzędem fachowe książki, a okno ozdabiały jasnozielone zasłony z deseniem w białe jaskółki. Nad biurkiem, też wykonanym z niebarwionego drewna brzozonego, wisiała tablica ogłoszeń z różnymi numerami telefonów i zdjęciami z podróży.

Björn Ahlmann miał pięćdziesiąt dziewięć lat i na tyle wyglądał. Nie był ani niski, ani wysoki, miał niewielki wystający brzusek i wysokie czoło.

Podczas studiów medycznych na uniwersytecie w Linköping chciał zgłębiać wiedzę z neurologii, ale zainteresowanie medycyną sądową wzrastało z upływem lat i w końcu zdecydował się na zrobienie specjalizacji właśnie z tej dziedziny. Mimo iż jego zawód był wyczerpujący psychicznie, a dni upływały na pracy w pojedynkę, nigdy nie żałował powziętej decyzji. Cieszył się dobrą opinią ze względu na dokonywane analizy i profesjonalne protokoły. Wiedział, że jego wnioski miały istotny wpływ na ludzkie losy, a jego zdanie było decydujące w sądzie. I choć posiadał największe doświadczenie ze wszystkich pracujących w zakładzie, nie uważał się za eksperta, którym był w rzeczywistości.

Björn Ahlmann podniósł się z ergonomicznego fotela biurowego i przywitał się mocnym uściskiem ręki z Janą, gdy ta weszła do biura.

Jana skinęła głową w stronę pary policjantów.

— Jak obiecywałem, protokół jest gotowy — powiedział Björn. — Brakuje jeszcze wprowadzić kilku wyników badań, ale na to trzeba trochę poczekać. Zejdźmy na dół, gdzie znajduje się ciało, chcę wam coś pokazać.

Znajdująca się przy windzie, z której właśnie wysiedli, jedyna jarzeniówka od czasu

do czasu przygasała i wówczas piwniczny korytarz pogrążał się w ciemności.

Björn otworzył drzwi przeciwpożarowe i zapalił światło w sterylnym pomieszczeniu. W drodze na dół rozmawiał z Henrikiem o swoich najstarszych wnukach, dziesięcio- i trzynastolatku, o ich zajęciach sportowych, pływaniu i piłce nożnej. Pochwalił się, że to on podwiezie ich w najbliższy weekend na zawody do Mjölby i Motali.

Ani Jana, ani Mia nie przysłuchiwały się rozmowie, były za bardzo zajęte staraniami, żeby ich spojrzenia się nie spotkały.

Mia jak zawsze stanęła w odpowiednim odstępnie od stołu sekcyjnego, zaś Jana i Henrik tuż przy nim.

Björn umył dokładnie ręce, nałożył gumowe rękawiczki i odkrył białe prześcieradło.

Nagie ciało zajmowało tylko dwie trzecie stołu. Oczy chłopca były zamknięte, twarz biała i ściągnięta. Wąski nos, ciemne brwi. Głowa została ogolona i wyraźnie widać było na czole ranę wylotową po kuli.

Jana zwróciła uwagę na siniaki, które pokrywały nogi i ręce chłopca.

Henrik też.

— Czy to obrażenia odniesione przy upadku? Gdy został zastrzelony? — spytał Henrik.

Björn potrząsnął głową.

— I tak, i nie. Te ślady są od upadku — powiedział, wskazując na duże ciemne plamy na zewnętrznej części uda i biodra chłopca. — Są też obrażenia po stronie wewnętrznej, różnego stopnia krwiaki domięśniowe.

Björn wskazał na ramiona.

— Ale wiele z siniaków powstało wcześniej, to znaczy zanim umarł. Ciało doświadczyło brutalnej przemocy, szczególnie w okolicach głowy, szyi i narządów płciowych. Nogi ucierpiały również, należałoby dodać. Obrażenia spowodowane zostały kopnięciami i uderzeniami. Może jakimś przedmiotem, czymś twardym.

— Na przykład? — spytał Henrik.

— Metalową rurą albo twardymi butami. Trudno powiedzieć. Muszę poczekać i zobaczyć, co wykaże analiza tkanek.

— Czy są to świeże obrażenia?

— Niektóre tak. Lecz chłopiec ma też wiele blizn i krwiaków wewnętrznych, które wskazują na to, że był bity przez dłuższy czas.

— A więc ktoś się nad nim znęcał fizycznie.

— Tak, i powiedziałbym, że bardzo mocno.

— Może należał do jakiegoś gangu — wtrąciła Mia. — Trudno mi uwierzyć, żeby tak go bito w domu, jako że wspominałeś o używaniu rury albo twardych butów.

Henrik pomału skinął głową.

— Nic nie wskazuje na to, by był wykorzystany seksualnie. Żadnych śladów

spermy ani zaczerwienienia odbytu — kontynuował Björn. — Nie został też uduszony. Zmarł od strzału w głowę, kula jest poddawana analizie.

— Broń?

— Nie wiemy.

— Kiedy przyjdzie odpowiedź?

— Jutro, może pojutrze.

Björn wzruszył ramionami.

— Ile miał lat?

— Dziewięć, dziesięć. Niemożliwe jest dokładniejsze określenie wieku.

— Okej, coś jeszcze? — spytał Henrik.

Björn odchrząknął i stanął przy końcu stołu od strony głowy chłopca.

— W krwi znalazłem substancje stymulujące centralny układ nerwowy. Wysokie dawki morfiny. Był więc pod wpływem narkotyków i chodzi tu o dość dużą dawkę.

— Jaki narkotyk?

— Heroina. Wielokrotnie albo sam sobie wstrzykiwał, albo ktoś wstrzykiwał mu ją w ramię, spójrście.

Björn pokazał poranione przedramię chłopca, potem przekręcił rękę nieboszczyka i wskazał na duży obszar zapalny.

— Na przedramieniu mamy daleko posuniętą infekcję. Prawdopodobnie chłopiec nie trafił do żyły i wstrzyknął narkotyk w tkankę zamiast do krwi.

Skóra na wątlej ręce była czerwona i opuchnięta, cała pokryta małymi rankami.

— Jak się przycisnie, to czuć... jak mam wam to wytłumaczyć? Czuć, jakby to była glina, a to oznacza, że ramię jest wypełnione ropą. Infekcje spowodowane domięśniowym wstrzyknięciem substancji nie są zabawne. Widziałem odstrasające przykłady, gdy poszczególne części ciała zgniły i odpadły. Duże dziury w szkieletcie też nie należą do rzadkości, podobnie jak sepsa, czyli zakażenie krwi. Część żył może zostać zupełnie zniszczona od tych wszystkich zastrzyków, szczególnie te w pachwinach. W najgorszym przypadku wyglądają jak sitko. Wówczas może pomóc jedynie amputacja.

— Więc mówisz, że ten dziewięcio-, może dziesięcioletek był uzależniony od narkotyków? — spytał Henrik.

— Tak.

— Handlarz narkotykami?

— Nie wiem. To nie mnie należy o to pytać.

— Może pośrednik?

— Może.

Björn wzruszył ramionami.

— Zobaczmy... Chciałem wam pokazać coś jeszcze.

Przekręcił głowę chłopca i wskazał na kark.

Widniało tam imię. Litery były nierówne, prawdopodobnie wyryte tępy

narzędziem.

Gdy Jana zobaczyła napis, ziemia zakołysała jej się pod nogami. Chwyciła się brzegu stołu, by nie upaść.

— Wszystko w porządku? — spytał Henrik.

— Tak — skłamała Jana, nie mogąc oderwać wzroku od drobnego karku.

Przeczytała imię jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Tanatos.

Bóg śmierci.

Gunnar Öhrn przeglądał internetowe wydanie lokalnej gazety. Klikał na strony sportowe. Zawsze przed wiadomościami czytał wydarzenia sportowe, zawsze gospodarkę przed polityką i zawsze strony kulturalne przed motoryzacją. Blogów i stron o rodzinie nigdy nie odwiedzał.

Podczas ostatnich miesięcy jako singel Gunnar stworzył sobie rutynę, która bardzo mu odpowiadała. Wstawał o wpół do siódmej, jadł śniadanie i jechał do komendy policji. Różnej długości dni pracy w ogóle mu nie przeszkadzały. Często był w domu po szóstej i wtedy korzystał z okazji, by zrobić zakupy, pranie, pojechać do miasta i pozatratwić różne sprawy. O ósmej wieczorem był z powrotem w mieszkaniu przy ulicy Skolgatan, a czas pozostający do północy spędzał na czytaniu albo pracy przy komputerze. Jeśli na dworze była ładna pogoda, udawał się czasem na godzinny spacer, ale tylko gdy naprawdę miał ochotę. Gdy mieszkali razem, Anneli upierała się, że powinien mieć trochę ruchu, i wyciągała go na rundkę w różnym tempie. Gdy był sam i to on decydował o prędkości, spacerował chętnie wolnym krokiem.

Gunnar opuścił strony sportowe i przeszedł do wiadomości. Zamruczał, gdy zobaczył tytuły. W Rambodal spaliło się mieszkanie, w Åby otwarto nowe przedszkole, a piętnastoletni trębacz został nagrodzony stypendium wynoszącym dwa tysiące koron. Oczywiście Gunnara spoczęły na laurach. Nosił aparat na zębach i szeroko się uśmiechał. Przypominał Adama.

Zaczął myśleć o swoim synu. Dwa dni w tygodniu przychodził do niego w odwiedziny i, jeśli żaden z jego treningów nie był przełożony na te właśnie dni, szli razem do kina albo na kolację do pobliskiej pizzerii. Poprzez Adama Gunnar nawiązał kontakt z sekcją młodzieżową klubu piłkarskiego i obiecał swoją pomoc jako asystujący trener. Ale z powodu pracy nie udało mu się na razie być nawet na jednym treningu przedsezonowym, rozważał więc zrezygnowanie z funkcji, by pozwolić innemu zainteresowanemu piłką rodzicowi zająć to miejsce.

Tak też zrobię, pomyślał, gdy zobaczył swoje zdjęcie na ekranie komputera. Zostało wykonane podczas porannej konferencji.

Znalezienie martwego chłopca postawiło na nogi całe środowisko dziennikarskie i napływ reporterów zmusił ich do zmiany lokalu. Otworzyli największą salę konferencyjną w komendzie, która wypełniła się po brzegi. Na miejscu obecne były nie tylko lokalne media, ale też gazety poranne i wieczorne oraz stacje radiowe

i telewizyjne o krajowym zasięgu. Słysząc było pomruk głosów i pstrykanie długopisów. Błyskały flesze aparatów fotograficznych, testowano sprzęt radiowy. Gunnar Öhrn i komendant regionalna policji Carin Radler powitali najpierw wszystkich zebranych i przekazali głos rzeczniczce prasowej Sarze Arvidsson, która podała wyczerpujące informacje na temat morderstwa Hansa Juhléna, ale była dość oszczędna w słowach, gdy pytano ją o znalezionego chłopca. Wyjaśniła też szczegółowo, że Kerstin Juhlén została zwolniona z aresztu, ale że podejrzania wobec niej nie ustały. Była to bardzo nieprzyjemna konferencja. Krótka i intensywna, lecz niezbędna według Carin. Lepiej było zebrać prasę i rzucić im parę informacji, niż pozwolić dziennikarzom zajmować się spekulacjami z braku jakiegokolwiek wiedzy.

Sara Arvidsson na większość pytań odpowiadała „Bez komentarza” i w ogóle była oszczędna w słowach na temat śledztwa, które toczyło się dopiero od czterech dni.

Gunnar wszedł na stronę gazety „Aftonbladet”. Również tam zamieszczono jego zdjęcie. Z profilu. Na stronie „Expressen” widać było tylko połowę postaci, w centrum zaś stała Sara.

— Całe szczęście — wymruczał, wychodząc z Internetu.

Gunnar nie lubił uczestniczyć w konferencjach prasowych, gdy śledztwo było w toku. Istniało zawsze ryzyko, że ktoś wyjawi więcej niż trzeba. Dociekliwi reporterzy potrafili modyfikować i przekształcać odpowiedzi oraz stawiać fałszywe tezy, które potem stawały się prawdą absolutną dla innych mniej krytycznych dziennikarzy. Ciągłe powtarzanie „Bez komentarza” też nie było przyjemne. Ale konieczne. Szczególnie w tym wypadku.

Gunnar miał nadzieję, że cyfry, które pokazał mu dziś rano Ola Söderström, do czegoś ich zaprowadzą.

Zespół śledczy miał spotkanie o dwunastej. Spojrzał na srebrny zegarek na przegubie, brakowało pół godziny, postanowił więc w tym czasie zaspokoić głód. Policyjna stołówka była jedyną alternatywą, tam więc skierował kroki.

Janie trzęsły się ręce, gdy otwierała drzwi.

Będąc już w mieszkaniu, zrzuciła buty z nóg i osunęła się na podłogę, oparta plecami o drzwi. Siedziała tak przez dobrą chwilę.

Próbowała uspokoić oddech.

Wszystko działo się jak przez mgłę. Wymówiła się kłamstwem o pilnym spotkaniu i pospiesznie opuściła Zakład Medycyny Sądowej. Nie pamiętała nawet dobrze, jak dostała się do domu, jechała jak pijana i z trudem uniknęła zderzenia z samochodem, który poruszał się dużo wolniej, niż pozwalała maksymalna prędkość na autostradzie. Nie pamiętała nawet, gdzie zaparkowała samochód ani też jak dostała się do mieszkania.

Pomału się podniosła. Potknęła się o próg w drzwiach do łazienki i chwyciła brzeg umywalki. Drżała na całym ciele, szukając w łazienkowej komodzie kieszonkowego

lusterka. Zdenerwowała się, gdyż nie mogła go znaleźć, i wyrzuciła całą zawartość szuflady na podłogę. Jeden z flakonów perfum zbił się, płyn o słodkim zapachu pociekł na podłogę. Wyciągnęła kolejną szufladę i zaczęła nerwowo w niej grzebać. Cierpliwość skończyła się przy trzeciej szufladzie. Aerozole, kremy nawilżające i lakiery do paznokci — wszystko wylądowało na podłodze. Wyrzucała jedną rzecz po drugiej, oddech miała krótki, dyszała. W złości wyciągnęła całą szufladę i wywróciła ją do góry dnem. Zadzźwięczało, gdy zawartość rozsypała się po posadzce. Lecz lusterka tam nie było.

Jana zatrzymała się i zastanowiła. Torebka! Lusterko było w torebce! Przytrzymując się ręką ściany, dotarła z powrotem na korytarz i podeszła do szafy. Wymacała swoją ciemnoniebieską torebkę od Hermés i otworzyła zapięcie. Tam, w jednym z rogów, znalazła lusterko.

Chwyciła je i pospiesznie wróciła do łazienki. Stała przed lustrem ściennym i przez chwilę się zawahała. Serce łomotało, cała się trzęsa. Drżącymi rękoma odgarnęła włosy na bok, podniosła małe lusterko do karku i wstrzymała oddech.

Nie miała odwagi spojrzeć. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Gdy je otworzyła, ujrzała odbijające się w lustrze litery.

K-e-r-a.

Kera.

— Bóg śmierci — powiedziała Mia.

— Co? — spytał Henrik.

— Tanatos oznacza boga śmierci.

Mia powiększyła tekst w internetowej encyklopedii.

Jechali z Linköping do Norrköping, spieszyło się im. Spotkanie z Björnem Ahlmannem przedłużyło się, mogli teraz nie zdążyć na spotkanie zespołu wyznaczone na dwunastą.

Mia siedziała na fotelu pasażera i czytała na głos.

— Posłuchaj. Tanatos w greckiej mitologii to bóg śmierci. Był niesłychanie szybki i silny. Widok Tanatosa z odwróconą w dół pochodnią oznaczał, że ktoś umrze. Jeśli zaś trzymał pochodnię skierowaną ku górze, nie wszystko było stracone.

— Wierzysz w takie rzeczy? — spytał Henrik.

— Nie, ale do diabła, chłopak miał to imię wyryte na karku. Musi ono coś oznaczać.

— Może po prostu tak się nazywa.

— A może nie.

— W każdym razie nie mógł zrobić sobie tego sam, to jedno jest pewne.

— Może za pomocą lustra?

— Nie, litery nie byłyby takie proste.

— Ale kto tatuuje imię boga na karku dziecka?

— Nie wiem.

— Jakiś pieprznęty idiota.

— Albo kolega. Może należał do jakiegoś gangu?

Mia skasowała imię Tanatos i wpisała w wyszukiwarce nowe słowo.

Henrik zasygnalizował wyprzedzanie i zmienił pas. Jechał sto dziesięć kilometrów na godzinę, ani mniej, ani więcej. Mia prosiła go, by choć raz przycisnął trochę pedał gazu, lecz to było wbrew jego zasadom. Jedyne w wyjątkowej sytuacji był w stanie przekroczyć wyznaczoną granicę prędkości. Tylko raz zdarzyło mu się jechać za szybko. Wówczas pomylił się i sądził, że jedzie prawidłowo, utrzymując prędkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, nie zdając sobie sprawy, że w tym miejscu było ograniczenie do pięćdziesięciu. Całe szczęście po kilku minutach jazdy odkrył swój błąd.

Znak drogowy obwieścił, że do południowego zjazdu do Norrköping pozostało dziesięć kilometrów. Mia ciągle siedziała pochłonięta poszukiwaniami w sieci internetowej, a myśli Henrika powędrowały najpierw do martwego chłopca, potem do Jany Berzelius. Podczas oględzin ciała nagle wymówiła się spotkaniem i w pośpiechu opuściła salę. Henrikowi wydało się dziwne to nagłe wyjście. Zawsze zostawała najdłużej i stawiała masę pytań albo podawała w wątpliwość wnioski Björna Ahlmann.

Tym razem nie zadała ani jednego pytania, myślał. Ani jedno pytanie nie padło z jej ust podczas oględzin ciała.

Henrik zmarszczył czoło. Pewnie, że widok takiego małego ciała na stole sekcyjnym był straszny, ale czy Jana nie zbladła dopiero wówczas, gdy zobaczyła litery wyryte na karku? A może tylko to sobie wmawiał? W każdym razie oparła się wtedy rękoma o stół, choć to akurat wytłumaczyła niewygodnymi butami i obtartą piętą. Może i tak było. W jakim celu miałyby kłamać z takiego powodu? I dlaczego właściwie wydawało mu się podejrzanym jej zachowanie?

Gdy razem z Mią wszedł do sali spotkań trzydzieści sekund przed umówionym czasem, Jana była już na miejscu i siedziała jak zawsze w pełni skoncentrowana.

Obok niej zajęła miejsce Anneli, która teraz w pośpiechu przeglądała poranną gazetę.

Ola i Gunnar siedzieli z głowami blisko siebie i rozmawiali półgłosem.

Mia zajęła miejsce i od razu wyciągnęła rękę po stojący na stole termos z kawą.

Henrik usiadł koło Jany.

Gunnar wstał z krzesła i postukał zgiętym palcem wskazującym w stół.

— No dobrze, zespole. Czas wziąć się do roboty, zaczniemy od Mii i Henrika. Byliście w Zakładzie Medycyny Sądowej, możecie streścić to, czego się dowiedzieliście o obrażeniach?

Henrik skinął głową, splótł dłonie na stole i pochylił się do przodu.

— Björn potwierdził to, co już wiedzieliśmy. Chłopiec został zastrzelony od tyłu i wygląda na to, że wcześniej brutalnie go pobito. Björn stwierdził też, że chłopiec był

pod wpływem heroiny.

— Ale ile on miał lat? — zdziwił się Gunnar.

— Dziewięć lub dziesięć. Był uzależniony, na ramionach widnieją rany i stany zapalne.

— To przykre.

— Wystarczy raz spróbować i jest się w pułapce, bez względu na wiek. Heroina jest mocno uzależniającym narkotykiem — odezwał się Ola.

— Czy często się spotyka takich młodych narkomanów uzależnionych od heroiny? — spytał Gunnar.

— Możemy zobaczyć, co na ten temat znajdziemy w Internecie — powiedział Ola.

Przysunął do siebie komputer, otworzył stronę internetową z informacjami o heroinie i zaczął czytać na głos:

— Heroinę pozyskuje się z morfiny, ma ona wpływ na części mózgu odpowiedzialne za oddychanie. Zdarza się więc często, że osoby zażywające heroinę tracą przytomność albo umierają, ponieważ funkcja oddychania ustaje. Umiarkowana dawka heroiny nie obniża znacząco świadomości. Odczuwa się spokój, przyjemność, rozluźnienie i wesołość. Temperatura ciała obniża się nieco, działalność jelit ustaje, źrenice zwężają się, a nogi i ręce wydają się ciężkie. Potem człowiek staje się obojętny, niespokojny, nie może sobie znaleźć miejsca. Ze względu na działanie przeciwbólowe heroiny osoba zażywająca nie reaguje na stany zapalne i rzadko zgłasza się do lekarza z bólem albo odniesionymi obrażeniami. Mogą wystąpić też efekty uboczne, mdłości i wymioty. Odstawienie narkotyku wywołuje często reakcje takie jak nudności, bezsenność, drgawki, biegunka i bóle. U osób uzależnionych nierzadko dochodzi do komplikacji, takich jak zakażenia i zapadnięcia żył.

— Chłopiec miał straszną infekcję na przedramieniu — przerwał Henrik.

— Najczęściej heroina wstrzykiwana jest do ramienia. Ale można ją przyjmować również przez nos, pod język, drogą oralną, przez odbyt, albo paląc jak papierosy — przeczytał Ola.

— Ale to nie narkotyk sam w sobie jest niebezpieczny, nie jeśli używa się go w odpowiedni sposób. To styl życia jest szkodliwy, ciągła pogoń za pieniędzmi. A gdy tkwi się po szyję w gównie i nie ma się grosza, zaczyna się okradać kogo się da, nawet rodzinę i kumpli — powiedziała Mia.

— Więc chłopiec był w domu Hansa Juhléna, by go obrabować?

— To jedna z teorii.

— Porozmawiamy ze wszystkimi uzależnionymi od heroiny, wszystkimi byłymi dealerami, których znamy. — Gunnar podszedł do okna. Henrik oparł się o krzesło i przyglądał się postawie swojego szefa. Ręce splecione za plecami, broda uniesiona do góry i lekkie kołysanie się na stopach.

— Często handluje się narkotykami w dzielnicach z problemami — powiedziała Mia, przeciągając dłonią w tę i z powrotem po stole.

— Ale narkotyki są problemem dotyczącym wszystkich klas społecznych, prawda? — spytał Henrik.

— Tak, tylko że w bogatych dzielnicach takie problemy są lepiej ukrywane — odpowiedziała Mia. Spojrzała przy tym znacząco na Janę i się uśmiechnęła.

— Ale co skłania dzieci do sprzedawania narkotyków? — spytał Henrik.

— Pieniądze oczywiście — szybko odpowiedziała Mia. — Gdyby w wakacje była praca dla wszystkich nastolatków, nie musieliby stawać się dealerami.

— Więc uważasz, że młodzież zaczyna sprzedawać narkotyki, bo gmina nie zapewnia im wakacyjnej pracy? — spytała Jana. Po raz pierwszy zabrała głos podczas spotkania. Pochyliła się do przodu i utkwiała oczy w Mii.

— Nie mogę się nie uśmiechnąć. Praca to coś, co się zdobywa, a nie dostaje.

Mia zacisnęła szczęki i skrzyżowała ręce na piersiach. Ta prokuratorka może sobie iść do diabła.

— Mówimy tu jednak o dziesięciolatkę, takie małe dzieci nie pracują — powiedział Henrik z uśmiechem.

Mia spojrzała na niego z irytacją.

— Ale dlaczego dziesięciolatek miałby zajmować się narkotykami? Może go zmuszono? — spytał Ola.

— Zmuszono do sprzedawania? To możliwe — odpowiedział Henrik.

Gunnar wyciągnął swoje krzesło spod stołu, ale nie usiadł. Krzesło zaszurało o podłogę.

— Zostawmy lepiej spekulacje i skoncentrujmy się na czymś innym. Odciski opon, które znaleźliśmy na miejscu zbrodni, zostawiły opony Goodyear. Marathon 8. Nie wiemy, czy są to ślady białego samochodu dostawczego, który widział świadek. A tak przy okazji, wiemy o tym coś więcej?

— Tak, rozmawiałam z Gabrielem i według świadka był to opel — powiedziała Mia.

— Jaki model?

— Nie wiedział.

— Skąd więc wiedział, że był to opel?

— Pewnie go rozpoznał.

— Ale nie model?

— Nie, jak już mówiłam.

— Osiem litrów sześciennych? Dziesięć? Dwanaście?

— Mówił, że był mały.

— A jak on się nazywa, ten świadek?

— Erik Nordlund.

— Gdzie mieszka?

— Jansberg. Pracuje przy wycince lasu i widział, jak samochód przejechał koło jego domu z dużą prędkością. Mieszka przy Arkösundsvägen, kilka kilometrów przed

zakrętem do Viddviken.

— Ściągnijcie go tutaj natychmiast. Musiał widzieć, jaki to był rodzaj pojazdu. Wydrukuj wszystkie modele opla i daj mu je do ręki. Musimy odnaleźć ten samochód. Nawet jeśli nie jest on powiązany z morderstwem, to może kierowca widział coś istotnego.

Gunnar przeszedł koło mapy na ścianie.

Henrik śledził go wzrokiem, inni też.

Gunnar chwycił czerwony pisak i napisał na tablicy: Opel.

Zamknął pisak i odłożył na stół. Jego irytacja wzrastała, wszystko posuwało się zbyt wolno. Usiadł na swoim miejscu i próbował wziąć się w garść.

— Mówiłaś, że samochód jechał szybko — zwrócił się Henrik do Mii.

— Tak, według świadka jechał bardzo szybko — odrzekła Mia.

— Czy na drodze Arkösundsvägen nie ma fotoradarów? — spytał Henrik.

— Pewnie, że są.

— Więc jeśli ten samochód jechał bardzo szybko, to może został sfotografowany?

— Racja, brawo, Henriku. Musimy sprawdzić w sekcji kontroli ruchu, w ATK w Kirunie. Muszą wiedzieć, czy tamtego wieczoru zostało zarejestrowane jakieś przekroczenie prędkości — powiedział Gunnar.

Ola podniósł palec w górę.

— Ja się tym zajmę — oświadczył. — A więc porzuciliśmy teorię, że chłopiec przyplłynął łódką?

— Nie, ale nikt nie widział ani nie słyszał wówczas żadnej łódki w tamtej okolicy, więc najpierw zajmiemy się samochodem.

Gunnar skinął głową w stronę Oli.

— Oddaję ci głos.

— Okej.

Ola wystukał coś na klawiaturze, otworzył dokument z literami oraz cyframi i włączył projektor, ale na ekranie pojawił się tylko czarny prostokąt.

— A to co? — powiedział, wstając od stołu. — Jakiś problem z żarówką?

Poprawił czapkę i wszedł na stół, aby dosięgnąć do zamontowanego pod sufitem projektora.

Jana zerknęła na niego, oddychała przez nos, krótkimi, bezdźwięcznymi wdechami. Od wyjścia z domu walczyła z sobą, by się opanować. Była spokojna tylko z pozoru, tak naprawdę nie odzyskała jeszcze pełnej kontroli nad nerwami. Wiele razy cicho powtarzała sobie, że musi się skupić.

Wyciągnęła rękę po termos z kawą, który stał przed Mią. Mimo iż w jej wnętrzu wszystko było roztrzęsione, ruchy miała spokojne.

Mia rzuciła Janie nieprzyjazne spojrzenie, gdy ta przysunęła do siebie termos.

Ola ciągle grzebał pod sufitem, a reszta zespołu siedziała cicho, każdy pogrążony we własnych myślach. Tak jakby wszyscy próbowali znaleźć nowy trop w śledztwie.

Jana otworzyła aktówkę i wyjęła notatnik. Zapisała w nim słowa „opel” i „heroina”, a obok znak zapytania. Chwyciła filiżankę z kawą, przeciągnęła kciukiem po białej porcelanie i upiła łyk.

Ola przerwał ciszę.

— Okej, teraz powinien działać.

Zszedł ze stołu i obudził komputer, który przeszedł w tym czasie w stan czuwania. Na białym płótnie ukazały się dziwne kombinacje liter i cyfr.

Jana spojrzała na powiększony obraz. Otworzyła szeroko oczy, dziurki od nosa się rozszerzyły, a serce zaczęło bić szybciej. Zaszumiało jej w uszach, a sala spotkań zawirowała. Od razu rozpoznała pierwszą linijkę. Widziała ją już wcześniej. We śnie. Wielokrotnie.

VPXO 410009

— No więc znalazłem te kombinacje w komputerze Hansa Juhléna. Przejrzałem każdy folder i plik, ale ze wszystkich dokumentów na dysku twardym tylko to wydawało się dziwne. Hans Juhlén wpisywał te numery do wyszukiwarki i zapisał ten dokument wiele razy pod tą samą nazwą. Więc do czegoś używał tych kombinacji, ale nie wiem do czego. Nie mam też zielonego pojęcia, co mogą one oznaczać. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Wszyscy potrząsnęli przecząco głowami. Wszyscy oprócz Jany.

— Sam też próbowałem je wyszukać, ale do niczego nie dotarłem. Rozważałem wszystko: numer ewidencyjny, numer telefonu, numer identyfikacyjny. Nic nie pasuje.

— Może jego sekretarka coś wie? Albo żona?

— Henriku, ty sprawdź u Leny, Mio, ty u Kerstin. Spytajcie też Yusefa, czy coś wie. W obecnej sytuacji musimy porozmawiać ze wszystkimi. Prawda, Jano? — spytał Gunnar.

Pytanie zaskoczyło Janę.

— Co?

— Co o tym myślisz?

Jana zmusiła się do uśmiechu i odpowiedziała:

— Zgadzam się z tobą. Pracujemy dalej.

STAL ZIĘBIŁA W RĘKĘ.

Dziewczynka przełknęła ślinę i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę z brzydką blizną.

Znajdowali się w piwnicy. Zazwyczaj używano jej jako izolatki. Musieli tam siedzieć, gdy nie podołali jakiemuś ćwiczeniu, nie zjedli posiłku albo nie byli dość wytrzymali podczas biegu. Czasem też tylko dlatego, że któryś z dorosłych miał taką zachciankę.

Sama siedziała w izolatce dwa razy. Za pierwszym razem, gdy nie zrozumiała zasad i bez pozwolenia poszła do łazienki. Wtedy musiała przebywać w ciemnościach przez trzy dni i załatwiać swoje potrzeby na podłogę. Smród był taki, jaki zapamiętała z kontenera. Tylko to pozostało jej w pamięci z podróży z mamą i tatą. Pamięć o nich blakła z każdym mijającym dniem. Ale za pomocą kamienia wyryła ich twarze na ścianie, koło swojego łóżka. Oczywiście w takim miejscu, żeby inni nie widzieli, za małym biurczkiem, i każdego wieczoru odsuwała biurko na bok, by powiedzieć rodzicom dobranoc.

Po raz drugi trafiła do izolatki, gdy zdrapała strupek z rany na karku. Mężczyzna z blizną odkrył plamy krwi na rękawie i przeciągnął ją za włosy przez całe podwórze. Musiała wówczas siedzieć w piwnicy przez pięć dni. Pierwszą dobę prawie całą przespała, na drugi dzień rozmyślała o ucieczce, trzeciego dnia ćwiczyła kopnięcia i atak z nożem. Znalazła na podłodze małą deseczkę, która zastępowała jej nóż. Czwartą i piątą dobę spędziła na przeszukiwaniu tego ciemnego pomieszczenia. Rzadko opuszczała salę treningową, dlatego przebywanie w piwnicy było zarówno straszne, jak i interesujące. Z ciekawością zbadała każdy szczegół. Podobał jej się szczególnie stary warsztat przy jednej ze ścian. Stały na nim puszkami z farbą i różnej wielkości plastikowe pojemniki, obejrzała wszystkie bardzo dokładnie. Na innej ścianie znajdowały się dwie półki z kartonami i gazetami. We wnęce pod schodami stał zardzewiały rower, a przed nim leżała brązowa walizka. O poręcz schodów były oparte drzwi, obok nich stał stółek. Dziewczynka stwierdziła, że wszystko było na swoim miejscu, nikt nic nie ruszał, odkąd była tu ostatnim razem.

— Nadszedł czas — powiedział mężczyzna z brzydką blizną. — Teraz masz mi udowodnić, że zasługujesz na bycie moją córką. Dzisiaj cel jest inny niż zwykle.

Mężczyzna skinął na kobietę, która stała na najwyższym stopniu oparta o ścianę. Kobieta otworzyła drzwi i wpuściła Minosa. Szedł pomału, próbując przyzwyczaić oczy do ciemności.

— To jest twój cel — powiedział do niej mężczyzna.

Gdy Minos to usłyszał, zatrzymał się na schodach. Nagle zapomniał wszystkiego, czego się nauczył, ogarnęła go panika i rzucił się z powrotem do góry, w stronę drzwi. Ale kobieta, która tam stała, wyciągnęła pistolet, wymierzyła go w głowę chłopca

i zmusiła do zejścia na dół.

Minos prosił, błagał o litość.

Rzucił się do stóp mężczyzny z płaczem.

Mężczyzna odsunął go kopniakiem.

— Jesteś przegrany. Gdybyś zrobił to, co miałeś zrobić, stałbyś tu teraz na miejscu Kery. Tylko najsilniejsi przeżywają, a ona do nich należy.

Oczy Minosa wypełniało przerażenie.

Kłęczał i się trząsał.

Mężczyzna podszedł do dziewczynki, chwycił ją za włosy i przechylił głowę do tyłu. Ciągnął mocno, żeby pokazać, że nie żartuje, patrząc jej przy tym w oczy.

— Wkrótce nic nie będziesz widziała. Wtedy musisz używać innych zmysłów, rozumiałaś?

Zrozumiała. Serce zaczęło jej bić szybciej.

— Chcę być z ciebie dumny — wyszeptał mężczyzna.

Schody skrzypiały, gdy mężczyzna i kobieta opuszczali piwnicę. Gdy drzwi się zamknęły, od razu zacisnęła dłonie na pistolecie i uniosła go.

Otoczyła ją ciemność. Nie lubiła ciemności i walczyła z nią, oddech przyspieszył. Miała ochotę krzyżeć, ale wiedziała, że odpowiedziałoby jej tylko echo. Głuche echo. Serce zaczęło łomotać. Ciemność niechętnie zaczęła się poddawać.

Nagle usłyszała, jak Minos potrącił rower, uznała więc, że schował się pod schodami. Spróbowała się uspokoić. Głęboko oddychała. Uda się jej, pokona ciemność. Uspokoiła oddech, wciągnęła powietrze przez nos. W pełnej koncentracji pochyliła głowę i nasłuchiwała dźwięków. Lecz wszędzie było cicho. Ogłuszająco cicho.

Zrobiła krok do przodu, zatrzymała się i znów nasłuchiwała. Jeszcze jeden krok do przodu i jeszcze jeden. Gdzieś za trzy kroki dojdzie do schodów, potem będzie musiała zrobić jeden krok w bok, żeby je minąć i dotrzeć do kryjówki Minosa.

Wyciągnęła rękę, by chwycić się poręczy, w głowie liczyła kroki. Jeden, dwa, trzy. Poczula pod dłonią popękane drewno. Po kolejnych trzech krokach puściła poręcz i na ślepo wyciągnęła rękę przed siebie. Robiąc kolejny krok, kopnęła niechcący leżącą na podłodze walizkę i aż drgnęła od wywołanego tym hałasu. Jednocześnie usłyszała, że Minos wyczołgał się spod schodów i przebiegł koło niej. Z pistoletem przed sobą podążyła za dźwiękiem, od prawej do lewej. Ale ucichł on tak samo szybko, jak powstał. Jej oddech przyspieszył od wysiłku, zamknęła usta, by móc lepiej słyszeć. Gdzie on teraz jest? Pomału przekręciła głowę, by usłyszeć swój cel. Przeszukiwała wszystko w pamięci. Może schował się pod warsztatem? Albo koło półek?

Czekała w bezruchu.

Było cicho.

Czekała na jakiś sygnał, oddech albo ruch. Ale o wiele za długo słyszała tylko

wibrującą ciszę.

Wiedziała, że istnieje ryzyko, iż zostanie napadnięta.

Może Minos stał teraz za jej plecami?

Ta myśl sprawiła, że się obróciła. Zaczęła się pocić, wilgotne ręce ogrzewały stal. Musiała coś zrobić. Nie mogła tak stać i czekać na niego.

Klepisko było nierówne, ostrożnie wyciągnęła jedną stopę przed siebie, by nie stracić równowagi. Potem przysunęła drugą.

A następnie zatrzymała się. Czekala. Krok do przodu i jeszcze jeden. Odwracała się w prawo i w lewo, cały czas z pistoletem przed sobą. Inne zmysły pracowały podwójnie, by zastąpić wzrok.

Wyciągnęła rękę i poczuła twardą powierzchnię warsztatu. Miał dwa metry długości. Szła, sunąc ręką po warsztacie. Gdy doszła do końca, zatrzymała się.

I wtedy go usłyszała.

Oddech.

Sygnał.

Zareagowała instynktownie i skierowała pistolet w stronę, z której doszedł dźwięk. W tej samej chwili poczuła silne uderzenie w ramię, straciła równowagę i zdekoncentrowała się. Drugie uderzenie było boleśniesz, prosto w głowę, uniosła rękę, by chronić się przed dalszymi ciosami. Nie mogła wypuścić broni z ręki.

Minos był blisko, niebezpiecznie blisko. Jego wściekłość była straszna. Uderzał ją raz po razie. Dziewczynka próbowała utrzymać się na nogach, skoncentrować. Gdy Minos zebrał siłę do ostatniego uderzenia, zareagowała. Wymierzyła cios w ciemność i trafiła. Minos zajęczał.

Powtórzyła uderzenie, tym razem pistoletem. Za trzecim razem trafiła go w skroń i usłyszała głucho uderzenie, gdy upadł na ziemię.

Chwyciła pistolet w obie ręce i wymierzyła go w podłogę.

Minos jęczał. Jego głos był zimny jak metal, ciężła ciemność jak nóż.

Nagle ogarnął ją spokój. Czwała się silna, bardziej świadoma swojej egzystencji niż kiedykolwiek wcześniej. Nie bała się już ciemności.

— Nie rób tego — błagał Minos. — Proszę cię, nie rób tego. Jestem przecież twoim przyjacielem.

— Ale ja nie jestem twoim — odpowiedziała i strzeliła.

GDY ERIK NORDLUND WCHODZIŁ do komendy policji, miał nadzieję, że spotkanie zajmie najwyżej dziesięć minut. W najgorszym wypadku.

Przy recepcji tłoczyło się mnóstwo ludzi. Większość z podaniami o paszport.

Umundurowana kobieta zarejestrowała jego przybycie, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Henrika Levina.

W ciągu minuty był już na dole.

— Komisarz policji kryminalnej Henrik Levin. Witam. I cieszę się, że pan przybył.

Uścisnęli sobie dłonie, pojechali windą na trzecie piętro i przeszli korytarzem do jednego z pomieszczeń biurowych.

— Kawy?

— O, bardzo chętnie.

— Mleko, cukier?

— Cukier.

— Proszę usiąść, zaraz wrócę.

Erik zajął miejsce i spojrzał na pomieszczenia biurowe widoczne za szklaną ścianą. Około dziesięciu policjantów i policjantek siedziało za biurkami i pracowało. Telefony dzwoniły, prowadzono rozmowy, szumiały kopiarki, stukały przyciski klawiatury. Erik nie miał zrozumienia dla pracy biurowej i siedzenia w bezruchu. Nagle zatęsknił do swojej ciężkiej fizycznej pracy w lesie.

Rozważał zdjęcie z siebie ocieplanej kurtki, ale zmienił zdanie, to przecież będzie tylko króciutkie spotkanie. Wejść, opowiedzieć policji o tym, co widział, i wyjść.

Zobaczył komisarza nadchodzącego z dwiema filiżankami kawy. Gdy policjant wszedł do środka, rysunek przyklejony taśmą klejącą do drzwi załopotał od ruchu powietrza. Zielony duch narysowany ręką dziecka. Myśli Erika powędrowały od razu do trojga wnucząt, które każdego tygodnia wysyłały mu rysunki, składając je wielokrotnie i wkładając do o wiele za małej koperty. Najczęściej rysowały słońce i drzewa, kwiaty, no i czasem jakąś łódkę. Albo samochód. Ale nigdy duchy.

Odebrał filiżankę od Henrika i od razu upił łyk. Gorący płyn parzył w gardło.

Komisarz usiadł i wyjął notatnik. Jako że pierwsze pytanie dotyczyło zawodu Erika, zaczęli rozmawiać o ścinie.

— Większość drzew ma naturalny kierunek obalania. — Erik odstawił filiżankę i zaczął gestykulować. — A na ten kierunek mają wpływ pochylenie drzewa, kształt korony i kierunek wiatru. Pokrywa śnieżna może przysporzyć wielu kłopotów przy ocenianiu kierunku obalania, a tegoroczna zima była okropna.

Henrik pokiwał głową ze zrozumieniem. Zima była mroźna i w wielu miejscach odnotowano rekordowe opady śniegu.

Erik kontynuował z entuzjazmem:

— Podstawą bezpiecznego obalenia drzewa jest dobra zawiasa. Zbyt szeroka

zawiasa powoduje, że drzewo spada z oporem, co daje gorszy efekt zawiasów. Lecz wąska zawiasa jest jeszcze gorsza, bo pojawia się ryzyko, że pęknie i drzewo spadnie niekontrolowane. Można zostać porządnie poszkodowanym, gdy nie robi się pewnych rzeczy jak należy. Z naturą nie ma żartów. Bum! — Erik uderzył dłonią o dłoń. — W ten sposób można znaleźć się pod pnem ze złamaną nogą lub czymś innym. Jeden z chłopaków został uderzony brzozą, która się złamała. Był nieprzytomny przez kilka minut, zanim udało się nam przywrócić go do życia.

Erik przyciągnął do siebie filiżankę i upił jeszcze jeden łyk kawy.

Henrik skierował wówczas rozmowę na istotne dla śledztwa sprawy.

— Widział pan więc samochód dostawczy?

— Tak.

— W ubiegłą niedzielę?

— Zgadza się, około ósmej wieczorem.

— Jest pan tego pewien? I godziny też?

— Całkowicie.

— Według Gabriela i Hanny, którzy pana wczoraj odwiedzili, stwierdził pan, że był to opel. Czy to się zgadza?

— Jak najbardziej.

— I jest pan tego całkowicie pewien?

— Tak. Sam kiedyś miałem opła, proszę zobaczyć.

Erik odpiął od pasa pęk kluczy i pokazał metalowy breloczek z nazwą samochodu.

— Opel. A teraz mam taki. — Erik wyszukał w pęku kluczy znaczek volvo, też metalowy.

Henrik skinął głową.

— Gdzie go pan widział? Tego opła?

— Na drodze przed moim domem. Jechał bardzo szybko.

— Jeśli przyniosę mapę, czy wskaże mi pan dokładne miejsce, gdzie pan widział samochód i w którym jechał kierunku?

— Oczywiście.

Henrik zniknął na chwilę i wrócił z mapą, którą rozwinął na stole.

Erik wziął do ręki marker, wyszukał swój dom i zrobił czerwony krzyżyk oraz strzałkę na drodze, którą na mapie zaznaczono brązową linią.

— Tu go widziałem, dokładnie tutaj. Jechał w stronę morza.

— Dziękuję. Czy udało się panu dostrzec kierowcę?

— Nie, zostałem oślepiony przez światła samochodu. Nic nie widziałem poza kolorem samochodu i marką.

— Rejestracja?

— Też nie dostrzegłem.

— Czy zwrócił pan może uwagę na jakiś inny samochód?

— Nie. O tej porze na drodze jest pusto. Czasem przejedzie tylko jakaś ciężarówka.

Henrik zamilkł. Siedzący przed nim mężczyzna wydawał się wiarygodny. Miał na sobie czerwone ubranie robocze, a na nim niezapiętą kamizelkę odblaskową. Jasnowłosa, czoło wysokie. Twarz ogorzała. Zmarszczki zarówno na czole, jak i dookoła oczu, i Henrik zgadywał, że mógł mieć sporo ponad sześćdziesiątkę.

Komisarz złożył mapę i wyjął stertę wydrukowanych zdjęć samochodów dostawczych marki Opel.

— Wiem, że nie pamięta pan modelu samochodu, ale chciałbym, aby przyjrzał się pan w spokoju tym zdjęciom i spróbował się zastanowić, czy mógł to być któryś z tych pojazdów.

— Ale ja nie widziałem...

— Wiem, lecz proszę obejrzeć zdjęcia, bez pośpiechu. Ma pan na to tyle czasu, ile będzie panu potrzeba.

Erik westchnął. Rozpiął zamek kurtki, zdjął ją i powiesił na oparciu krzesła.

To nie będzie jednak krótkie spotkanie.

Jana Berzelius odczuwała lekkie mdłości. Oparła głowę na rękach, próbując zebrać myśli. Była roztrzęsiona.

Imię na karku chłopca poruszyło ją w sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Wiedziała, co ono oznaczało, i nie mogła pojąć, że chłopiec miał je wyryte na karku.

To nie mogło być prawdą.

Nie miało prawa się zdarzyć.

Usiadła na brzegu łóżka firmy Hästen w swojej sypialni. Pokój wydał jej się malutki. Ciasny. Duszący.

Próbowała zebrać myśli, ale nie mogła, znajdowała się w stanie intelektualnego paraliżu. Rozum odmawiał współpracy. Gdy w końcu miała dość sił, by przejść do kuchni, poczuła, jak drżą jej ręce. Wypicie szklanki wody nie poprawiło sytuacji. W lodówce też nie było niczego, co mogłoby pomóc. Uczucie mdłości było zbyt silne, Jana odrzuciła więc myśl o jedzeniu. Zamiast tego włączyła ekspres do kawy.

Z filiżanką w ręku wróciła do sypialni i ponownie usiadła na łóżku. Postawiła filiżankę na stoliczku nocnym, otworzyła znajdującą się pod nim szafkę i wyjęła z niej jeden z czarnych notesów, które tam przechowywała.

Pomału przeglądała narysowane przez siebie obrazy i symbole, które widywała w snach. Strzałki, koła i litery zapisane w równych rzędach. Były też strony, na których znajdowały się rysunki, niektóre z nich miały zapisaną obok datę. Najstarszą datą, widniejącą obok szkicu twarzy, był dwudziesty drugi września 1991 roku. Miała wtedy dziewięć lat i w celach terapeutycznych poradzono jej zapisywanie ciągle powtarzających się snów. Jana opowiedziała ojcu i matce o swoich przerażająco realistycznych snach, ale Karl i Margaretha Berzelius stwierdzili, że są one zbyt fantazyjne. Że to są tylko jej wymysły. Zwrócili się do psychologa, który miał jej pomóc „wyjść z tego okresu”, jak to nazwali.

Nic to jednak nie pomogło. Sny męczyły ją do tego stopnia, że próbowała wszystkiego, by nie zasypiać. Ciągły lęk, uczucie duszności i zwątpienia niemalże załamały ją psychicznie.

Gdy rodzice wieczorami opuszczali jej pokój po powiedzeniu dobranoc i zgaszeniu światła, otwierała oczy i zastanawiała się, jak przetrzymać całą noc bez spania. Lubiła zabawy w ciemności i często galopowała palcami po kołdrze, modelując ją tak, by powstały małe przeszkody do skakania.

Chodziła też w ciemności po pokoju albo siedziała w głębokim oknie i spoglądała na ogród. Wyciągała się w górę, ku sufitowi, odległemu od podłogi o trzy metry, albo robiła się taka mała, jak tylko się dało, wciskając się pod szerokie łóżko. Psycholog powiedział jej, że ma dać sobie czas i że sny pomału same znikną.

Ale tak się nie stało.

Było tylko coraz gorzej.

Po kolejnych kilku tygodniach ciągłego czuwania ojciec Jany zaczął zastanawiać się, czy nie należałoby jej podawać leków. Chciał wyleczyć głupoty córki. Nocny odpoczynek należy przecież do podstawowych potrzeb człowieka i każdy idiota potrafi spać.

W końcu Karl Berzelius zaciągnął ją do szpitala, gdzie dostał od lekarza pudełko tabletek nasennych.

Działanie środka nasennego było krótkie, a do tego miało, niestety, efekty uboczne. Jana straciła apetyt i zdolność koncentracji, a jej nauczycielka w poufnej rozmowie z matką Jany zdradziła, że dziewczynka zasnęła na dwóch lekcjach. Powiedziała też, że prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy z Janą nie miało sensu, a gdy prosiło się ją o rozwiązanie działania matematycznego, w odpowiedzi słyszało się niewyraźne mamrotanie. Mając na uwadze ambitne plany, jakie mają wobec córki Karl i Margaretha Berzelius, powinni jakoś zapanować nad tą sytuacją. I to natychmiast.

Ospałość była dla Jany straszna. Nie mogła jasno myśleć i wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Dlatego odstawienie tabletek oznaczało dla niej zwycięstwo.

Ponieważ nie chciała już więcej iść do szpitala ani spotykać się z psychologiem, skłamała swoim rodzicom, że sny zniknęły. Nawet psycholog przełknął kłamstwo.

Od tamtego czasu Jana zamknęła się w sobie. Każdego wieczoru ćwiczyła przed lustrem uśmiech i zduszała własne ja, naśladowując gesty innych osób, ich język ciała i mimikę. Uczyła się reguł gry społecznej.

Karl Berzelius z zadowoleniem poklepał ją po głowie i powiedział, że jest dla niej nadzieja. Kłamiąc, że wszystko jest dobrze, nie musiała nigdy więcej poddawać się analizie.

Ale śniła.

Każdej nocy.

Klucze zabręczały o skrzynkę pocztową przy otwieraniu. Mia Bolander wzięła do

ręki plik korespondencji i szybko przejrzała zaklejone koperty. Same rachunki.

Westchnęła, zamykając skrzynkę, i szybko wbiegła po schodach do mieszkania na drugim piętrze. Kroki odbijały się echem po klatce schodowej. Drzwi wejściowe zaskrzypiały. Wyciągnęła znajdującą się w korytarzu szufladę i położyła listy na stercie innych nieotwartych rachunków. Zamknęła drzwi na klucz, zdjęła trapey i rzuciła kurtkę na podłogę.

Była siódma, za godzinę mają się spotkać w pubie Harrys.

Mia poszła prosto do sypialni i ściągnęła z siebie ubranie. Wyszukała sukienkę, którą kupiła na wyprzedaży świątecznej przed trzema laty.

Musi się nadać.

Weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Z ponurą miną stwierdziła, że nie było w niej nic nadającego się do picia. Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Sklep alkoholowy Systembolaget był już zamknięty. A niech to cholera.

Zduśiła w sobie impuls, by pójść do najbliższego sklepu i kupić słabe piwo. Zamiast tego zaczęła szukać pod zlewem, między środkami czystości, w szafce z naczyniami i między wazonami. Sprawdziła nawet mikrofalówkę w nadziei znalezienia czegoś do picia. Na koniec otworzyła drzwi do spiżarni, gdzie za bochenkiem chleba Skogaholmslimpa stała puszka carlsberga. Data ważności już minęła, ale tylko kilka miesięcy temu, więc musiało się nadać z braku czego innego. Otworzyła puszkę i szybko przyłożyła usta do otworu, aby piana nie wyciekła na podłogę. Utlenienie zmieniło piwo, było kwaśne i miało posmak mokrej tektury.

Mia skrzywiła nos, otarła usta dłonią i wróciła do sypialni. Upięła włosy w kok, wzięła jeszcze jeden łyk piwa i wzdrygnęła się od ziemistego smaku.

W łazience postanowiła, że zrobi sobie mocny makijaż. Niebieski cień do powiek w dwóch zniuansowanych odcieniach i czarny tusz do rzęs. Dużym pędzlem do różu goniła po wnętrzu pudełka resztkę znajdującego się tam pudru. Wypracowała ciemny odcień pod kośćmi policzkowymi i z zadowoleniem przyjrzała się wysmuklającemu efektowi, jaki przez to uzyskała.

Z piwem w ręku usiadła w pokoju dziennym. Zostało jej czterdzieści minut.

Nagle pojawiła się myśl o pieniądzach. Dziś był dziewiętnasty, do wypłaty brakował niecały tydzień. Wczoraj miała na koncie siedemset koron, ale to było przed wyjściem.

Ile wydała wczoraj wieczorem? Dwieście?

Wstęp, parę piw, kebab.

Może trzysta?

Energicznie wstała z tapczanu, opróżniła puszkę i zostawiła ją na stole w pokoju dziennym. W szafie wyszukała parę butów na wysokim obcasie, podniosła kurtkę z podłogi i zeszła po schodach.

Zimny wiatr smagał jej gołe nogi, gdy szła w ciemności między domami. Mogła pojechać tramwajem, ale idąc pieszo, oszczędzała ponad dwadzieścia koron.

Z Sandbyhov do centrum było zaledwie piętnaście minut szybkim krokiem.

Zaburczało jej w brzuchu, gdy mijała knajpkę Gyllengrillen. Zapach jedzenia dotarł do jej nozdrzy, a na szyldzie widniały nazwy serwowanych potraw: hamburger, hot dog, frytki...

Przebieła na ukos podwójne tory tramwajowe. Na rogu ulic Breda vägen i Hagagatan znalazła bankomat. Zażądała jedynie informacji o stanie konta, maszyna zamruczała w odpowiedzi i wydrukowała saldo na karteczce, która po chwili pojawiła się w otworze bankomatu. Wyciągnęła kartkę i przeczytała. Trzysta pięć koron, widniało na samym dole. A więc wczoraj wydała więcej, niż myślała. Dzisiaj musi być oszczędna. Tylko jedno piwo. Najwyżej dwa. Wtedy pieniądze starczą też na jutro.

Jak nie, to od kogoś pożyczę, pomyślała Mia. Jak zawsze.

Zmięła kartkę w dłoni, rzuciła ją na ziemię i skierowała się ku centrum miasta.

Pierwszy notes miał dwieście stron, a w szafce stolika nocnego znajdowało się kolejnych dwadzieścia jeden. Rok snów w każdym. Jana przewróciła kartki do końca i rozwinęła rysunek, który zrobiła, gdy była mała. Przedstawiał zabarwiony na czerwono nóż.

Zamknęła zeszyt, z zamyśleniem wyjrzała przez okno i ponownie go otworzyła, na innej stronie, z literami i cyframi.

VPXO410009.

To była ta sama kombinacja, którą pokazał jej Ola Söderström. Którą pokazał zespołowi. Dzisiaj.

Wstała z zeszytem w dłoni i poszła do najmniejszego pokoju w mieszkaniu. Otworzyła kluczem drzwi prowadzące do tej komórki. Przekształciła niewielką przestrzeń w miejsce, w którym zbierała wszystko, co mogło pomóc jej zrozumieć swoją przeszłość. Dotychczas miała tylko sny i rysunki.

Zapaliła światło i stanęła na środku pomieszczenia. Rozejrzała się dookoła. Pokój miał około dwudziestu metrów kwadratowych. Na dwóch ścianach wisiały korkowe tablice pełne obrazów, fotografii i szkiców. Na innej ścianie widniała biała tablica cała zapełniona zapiskami. Pod nią znajdowało się malutkie biurko i krzesło, a obok stał sejf. Pokój nie miał okien, ale lampy diodowe na suficie jasno go oświetlały.

Nigdy nikomu nie pokazała tego pokoju, rodzice najprawdopodobniej zamknęliby ją w szpitalu dla psychicznie chorych, gdyby się o nim dowiedzieli. Nawet Per nic nie wiedział o jej poszukiwaniach. Nigdy nikomu nie pisnęła o tym słówkiem. To była jej sprawa, jej prywatna sprawa.

Wszystko w pokoju dotyczyło zagadki jej wcześniejszego życia. Nic nie wiedziała o swoim dzieciństwie, nie miała pojęcia, co się z nią działo, zanim skończyła dziewięć lat. Zanim została adoptowana.

Prawda była taka, co stwierdziła już dawno temu, że lubiła grzebać w przeszłości. Robiła to, odkąd mogła sięgnąć pamięcią. Te poszukiwania dawały jej satysfakcję,

było to jak skomplikowana gra, z tą różnicą, że chodziło w niej o nią samą. Gdy była dzieckiem. A teraz pojawił się jeszcze jeden gracz. Tanatos. Wydawało jej się to zupełnie absurdalne, nierzeczywiste.

Jana odłożyła notatnik na biurko, podszła do jednej z tablic i zaczęła przyglądać się znajdującym się tam informacjom. Na samej górze wisiał obrazek przedstawiający grecką boginię. Znalazła go w książce, na którą przez przypadek natrafiła w jednym z antykwariatów Uppsali.

Podczas swoich studiów w tym historycznym mieście korzystała zarówno z biblioteki miejskiej, jak i uniwersyteckiej. Najczęściej przebywała jednak w bibliotece prawniczej. Siedziała zawsze na tym samym miejscu, w sali Locceniusa, w rogu, plecami zwrócona w stronę półek z książkami, mając po lewej stronie wysokie okno. Stamtąd widziała całą czytelnię i wszystkich wchodzących i wychodzących studentów. Powierzchnia biurka przeznaczona dla każdego studenta była ograniczona. Miała do dyspozycji jeden metr kwadratowy i zieloną lampę emanującą łagodnym światłem. Teksty prawnicze nie zajmowały na jej biurku zbyt wiele miejsca, za to prawie cała powierzchnia obłożona była książkami o mitologii greckiej.

W ciągu minionych stuleci w bibliotece uniwersyteckiej w Uppsali zgromadzono duże, cenne zbiory i unikalne dzieła. Jana odnalazła literaturę opisującą ogólnie mitologię grecką i skupiającą się przede wszystkim na boginiach. Szczególnie interesowały ją boginie śmierci i gdy tylko znajdowała teksty, które miały znaczenie dla jej poszukiwań, kopiowała je i później przyklejała w swoim mieszkaniu studenckim. Takie pozycje jak *The Goddess*, *Imaginary Greece* i *Personification in the Greek Mythology* były jej wieczną lekturą.

Wszystkie interesujące teksty przepisywała. Wszystkie ważne ilustracje kopiowała. I próbowała zrozumieć istniejące powiązania.

Tym, co łączyło jej naukowe poszukiwania, było jedno jedyne imię.

Imię, które miała wyryte na karku.

Kera.

Cały wolny czas poświęciła na rozwiązanie zagadki swojego mistycznego tatuażu, ale jak dotychczas donikąd nie doszła. Gdy po raz pierwszy sprawdziła znaczenie imienia, dowiedziała się, że Kera była boginią gwałtownej śmierci. Wyjaśnienie znalazła w encyklopedii Nordisk Familjebok.

Przejechała wzrokiem po rzędzie książek, równiutko ustawionych na półce znajdującej się w pokoju. Odszukała encyklopedię i zdjęła ją z półki, a następnie otworzyła na stronie, gdzie ciągle widniała żółta samoprzylepna karteczka. Przyłożyła palec do wersu zaznaczonego ledwo widocznym krzyżykiem. „Kery”, głosił napis. Jana czytała dalej: „*Mit. gr.* Antyczni Grecy nazywali tak boginię śmierci lub boginię gwałtownej śmierci. U Hezjoda w jednym miejscu wspomniana jest tylko jedna Kera, córka nocy i siostra śmierci (Tanatosa)...”

Jana zatrzymała się.

Tanatos!

Usiadła i położyła książkę na biurko. Wyciągnęła rękę, odczepiła kartkę A4 z tablicy i przeczytała tekst o tytule: „Mitologia grecka — bogowie śmierci”. Na liście znajdowało się ze trzydzieści imion, a na trzecim miejscu widniało imię chłopca.

Tanatos.

Mdłości od razu powróciły.

Oparła się na krzesło i głęboko wciągnęła powietrze. Po krótkiej chwili wstała i podeszła do drugiej tablicy. Na białym arkuszu znajdowała się kombinacja liter i cyfr. Były powiększone, a obok wisiało zdjęcie kontenera.

Jej najstarsze wspomnienia dotyczyły tabliczki z literami i cyframi oraz niebieskiego kontenera. Przyjęła więc, że kombinacja była nazwą kontenera i próbowała znaleźć coś na jednej z milionów stron internetowych, lecz bez rezultatów. Nigdy nie próbowała szukać w innych źródłach.

Od dawna nie była w swoim sekretnym pokoju. Postanowiła, że tak będzie lepiej. Że lepiej przestać szukać odpowiedzi, skoro i tak za każdym razem natrafia na ślepą uliczkę.

Jednak teraz stała przed ważną kwestią. Może nadszedł czas, by powrócić do poszukiwań? Spróbować znaleźć ostateczną odpowiedź?

Chłopiec był ważnym kawałkiem układanki. Może dzięki niemu rozwiąże tajemnicę, która naznaczyła całe jej życie: dlaczego miała imię wyryte na karku. Kombinacja była kolejnym ważnym tropem. Czy któryś z tych tropów zaprowadzi ją do prawdy? A może i jeden, i drugi? Albo oba razem?

Przerwała rozmyślenia. To, że w rękach policji znajdowały się te same cyfry i liczby, nie zachwycało jej i nie za bardzo wiedziała, jak się ma do tego odnieść. Czy powinna się cieszyć z pomocy w poszukiwaniach? A może powinna im opowiedzieć o własnych badaniach? Pokazać szkice? Rysunki? Imię na karku? Nie. Jeśli tylko wyszłoby na jaw, że miała osobiste powody, by prowadzić to śledztwo, zostałaby wykluczona z postępowania z natychmiastowym skutkiem.

Jana ponownie usiadła. Czowała się dezorientowana. Myśli krążyły jej w głowie.

Dlaczego zarówno ona, jak i chłopiec mieli wyryte na karku imię z tej samej mitologii? I jak to było możliwe, że szef urzędu imigracyjnego miał tę samą kombinację cyfr i liter, którą widziała w snach? Musiała coś zrobić z tymi kawałkami układanki, które się pojawiły. Musiała dostać odpowiedź. Teraz albo nigdy.

Ale jaki powinien być kolejny krok? Od którego tropu najlepiej zacząć? Od chłopca czy od kombinacji?

Po dwóch godzinach rozmyślań zdecydowała się. Wstała z miejsca, zamknęła pokój na klucz i poszła do sypialni.

Na kawie, zostawionej na stoliku nocnym, utworzył się cienki kożuszek.

Rozebrała się, weszła do łóżka i zgasiła światło. Była zadowolona z podjętej

decyzji.

Naprawdę zadowolona.

PIĄTEK 20 KWIETNIA

MATS NYLINDER wczesnym rankiem dopadł Gunnara Öhrna przed komendą policji.

Podczas bezwietrznej i bezchmurnej nocy ziemię pokrył szron i przypominające płatki śniegu wzory ozdobiły kamienne płytki przed wejściem. Kryształki lodu zbiły się w grudki na biurowych oknach, a bezlistne łodygi wystające z rabatek stały się srebrzyście białe.

Mats Nylinder był reporterem gazety „Norrköpings Tidningar” i Gunnar uważał, że za bardzo angażował się on w zdobywanie wiadomości. Miał denerwujący, napastliwy sposób bycia, który można było porównać do zachowania zestresowanego gryzonia. Natomiast z wyglądu przypominał gruboskórnego członka gangu motocyklowego. Był niski, miał włosy związane w kucyk i zawsze ubierał się w brązową, skórzaną kamizelkę. Na szyi nosił niedużą lustrzanekę.

— Gunnarze Öhrn, proszę, niech pan poczeka! Mam kilka pytanek! W jaki sposób został zamordowany chłopiec?

— Nie mogę podawać takich szczegółów — odpowiedział Gunnar, przyspieszając kroku.

— Jakiej użyto broni?

— Bez komentarza.

— Czy chłopiec został wykorzystany seksualnie?

— Bez komentarza.

— Czy są jacyś świadkowie?

Gunnar nie odpowiedział; był już przy drzwiach do komendy policji.

— Co sądzicie o tym, że Hans Juhlén wykorzystywał seksualnie osoby ubiegające się o azyl?

Gunnar przystanął z ręką na drzwiach. Odwrócił się.

— Co ma pan na myśli?

— To, że płacił za seks kobietom pochodzącym z innych krajów. Poniżał je.

— Nie mam zamiaru tego komentować.

— Gdy ta historia o kupowaniu usług seksualnych wyjdzie na jaw, zrobi się z tego sensacja na wielką skalę. Musi pan chyba coś na ten temat powiedzieć?

— Moją pracą jest wyjaśnianie przestępstw, a nie zajmowanie się sensacjami — powiedział Gunnar zdecydowanym głosem, znikając w wejściu.

Wszedł po schodach i skierował się prosto do kuchni. Podeszedł do automatu i już po chwili trzymał w ręku filiżankę gorącej kawy, z którą udał się do swojego biura.

W skrzynce pocztowej leżała sterta dokumentów, nadawcą było Centralne Laboratorium Kryminalistyczne.

— Zabrałeś ze sobą karton?

Anneli Lindgren zaskoczyła go. Stała oparta o ścianę z jedną nogą założoną na drugą. Miała na sobie beżowe bawełniane spodnie, białą obcisłą bluzkę i rozpinany sweterek w tym samym kolorze. Dookoła nadgarstka wisiała pleciana złota bransoletka, którą dostała w prezencie urodzinowym. Od Gunnara.

— Nie, znów zapomniałem. Sama musisz po niego przyjechać.

— Kiedy?

Gunnar podał Anneli filiżankę z kawą.

— Masz, przytrzymaj.

Anneli chwyciła filiżankę za brzegi, żeby się nie poparzyć.

Gunnar wziął stertę papierów ze swojej przegródki, przejrzał je i zamruczał zadowolony.

— Kiedy mogę po niego przyjechać? — powtórzyła pytanie Anneli, pochylając się w stronę Gunnara, aby ściągnąć jego uwagę.

— Po karton? — powiedział, nie odrywając oczu od dokumentów.

— Tak.

— Ehm...

— Kiedy mogę po niego przyjechać?

— W tym tygodniu, jak ci pasuje. Obojętnie kiedy.

— Jutro?

— Nie.

— Nie? Ale powiedziałeś przecież...

— Albo tak... sam nie wiem. Ale czy ty wiesz, co to jest?

Gunnar zamachał kartkami przed twarzą Anneli.

— Nie.

— To są postępy w śledztwie, proszę cię, postępy!

— Więc nie wie pani, co one oznaczają?

Mia Bolander spojrzała proszącym wzrokiem na sekretarkę, Lenę Wikström.

— Nie, nie mam pojęcia. Co to takiego?

— To właśnie pani ma mi to powiedzieć.

— Ale ja nigdy wcześniej nie widziałam tych cyfr.

— A liter?

— Nie, też nie. To chyba jakiś kod, czy jak?

Mia nie odpowiedziała. Ponad dwadzieścia minut próbowała nakłonić Lenę Wikström, sekretarkę Hansa Juhléna, aby wyjaśniła dziwne kombinacje, które znaleźli w komputerze jej szefa. Podziękowała Lenie za pomoc, mimo iż jej nie otrzymała, i opuściła urząd imigracyjny.

W samochodzie zaczęła się zastanawiać nad zmęczonym wyglądem sekretarki. Jej twarz była blada, a oczy podkrążone. Powolnymi ruchami przekładała rozrzucone na biurku dokumenty. Głos miała ospały. Mia spytała, jak się ma, i w odpowiedzi

usłyszała, że Lena czuje się przygnębiona.

Pewnie, że można być przygnębionym, kiedy się tak wygląda, pomyślała Mia, otwierając samochód. Co za wiedźma! I niech ją cholera weźmie, że nie potrafiła nic podpowiedzieć!

W drodze powrotnej do komendy policji utknęła w długich korkach na Ståthögavägen. Samochody bardzo wolno posuwały się do przodu i to jeszcze bardziej ją irytowało. Ale prawdziwą przyczyną jej zdenerwowania było to, że pieniądze się skończyły. Wieczorne wyjście kosztowało ją więcej, niż planowała. Postawiła też innym. Dwa piwa mężczyźnie, którego nawet nie знаła i który na domiar wszystkiego był żonaty!

Cóż za zbędny wydatek. Całkowicie. Cholera. Zbędny. Wydatek.

Nagle jej telefon komórkowy wydał z siebie przenikliwy dźwięk.

Był to Ola Söderström.

— Jak poszło? — spytał.

— Nic nie wie o kombinacjach.

— Super.

— No nie?

Mia zamilkła. Szczypała się palcami w górną wargę.

— Ale wiesz co? — powiedziała po chwili. — Tak sobie pomyślałam, czy próbowałeś wpisać cyfry odwrotnie?

— Nie. Próbowałem wpisać najpierw cyfry, a potem litery.

— A jakbyś tak wpisał je odwrotnie?

— Masz na myśli 900014 zamiast 410009?

— Nie mam ich teraz przed oczami, ale wydaje mi się, że rozumiesz, o co mi chodzi.

— Poczekaj...

Słyszała stukanie palców w klawiaturę. Spojrzała do tyłu w nadziei, że da radę zmienić pas na lewy. Ale tam samochody poruszały się tak samo wolno. Westchnęła głośno w tym samym momencie, gdy w słuchawce ponownie rozbrzmiał głos Oli.

— Jedyne, co się pojawiło, to strony o ISO 900014, a więc certyfikaty jakości. I jakieś badania z Harvardu, o rentgenie.

— A inne cyfry? — spytała Mia.

— Zobaczmy, 106130 będzie 031601. Nie, wyskoczył mi tylko zapis szesnastkowy kolorów. 933028 też, ale nie sądzę, by Hans Juhlén był zainteresowany kolorami używanymi w Internecie przez programistów.

— Ja też nie.

Mia spróbowała dojrzeć, ile samochodów znajduje się przed nią. Korek był beznadziejnie długi.

— Jak poszło z sekcją kontroli ruchu? — spytała.

— To się dopiero okaże. Wszystko zależy od tego, czy kierowca przekroczył

prędkość czy nie. Jeśli to zrobił, prawdopodobnie został uwieczniony na zdjęciu. I wtedy zdjęcie kierowcy porównuje się ze zdjęciem z paszportu albo prawa jazdy. Jeśli pasują, jest zidentyfikowany. Jeśli nie, możemy w każdym razie dotrzeć do posiadacza samochodu i mieć nadzieję, że to ta sama osoba, która nim wówczas kierowała.

— Ale tylko przy założeniu, że jechał za szybko — powiedziała Mia.

Poprawiła się na fotelu i oparła rękę na kierownicy. Korek zaczął się trochę rozładowywać.

— Tak, radary robią zdjęcia tylko przy przekroczeniu prędkości i kontrola ruchu przeszukuje teraz swoje archiwa. Informacja musi zostać najpierw odszyfrowana, zanim będziemy mogli z niej skorzystać. Oczywiście jeśli w ogóle istnieje.

— Co znów za cholera...

— Co się dzieje?

— Korki! Nienawidzę korków. No jedź już!

Mia uderzyła ręką w kierownicę i zaczęła gwałtownie gestykulować w stronę kierowcy, któremu zgasł samochód.

— Jesteśmy dziś w dobrym humorze? — spytał Ola.

— Gównu cię to obchodzi.

Mia od razu pożałowała swoich nieprzyjemnych słów.

— Okej, gówno mnie to obchodzi, ale może ciebie zainteresuje odpowiedź z laboratorium, którą właśnie dostaliśmy?

Ola był zły, słyszała to. Mówił oficjalnym tonem i prawdopodobnie zacisnął teraz usta. Mia słuchała w ciszy.

— Chłopiec został zastrzelony z Sig Sauera, kaliber 22. Pistoletu nie użyto nigdy wcześniej do popełnienia przestępstwa w Szwecji. Chłopiec miał proch na rękach, co oznacza, że strzelił ze znalezionego przy nim pistoletu. Był to Glock i są na nim odciski tylko jego palców. Wszystkie ślady wskazują więc na to, że to on zastrzelił Hansa Juhléna. A teraz muszę już lecieć.

Ola nagle zakończył rozmowę.

Zdenerwowała go, a teraz ona była zła, bo on był zły. Co za pieprzony poranek, pomyślała Mia.

NA POCZĄTKU BYŁO ICH SIĘDMIORO. Teraz zostali tylko Hades i dziewczynka. Ona zastrzeliła Minosa, a Hades zabił w piwnicy swojego przeciwnika. Inny chłopiec podczas ćwiczeń został pchnięty nożem między żebra i kilka dni później zmarł od odniesionych ran.

Kolejna dziewczynka została zamknięta w piwnicy po próbie ucieczki i, gdy ją mieli wypuścić, okazało się, że wcześniej umarła z głodu.

— Chucherko — powiedział o niej Tato.

Potem była Ester, która zniknęła od razu po przybyciu na miejsce. Ale to była jej własna wina. Gdyby tylko słuchała i robiła to, co mówił Tato, na pewno byłaby teraz tu z nimi. Żywa.

Dziewczynka przeciągnęła ręką po głowie. Nie miała włosów. Trenerzy ją ogolili. Po to, by mogła stworzyć silniejszą więź z sobą samą, powiedzieli. Hades też był ogolony, przeciągał ręką w tę i z powrotem po łysej głowie. Siedzieli na kamiennej podłodze i przyglądali się sobie. Żadne z nich nic nie mówiło, ale Hades uśmiechnął się do niej, gdy ich wzrok się spotkał.

Wróciła wiosna i przez szpary między deskami przedostawały się do środka promienie słoneczne. Otrzymali nowe ubrania, ale to nie obeszło dziewczynki. Łakomie wpatrywała się w leżącą przed nimi nowoczesną broń. Od czasu do czasu błyskało ostre ostrze, odbijając wpadające z zewnątrz jaskrawe światło słoneczne. Obok noża leżał pistolet, dziewczynka nigdy nie widziała go tak wypolerowanego. Hades wykonał kawał dobrej roboty, na pewno na pucowaniu go zeszło mu kilka godzin. Zrobił to tylko po to, by być blisko.

Kiedyś wykazywał wielkie zainteresowanie techniką. Znajdował na wysypisku zepsute maszyny i próbował je naprawiać. Marzył o tym, by znaleźć telefon komórkowy. Ale nigdy mu się nie udało.

Wiedziała to, bo pomagała mu szukać.

Myśli dziewczynki przerwało otwarcie drzwi. Do środka wszedł Tato, razem z trenerką i jeszcze jednym, obcym mężczyzną. Tato stanął przed nimi, schylił się i obmacał ich ogolone głowy. Z miną mającą pewnie oznaczać zadowolenie podniósł się i rozkazał im zrobić to samo.

— Dobrze — powiedział. — Nadszedł czas. Pojedziecie wykonać zlecenie w stolicy. W Sztokholmie.

JANA BERZELIUS SIEDZIAŁA w samochodzie z włączonym silnikiem na portowym parkingu.

Na zaplanowanie działania poświęciła wiele godzin, rozważyła i odrzuciła różne sposoby działania, aż pozostało jej do wyboru kilka możliwych do zrealizowania scenariuszy.

Doszła do wniosku, że musi pamiętać o jednej zasadzie: w żaden sposób nie może zostać przez nikogo skojarzona z tym, co robi. Musi uważać na rozmowy telefoniczne i wiadomości mejlowe, robić wszystko z wielką dbałością o szczegóły. Żadnych działań pod wpływem chwili. Jeśli wydałoby się, że prowadziła prywatne równoległe śledztwo, nie tylko wyłączyliby ją ze sprawy, ale jej nazwisko stałoby się przedmiotem kolejnej. I prawdopodobnie zaprzepaściłaby całą karierę.

Mimo to zdecydowała się, by kontynuować. Postanowiła zacząć od chłopca. Imię wyryte na jego karku nie mogło być przypadkowe. Do tego oznaczało ono to samo, co jej imię — boga śmierci.

Ale później doszła do wniosku, że najpierw lepiej sprawdzić kombinację, którą widziała w snach, a którą Ola Söderström znalazł w komputerze Hansa Juhléna. Nie mogło być przypadkiem, że w snach kombinacja pojawiała się razem z obrazami morskich kontenerów, dlatego podjęła ostateczną decyzję o odwiedzeniu portu.

Trudno jednak było znaleźć sposób, by jej wizyta pozostała niezauważona. Najprawdopodobniej zobaczą ją przechodzące tamtędy osoby i pracownicy portu. Jeśli ktoś ją rozpozna, powie, że chciała posunąć śledztwo do przodu. A jako prowadząca śledztwo miała do tego prawo.

Jana siedziała w swoim samochodzie ze skórzanymi obiciami. Jeszcze raz przemyśliwała plan działania.

Wyjęła z kieszeni listę kombinacji i przeczytała je, zastanawiając się przy tym, jak ma wyjaśnić swoje zainteresowanie nimi. Musiała ważyć słowa, nie zdradzić za wiele.

Po chwili złożyła papier i schowała z powrotem do kieszeni, po czym wysiadła z samochodu.

Przy wejściu do biur administracji portowej panowała ciemność, a drzwi były zamknięte na klucz. Tabliczka z godzinami urzędowania głosiła, że biura zamknięto ponad godzinę temu.

Jeszcze raz nacisnęła na nieruchomą klamkę, cofnęła się o krok i spojrzała w stronę okien biurowych, które ziały czarnymi oczodołami na żółtej fasadzie budynku. Powiew zimnego wiatru sprawił, że zadrżała i wyjęła z kieszeni skórzane rękawiczki.

Poszła w stronę terminalu przeładunkowego i zauważyła, że tam również praca się skończyła.

Ciemna, niespokojna woda biła o betonowe nabrzeże. Dwa dźwigi rozładunkowe

wznosiły się ponad zacumowanym przy kei kontenerowcem. Nieco dalej widniały dwa kolejne statki. Na odgrodzonym terenie stały samochody ciężarowe, a wzdłuż ściany jednego z hangarów ułożono duże partie drewna. Reflektory rzucały długie cienie na magazyn i asfalt.

Jana już miała zawrócić do samochodu, gdy dostrzegła niewielki barak na końcu portu. Mimo rękawiczek nadal marzły jej ręce, włożyła je więc do kieszeni prochowca i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę baraku. Obcasy stuknęły o twarde podłoże. Odgłos jej kroków mieszał się z szumem samochodów dochodzącym z mostu Hamnsbron, który miała za plecami. Spojrzała między magazyny, gdzie nie docierało światło reflektorów. Ciągle była sama na terenie portu.

Znajdowała się blisko baraku, zwolniła więc kroku. Miała wielką nadzieję, że ktoś tam jest. Ktokolwiek, kogo można by spytać. Gdy podeszła jeszcze bliżej, usłyszała dolatującą ze środka muzykę. Drzwi były tylko przymknięte i przez szparę sączyło się na zewnątrz światło.

Jana podniosła rękę i zapukała. Rękawiczka stłumiła dźwięk, zapukała więc ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie. Nikt nie odpowiadał. Stała na palcach i zajrzała przez okno, ale nie dostrzegła żadnych ruchów. Uchyliła lekko drzwi i zajrzała do baraku.

Jej wzrok padł na ustawiony na ławie, bulgoczący ekspres do kawy. Na podłodze leżał dywan z gałganków, a na suficie wisiała mocna żarówka. Nigdzie nie było jednak widać żywej duszy.

Drgnęła, gdy usłyszała hałas. Obróciła się, próbując ustalić, skąd dochodzi. Wówczas zobaczyła, że brama pobliskiego magazynu jest otwarta.

— Halo? — zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

— Halo?

Zamknęła drzwi do baraku i skierowała się w stronę magazynu, znajdującego w jeszcze bardziej odludnej części portu. Stała w wejściu. W tym dużym pomieszczeniu o powierzchni około dwustu metrów kwadratowych panowało przejmujące zimno. Mieściło ono głównie różnego rodzaju maszyny i mniejsze dźwigi. Na posadzce leżały różnej wielkości narzędzia, a ściany pokrywały półki z częściami zapasowymi, takimi jak opony i akumulatory do ciężarówek. Pod sufitem wisały stalowe liny, a w końcu hali znajdował się podnośnik służący do napraw pojazdów. Na prawo widać było mniejsze pomieszczenie przypominające korytarz, prowadzące do szarych stalowych drzwi.

Zobaczyła przykucniętego, zwróconego do niej plecami mężczyznę, który przykręcał coś przy ciężarówce. Zapukała w drzwi, aby zwrócić jego uwagę, lecz nie zareagował.

— Przepraszam! — zawołała.

Mężczyzna stracił równowagę i podparł się ręką, żeby nie upaść.

— Niech to diabli, ależ mnie pani przestraszyła! — wykrzyknął.

— Przepraszam. Chciałabym porozmawiać z kimś z szefostwa portu — wyjaśniła Jana.

— Dyrektor poszedł już do domu.

Jana weszła do korytarza i zdjęła rękawiczkę, by się przywitać.

— Nazywam się Jana Berzelius.

— Thomas Rydberg. Ale, sorry, nie sędzę, aby chciała pani uścisnąć mi rękę.

Thomas wstał i pokazał swoje umazane smarem dłonie.

Jana potrząsnęła przecząco głową, włożyła rękawiczkę i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Był silnie zbudowany, miał ciemne oczy i szeroką brodę. Głowę przykrywała szara czapka z dzianiny, a pod roboczą kurtką widać było spodnie na szelkach. Zgadywała, że niewiele brakuje mu do emerytury. Z jednej kieszeni zwisała brudna ścierka do polerowania, i Thomas próbował wytrzeć o nią usmarowane olejem ręce.

— Może pan mógłby mi pomóc? — spytała.

— W czym?

— Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

— A nie zajmuje się tym policja? Nie wygląda mi pani na policjantkę.

Westchnęła.

Jej plan, by nie zdradzać zbyt wiele, właśnie diabli wzięli. Musiała zmienić wersję.

— Pracuję jako prokurator i prowadzę sprawę Hansa Juhléna.

Thomas znieruchomiał, wypuścił ścierkę z rąk.

Jana kontynuowała:

— Znaleźliśmy kilka zastanawiających kombinacji cyfr i liter i mamy powody, aby sądzić, że jest to jakiś kod związany z kontenerami morskimi — powiedziała, rozwijając kartkę z kombinacjami.

Thomas wyrwał jej kartkę z rąk.

— Co to za...

Wyraz jego twarzy się zmienił. Szybko złożył kartkę i oddał ją Janie.

— Nie mam pojęcia, co to jest.

— Jest pan pewien?

— Tak.

Thomas zrobił krok do tyłu. I jeszcze jeden.

— Muszę wiedzieć, co oznaczają te kombinacje — powiedziała Jana.

— Nie mam pojęcia. Nie mogę pani pomóc.

Thomas spojrzał szybko na stalowe drzwi, a potem znów na Janę.

— Czy wie pan, kto w takim razie mógłby coś na ten temat powiedzieć?

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową. Postąpił jeszcze jeden krok do tyłu, potem kolejne dwa, trzy.

Wówczas Jana zrozumiała, co zamierza zrobić.

— Proszę poczekać — powiedziała, ale Thomas odwrócił się i zaczął biec ku drzwiom.

— Proszę poczekać! — krzyknęła jeszcze raz, biegnąc za nim.

Gdy Thomas zobaczył, że Jana depcze mu po piętach, zaczął rzucać w jej kierunku różnymi narzędziami, jakie tylko udało mu się chwycić. Żeby ją ostrzec, odstraszyć. Ale ona tylko się uchylała, nie doznając nawet zadrapania, i kontynuowała pogoń. Thomas dotarł w końcu do drzwi, chwycił za klamkę i stwierdził, że są zamknięte na klucz. Spanikował, rzucił się na drzwi całym swoim ciężarem, szarpnął za klamkę i znów napał, lecz bez rezultatu. Był w pułapce.

Jana dogoniła go i zatrzymała się trzy metry za nim. Thomas stał bez ruchu, ciężko oddychając. Głowa poruszała się w prawo i w lewo, szukając innej drogi ucieczki, której nie było.

Naraz dojrzał na podłodze klucz francuski, szybko się schylił i go podniósł. Odwrócił się gwałtownie w stronę Jany, zamierzając się narzędziem. Lecz ona nawet nie drgnęła.

— Nic nie wiem! — krzyknął. — Wynoś się stąd!

Ponownie uniósł klucz francuski, aby pokazać, że nie żartuje. Że ją uderzy. Porządnie.

Jana zrozumiała, że jej grozi i że najlepiej by było go posłuchać, pójść sobie. Wszystko zaszło trochę za daleko. Cofnęła się o krok i zobaczyła, że Thomas uśmiechnął się, gdy to zrobiła. Cofnęła się o kolejnych kilka kroków, potknęła się i oparła o ścianę.

Mężczyzna doskoczył do niej, stając tuż przed nią. Blisko. Za blisko.

Teraz to ona była w pułapce.

— Czekaaj — powiedziała Jana.

— Za późno — odpowiedział Thomas. — Sorry.

Jana nagle poczuła przemianę. Ogarnął ją spokój, spojrzała mu prosto w oczy. Skupiła się i wyprostowała palce prawej ręki.

Thomas krzyknął i postąpił do przodu, wymierzając uderzenie kluczem francuskim, obiema rękoma. Jana kucnęła, unikając ciosu. Spróbował jeszcze raz, lecz ona szybko odskoczyła w bok. Wówczas zmienił położenie klucza w rękach i napiął mięśnie, lecz wtedy Jana zrobiła krok do przodu, uniosła rękę i uderzyła.

Oko, gardło, krocze.

Raz, dwa, trzy. Bum, bum, bum.

I kopnięcie. Zamach, obrót i kopnięcie. Mocne.

Trafiła prosto w skroń.

Thomas osunął się na ziemię i legł u jej stóp.

Martwy.

W tym samym momencie dotarło do niej, co się stało. Adrenalina natychmiast ustąpiła przerażeniu. Zakryła usta dłońmi i cofnęła się o krok. Co ja zrobiłam? Jak...?

Uprzytomniła sobie, gdzie się znajduje. A jeśli ktoś to widział? Dwa razy rozejrzała się dookoła, by się upewnić, że jest sama. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Magazyn był opustoszały. Co miała teraz zrobić?

Niespodziewanie z kieszeni martwego mężczyzny dobiegł wibrujący dźwięk, a po chwili dał się słyszeć coraz głośniejszy sygnał telefonu.

Jana schyliła się i zaczęła szperać w kieszeni mężczyzny, lecz nic nie znalazła. Przesunęła lekko ciało, by dostać się do drugiej. Tam znalazła telefon. Na ekranie widniała wiadomość o nieodebranych połączeniach. Zastrzeżony numer.

Po chwili zastanowienia zabrała telefon ze sobą. Rzuciła ostatnie spojrzenie na leżące na podłodze martwe ciało, zdjęła rękawiczki, odwróciła się i wyszła.

Ciemne cienie skrywały ją w drodze na parking. Okolica była tak samo opustoszała jak wcześniej.

Gdy usiadła w samochodzie, natychmiast wyjęła telefon komórkowy Thomasa Rydberga i przejrzała listę z przychodzącymi połączeniami. Wiele razy widniał na niej zastrzeżony numer. Poza tym było tam też kilka normalnych numerów, które szybko zapisała na bilecie parkingowym. W wychodzących rozmowach znalazła numery razem z nazwiskami, które też zanotowała. Nic nie wyglądało dziwnie ani podejrzanie.

Dopiero gdy przejrzała wysłane wiadomości, znalazła coś zastanawiającego. W jednej z nich przeczytała: „Dost. wt. 1”. Nic więcej.

Wpatrywała się w tę krótką wiadomość. Zapisała ją, razem z numerem odbiorcy i datą wysłania. Ponieważ łatwo było określić położenie włączonej komórki, szybko wyjęła kartę SIM i włożyła telefon do samochodowej przegródki.

Wzięła głęboki oddech i oparła głowę o zagłówek. Nagle odczuła wielki spokój.

To nie tak powinno być, pomyślała. Powinno jakoś zareagować, krzyczeć, płakać, trząść się. Właśnie zabiłam człowieka.

Mimo to nic nie odczuwała.

I to ją niepokoiło.

SOBOTA 21 KWIETNIA

DZIECI ZAZWYCZAJ BUDZIŁY SIĘ o szóstej i tak też było tego sobotniego poranka.

Henrik Levin przeciągnął się i szeroko ziewnął. Spojrzał na Emmę, która nadal spała. Felix i Vilma hałasowali na piętrze i Henrik też postanowił wstać. Sprawdził telefon, ale w nocy nie przyszły żadne nowe wiadomości.

Szlafrok przyjemnie ogrzewał ciało, gdy wchodził po schodach do dziecięcego pokoju. Felix, który właśnie wysypał całe pudełko klocków lego na podłogę, radośnie się uśmiechnął, gdy zobaczył w drzwiach tatę. Vilma siedziała zaspana na łóżku, pocierając jedno oko.

— Cześć, dzieciaki. Co powiecie na śniadanie?

Dzieci zbiegły do kuchni z okrzykami radości, Henrik podążył za nimi. Zamknął drzwi, by nie słychać było hałasu, a następnie wyjął chleb, masło, szynkę, sok, mleko i jogurt. Vilma otworzyła szafkę i wyciągnęła paczkę kolorowych płatków.

Henrik postanowił wyjątkowo ugotować dla siebie dwa jajka i podczas ośmiu potrzebnych na to minut przygotował kanapki dla dzieci — dla każdego po kawałku chleba obłożonego zgodnie z życzeniami. Felix niechcący wyrócił karton z płatkami do góry dnem, przez co stół kuchenny zamienił się w bufet z pszennymi kółeczkami o smaku owocowym.

Henrik westchnął. Wyjmowanie odkurzacza nie miało sensu. Obudziłby Emmę, a choć raz powinna pospać trochę dłużej. Nie mógł jednak pozwolić na to, by kuchnia wyglądała jak pole bitwy.

Wylał z rondla gorącą wodę i ostudził jajka pod kranem. Następnie schylił się i zaczął zbierać leżące pod stołem kółeczka. Przez przypadek rozdeptał kilka z nich i małe kawałeczki powchodziły w słomiany dywanik. Nienawidził okruszków. Zostawienie stołu pełnego okruszków było według niego grzechem śmiertelnym. Stół musiał być czysty, wytarty do sucha. A najlepiej, żeby błyszczał.

Wyjrzał przez okno. Dziś spróbuje wygospodarować czas na bieganie. Jeśli da dzieciom śniadanie, ubierze je i pomoże im umyć zęby, Emma z pewnością zezwoli mu na półgodzinny trening. Poza tym dał jej też dzisiaj dłużej pospać. Więc powinien być na plusie.

Felix zrzucił kilka kolejnych płatków ze stołu. Wesoły śmiech Vilmy brzmiał zachęcająco, więc zrobił to jeszcze raz. Zrzucił zielony krążek, potem pomarańczowy. Palcem wskazującym pstryknął w kolorowe kółeczko, które wylądowało w doniczce. Vilma głośno się zaśmiała, więc Felix wystrzelił jeszcze jeden krążek i jeszcze jeden.

— Przestań. Wystarczy tego — powiedział Henrik.

— No dobra — powiedziała Vilma.

— No dobra — powtórzył Felix.
— Nie przedrzeźniaj — zaprotestowała Vilma.
— Nie przedrzeźniaj — powtórzył Felix.
— Głupi jesteś.
— Głupia jesteś.
— Przestańcie — zarządził Henrik.
— To on — powiedziała Vilma.
— To ona — odpowiedział Felix.
— To przestań.
— Sama przestań.
— Skończ już.
— Sama skończ.
— Okej, już wystarczy! — przerwał im Henrik. Właśnie gdy miał wyjąć jajka z wody, usłyszał sygnał swojej komórki.
— Dzień dobry, przepraszam, że dzwonię o tak wczesnej porze — powiedział Gunnar Öhrn rześkim głosem.
— Nic nie szkodzi — skłamał Henrik.
— Właśnie dostaliśmy telefon od świadka, który widział Hansa Juhléna w porcie na kilka dni przed jego śmiercią. Musimy to sprawdzić. Możesz przyjechać?
— A Mia nie może się tym zająć?
— Nie mogę się z nią skontaktować, nie odbiera telefonu.
Henrik spojrzał na Feliksa i Vilnę.
Westchnął.
— Już jadę.

Bochenek był spleśniały. Mia spojrzała na cieniutkie, zielone nitki porastające kromkę chleba. Wyrzuciła całą torebkę do kosza na śmieci, zastanawiając się, co innego mogłaby zjeść na śniadanie. Lodówka nie miała nic dobrego do zaoferowania, podobnie jak zamrażarka. Szafka kuchenna była dokładnie oczyszczona z produktów żywnościowych, nie było w niej nic oprócz opakowania świderków. Wyjęła garnek, odmierzyła litr wody i wrzuciła parę garści makaronu. Czas gotowania dwanaście minut. Stanowczo za długo, pomyślała, nastawiając timer na dziesięć minut.

Weszła do pokoju dziennego i rzuciła się na kanapę. Za pomocą pilota przeskakiwała po programach telewizyjnych. Same powtórki z minionego tygodnia. *Ogrodowa środa, Rok wśród dzikiej natury, Spin city i Strażnicy granic.*

Dupiaste programy.

Westchnęła i rzuciła pilot na kanapę. Przydałby się kanał z filmami, cały cholerny pakiet kanałów z filmami. Ale wówczas musiałyby też mieć nowy telewizor, z naprawdę dobrym obrazem. Plazmowy. Albo LCD. Z trójwymiarowym. Henrik kupił pięćdziesięciocalówkę i Mia zzieleniała z zazdrości. Jej koleżanka też kupiła sobie duży, płaski odbiornik. Wszyscy takie mieli, tylko nie ona.

Szara pogoda za oknem tłumiała światło słoneczne, mimo iż od wschodu minęło już kilka godzin.

Przyszła do domu o czwartej nad ranem i zasnęła w ubraniu. Na domiar wszystkiego gdy się obudziła, trzymała w ręku swój wyładowany telefon. Był to całkiem udany wieczór, prawdę mówiąc jeden z lepszych od dłuższego czasu. Nawiązała kontakt z zarówno hojnym, jak i sympatycznym mężczyzną. Nie chciała jednak pójść z nim do jego mieszkania, choć teraz żałowała decyzji. Tam na pewno dostałaby porządne śniadanie i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. A potem leżeliby ciasno spleceni przed jego wielkim, płaskim telewizorem. Bo z pewnością taki ma. Wszystko byłoby lepsze niż siedzenie tutaj samej i wpatrywanie się w to stare, kwadratowe pudło.

Zacząła zastanawiać się nad pojechaniem do centrum handlowego Ingelsta i sprawdzeniem cen nowych telewizorów. Nowoczesnych i płaskich. Ładnych.

Na koncie zostały jej dwie korony — w każdym razie była na plusie. A przecież nie musiała dzisiaj kupować telewizora. Mogła tylko trochę popatrzeć na oferty.

W kuchni zadzwonił timer i Mia poszła odcedzić makaron. Tylko trochę sobie popatrzę, myślała.

Tylko popatrzę.

Nic nie będę kupować.

Jana Berzelius wzięła wyjątkowo długi prysznic, pozwalając ciepłej wodzie spłukać napięcie ostatnich godzin.

Przebiegła piętnaście kilometrów. Biegła szybko, za szybko. Tak jakby chciała uciec od tamtych wydarzeń. Bezskutecznie. Obraz martwego mężczyzny raz po raz powracał w pamięci. Na ostatnim kilometrze tak przyspieszyła, że zaczęła krwawić z nosa. Mimo iż krew kapała na wiatrówkę, ostatnie sto metrów przebiegła sprintem. Będąc już w mieszkaniu, w niewytłumaczalny sposób poczuła się silna i podciągnęła się na drążku dwadzieścia trzy razy. Nigdy wcześniej tyle jej się nie udało.

Biorąc prysznic, myślała o Thomasie Rydbergu. Dlaczego zachował się w ten sposób, gdy zobaczył kombinacje cyfr i liter? Bo najwyraźniej po ich przeczytaniu wpadł w panikę.

Spłukując pianę, wróciła myślami do momentu, gdy zaatakowała mężczyznę. Była zdziwiona, że zareagowała tak instynktownie, z zimną krwią. Uderzenia pojawiły się jak na zamówienie, z wewnątrz, prawie jak wyuczone. Do tego trafiła bezbłędnie, a co jeszcze dziwniejsze, użycie przemocy dało jej poczucie zadowolenia.

Kim jestem? — zastanawiała się Jana.

Karl Berzelius stał w oknie swojej pracowni, trzymając w ręku telefon. Wyświetlacz dawno już pociemniał, a głos po drugiej stronie zamilkł.

Zapięta aż po szyję biała koszula włożona w dokładnie wyprasowane czarne spodnie; gęste, siwe włosy zaczesane do tyłu.

Na dworze promieniom słonecznym udało się przedrzeć przez ciężkie chmury i jak reflektory na scenie skupiły się w jednym punkcie, na drzewie okrytym pąkami liści.

Ale Karl nie widział słońca, nie widział drzewa. Zamknął oczy, a gdy ponownie je otworzył, słońca już nie było. Została tylko szarość.

Chciał się poruszyć, lecz nie był w stanie. Stał jak przymarznięty do parkietu, pogrążony w myślach. A wszystko przez dopiero co zakończoną rozmowę z szefem prokuratury Torstenem Granathem.

— To trudna sprawa — powiedział Torsten. W tle słychać było szum samochodu.

— Rozumiem — odparł Karl.

— Jana da sobie z tym radę.

— A dlaczego nie miałyby?

— Śledztwo obrało nowy kierunek.

— Tak?

— Chłopiec...

— Wiem, czytałem w gazetach. Kontynuuj.

— Mówiła ci o nim?

— Wiesz przecież, że nigdy nic mi nie mówi.

— Tak, wiem.

Wówczas Torsten szczegółowo opowiedział, gdzie znaleziono martwego chłopca. Wspomniał o ręce ułożonej pod dziwnym kątem, pistolecie i wszystkim, co się znajdowało w raporcie policji.

Po trzydziestu sekundach przerwy jego głos zmienił barwę, dało się w nim wyczuć zakłopotanie. Szum w słuchawce wzmógł się i Karl musiał się skupiać, by słyszeć kolegę.

— Najdziwniejsze jest to, że wszystko wskazuje na niego.

Karl podrapał się po czole i jeszcze silniej przycisnął słuchawkę do ucha.

— Wygląda na to, że to on jest mordercą, że on zabił Hansa Juhléna.

— A ty jak uważasz?

— Ja nic nie uważam. Lecz z tym chłopcem jest jeszcze coś dziwnego... Ma on wryty na karku napis. Jest to imię, imię boga. Boga śmierci.

Serce Karla zaczęło dudnić, poczuł nagłą duszność. Podłoga zakołysała się pod stopami. Słowa Torstena odbijały się echem jak krzyk w pustym tunelu.

Imię.

Na karku.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie rozpoznawał własnego głosu. Był obcy, daleki, zimny.

— Na karku...

Potem zapadła cisza. Zanim Torsten zdążył się odezwać, Karl zakończył rozmowę. Nigdy nie rozłączał się w ten sposób z rozmówcą. Ale też nigdy wcześniej nie doświadczył takiej duszności.

Potrzebuję powietrza, pomyślał, odpinając górny guzik koszuli. Materiał zatrzeszczał, gdy mocował się z kolejnym. Zaczął szarpać i ciągnąć tak mocno, że guzik odpadł i potoczył się na podłogę. Karl wziął głęboki oddech, tak jakby wcześniej musiał go wstrzymywać.

Myśli wirowały mu w głowie. Widział przed sobą kark z jasną skórą i ciemnymi kosmykami włosów. Widział litery, różowoczerwone zdeformowane litery.

Lecz nie widział chłopca.

Widział dziewczynkę.

Swoją córkę.

Miała dziewięć lat i sprawiała mnóstwo kłopotów. Nie spała po nocach, a rano przy śniadaniu opowiadała o koszmarach, które nie mogły być niczym innym jak zwykłymi kłamstwami i chorymi wymysłami. Nie chciał mieć nic wspólnego z jej fantazjowaniem. Pewnego ranka miał tego dosyć. Chwycił ją za wątle ramiona i powiedział, żeby była cicho. Ucichła. Mimo to chwycił ją za kark, by zaprowadzić ją do jej pokoju. Wtedy właśnie wyczuł pod ręką nierówności na skórze. Odgarnął włosy, by zobaczyć, co to takiego. Nigdy nie zapomni widoku tych czterech liter. Przełknął ślinę, naszły go mdłości.

Tak nagle jak teraz.

Karl zamknął oczy.

Postanowił, że musi usunąć ten napis. Odwiedzał różne kliniki i osoby wykonujące tatuaże, gdzie dowiedział się, że usunięcie tatuażu jest co najmniej problematyczne. Nigdy nie można z góry przewidzieć, ile zabiegów trzeba będzie wykonać. Wszyscy chcieli najpierw zobaczyć tatuaż, o który chodziło. Karl nie miał odwagi powiedzieć, że tak naprawdę chodzi o napis wyryty w skórze, a tym bardziej pokazać komuś kark córki. Co by sobie wtedy ludzie pomyśleli?

Otworzył oczy, miał zamglony wzrok.

Postanowił więc, że litery pozostaną. Surowo przykazał córce, by nigdy nikomu ich nie pokazywała, a Margarecie polecił kupić plastry i koszulki polo. Włosy miały być zawsze rozpuszczone, nigdy związane. Potem nie mówił już o tej sprawie. Była rozwiązana, zakończona. I tak miało pozostać.

A teraz pojawił się chłopiec z imieniem wyrytym na karku.

Karl nie mógł tego zrozumieć. Nie chciał zrozumieć, że między tymi dwojgiem istniało podobieństwo. Czy miał o tym powiedzieć Janie? Sprawa między nimi była przecież wyjaśniona i przeniesiona do archiwum. To była jej sprawa, a nie jego.

Serce Karla biło bardzo szybko.

Komórka zawibrowała w ręce i wyświetliła na ekranie imię Torstena. Nie odebrał.

Stał tylko i trzymał dzwoniący telefon.

Nils Storhed stał na moście Hamnbron, trzymając w objęciach suczkę spaniela phalene. Według Henrika Levina nadchodzącego z naprzeciwka wyglądał on jak Szkot, w kraciastym kaszkiecie na głowie, sznurowanych butach i ciemnozielonym

płaszczu.

— Wygląda jak Szkot — powiedział Gunnar idący u boku Henrika.

— To samo sobie pomyślałem — odpowiedział Henrik z uśmiechem.

Hamnbron był masywną betonową konstrukcją, która ponad rzeką łączyła ulicę Jungfrugatan z Östra Promenaden. Na moście był zawsze duży ruch i nawet tego wolnego od pracy dnia sunęły po nim sznury samochodów. Szum pojazdów mieszał się z krzykiem mew.

Nils stał oparty o balustradę, plecami zwrócony do owalnego budynku klubu wioślarskiego i centrum miasta. Naprzeciw niego znajdował się port, a po lewej stronie wznosiła się w stronę szarego nieba wysoka elektrownia ciepła.

Trzymana w objęciach suczka dyszała ciężko. Nils miał na płaszczu mnóstwo jej białej sierści.

— Piesek jest zmęczony? — spytał Gunnar, po tym jak się sobie przedstawili.

— Nie, tylko jest jej zimno. Czasami, jak teraz na przedwiośniu, marzną jej łapy — wyjaśnił Nils.

Ani Henrik, ani Gunnar nie zdążyli nic odpowiedzieć, gdyż Nils kontynuował:

— No więc, przepraszam. Wiem, że powinienem był zadzwonić do was wcześniej.

— Cóż, tak... — zaczął Gunnar.

— Nie sądziłem, że jest to aż takie ważne, ale teraz rozumiem, że się myliłem. No i żona marudzi mi od tygodnia, że mam zadzwonić. Ale wcześniej miałem spotkania łoży, a to znów kolacje, a do tego jeszcze grę w bocce, więc zupełnie o tym zapomniałem. Lecz dziś rano wziąłem się w garść. Nie jest zbyt przyjemne słuchać ciągłego gadania, jeśli wiecie, o co mi chodzi — powiedział Nils, mrugając do policjantów.

— Okej, no więc... — odezwał się Gunnar.

— No więc zadzwoniłem do was i opowiedziałem, jak było.

— Widział pan Hansa Juhléna? — spytał Gunnar.

— We własnej osobie.

— Gdzie go pan widział? — zaciekał się Henrik.

— Tam.

Nils wskazał palcem w stronę portu.

— Widział go pan w porcie? — spytał Gunnar.

— Tak, w czwartek, a więc ponad tydzień temu.

— I jest pan pewien, że to był on? — upewniał się Gunnar.

— Najzupełniej. Znałem jego rodziców, chodziłem do jednej klasy z jego ojcem. To były czasy!

— No dobrze, ale czy mógłby pokazać pan dokładnie, gdzie go pan widział? — spytał Gunnar.

— Oczywiście. Chodźcie ze mną, chłopaki.

Nils postawił psa na ziemię i otrzepał płaszcz. Psie kłaki zaczęły fruwać

w powietrzu. Henrik wstrzymał oddech, nie chciał ryzykować, że jakiś włos dostanie mu się do ust.

Razem z Gunnarem ruszyli za Nilsem przez most, w stronę portowego parkingu.

— Trudno pojąć, że nie żyje. Kto dopuszcza się takich okrutnych czynów? — powiedział Nils.

— Próbujemy się tego dowiedzieć — odparł Gunnar.

— Tak, to dobrze. Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że będę mógł się do czegoś przydać.

Pomału poszedł w stronę parkingu i poprowadził ich do żółtego budynku, gdzie zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

— Stąd przyszedł. Był sam. I zły.

— Zły?

— Tak, wyglądał na bardzo rozzłoszczonego. Szedł zdecydowanym krokiem.

Gunnar i Henrik wymienili spojrzenia.

— Nie widział pan w pobliżu nikogo innego?

— Nie.

— Czy słyszał pan może jakieś dźwięki? Głosy?

— Nie, nic sobie nie przypominam.

— Miał coś w rękach?

— Nie, nie sędzę. Nie.

Henrik spojrzał na budynek i ciemne okna biurowe.

— Która była wtedy godzina? — spytał.

— Cóż, było to w środku dnia. Pewnie gdzieś koło trzeciej, wychodzimy wtedy z nią na spacer.

Nils spojrzał na suczkę i się uśmiechnął.

— Prawda, malutka? Ależ tak, tak. Dobrze mówię? No pewnie.

Gunnar włożył ręce do kieszeni i uniósł ramiona.

— Wie pan może, czy miał on tutaj zaparkowany samochód?

— Nie mam pojęcia.

— Musimy skontaktować się z kimś z zarządu.

Henrik zadzwonił do stanowiska kierowania i poprosił oficera dyżurnego, aby natychmiast połączył go z dyrektorem portu w Norrköping.

— Może tymczasem się tu rozejrzemy? — zaproponował Gunnar, wskazując głową na leżące w pobliżu hale.

Henrik kiwnął potakująco, a Gunnar podziękował mężczyźnie za współpracę i ważne informacje, których im dostarczył.

Nils uniósł kaszkiet.

— Nie ma za co. Ale chyba nie będą panowie mieli nic przeciwko temu, jeśli dotrzymam im towarzystwa? Wiem bardzo dużo o tym porcie.

I od razu zaczął opowiadać, jak dawniej wyglądały keje. Podczas spaceru wygłosił

monotonny wykład o nawierzchniach, magazynach chroniących przed niepogodą i wielofunkcyjności dźwigów. Gdy zaczął nowy temat o połączeniu terminalu portowego z koleją, Gunnar grzecznie, lecz zdecydowanie poprosił go, aby zamilkł.

— Więc mówi pan, że przyszedł z tej strony?

— Tak, przyszedł stamtąd.

Nils wskazał na hale, do których się zbliżali.

— Więc może wcale nie był w biurach?

— Tego nie wiem. Mówiłem, że ja widziałem go tutaj, a nie że był w halach.

Rozległ się dźwięk komórki Henrika, dyżurny przekazał mu, że nie udało się skontaktować z dyrektorem portu i zaproponował, że poszuka numeru do osoby dyżurującej, jeśli takowa istnieje. Henrik przystał na to.

Gunnar wysunął się do przodu, przeszedł przez asfalt i ruszył, rozglądając się z ciekawością między mijanymi po drodze halami.

Henrik poszedł jego śladem, a za nim podążył Nils z ziewającym psem na napiętej smyczy.

Gunnar zauważył stojący trochę dalej oświetlony niewielki barak i w pojedynkę skierował się w jego stronę. Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Stół, rozkładane krzesła, ekspres do kawy, szafka i gałgankowy dywanik. Żarówka wisząca na suficie była włączona, a w radiu nadawano poranne wiadomości.

Henrik, który został przy kei, rozglądał się dookoła. Jego wzrok padł na stojące w rzędach kontenery w jednym ze składów.

— Czy wyobraża pan sobie, że te kontenery podróżują po całym świecie? Zupełnie nie do pomyslenia — powiedział Nils, podchodząc do Henrika. — Można do nich załadować cokolwiek. Żelazo, żwir, śmieci, zabawki...

Gunnar zamknął drzwi do baraku i w tym samym momencie zobaczył, że brama do hali jest otwarta. Poszedł w tamtym kierunku, oglądając się w stronę kei, gdzie Nils stał przy Henriku i gestykulował. Gunnar bezskutecznie próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Henrikiem. Cała uwaga komisarza skupiona była na Nilsie, który wyliczał:

— ...maszyny, drewno, samochody, ubrania...

Gunnar pchnął bramę i wszedł do środka. Rozejrzał się po przestrzennym pomieszczeniu. Jarzeniówki na suficie, ściany ze stali, w głębi hali półki magazynowe i szafy, podnośniki i ciężarówki po jednej stronie, a na podłodze leżał... człowiek.

Henrik stał nadal razem z Nilsem przy kei. Czuł się niezręcznie i próbował wymyślić, jak pozbyć się tego gadulskiego mężczyzny, nie będąc przy tym mało taktownym. Wejście mu w słowo wydawało się niemożliwe.

— ...trociny, książki, meble... — wyliczał Nils, odchylając przy każdym słowie kolejny palec — ...buty, obrazy, szkło...

Nagle, jakby w odpowiedzi na ciche modlitwy Henrika, odezwał się jego telefon. Podniósł przepaszającą rękę w stronę Nilsa i odebrał. Oficer dyżurny znalazł numer

do osoby dyżurującej w porcie i łączył rozmowę. Czekając na to, aż ktoś odbierze, wykorzystał okazję, aby oddalić się od Nilsa, i skierował się w stronę baraku, przy którym jeszcze przed chwilą stał Gunnar.

Zajrzał do środka, ale Gunnara tam nie było. Rozejrzał się dookoła, próbując zlokalizować kolegę. W uchu rozlegał się przenikliwy sygnał telefonu.

Nagle usłyszał krzyk Gunnara:

— Henriku! Chodź tutaj!

Henrik zareagował błyskawicznie i pobiegł w stronę hali, z której dochodziło wołanie, cały czas z telefonem przy uchu. Zastał swojego szefa siedzącego na podłodze. Przed nim leżał mężczyzna.

Martwy.

— Zadzwoń po techników!

Henrik od razu zakończył rozmowę i wybrał numer do stanowiska kierowania.

Jana Berzelius znów czuła się czysta.

Zaparzyła filiżankę kawy, przygotowała owsiankę i wycisnęła szklanekę soku z pomarańczy. Zjedzenie śniadania zajęło jej piętnaście minut. Przejrzała z roztargnieniem poranną gazetę, po czym udała się do swojej pracowni. Włączyła komputer i otworzyła kluczem tajne pomieszczenie. W jednej z szuflad schowała telefon Thomasa Rydberga i jego kartę SIM. Wiedziała, że musi pozbyć się obu. I to jak najszybciej. W szufladzie leżał również bilet parkingowy ze wszystkimi znalezionymi w telefonie numerami. Wzięła kartkę i usiadła przed komputerem.

Szybko wystukała pierwszy numer telefonu w wyszukiwarce internetowej. Ukazał jej się adres przedsiębiorstwa zajmującego się sprzedażą części zamiennych.

Następne wyszukiwanie zaprowadziło ją do restauracji, w której serwowano obiady. Potem pojawiły się dane jakiejś prywatnej osoby oraz inspektora portu w Norrköping. Wyszukiwanie numerów z ostatnich rozmów Thomasa nie dało żadnego godnego uwagi rezultatu.

Przebierała palcami po bilecie parkingowym i zastanawiała się nad skrótową informacją, którą znalazła w jednej z wychodzących wiadomości.

„Dost. wt. 1”.

Jeśli ktoś pisał w tak tajemniczy sposób, musiał mieć coś do ukrycia.

Wiadomość wysłano czwartego kwietnia i mogła oznaczać „Dostawa wtorek 1”. Ale co znaczyła ta jedynka? Czy mogła to być ilość? Albo może data?

Jana zerknęła w prawy róg ekranu. Dziś był dwudziesty pierwszy kwietnia. Dziesięć dni do pierwszego maja. Wpisała w wyszukiwarkę internetową numer telefonu, na który wysłano wiadomość. Wynik pojawił się w niecałą sekundę i wprawił ją w osłupienie. Czy mogła to być prawda?

Jeszcze raz przeczytała nazwę.

Urząd imigracyjny.

SIEDZIELI BEZ SŁOWA w samochodzie dostawczym. W środku było ciasno, wszystko się trzęsło i telepało. Dziewczynka podparła się z obu boków dłońmi, by zamortyzować nagłe podskoki pojazdu.

Hades siedział koło niej z zaciętą miną. Wzrok miał utkwiony w jeden punkt prosto przed sobą.

Jechali długo.

Już prawie zasypiała, gdy samochód w końcu się zatrzymał. Kierowca powiedział im, że mają się pospieszyć. Nie tracić czasu, tylko wykonać zadanie i wrócić.

Kobieta siedząca naprzeciw nich przebierała palcami po naszyjniku. Był to cieniutki złoty łańcuszek z zawieszonym imieniem. Dziewczynka nie mogła oderwać od niego wzroku. Kobieta przesuwiała go między palcami, głaskała i ścisnęła. Dziewczynka próbowała dojrzeć, co tam było napisane, ale trudno jej było uchwycić wzrokiem litery między palcami kobiety. Widziała M, a potem A i później znów M.

Samochód zatrzymał się gwałtownie.

W tej samej chwili zobaczyła ostatnią literę i połączyła wszystkie w myśli, tak że utworzyły słowo: Mama.

Kobieta obrzuciła dziewczynkę zirytowanym spojrzeniem. Nic nie powiedziała, ale dziewczynka zrozumiała, że nadszedł czas.

Mieli opuścić samochód.

I wykonać zlecenie.

TAŚMY ODGRADZAJĄCE ŁOPOTAŁY NA WIETRZE. Okolica portu została zamknięta, co zgromadziło trochę ciekawskich osób, chcących dojrzeć, co się dzieje za niebiesko-białą taśmą. Anneli Lindgren była pierwsza na miejscu i rozpoczęła zabezpieczanie śladów w lodowatej hali. Gunnar Öhrn zadzwonił po kolejnych dwóch techników kryminalistyki, z których jeden przyjechał z Linköping. Teraz wszyscy przykucnęli naokoło martwego mężczyzny. Pracowali przy zwłokach już od dwóch godzin.

Gunnar i Henrik stali na zewnątrz i marzli. Nie przyszło im do głowy, aby zabrać czapki. Mieli przecież tylko porozmawiać ze świadkiem. Teraz znaleźli martwego mężczyznę i wizyta w porcie okazała się nieporównanie dłuższa.

— Skończyliśmy! — zawołała Anneli, kiwając na nich z hali. — Z tego, co widzę, zmarł na miejscu, a wcześniej został mocno uderzony w szyję i głowę. Resztę zostawiam Björnowi.

Ściągnęła rękawiczki i spojrzała z rezygnacją na Gunnara.

— To już trzeci — powiedziała.

— Wiem. WIEM. Jakies podobieństwa? — spytał.

— Nie. Hans Juhlén i chłopiec zostali zastrzeleni. Ale z różnej broni. Ten mężczyzna został pobity na śmierć. Mocne uderzenie w skroń i zdaje się też siniak na gardle.

— Chłopiec też to miał.

— Tak, ale poza tym żadnych podobieństw. Niestety.

Anneli wyjęła aparat.

— Zrobię też kilka zdjęć okolicy — powiedziała.

Henrik spojrzał na leżącego na podłodze mężczyznę. Twarz ofiary była poorana zmarszczkami, czarne włosy częściowo ukryte pod szarą czapką.

— Miał pewnie około sześćdziesiątki — powiedział do Gunnara, który potakująco skinął głową.

— Poprosiliśmy o przybycie szefa kadr, aby go zidentyfikował — powiedział Gunnar.

— Kiedy tu będzie?

— Około czwartej.

— Dzisiaj?

— Tak. A potem zrobimy spotkanie. Muszę tylko skontaktować się z Olą.

No i z Mią. Ciągłe nie odbiera.

Henrikowi opadły ramiona.

Sobotni wieczór był stracony.

Dwanaście tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt koron. Na raty. Zero odsetek i stałych

opłat przez sześć miesięcy. Doskonale.

Mia Bolander złożyła paragon i uśmiechnęła się do ekspedientki, która gratulowała jej udanego zakupu. Wyniosła ze sklepu swój pięćdziesięciocalowy telewizor z trójwymiarowym. W prezencie dostała pakiet telewizji cyfrowej, wart dziewięćdziesiąt dziewięć koron miesięcznie. Nie obchodziło jej, że musiała zapłacić za kartę. Ani też to, że umowa obowiązywała przez dwadzieścia cztery miesiące. Warto było. W końcu miała superodbiornik ze wszystkimi kanałami filmowymi.

Karton akurat się zmieścił w jej ciemnoczerwonym fiacie punto — przy otwartym bagażniku. I musiała wciągnąć brzuch, siadając za kierownicę.

W drodze do domu Mia zastanawiała się nad zaproszeniem kilkorga przyjaciół na wieczór. Aby to uczcić. Jeśli ona oferowała miejsce, to może udałoby się jej nakłonić innych do przyniesienia jedzenia i picia. Włożyła rękę do kieszeni kurtki w poszukiwaniu telefonu. Ale kieszeń była pusta. Druga też.

Będąc już w domu, znalazła komórkę pod jedną z poduszek na swoim niepościelonym łóżku. Odszukała ładowarkę i, gdy tylko telefon odżył, wpisała PIN. Nie zdążyła nawet wybrać numeru przyjaciółki, gdy komórka zawibrowała jej w dłoni.

Dzwonił Gunnar Öhrn.

— Mia niedługo przyjedzie — powiedział Gunnar, spoglądając na niewielkie grono osób siedzących przed nim przy stole w sali spotkań.

Anneli wyglądała na zmęczoną.

Ola wydawał się przesadnie pobudzony i lekko stukał długopisem o stół.

Jedyną, która wyglądała jak zawsze, była Jana Berzelius. Siedziała z przygotowanym notesem i długopisem w ręku. Wyprostowana, z bystrymi oczami. Włosy miała świeżo umyte i jak zawsze rozpuszczone.

Gunnar rozpoczął od powitania wszystkich i przeprosił, że musiał zwołać spotkanie w sobotnie popołudnie.

— Mia, jak już mówiłem, jest w drodze, ale zaczniemy bez niej. Powodem spotkania jest znalezienie Thomasa Rydberga dziś o ósmej trzydzieści rano w porcie. Został zamordowany.

Zrobił przerwę. Nikt o nic nie pytał.

— Jest to trzecia zamordowana osoba w ciągu tygodnia.

Gunnar podszedł do tablicy, na której wisiały zdjęcia ofiar, i wskazał na jedną z nich.

— No więc, tutaj mamy Hansa Juhléna, zastrzelonego w swoim domu piętnastego kwietnia. Żadnych śladów włamania. Żadnych świadków. Ale kamera uchwyciła tego chłopca...

Gunnar przesunął palec po portrecie zrobionym z powiększonej klatki filmu z kamery.

— ...który został znaleziony martwy w Viddviken, osiemnastego kwietnia w środę,

też zastrzelony, ale z innej broni. I wszystko wskazuje na to, że to on zamordował Hansa Juhléna. Jednak nie wiemy, jaki mógł mieć motyw.

Gunnar wskazał palcem na kolejne zdjęcie.

— A dzisiaj znaleźliśmy Thomasa Rydberga. Został zidentyfikowany przez personel portowy. Sześćdziesiąt jeden lat, żonaty, dwoje dorosłych mieszkających osobno dzieci, pracował w porcie przez całe życie, zamieszkały w Svärtinge. Wybuchowy, w młodych latach skazany za pobicie i groźby. Wieloletni abstynent. Według techników został pobity na śmierć, a ciało leżało tam przez całą noc, co oznacza, że został zamordowany wczoraj po południu albo wieczorem.

— Ale skąd wiadomo, że to morderstwo jest powiązane z innymi? — spytał Ola.

— Tego oczywiście nie wiemy — odparł Gunnar. — W obecnej sytuacji wiemy w ogóle bardzo mało. Lecz popełniono kolejne morderstwo, i do tego wiemy, że Hans Juhlén był w porcie na kilka dni przed śmiercią.

Gunnar odwrócił się od tablicy i spojrzał na zespół poważnym wzrokiem.

— Mamy więc trochę do roboty, oględnie mówiąc. Chłopiec ciągle nie został zidentyfikowany, nie zgłoszono jego zaginięcia. Pytaliśmy urząd imigracyjny, sprawdziliśmy obozy dla uchodźców i dowiadaliśmy się w każdej szkole, ale nikt nie wie, kim on jest. Dlatego uważam, że powinniśmy wysłać zapytanie za granicę.

Anneli pomału skinęła głową.

— Jak już wspomniał Gunnar, między morderstwami nie ma podobieństw, sposób działania był różny w każdym przypadku — powiedziała.

— A więc mamy do czynienia z wieloma sprawcami — stwierdził Henrik.

— Tak.

— Jeśli przyjmiemy, że chłopiec zabił Hansa Juhléna, to wciąż mamy na wolności jednego albo dwóch morderców. A zegar cały czas tyka — powiedział Gunnar.

Jana przełknęła ślinę i wbiła wzrok w stół.

— Pozostaje pytanie, czy morderstwo Hansa Juhléna nie jest mimo wszystko powiązane z listami z pogroźkami i tym, czego dowiedzieliśmy się od Yusefa Abrhama — powiedział Gunnar. — Co może łączyć ze sobą Yusefa i chłopca, Tanatosa?

— Uważasz, że chłopiec mógł zabić na zlecenie Yusefa? — spytał Henrik.

— To jedna z możliwych teorii. Tym, co wiązałoby chłopca z Thomasem Rydbergiem, są narkotyki. Jest to nikły trop, jestem tego świadomy, ale mimo wszystko mamy jakiś wspólny mianownik.

— Znaleźliśmy w końcu narkotyki w porcie. Pięć paczek z białym proszkiem w jednej z szafek. Można by sądzić, że są to porachunki związane z narkotykami.

— Heroina? — spytał Ola.

— Tak. Wysłaliśmy paczki do analizy — odpowiedział Gunnar.

— Chłopiec był pod wpływem heroiny — stwierdził Ola.

— Ale jak z tym połączyć Hansa Juhléna? Czy szef urzędu imigracyjnego też

zajmował się handlem narkotykami? — powątpiewała Anneli.

Przez zespół przeszedł pomruk.

— No więc — przerwał Gunnar — zdaję sobie sprawę, że były to dla nas wszystkich męczące dni i że mamy przed sobą jeszcze dużo do zrobienia. Pracuję z wami od wielu lat i wiem, do czego jesteście zdolni. Chcę, abyście spróbowali znaleźć związki między ofiarami. Myślę tu przede wszystkim o Hansie Juhlénie i Thomasie Rydbergu. Pochodzą z tego samego miasta? Chodzili do tej samej szkoły? Sprawdźcie krewnych, znajomych, wszystko.

Gunnar zapisał te możliwe związki na tablicy.

— Musimy też skontaktować się z innymi osobami w mieście uzależnionymi od heroiny. Uruchomcie wszystkie znane nam kontakty, odszukajcie każdego dealera, ćpuna, wtyczkę.

Dużymi literami napisał „heroina”.

— Ola, to jest numer telefonu komórkowego Thomasa Rydberga.

Ola złapał kartkę, którą Gunnar pchnął do niego po stole.

— Sporządź dla mnie listę wszystkich wychodzących i przychodzących rozmów. Sprawdź też, czy miał on komputer.

Gunnar napisał „lista rozmów” i podkreślił pisakiem. W tę i z powrotem, wiele razy.

Jana zastygła. Pomyślała o telefonie, który miała w mieszkaniu.

— Znaleźliście coś na miejscu zbrodni? — spytała nagle.

— Nie, nic poza heroiną — odpowiedziała Anneli.

— Nic innego?

— Nie, żadnych śladów, odcisków.

— A kamery?

— Nie ma tam żadnych.

Jana odetchnęła z ulgą.

— Miejmy nadzieję, że ktoś coś widział — powiedział Gunnar. — Musimy też dowiedzieć się o pochodzenie tej heroiny. Henrik?

— Tak, ja się tym zajmę — potwierdził Henrik.

— Dobrze.

Spotkanie zajęło trzydzieści minut. Po jego zakończeniu Jana wyjęła terminarz i zaczęła w nim czegoś szukać, by dać czas zespołowi na opuszczenie sali. Gdy była sama, podeszła do tablicy i zaczęła przyglądać się ofiarom. Dokładnie. Jej wzrok padł na chłopca. Jego gardło było mocno posiniaczone, od silnych uderzeń. Bezwiednie położyła rękę na swoim gardle. Jakby czuła na nim mocny ucisk, jakby było to dla niej coś znajomego.

— Znalazłaś coś?

Drgnęła na dźwięk głosu Oli Söderströma.

Wszedł do pomieszczenia i podszedł do stołu.

— Zapomniałem notatek — powiedział, wyciągając rękę po plik leżących na stole kartek.

Następnie stanął koło niej.

— Trochę pogmatwane, co?

Ola wskazał na zdjęcia.

— Że też nie mamy żadnego tropu. Ten wątek narkotykowy wydaje mi się trochę naciągany.

Jana skinęła głową.

Ola spojrzął na swoje zapiski.

— A do tego te litery i cyfry — powiedział. — Nie mogę się w tym wyznaczyć.

Jana nie odpowiadała. Przełknęła ślinę.

— Masz jakiś pomysł, co one mogą oznaczać?

Ola trzymał kartkę z kombinacjami przed jej oczami.

Jana spojrziała na zapiski, zmrużyła oczy i udała, że się zastanawia.

— Nie — skłamała.

— Ale coś muszą przecież oznaczać — powiedział, zwijając dokumenty w rulon.

— Tak.

— Musiały do czegoś służyć.

— Tak.

— Nie potrafię ich odczytać.

— Nie.

— Albo też odczytuję je w zły sposób.

— Może.

— Jest to frustrujące.

— Rozumiem.

Jana podeszła do stołu, wzięła aktówkę i terminarz, po czym zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

— Lepiej być prokuratorem, co? I nie musiec głowić się nad takimi zagadkami? — spytał Ola.

— Do zobaczenia — odpowiedziała Jana, wychodząc z sali.

Będąc już na korytarzu, zaczęła biec truchtem. Biegła na palcach, aby obcasy nie stukały na twardej podłodze. Chciała wydostać się z komendy policji tak szybko, jak to było możliwe, nie czuła się tam dobrze. Nie było też przyjemne kłamać Oli. Lecz nie miała wyjścia.

Zjechała do garażu windą i szybkimi krokami podeszła do samochodu. Gdy tylko usiadła za kierownicą, zadzwonił telefon. Odeszła jej ochota, żeby odebrać, gdy zobaczyła, że jest to numer rodziców. Ale po siódmym sygnale mimo wszystko podniosła telefon do ucha.

— Tu Jana — powiedziała.

— Cześć, Jana, co u ciebie?

Margaretha Berzelius wydawała się zatroskana.

— Wszystko dobrze, mamó.

Uruchomiła samochód.

— Przyjdiesz na kolację?

— Tak.

— O siódmej.

— Wiem.

Spoglądając w boczne lusterka, zaczęła wycofywać samochód z miejsca parkingowego.

— Przygotuję stek.

— Z pewnością będzie dobry.

— Taki, jaki lubi twój ojciec.

— Tak.

— Chce z tobą rozmawiać.

Jana straciła mowę. Reguły były inne. Zatrzymała samochód. W słuchawce usłyszała chrząknięcie ojca.

— Jakieś postępy? — spytał. Głos miał głęboki, o ciemnym brzmieniu.

— To bardzo skomplikowane śledztwo — odparła Jana.

Ojciec nie odpowiedział, w słuchawce zapadła cisza.

Ona też nic nie mówiła, tylko czekała, z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. Coś go gnębiło, świadczyła o tym panująca w słuchawce cisza.

— Dobrze — powiedział w końcu.

— Dobrze — powtórzyła za nim pomału.

Zakończyła rozmowę. Trzymała telefon przy brodzie i zastanawiała się. Co chciał jej powiedzieć? Że za mało się starała? Że nie była wystarczająco dobra? Że jej się nie uda?

Westchnęła, położyła komórkę na siedzeniu pasażera, nie zauważając małego, ciemnoczerwonego samochodu, który wjechał właśnie do garażu. Nagle usłyszała pisk opon i przeciągłe trąbnięcie. Nadzwyczaj przeciągłe. Nacisnęła na przycisk znajdujący się na drzwiach, opuściła szybę, wyjrzała do tyłu i zobaczyła Mię Bolander za kierownicą swojego fiata.

Wściekłą.

Mia energicznymi ruchami opuściła szybę.

— Jak się siedzi w takim samochodzie, to nic już się nie widzi?

— Ależ skąd, widok jest stąd dobry — odpowiedziała Jana.

— A nie widziałaś, że wjeżdżam do garażu?

— Widziałam — skłamała Jana.

Twarz Mii spochmurniała.

— Więc szkoda, że się nie rozpędziłam. Wyglądasz na taką, co ma pieniądze na stłuczkę.

Jana nie odpowiedziała.

— Niezła fura. Samochód służbowy?

— Nie, prywatny.

— Dobrze zarabiasz?

— Tak jak inni prokuratorzy.

— Najwyraźniej dobrze.

— Samochód nic nie mówi o mojej pensji. Mogłam go odziedziczyć, dostać w prezencie albo po prostu pożyczyć.

Mia Bolander głośno się zaśmiała.

— No pewnie!

— Spotkanie się skończyło. Przyjechałaś za późno.

Mia zacisnęła szczęki. Potem spróbowała zakręcić szybę, lecz bezskutecznie. Rączka się zablokowała. Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona i zaczęła uderzać z całej siły w cholerną rączkę od okna, przeklinając przy tym na cały głos. Potem wcisnęła do oporu pedał gazu i odjechała z piskiem opon.

MĘŻCZYŻNA SPAŁ W SWOJEJ SYPIALNI, gdy weszli do środka przez okno. Najpierw Hades, potem ona. Poruszali się zwinnie i bezszelestnie. Jak cienie. Tak jak zostali nauczeni. Zakradli się do łóżka i stanęli po jego obu stronach. Nasłuchiwali. Nocna cisza była prawie namacalna.

Dziewczynka ostrożnie wyciągnęła przymocowany na plecach nóż i mocno objęła jego rękę. Nie drżały jej dłonie. Nie wahała się. Spojrzała na Hadesa. Miał rozszerzone źrenice i nozdrza. Był gotowy. Na umówiony sygnał postąpiła krok do przodu, weszła na łóżko i perfekcyjnym ruchem podcięła mężczyźnie gardło. Mężczyzna drgnął, zaczął charczeć, dusić się, próbował zaczerpnąć powietrza.

Hades stał cicho, przyglądając się drgawkom ofiary. Przez chwilę napawał się paniką i strachem mężczyzny przed zbliżającą się śmiercią. Usta umierającego były otwarte, oczy wybałuszone. Wyciągnął rękę, jakby w desperackim akcie poszukiwania pomocy.

Ale Hades tylko szyderczo się uśmiechnął. Podniósł pistolet i nafaszerował ofiarę wszystkimi kulami, jakie miał w magazynku. Nie powinien tego robić, nie takie było polecenie. Miał tylko stać na czatach. Chronić ją. Ale mimo to strzelił.

Dziewczynka spojrzała na leżącego między nimi martwego mężczyznę. Plama krwi na białym prześcieradle robiła się coraz większa. Z cięcia na szyi, z rany po kulach w piersi, w brzuchu i w czole.

Hades oddychał ciężko, jego oczy były czarne jak węgle.

Wiedziała, że nie zrobił dobrze, że postąpił wbrew regułom, lecz mimo to uśmiechnęła się do niego. Bo czuła zadowolenie. Gdy stali tak w tej ciemnej sypialni, spoglądając na siebie, wypełniła ich euforia, poczuli się częścią czegoś większego. Stali się narzędziami — tym, czym mieli się stać po długich przygotowaniach.

W końcu.

Razem wyszli przez okno i udali się do samochodu dostawczego. Tam czekała na nich kobieta. Miała niewzruszoną minę, nie okazywała im podziwu. Wręcz przeciwnie, brutalnie wepchnęła ich na tył samochodu. Dziewczynka od razu usiadła na podłodze. Hades też. Usiadł naprzeciw niej, z wyciągniętymi długimi nogami i wzrokiem utkwionym w sufit.

Kobieta zamknęła drzwi i nakazała mężczyźnie, aby natychmiast stamtąd odjechał.

Dziewczynka pochyliła się i wyjęła okrwawiony nóż z pochwy umocowanej na plecach. Podciągnęła nogi do brody i przyglądała się ostrzu. Palcem wskazującym rozmazywała czerwone plamy po błyszczącej powierzchni, w tę i z powrotem. Udało jej się, pierwsze zlecenie zostało wykonane. Teraz wracali. Do domu.

Gdzie zostaną nagrodzeni białym proszkiem.

HENRIK LEVIN I MIA BOLANDER zaparkowali przed pizzerią za rogiem, by zjeść szybką kolację. Oboje liczyli się z tym, że będą musieli pracować cały wieczór. Henrik zamówił sałatkę z kebabem, a Mia pizzę calzone.

— Więc mogą to być porachunki? — spytała Mia, wkładając do ust porcję sałatki, którą dodawano do pizzy.

— Tak — przytaknął Henrik. — Tylko w zeszłym roku dwie osoby zostały postrzelone w porachunkach gangów w Klindze. Wszystko wskazuje na to, że chodziło o monopol narkotykowy w mieście.

— Ale jak z tym połączysz Hansa Juhléna? Miałby być szefem gangu, czy jak? — spytała Mia i, nie czekając na odpowiedź, kontynuowała:

— Nie zgadzam się z tobą, nie wydaje mi się, że stoi za tym gang. Uważam raczej, że jest to robota na zamówienie. Ktoś chciał sprzątnąć Juhléna i zlecił to chłopcu.

Mia nabrała sałatkę na widelec i podniosła do ust kolejną wielką porcję.

— Ciągle nie jestem przekonany, że zabił go ten mały chłopiec — powiedział Henrik.

— A kiedy się przekonasz? Wszystko wskazuje na to, że chłopiec jest mordercą. Wszystko.

— Ale żeby dziecko zabijało... To jest doprawdy...

Henrik ucichł.

Mia spojrzała na niego.

— Ale się zdarza. A teraz wybacz mi na chwilę, idę po więcej.

Skinęła głową w stronę opróżnionego talerza, wstała i podeszła do chłodziarki, z której nałożyła kolejne trzy łyżki sałatki. Idąc do stołu, jadła palcami z talerza.

Henrik przechylił się przez stół.

— Miałem tylko na myśli to, jak można nakłonić dziecko do zamordowania kogoś? I kto robi takie rzeczy?

— Dobre pytania — odrzekła Mia.

Przyniesiono zamówione dania i przez chwilę jedli w milczeniu.

— A może jest to przypadek. Może te morderstwa nie są ze sobą w ogóle połączone — powiedział Henrik, wycierając usta serwetką.

— Ach, daj w końcu za wygraną.

Mia potrząsnęła głową, zjadła ostatnie kawałki szynki i odsunęła od siebie talerz.

— Lecimy?

— Tak, muszę tylko najpierw zapłacić.

— Ach, no tak. Shit, zapomniałam wziąć z domu portfel. Pożyczysz mi?

Mia uśmiechnęła się przymilnie.

— Oczywiście — odparł Henrik, podnosząc się od stołu.

Była dziesiąta wieczorem i zupełnie opuściły go teraz siły. Siedział w biurze i rozmyślał o morderstwach, przeklinając śledztwo. Nie mógł tego wszystkiego ogarnąć. Jakiegokolwiek by wymyślał motywy, nie potrafił połączyć tej układanki.

Juhlén, niezidentyfikowany chłopiec i Thomas Rydberg. Listy z pogrózkami, usunięty dokument i kombinacje. A do tego napis na karku chłopca.

Gunnar westchnął.

Zwiady w okolicy portu dały im interesującą wskazówkę.

Pewien mężczyzna widział ciemny samochód zaparkowany przy porcie około siedemnastej w ubiegły piątek. Najpierw twierdził, że był to duży model czarnego bmw i Gunnar od razu nakazał stworzenie listy wszystkich bmw w mieście, modeli X, które można było uznać za większe. Ale gdy potem świadek zmienił zdanie i zaczął mówić, że mógł to być równie dobrze mercedes albo landrover, Gunnar przerwał działania. A gdy mężczyzna stwierdził, że samochód może nie był ciemny, zupełnie skreślili ten trop.

Zadzwoił do Henrika, który przekazał mu, że skontaktowanie się z narkomanami nie przyniosło żadnego rezultatu. Również rozmowa z żoną Thomasa Rydberga nie wniosła do śledztwa niczego interesującego.

Teraz miał w skrzynce pocztowej czterdzieści dwa nowe mejle, a na komórce dziesięć wiadomości głosowych. Wszystkie od dziennikarzy, którzy chcieli zadać mu pytania — i otrzymać odpowiedzi. O całym śledztwie. I to najlepiej od razu. Niezwłocznie. Teraz.

Gunnar nie znał odpowiedzi i ignorował wszystkich, którzy próbowali się z nim skontaktować. W głowie zaświtała mu myśl o pójściu do domu. Przyjemnie byłoby położyć się na kanapie z zimnym piwem w ręku. A jeszcze milej w jakimś towarzystwie.

Wstał od stołu, zgasił światło w biurze i skierował się do windy, rozważając zadzwonienie do Anneli. Gdy drzwi windy otwały się na parterze, stał z telefonem w ręku i ciągle się wahał. Może zacznie coś sobie wyobrazać. Na przykład, że można by zacząć od początku. Znów zamieszkać razem. Nie, nie, nie — nie zadzwoni.

Włożył komórkę do kieszeni. Wrócił do windy, nacisnął przycisk z trójką i z powrotem pojechał do biura. Nie było sensu iść do domu, mógł równie dobrze jeszcze trochę popracować.

Poszedł korytarzem do swojego pokoju, zapalił lampę i napisał list z prośbą o pomoc. Adresatem był Europol.

NIEDZIELA 22 KWIETNIA

JANA BERZELIUS OBUDZIŁA SIĘ w łóżku, leżąc na plecach. Prawą rękę miała mocno zaciśniętą i pomалу zaczęła rozprostowywać skurczone palce. Zamknęła oczy, próbując się odprężyć.

Sen był dzisiaj trochę inny. Pojawiło się w nim coś, czego wcześniej nigdy nie widziała, jednak teraz nie mogła sobie przypomnieć, co to było.

Czuła ból w przedramieniu, przyłożyła do niego lewą rękę, gdy tylko udało jej się rozprostować zaciśniętą dłoń. Tak mocno wbiła we śnie w skórę jeden z paznokci, że utworzyło się małe pęknięcie. Krew pociekła po kciuku i zakrzepła. Wyglądała jak ciemnoczerwony, cieniutki sznureczek.

Wstała z łóżka, nadal trzymając się lewą ręką za prawe przedramię. Poszła do łazienki i opłukała krew. Plecy ją swędziały, pot zasechł na skórze i gdy podrapała się po ramieniu, przeszedł ją dreszcz.

Wiatr wył na zewnątrz, a deszcz smagał szyby. Zastanawiała się, która może być godzina. Z powodu panujących ciemności nie była w stanie stwierdzić, czy była jeszcze noc, czy już wczesny ranek. Poszła z powrotem do sypialni i usiadła na brzegu łóżka.

Kołdra jak zwykle leżała zwinięta na podłodze. Schyliła się, by ją podnieść, cały czas zastanawiając się, co nowego pojawiło się we śnie.

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Obrazy natychmiast powróciły. Twarz. Twarz z blizną i głos kogoś, kto na nią krzyczał. Trzymał ją i bił. Kopał. Znowu krzyczał.

Ścisnął ją mocno za gardło, aż brakowało jej powietrza. Walczyła, by się uwolnić, by móc oddychać, by przeżyć. A on tylko się śmiał. Lecz ona się nie poddała. Myślała tylko o jednym. Nigdy się nie poddać. I w tym samym momencie, gdy przed oczami robiło się czarno, zobaczyła nowy detal, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Naszyjnik.

Obok niej leżał błyszczący, mieniący się naszyjnik. Wyciągnęła po niego rękę. Coś na nim było wygrawerowane.

Jakieś imię.

Mama.

Potem wszystko pogrążyło się w ciemności.

Jana usiadła i wyjęła notatniki ze stoliczka nocnego. Wzięła wszystkie i rozrzuciła po łóżku. Zaczęła je wertować, w tę i z powrotem, od początku do końca, aby znaleźć jakąś informację albo rysunek naszyjnika. Ale szukała nadaremnie. I wówczas zrobiła to, czego nie robiła już od lat.

Otworzyła ostatni notatnik na niezapisanej stronie, wzięła do ręki długopis i zaczęła

rysować.

Przez większą część nocy Henrik Levin leżał w łóżku i zastanawiał się nad śledztwem.

Gdy zegar wybił szóstą, wstał, zaparzył kawę i zjadł talerz jogurtu z kawałkami banana. Wytarł dwa razy blat kuchenny i stół, umył zęby, a potem obudził Emmę, żeby powiedzieć jej, iż zmuszony jest pracować przez jeszcze jeden dzień wolny. Gdy otwierał drzwi wyjściowe, usłyszał, że dzieci właśnie się obudziły. Spiesznie wyszedł z domu, by po raz kolejny nie oglądać zasmuconych min.

Tropem, którym zamierzał pójść i o którym rozmyślał podczas godzin nocnych, były znalezione przez techników w porcie narkotyki. Uważał, że potrzebne byłoby dokładne przeszukanie portu, jak również niezwłoczne przesłuchanie jego pracowników.

Zadrzał, gdy położył gołe dłonie na zimnej kierownicy. Gdy tylko przekręcił kluczyk w stacyjce, na cały regulator włączyła się płyta CD. Piosenkarz Markoolio śpiewał radośnie o mieście Phuket, o lecie i o *thai, thai, thai*.

Wyłączył muzykę i wycofał samochód z wjazdu do garażu.

W ciszy rozmyślał o ubiegłym wieczorze. Razem z Mią udało im się porozmawiać z kilkoma znanymi im narkomanami uzależnionymi od heroiny. Rozmawiali nawet z mężczyzną, który we wcześniejszych sprawach podał im ważne informacje — doprowadziły one do schwytania niepełnoletnich handlarzy narkotyków. Henrik miał nadzieję, że również tym razem uda mu się namówić go do współpracy. Ale on, jak i wszyscy inni, z którymi rozmawiali, był bardzo oszczędny w słowach.

— Ale powiedz, jeśli coś wiesz, do cholery — nalegała Mia, z twarzą trzy centymetry od twarzy mężczyzny.

Potem straszyla go różnymi przykrymi następstwami, jeśli nie poda im informacji, która mogłaby posunąć śledztwo do przodu.

Henrik wziął ją za rękę i zmusił, by usiadła na krześle. Wówczas się uspokoiła.

Najchętniej chcieliby dostać jakieś nazwiska. Ale trzeba było pamiętać, że donoszenie w tych środowiskach równało się śmierci.

Gdy Henrik stanął na czerwonym świetle, zaczął myśleć o tym, że powinien poświęcić więcej uwagi broniom, z którymi mieli do czynienia w śledztwie. Sig Sauer kalibru 22 i Glock. Poza tym powinien zadzwonić do sekcji kontroli ruchu i przypomnieć im, aby pospieszyli się z identyfikacją pojazdu, który fotoradar przy Viddviken być może uwiecznił na zdjęciu.

Henrik był pełen energii. Miał nadzieję na owocny dzień.

Gdy wysiadł z samochodu w garażu komendy, było wpół do ósmej.

Zobaczył, że w biurze Gunnara pali się światło i zastał swojego szefa siedzącego przed komputerem, z palcami żwawo poruszającymi się po klawiaturze.

— Też nie mogłeś spać? — spytał Henrik.

— Nie, skąd. Tylko trochę trudno było znaleźć wygodną pozycję na biurowej

kanapie — powiedział Gunnar, nie odrywając oczu od ekranu.

Henrik się uśmiechnął.

— Chciałem przejrzeć wszystkie akta. Nie mogę się połapać w tych morderstwach — powiedział.

Gunnar przekręcił się na krześle i spojrzał na Henrika.

— Przejrzyj wszystko. Ja tylko przekażę rzeczniczce prasowej kilka mejli od ciekawskich reporterów. Zostały mi jeszcze dwadzieścia dwa.

Gunnar odwrócił się na krześle i kontynuował pracę.

Henrik poszedł do sali spotkań, włączył jarzeniówki na suficie i spojrzał przez okno na opustoszałe rondo. Norrköping jeszcze się nie obudziło.

Wyjął teczkę z informacjami o sprawie Hansa Juhléna, nieznanego chłopca z imieniem Tanatos wyrytym na karku i Thomasa Rydberga, po czym usiadł przy stole.

Teczka Thomasa Rydberga zawierała w dalszym ciągu niewiele dokumentacji poza trzydziestoma fotografiami, które Anneli zrobiła na miejscu zbrodni poprzedniego dnia.

Ostatnie cztery zdjęcia zostały zrobione na zewnątrz, w pobliżu miejsca pracy Rydberga. Henrik przejrzał je pobieżnie, czując, jak ogarnia go zmęczenie.

Z hukiem zamknął teczkę i poszedł do kuchni, gdzie wypił dużą szklankę wody. Potem stanął z pustą szklanką w dłoni. Nagle przyszło mu do głowy, że coś na tych zdjęciach było. Coś godnego uwagi.

Wzdłuż pleców przeszedł go dreszcz. Z brzękiem wstawił szklankę do zlewu i spiesznie wrócił do sali spotkań.

Otworzył teczkę Rydberga i jeszcze raz przejrzał zdjęcia, strona po stronie, zdjęcie za zdjęciem. Co takiego wpadło mu w oko?

Chciał się już poddać, gdy doszedł do ostatniego zdjęcia. Było to panoramiczne ujęcie miejsca zbrodni, najprawdopodobniej Anneli klęczała, gdy je robiła. Uchwyciła na nim pracujących techników, a w tle, przez otwarte bramy, widać było magazyn z kontenerami. Stało tam wiele kolorowych kontenerów.

Henrik próbował dojrzeć, co było na nich napisane, ale gołym okiem nie dawał rady. Wstał więc szybko, wybiegł na korytarz i stanął w drzwiach do pokoju Gunnara.

— Masz szkło powiększające?

— Nie, sprawdź u Anneli.

W biurze Anneli był wzorowy porządek, każda rzecz miała tam swoje miejsce.

Henrik otwierał szufladę za szufladą, aż w dolnej znalazł szkło powiększające, z którym pobiegł z powrotem do sali spotkań.

Za pomocą szkła próbował dojrzeć szczegóły na zdjęciu. Fotografia została zrobiona ze zbyt dużej odległości, aby mieć pewność, ale na jednym z kontenerów zdawał się dostrzegać kilka liter i cyfr.

Szybko otworzył teczkę Hansa Juhléna i odszukał w niej listę z dziesięcioma

kombinacjami. Zaczął liczyć cyfry i litery na zdjęciu, porównując je z tymi z kartki. Rezultat był wstrząsający.

Liczba liter i cyfr się zgadzała.

Za piętnaście jedenasta Henrik Levin i Gunnar Öhrn wsiedli do samochodu. Umówili się z szefem portu, który miał ich oprowadzić po składzie z kontenerami.

Gdy skręcili na portowy parking, czekał już tam na nich niski mężczyzna. Miał na sobie niebieską koszulę w romby i jasne dżinsy oraz okulary w czarnych wąskich oprawkach. Jego włosy były lekko rudawe, tak jak brwi. Uśmiechnął się przyjaźnie, przedstawivszy się jako Rainer Gustavsson, dyrektor portu. zaproponował im kawę, ale Henrik grzecznie odmówił i poprosił, aby dyrektor od razu zaprowadził ich do składu kontenerów. Rainer Gustavsson wskazał im drogę.

W porcie stał zacumowany duży statek, który właśnie ładowano. Wielki dźwig prznosił kontener za kontenerem. Na pokładzie znajdowało się wielu marynarzy ubranych w granatowe kombinezony z logo przedsiębiorstwa. Wszyscy mieli na głowach kaski. Dwóch mężczyzn kontrolowało, czy wszystko jest porządnie przymocowane. Pukali w stalowe liny i od czasu do czasu jeden z nich brał klucz francuski, by coś dokręcić.

Henrik spojrzał na statek, na którym piętrzyły się kontenery, wysoko na pięć pięter.

— By załadować statek, potrzeba wielu godzin pracy — powiedział Rainer. — I wszystko musi odbywać się szybko. Jeśli coś idzie nie tak i statek ma opóźnienie, od razu traci się pieniądze. Efektywność jest najważniejsza w branży transportowej.

— Ile kontenerów można załadować na statek? — spytał Henrik.

— Największe statki mogą przyjąć sześć tysięcy sześćset kontenerów. Jeśli na każdym kontenerze stracimy minutę, da nam to ponad sto godzin opóźnienia. Dlatego ładowanie jest bardzo istotną sprawą i w ostatnich latach dokonaliśmy w porcie daleko idących inwestycji, aby polepszyć logistykę. Mamy teraz kompletny system do zarządzania powiadomieniami, kontrolą, szacunkami, naprawami oraz załadunkiem i rozładunkiem kontenerów. Dzięki dwóm nowym dźwigom o modelu Ship-to-Shore możemy też obsługiwać większe jednostki — powiedział Rainer.

— Jakie towary przeładowujecie? — spytał Gunnar.

— Każdego rodzaju. W porcie towarowym mamy skład kontenerów o powierzchni osiemdziesięciu tysięcy metrów kwadratowych.

Mówiąc to, Rainer się wyprostował.

— Jak kontrolujecie zawartość? — spytał Gunnar.

— Zajmuje się tym urząd celny. Ale czasem trudno stwierdzić, kto jest odpowiedzialny za ładunek.

Rainer zatrzymał się i spojrzał na swoich rozmówców.

— Mieliśmy tu wiele kontroli przez wszystkie lata działalności i zdarzało się, że zarówno przedstawiciele gminy, jak i urzędu do spraw środowiska stali przed pełnymi kontenerami i próbowali dojrzeć, co zawierają.

Wziął oddech i nieco ściszył głos.

— Nie tak dawno temu mieliśmy tu trzy osoby z Nigerii, które załadowały kontener złomem samochodowym. Chcieli wysłać to do Nigerii, gdyż uważali, że ten towar jest cenny. To, co u nas się wyrzuca, tam jest używane. Ale zupełnie nie mieli pojęcia o przepisach, co doprowadziło do tego, że sprawą zajął się zarząd regionu i nakazał opróżnienie całego kontenera, aby można było ocenić jego zawartość. Niektóre części samochodowe zostały skonfiskowane, ponieważ uznano je za niebezpieczne dla środowiska odpadki. Nie wiem, co się stało z resztą.

Rainer ruszył do przodu.

Henrik i Gunnar szli po bokach.

— A jak często się zdarza, że trzeba opróżnić kontener? — spytał Henrik.

— Nie za często. Transporty są regulowane przez formalności celne. Sprzedawca musi zadeklarować eksportowane towary, a kupujący import. Jest wiele przepisów dotyczących transportu morskiego. Czasem partnerzy handlowi nie znają warunków dostawy kraju, z którym prowadzą interesy, i wtedy może pojawić się problem.

— Co ma pan na myśli? — spytał Gunnar.

— Czasami nie wiadomo, kto ma zapłacić za ubezpieczenie, gdy odpowiedzialność za towar przechodzi ze sprzedawcy na kupującego i tak dalej. Mamy międzynarodowe regulacje, ale ciągle dochodzi do dyskusji w związku z odpowiedzialnością za towar — tłumaczył Rainer, rozkładając przy tym ręce. — Jesteśmy na miejscu.

Kontenery piętrzyły się przed nimi jak ogromne klocki ze stali. Na prawo stały trzy pomarańczowe, jeden na drugim. Za nimi wznosiły się kolejne trzy, szare, żardzewiałe, z napisem Hapag-Lloyd na bokach. Pięćdziesiąt metrów dalej stało czterdzieści kontenerów, na przemian niebieskich, brązowych i szarych.

Wiatr świszcział cicho w wąskich przestrzeniach między kontenerami, ziemia była mokra, a ciemne chmury straszły deszczem.

— Skąd przywożony jest towar? — spytał Henrik.

— Przede wszystkim ze Sztokholmu i okolicy. Ale też z Finlandii, Norwegii i krajów bałtyckich. No i oczywiście z Hamburga. Większość towarów z zagranicy jest tam przeładowywanych, zanim trafi do nas — wyjaśnił Rainer.

— W miejscu, w którym został zamordowany Thomas Rydberg, znaleźliśmy torebki z narkotykami. Czy wie pan coś na ten temat?

— Nie — odpowiedział szybko Rainer, spoglądając na swoje buty. — Ale oczywiście niczego nie możemy wykluczyć. Choć gdyby tego rodzaju handel był tu zakrojony na szeroką skalę, myślę, że zwrócilibyśmy na to uwagę.

— Czy spotkaliście się w porcie z innym nielegalnym handlem? Na przykład alkoholem?

— Tak, ale to było dawniej. Teraz na wielu statkach nie wolno spożywać alkoholu na pokładzie.

— A wcześniej?

Rainer zwlekał nieco z odpowiedzią.

— Mieliśmy trochę problemów ze statkami z krajów bałtyckich. Między innymi chodziło o sprzedaż nielegalnego alkoholu. Przyłapaliśmy młodzież kupującą wódkę bezpośrednio ze statków.

— Ale ostatnio nic nie zauważyliście?

— Nie. Choć trudno temu zapobiec, mamy sześć tysięcy metrów kei, a nie możemy zatrudnić ludzi tylko do pilnowania portu. Nie ma na to pieniędzy.

— Więc może tu występować handel narkotykami?

— Tak, jak już mówiłem, nie można tego wykluczyć.

Henrik podszedł do niebieskiego kontenera i przyjrzał się jednemu z jego dłuższych boków. Krople wody spływały po rdzewiejącej blasze. Obszedł go dookoła i podszedł do drzwi. Cztery ocynkowane zasuwki przebiegały z góry na dół, a na środku znajdowała się puszka kryjąca wielką kłódkę. Na prawych drzwiach widniały litery i cyfry.

Henrik od razu rozpoznał ten rodzaj kombinacji.

— Dowiedzieliśmy się, że Hans Juhlén, szef urzędu imigracyjnego, był nie tak dawno w porcie — powiedział Gunnar.

— Ach tak? — zdziwił się Rainer.

— Czy nie wie pan, co mógł tu robić?

— Nie, nie wiem. Nie mam pojęcia.

— Czy wiadomo panu, aby spotykał się z kimś tu pracującym?

— Ma pan na myśli związek?

— Nie, nic nie mam na myśli. Chciałbym się tylko dowiedzieć, co tu robił. Więc nie wie pan, czy znał on kogoś z pracowników portu?

— Nie, ale to przecież możliwe.

— W komputerze Hansa Juhléna znaleźliśmy dziesięć różnych kombinacji liter i cyfr. Wyglądają mniej więcej jak ta tutaj.

Henrik wskazał na drzwi i potem wyjął kombinację Juhléna z kieszeni.

— Czy może mi pan powiedzieć, co one oznaczają?

Rainer wziął do ręki listę i poprawił okulary.

— Tak, są to oznaczenia kontenerów. W ten sposób je identyfikujemy.

Jana Berzelius wytarła dokładnie komórkę Thomasa Rydberga środkiem odtłuszczającym i szmatką, umieściła ją w plastikowym worku o pojemności trzech litrów i położyła na stole. Zastanawiała się, jak pozbyć się telefonu. Pierwszą myślą było spalenie go. Ale gdzie? W mieszkaniu włączyłby się alarm przeciwpożarowy i nawet jakby wyjęła baterię, czuć by było dym na całej klatce schodowej. Innym pomysłem było wrzucenie telefonu do rzeki. Tak byłoby najlepiej, pomyślała. Musi wrzucić telefon do rzeki, nie będąc przy tym przez nikogo zauważoną. W myślach przeglądała wszystkie możliwe miejsca wzdłuż przepływającej przez Norrköping

Strömmen, ale nie przyszło jej do głowy ani jedno pasujące odludne miejsce.

Po godzinie rozważań postanowiła, że mimo wszystko pójdzie poszukać jakiegoś odosobnionego miejsca nad rzeką.

Włożyła pakunek z telefonem do torebki i opuściła mieszkanie.

Gunnar Öhrn i Henrik Levin siedzieli w biurze i przyglądali się, jak Rainer Gustavsson stuka w klawiaturę komputera. Przedtem spieszenie opuścili skład kontenerów.

— Zobaczmy — powiedział Rainer, spoglądając znad okularów.

Rudawe brwi uniosły się kilka centymetrów w górę, czoło pokryły zmarszczki.

Henrik rozwinął kartkę i przeczytał pierwszą kombinację z listy.

— VPXO. A dalej?

— 410009.

Rainer wpisał podane cyfry i litery do systemu.

Komputer zaszumiał, przeszukując międzynarodowy rejestr kontenerów morskich. Zajęło to niecałą minutę, jednak Henrikowi wydawała się ona wiecznością.

— No cóż, tego kontenera nie ma już w systemie. Najprawdopodobniej został zezłomowany. Sprawdzimy następny? — spytał Rainer.

Henrik zaczął się wiercić na krześle.

— CPCU 106130 — powiedział.

Rainer wpisał kombinację do komputera.

— Nie, tego też nie ma. Następny?

— BXCUC 820339 — przeczytał Henrik.

— Nie, system odpowiada, że ten kontener nie jest już w użyciu. Najprawdopodobniej wszystkie zostały zezłomowane.

Henrik poczuł ukłucie zawodu. Przed chwilą mieli w rękach decydującą wskazówkę, a teraz wrócili do punktu wyjścia.

Gunnar potarł nos, wyraźnie poirytowany.

— Ale nie wydaje mi się bardzo logiczne, aby Hans Juhlén trzymał w swoim komputerze listę z kontenerami oddanymi na złom. Musiał mieć w tym jakiś interes, i ja się zastanawiam jaki?

Henrik skinął głową, pomyślał dokładnie to samo.

— Czy można zobaczyć, skąd pochodziły te kontenery? — spytał.

— Zobaczmy. Ten pochodził z Chile. Sprawdźmy kolejne dwa... tak, te też były z Chile — poinformował ich Rainer.

— Kto jest odpowiedzialny za złomowanie? — spytał Gunnar.

— Przedsiębiorstwo, do którego należy kontener. W tym wypadku jest do Sea and Ari Logistics, SAL.

— Czy może pan sprawdzić, skąd pochodziły pozostałe kontenery? I do kogo należały?

Henrik położył na stole listę z kombinacjami. Rainer wpisał czwartą kombinację

i zrobił koło niej notatkę. To samo z piątą i szóstą.

Gdy doszedł do dziesiątej i ostatniej kombinacji, ukazał im się wyraźny wzór.

Wszystkie kontenery pochodziły z Chile.

— STÓJ! — KRZYKNEŁA KOBIEA.

— Teraz? — spytał mężczyzna kierujący samochodem.

— Tak, teraz. Zatrzymaj się! — zawołała jeszcze raz.

— Ale jeszcze daleko. To przecież nie tutaj — powiedział mężczyzna.

— Cicho — przerwała mu kobieta. — To ja mam to zrobić, więc ja decyduję. Nie ty i nie on.

Mężczyzna zahamował i zatrzymał samochód.

Dziewczynka od razu zrozumiała, że coś jest nie tak. Nawet Hades zareagował i się wyprostował.

Kobieta utkwiała w niej wzrok.

— Podaj mi nóż.

Dziewczynka posłuchała bez chwili zwłoki.

— I pistolet. Oddaj mi go!

Hades spojrział na nią, posłusznie podając broń. Kobieta wyrwała mu ją z ręki i sprawdziła magazynek. Był pusty.

— Nie miałeś strzelać — powiedziała surowo.

Hades spuścił głowę.

Kobieta otworzyła stojącą w rogu przy kabinie kierowcy skrzynkę i wyjęła z niej pełen magazynek, którym załadowała pistolet. Odbezpieczyła broń i wymierzyła ją w dziewczynkę.

— Wychodź — rozkazała.

Dookoła rozciągał się las, wszędzie panowała cisza. Noc zaczynała przechodzić w dzień i przez sosny przedzierały się pierwsze promienie słoneczne. Kobieta popychała ją, przyłożywszy jej do pleców pistolet. Hades szedł przodem. Miał zwieszoną głowę, tak jakby zrobił coś złego, czego się teraz wstydził.

Ścieżka, po której szli, była wąska i od czasu do czasu dziewczynka potykała się na korzeniach wystających z miękkiego podłoża. Gałęzie drapały ramiona i moczyły cienki materiał bluzki. Im dalej wchodzili w las, tym słabiej widać było światło reflektorów samochodu.

Sto pięćdziesiąt dwa, liczyła w myślach kroki, próbując zapamiętać liczbę. Dotarli do miejsca, w którym teren się obniżał.

Gęsty las nieco zrzedł.

— Dalej! — rozkazała kobieta, mocno przyciskając pistolet do jej pleców. — Idź!

Zeszli w dół, odginając rękoma większe gałęzie.

— Stać! — nakazała kobieta, chwytając dziewczynkę mocno za ramię.

Pchnęła ją w stronę Hadesa i ustawiła ich blisko siebie. Spojrzała na nich po raz ostatni, po czym stanęła za nimi.

— Myśleliście, że jesteście nieśmiertelni, co?

Kipiała nienawiścią.

— Jak bardzo się myliliście. Jesteście nikim, zapamiętajcie to sobie. Jesteście nic nieznaczącymi wyrzutkami, których nikt nie chce! Nikogo nie obchodzicie. Słyszycie to? Nawet Taty. Potrzebował was tylko do zabicia, tylko po to. Dotarło to do was?

Dziewczynka spojrzała na Hadesa, który napotkał jej spanikowany wzrok.

Uśmiechnij się, proszę, myślała. Uśmiechnij się i powiedz, że to tylko sen. Niech ten dołeczek w policzku stanie się jeszcze głębszy. Uśmiechnij się. Proszę!

Ale Hades się nie uśmiechał. Mrugał.

Raz, dwa, trzy, pokazywał mrugnięciami. Raz, dwa, trzy.

Zrozumiała, co miał na myśli, i też mrugnęła potwierdzająco.

— Pewnie, że tego nie zrozumieliście. Nie umiecie przecież myśleć. Jesteście zaprogramowani. Ale teraz nadszedł koniec.

Kobieta wyrzucała z siebie słowa:

— Nadszedł koniec, pieprzone niedorozwoje!

Hades zamrugał jeszcze raz. Tym razem mocniej. Raz, dwa trzy. I jeszcze raz. Ostatni. Raz. Dwa. Trzy.

Rzucili się do tyłu. Hades chwycił ramię kobiety, by zabrać jej pistolet. Została zaskoczona i instynktownie nacisnęła na spust. Oddała strzał. Dźwięk odbił się echem między drzewami. Ale nie podołała sile Hadesa i krzyknęła z bólu, gdy wykręcił jej rękę do tyłu.

Dziewczynka wzięła pistolet i od razu wymierzyła go w kobietę. Wtedy zobaczyła, że Hades osuwa się na ziemię. Został trafiony.

— Oddaj pistolet — wyszczała kobieta.

Ręce dziewczynki zadrżały. Patrzyła na Hadesa nieruchomo leżącego w trawie.

Widziała jego krtań, ciężko oddychał.

— Hades!

Pomału odwrócił głowę w jej stronę i napotkał jej wzrok.

— Biegnij! — wyszeptał.

— No już, dawaj pistolet! — krzyczała kobieta.

— Biegnij, Kera — wyszeptał ponownie Hades, po czym mocno zakaszłał. — Biegnij!

Dziewczynka cofnęła się kilka kroków.

— Hades...

Nie rozumiała. Nie mogła biec, zastawić go tutaj.

— Biegnij!

I wtedy zobaczyła jego uśmiech.

Rozpromienił mu całą twarz. W tym samym momencie zrozumiała, że musi to zrobić.

Odwróciła się i zaczęła biec.

PRZEZ PONAD TRZYDZIEŚCI MINUT Jana Berzelius jechała wzdłuż rzeki, nie mogąc znaleźć żadnego odpowiedniego miejsca. Wszędzie byli ludzie i z pewnością wydałoby im się bardzo podejrzane, jeśli wyszłaby z samochodu i tak po prostu wrzuciła telefon do rzeki.

Pojechała na parking na Leonardsbergsvägen i wyłączyła silnik. Zaczęła się zastanawiać, jak się pozbyć komórki. Narastało w niej poczucie frustracji i w końcu nie wytrzymała. Uderzyła dłonią w kierownicę. I jeszcze raz, obiema rękoma.

Mocno.

Jeszcze mocniej.

Potem oparła się o zagłówek i odetchnęła. Wsparła łokieć o drzwi samochodu i przyłożyła zaciśniętą pięść do ust. Przez długą chwilę siedziała w tej pozycji, rozglądając się po otaczającym ją surowym krajobrazie. Wszystko było szare. Przygnębione. Drzewa nie miały liści, ziemia była brązowa od niedawno stopniałego śniegu, a niebo miało ciemnoszary kolor jak asfalt na drodze.

I wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej plastikowy woreczek z komórką. Że też nie wpadła na to wcześniej!

Poprawiła się na siedzeniu kierowcy i położyła komórkę obok torebki. Numer, na który wysłano wiadomość tekstową, należał do urzędu imigracyjnego. Tyle było jasne. Ale nigdy nie pokwapiała się, by pod niego zadzwonić — aż do teraz.

Podjęła decyzję o zadzwonieniu i uruchomiła samochód. Najpierw musi kupić nową kartę SIM.

Szybko wyjechała z parkingu i skierowała się na najbliższą stację benzynową.

Mia Bolander huśtała się na krześle w biurze Henrika Levina. Obgryzała paznokieć, przeglądając jednocześnie listę z kombinacjami.

Gunnar stał pośrodku pokoju, Henrik siedział przy biurku.

— SAL produkuje kontenery w Szanghaju, w Chinach — powiedział Henrik, poprawiając podkładkę na biurku, tak by leżała równo i nie wystawała.

— Są, a właściwie byli oni właścicielami trzech pierwszych kontenerów z listy Hansa Juhléna, które zostały odstawione na złom.

— A inne? — spytała Mia.

— Cztery z nich należały do firmy SP, a pozostałe do Onboardex. Najdziwniejsze jest to, że wszystkie zostały zezłomowane.

— Musimy się dowiedzieć, co w nich przewożono. Henriku, ty zajmiesz się tymi z SAL, Mia bierze SPL, a ja Onboardex. Wiem, że jest niedziela, ale chyba z kimś uda się nam skontaktować. Musimy znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Hans Juhlén miał w swoim komputerze numery zezłomowanych kontenerów.

Gunnar chodził po biurze zdecydowanym krokiem.

Mia podniosła się ociężale i nie śpiesząc się ani trochę, opuściła pomieszczenie. Henrik westchnął i zdusił w sobie silną ochotę, by ją pogonić.

Ustawił telefon stacjonarny na środku podkładki leżącej na biurku i wybrał numer do przedsiębiorstwa SAL w Sztokholmie. Został automatycznie przełączony do centrali za granicą, gdzie mechaniczny głos poinformował go po angielsku, iż szacowany czas oczekiwania wynosi pięć minut. Henrik sięgnął ponad biurkiem po długopis, który znajdował się w pojemniku z czarnego plecionego drutu, i zaczął go toczyć po podkładce w oczekiwaniu na połączenie. Telefoniczna kolejka zmniejszała się coraz bardziej i w końcu usłyszał w słuchawce głos operatora mówiącego po angielsku z niemieckim akcentem.

Komisarz wyłożył swoją sprawę w dość topornym angielskim i został połączony z urzędniczką w Sztokholmie o flegmatycznym głosie.

Po krótkim przedstawieniu się przeszedł od razu do rzeczy.

— Chciałbym sprawdzić kilka kontenerów, które były w waszym posiadaniu.

— Czy ma pan ich numery identyfikacyjne?

Henrik pomału przeczytał kombinacje. Słyszał, jak kobieta po drugiej stronie słuchawki wstukuje litery i cyfry do komputera.

Zrobiło się cicho.

— Halo?

— Halo, tak?

— Myślałem, że pani odłożyła słuchawkę.

— Nie, czekam na odpowiedź z systemu.

— Wiem, że te kontenery zostały zezłomowane, ale chciałbym się dowiedzieć, jaki zawierały ładunek.

— No więc z tego, co widzę, wcale nie zostały zezłomowane.

— Nie?

— Nie, w ogóle nie ma ich w systemie.

— Jak to?

— Zagięły.

— Wszystkie trzy?

— Tak, wszystkie trzy. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

Henrik wstał i spojrzał prosto przed siebie.

Różne myśli zaczęły mu krążyć po głowie.

Jąkając się, podziękował za rozmowę. Opuścił biuro w pośpiechu i wpadł do Mii.

Właśnie odłożyła słuchawkę.

— Dziwne — powiedziała. — Według SPL kontenery nie zostały zezłomowane, tylko zagięły bez wieści.

Henrik natychmiast pobiegł do Gunnara, prawie że zderzając się z nim w drzwiach.

— No więc... — zaczął Gunnar.

— Nic nie mów — przerwał mu Henrik. — Kontenery zagięły, tak?

— Tak. Skąd wiedziałeś?

Karta SIM kosztowała pięćdziesiąt koron. Jana Berzelius zapłaciła odliczonymi pieniędzmi i podziękowała za paragon, który podał jej sprzedawca. Aby wydostać się z tego małego kiosku, musiała iść bokiem, by nie zahaczyć o półkę z gumami do żucia.

Miejsce zakupu było dokładnie przemyślane. Najpierw chciała pojechać na stację benzynową, ale się rozmyśliła, gdyż na stacjach były zamontowane kamery, a nie chciała zostać uwieczniona na filmie przy swoim zakupie.

Będąc w samochodzie, wciągnęła rękawiczki, otworzyła opakowanie z kartą SIM i włożyła ją do komórki Thomasa Rydberga.

Włączyła telefon i przez chwilę siedziała, trzymając go w dłoni. Potem wybrała numer, na który została wysłana wiadomość. Czekwała na pojawienie się sygnału. Miała przecucie, że abonent, do którego dzwoniła, nie odpowie, ponieważ będzie miał wyłączony telefon, albo też dlatego, że dziś był dzień wolny od pracy lub może po prostu numer nie jest już aktywny.

Gdy usłyszała pierwszy wolny sygnał, naprawdę się zdziwiła. Serce zaczęło bić mocniej. Położyła jedną rękę na kierownicy i mocno ją zacisnęła. Nagle ktoś odebrał. Przedstawił się.

To, co usłyszała, wprowadziło ją w osłupienie.

Temperatura w biurze Henrika Levina wzrosła o kilka stopni. Gunnar Öhrn siedział z łokciami opartymi o kolana, trzymając przed sobą papierową teczkę.

Mia Bolander stała oparta o ścianę, a Henrik Levin siedział na biurowym fotelu z nogą założoną na nogę.

— Więc żadne z przedsiębiorstw nie przejęło kontenerów? Wszystkie zaginęły? — spytała Mia.

— Tak — potwierdził Henrik. — Ale to nie jest znów takie rzadkie. Kontenery morskie mogą wypaść za burtę, gdy morze jest mocno wzburzone, szczególnie jeśli nie zostały dobrze umocowane przez załogę. Albo jeśli zostały źle załadowane.

— Najwyraźniej każdego roku ginie wiele kontenerów. Trudno określić dokładną liczbę, ale słyszałem, że to coś między dwoma a dziesięcioma tysiącami rocznie — powiedział Gunnar.

— To dość duża rozpiętość — stwierdziła Mia.

— Tak — przyznał Henrik.

— Przedsiębiorstwa nie wyglądały na bardzo przejęte z powodu zaginięcia kontenerów — dodał Gunnar.

— Nie, najwyraźniej jest to normalne — wywnioskował Henrik.

W pokoju na chwilę zapadła cisza.

— Okej, więc nie ma nic dziwnego w tym, że kontenery, których szukamy, leżą na dnie morza — powiedział Henrik. — Zastanawiające jest jednak to, dlaczego Hans

Juhlén miał je zapisane w swoim komputerze.

— Co w nich przewożono? Przecież musiało coś w nich być? — spytała Mia.

— Tego też nie jest nam w stanie nikt powiedzieć — wyjaśnił Henrik. — Wiemy jedynie, że wszystkie zostały przywiezione z Chile przez Hamburg, rozładowane i ponownie załadowane w Norrköping, po czym wysłane z powrotem do Chile. Ale nigdy tam nie dotarły, zaginęły w drodze przez Atlantyk.

— Więc innymi słowy na dnie oceanu leży mnóstwo cennych rzeczy? Może człowiek powinien się zastanowić nad zmianą zawodu i zostać nurkiem — powiedziała Mia.

— Pierwszy kontener z listy został zarejestrowany jako zaginiony w 1989 roku — kontynuował Henrik. — Kolejne dwa zaginęły odpowiednio w 1990 i 1992 roku. Ostatni przed rokiem. Dlaczego Hans Juhlén miał w swoim komputerze numery identyfikacyjne właśnie tych kontenerów?

Henrik zmienił położenie nóg i cicho westchnął.

Mia rozłożyła ręce i podniosła ramiona w geście poddania.

Gunnar podrapał się w głowę. Wtedy właśnie w drzwiach pojawił się Ola. Gdy się o nie oparł, zerwał niechcący przyklejony na nich rysunek, który sfrunął na podłogę.

— Przepraszam — powiedział.

— Nic nie szkodzi — odrzekł Henrik, biorąc od niego kartkę.

— Ładny duch.

— Syn przechodzi teraz trudny okres. Wszystko kręci się wokół duchów, straszydeł i widm.

Henrik położył rysunek na biurku i wrócił do rozmyślań.

— Widm? — spytała Mia.

— Tak, śnią mu się różne duchy i widma, a potem je rysuje. Ogląda też filmy o straszydłach — wyjaśnił Henrik.

— Nie, chodzi mi o... Widma! Gdy przesłuchiwałem Yusefa Abrahama, wspomniał coś o kontenerach widmach, pamiętasz? — spytała Mia.

— Tak — odpowiedział Henrik.

— Mówił, że nielegalni imigranci umierają w drodze. Czasem wszyscy.

— Ale kontenery nie były w drodze do Szwecji, tylko ze Szwecji. Nie mogą więc mieć nic wspólnego z nielegalnymi imigrantami.

— Masz rację — zgodziła się Mia.

— Ale co mogło w nich być? — zastanawiał się Ola.

— Dowiedzenie się tego jest prawie niemożliwe — powiedział Henrik.

— Może były puste — podsunął Ola.

— Ale to nie ma sensu. Dlaczego Hans Juhlén miałby w swoim komputerze informację o dziesięciu kontenerach, które zaginęły wiele lat temu i do tego były puste?

Henrik gwałtownie wstał z krzesła i kontynuował:

- Juhlén usunął wszystkie dokumenty tego samego dnia wieczorem, czy tak, Ola?
- Tak, o 18.35 — odparł informatyk.
- Chwileczkę... O której godzinie był po pizzę?
- O 18.40, jeśli się nie mylę — odpowiedział Ola.
- Jak daleko jest z urzędu imigracyjnego do pizzerii, o której mowa?
- Mia wyjęła komórkę i wpisała adresy w wyszukiwarce z mapami.
- Osiem minut samochodem.
- Więc powinien wtedy siedzieć w samochodzie, czy tak?
- Tak...
- A więc ktoś inny musiał usunąć te dokumenty — stwierdził Henrik.

— Nie wiem, jak to mogło umknąć naszej uwadze, ale teraz jesteśmy pewni, że Hans Juhlén nie mógł usunąć tych dokumentów ze swojego komputera — powiedział Henrik Levin.

Jana Berzelius żałowała, że odebrała telefon. Henrik tylko gadał i gadał.

— Został zamordowany między siódmą a ósmą wieczorem. Dokumenty usunięto o 18.35. Zrobił to więc ktoś inny.

— Tak.

— Muszę dowiedzieć się kto.

— Tak.

Jana po chwili milczenia powiedziała:

— Pamiętasz tego młodego stróża, który miał dyżur w urzędzie imigracyjnym w dniu morderstwa? Zadzwoń do niego jeszcze raz. Spytaj, czy w budynku był ktoś jeszcze. A teraz muszę cię przeprosić, jestem zajęta.

— Okej — powiedział Henrik. — Chciałem cię tylko poinformować.

Jana zakończyła rozmowę i wysiadła z samochodu. Zaparkowała w bocznej uliczce. Szeregowiec, do którego zmierzała, widziała z dość dużej odległości.

Szła szybkimi krokami, trzymając się z dala od latarni ulicznych na tyle, na ile było to możliwe. Od czasu do czasu oglądała się przez ramię, by się upewnić, że nikt jej nie obserwuje.

Zasłony w oknach nie poruszały się. Gdy niepostrzeżenie weszła za białe ogrodzenie domu, podziękowała w duchu pochmurnej pogodzie za pomoc. Na zielonej skrzynce na listy widniał numer 21. Oraz imię i nazwisko.

Lena Wikström.

Mia Bolander odgryzła duży kawałek soczystej gruszki, którą znalazła w misce na owoce w kuchni dla pracowników. Nie jadła śniadania i prawdopodobnie nie zje też porządnego posiłku przez cały dzień. Otworzyła lodówkę i zaczęła się zastanawiać, czy można by się najeść tubką kawioru. Alternatywą była miseczka z keczupem. Albo mieszanka obu. Nie zdecydowała się na żadną z opcji.

Henrik Levin nakazał jej niezwłocznie zadzwonić do firmy ochroniarskiej urzędu

imigracyjnego. Wybierając numer, odgryzła znowu spory kęs gruszki. W słuchawce od razu odezwał się głos recepcjonistki.

— Mia Bolander, wydział krym... — zaczęła Mia, ale trudno było odróżnić słowa wypowiedziane z gruszką w ustach. Mia przeżuła owoc do końca, połknęła i zaczęła jeszcze raz.

— Dobry wieczór, Mia Bolander, wydział kryminalny. Muszę się skontaktować z... Nachyliła się nad niedbale zapisanym w notesie nazwiskiem i przeczytała na głos:

— ...Jensem Caveniusem. To pilne.

— Chwileczkę.

Mia czekała przez trzydzieści sekund i w tym czasie zdążyła zjeść gruszkę do końca.

— Jens Cavenius ma dzisiaj wolne, przykro mi — odezwała się recepcjonistka.

— Muszę niezwłocznie się z nim skontaktować. Proszę poinformować go, by do mnie zadzwonił, w przeciwnym razie sama odszukam jego numer. Zgoda? — spytała Mia.

— Oczywiście.

Zostawiła swój numer i podziękowała za rozmowę.

Nie minęło pięć minut, a zadzwonił Jens Cavenius.

Mia od razu przeszła do rzeczy.

— Chciałabym dowiedzieć się więcej o twoich obserwacjach z tamtej niedzieli, więc proszę cię, abyś się dobrze zastanowił. Czy naprawdę widziałeś Hansa Juhléna?

— Przechodziłem koło jego biura.

— Tak, a czy widziałeś go? Rozmawiałeś z nim?

— No, może niezupełnie, ale widziałem w jego biurze światło.

— I?

— Słyszałem, jak pisał na komputerze.

— Ale go nie widziałeś?

— Nie... ja...

— Więc mógł to być kto inny?

— Ale...

— Zastanów się dobrze. Widziałeś w biurze kogoś innego? Zwróciłeś uwagę na jakiś detal, ubranie czy jeszcze coś?

— Zastanawiam się.

— Chciałabym, abyś zastanawiał się szybciej.

— Wydaje mi się, że przez szparę w drzwiach widziałem kawałek rękawa. Jasnioletowego.

— Więc zastanów się jeszcze trochę i powiedz, kto z pracujących w biurze mógł mieć taki rękaw?

— Nie wiem... ale myślę, że...

— Tak?

— Myślę, że to mogła być jego sekretarka. Lena.

Lena Wikström nie czuła się najlepiej. Przebierała palcami po złotym łańcuszku i przygryzała wargę. Było jej niedobrze, gdy myślała o tym, że Thomas Rydberg nie żyje. Że został zamordowany. W porcie. Przez kogo?

Czuła się jeszcze gorzej, gdy spoglądała na leżący przed nią na łóżku, na różowawym kocu, telefon komórkowy. Światło z dwóch wysokich lamp padało na trzy wiszące między nimi ramki ze zdjęciami. Roześmiane twarze dzieci z wiankami kwiatów na głowach przypominały jej o ubiegłym lecie. Na suficie wisiał biały emaliowany żyrandol z małymi imitacjami kryształów.

Kto mógł zadzwonić?

Puściła łańcuszek i otworzyła jedną z szaf. Wyjęła z niej walizkę i położyła ją obok telefonu na łóżku. Czuła pot perlący się na czole.

Nigdy wcześniej nikt nie dzwonił na ten numer. Tylko ona decydowała o tym, kiedy mogą się komunikować, nikt inny. Taka była umowa. Inni mieli porozumiewać się za pomocą SMS-ów, przy czym odbiorca miał zapamiętać wiadomość i od razu ją usunąć. Nigdy do siebie nie dzwonili. Tak było wcześniej, ale teraz zasada została złamana.

Przez kogo?

Nie знаła numeru. Nie miała odwagi ruszyć telefonu.

Zostawiła go po prostu na łóżku.

Zapięła zamek walizki. Pierwszą reakcją była myśl o ucieczce.

Nie wiedziała dlaczego, ale w obecnej sytuacji miała po prostu ochotę stąd zniknąć. Pewnie, że to mogła być pomyłka. Ktoś wybrał zły numer. Choć do końca jej to nie przekonywało. Strach przed ujawnieniem był zbyt duży, by mogła po prostu zapomnieć o tym telefonie.

Otworzyła drugą połowę szafy i wyjęła trzy swetry, bluzkę oraz cztery koszulki. Na wybieranie bielizny nie traciła czasu, spakowała to, co leżało na samej górze. Będąc już na miejscu, kupi nową. Wiele razy myślała o tym, że nadejdzie ten dzień, wiedziała, że kiedyś nadejdzie. Mimo to nie miała pojęcia, dokąd pojechać. Uciec.

Nagle usłyszała dzwonek do drzwi.

Zastygła z rękoma w walizce. Nie oczekiwała gości.

Z uczuciem strachu ściskającym żołądek wyszła z pokoju, przeszła przez pokój dzienny, koło łazienki aż na korytarz. Spojrzała przez judasza w drzwiach, ale nie widziała nic prócz ciemności.

Obiema rękoma przekręciła dwa dodatkowo zamontowane zamki i wyjrzała przez wąską szparkę.

Na korytarzu stała kobieta.

— Dobry wieczór, Leno — powiedziała Jana Berzelius, wkładając stopę w drzwi.

— Co wiemy o Lenie? — spytał Gunnar Öhrn.

Wszyscy zebrali się wokół stołu w sali spotkań na dobre zaciekawieni.

— Ma pięćdziesiąt osiem lat, syn mieszka w Skövde, a córka w Sztokholmie, nie jest rejestrowana — czytał na głos Ola Söderström.

— Więc co robimy? — spytała Mia.

— Musimy ją przesłuchać — odrzekł Henrik.

— Ale jak dotąd mamy tylko zmieniającego zeznania nastolatka, który twierdzi, że widział ją w biurze — powiedziała Mia.

— Wiem, ale w tej sytuacji jest to najważniejszy trop, jakim dysponujemy — odrzekł Henrik.

— Henrik ma rację. Musimy to zbadać. Niezwłocznie!

Gunnar miał poważną minę. Wskazał palcem na siebie.

— Jadę do niej. Henrik i Mia, będziecie mi towarzyszyć.

Opuścił pomieszczenie razem z dwojgiem policjantów.

Ola został sam.

Pomyślał, że nareszcie śledztwo nabrało rozpędu, i poszedł do swojego biura, by włączyć komputer. Następnie udał się do kuchni z pojemnikiem z jedzeniem przyniesionym z domu i wstawił go do lodówki. W drodze powrotnej zerknął na skrzynki pocztowe. Jego była pusta, ale w przegródce Gunnara piętrzyły się papiery. Wziął je do ręki i przeczytał nadawcę. Były to listy rozmów od operatora. Dotyczyły numeru Thomasa Rydberga.

Szybko przejrzał listy. Gdy doszedł do strony z wychodzącymi wiadomościami, przystanął zdziwiony, a następnie ruszył do windy i szybko nadusił przycisk, by dogonić kolegów.

Lena Wikström nie zdążyła nawet zareagować, gdy Jana Berzelius wdarła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Korytarz był ciemny, stały w nim różnej wielkości porcelanowe figurki, a na komodzie leżała haftowana serwetka.

Jana stanęła nieruchomo. W kobiecie, którą miała przed sobą, było coś dziwnego.

— Kim pani jest? — spytała Lena, wpatrując się w Janę.

— Nazywam się Jana Berzelius. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Hansa Juhléna.

— Ach tak, ale co robi pani w moim domu o tej godzinie?

— Muszę otrzymać odpowiedzi na kilka pytań.

Lena, nic nie rozumiejąc, patrzyła na stojącą przed nią kobietę w butach na wysokim obcasie i ciemnym prochowcu.

— Nie mogę pani pomóc.

— Ja jednak myślę, że tak — odrzekła Jana, kierując się prosto do kuchni.

— Nie może pani tak po prostu wejść do mojego mieszkania — zaprotestowała Lena.

— Owszem, mogę. A jak będzie pani stawiała opór, nakazę przeszukanie mieszkania. Wówczas moja obecność będzie tutaj jak najbardziej pożądana.

Lena westchnęła.

— No dobrze, o co chciała pani spytać?

— Hans Juhlén został zamordowany u siebie w domu.

— To nie było pytanie.

— Nie.

Lena wróciła do drzwi wejściowych i zamknęła je na klucz. Ostrożnie otworzyła jedną z szuflad i wyjęła z niej pistolet, który włożyła z tyłu za spodnie. Poprawiła sweter, by ukryć wypukłość. Potem wróciła do kuchni ze sztucznym uśmiechem na ustach.

— Więc jakie jest pytanie?

— Hans Juhlén został zamordowany około siódmej wieczorem. Gdy policja przeszukała jego komputer, znalazła w nim numery identyfikacyjne kilku kontenerów. Numery te zostały wykasowane z komputera około wpół do siódmej. Sam nie mógł tego zrobić. Czy zrobiła to pani?

Lena zamarła. Czuła narastający ucisk w klatce piersiowej i nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Jana kontynuowała:

— Muszę się też dowiedzieć, co było w tych kontenerach.

— Przykro mi, proszę sobie już iść.

— Chcę się tylko tego dowiedzieć.

— Proszę opuścić moje mieszkanie.

Jana stała przy stole, podczas gdy Lena pomału sięgała ręką do tyłu, do pistoletu.

— Proszę natychmiast wyjść.

— Pójdę, jeśli otrzymam odpowiedź — odrzekła Jana.

Zauważyła, że ręka Leny powędrowała w stronę pleców, przygotowała się więc na kolejny ruch.

— Nie, nie dostanie jej pani...

W tym samym momencie gdy Lena wyjęła pistolet z za spodni, Jana rzuciła się w jej stronę, uderzyła ją z całej siły bokiem ręki w okolicę nerek, a kolaniem kopnęła w brzuch. Lena upuściła pistolet, jęcząc, zarówno z zaskoczenia, jak i strasznego bólu.

Jana sprawdziła magazynek, był pełen. Gdy ukucnęła przy Lenie, zauważyła coś złotego wiszącego na jej szyi.

Coś, co pobłyskiwało w świetle lampy.

Podłoga się pod nią zakołysała, gdy zobaczyła, co to jest. Wzrok jej się zamglił, a w uszach zaczęło szumieć. Poczowała bolesne pulsowanie w skroniach.

Naszyjnik.

Z literami.

Mama.

Winda jechała niezmiernie wolno. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ola

Söderström patrzył na wyświetlacz, pokazujący kolejne mijane piętra. Gdy drzwi się otworzyły, pobiegł najszybciej, jak potrafił do podziemnego garażu, by znaleźć kolegów.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu i szybkim krokiem udał się w tamtą stronę. Dosłyszał jeszcze jedno trzaśnięcie i wyciągnął szyję, by lepiej widzieć nad dachami pojazdów.

Wówczas dojrzał sylwetkę Gunnara Öhrna znikającą w stojącym kawalek dalej samochodzie i jeszcze jedno trzaśnięcie rozniosło się echem po parkingu.

— Stójcie! — zawołał Ola.

Zabłyśły przed nim czerwone światła stopu.

Gunnar otworzył drzwi i wystawił głowę.

— O co chodzi?

Ola podbiegł do samochodu i oparł rękę o drzwi, próbując złapać oddech.

— Znalazłem... listy... z rozmowami — powiedział.

Gunnar wziął od niego plik kartek.

Mia i Henrik spojrzeli po sobie.

— Z komórki... Thomasa Rydberga. Zobacz ósmą stronę. Jego... SMS.

Ola oparł się o drzwi i wziął trzy głębokie wdechy, podczas gdy Gunnar wertował kartki do wskazanej strony.

W drugiej linii znajdowała się nadzwyczaj dziwna wiadomość. „Dost. wt.1”.

— To od Thomasa? — spytał.

Ola krótko skinął głową.

— Do kogo?

— Telefon jest zarejestrowany na urząd imigracyjny.

— Hans Juhlén?

— Tak, albo może Lena — odpowiedział Ola.

Gunnar wolno kiwnął głową.

— Kolejny powód, by ją tu sprowadzić.

Zamknął drzwi i szybko wyjechał z garażu.

Pulsujący ból nie ustępował. Lena Wikström przyciskała prawą rękę do obolałych nerek i spoglądała na Janę Berzelius, pochyloną nad nią z naładowanym pistoletem. Jana stała tak już od dłuższego czasu, z szeroko otwartymi oczami, jakby przed chwilą zobaczyła upiora.

— Naszyjnik — wyszeptała.

Z niespotykaną siłą powróciło do niej wspomnienie.

O pewnej dziewczynce, chłopcu i kobiecie. Kobieta miała pistolet, a dziewczynka i chłopiec...

...rzucili się do tyłu. On mocno chwycił kobietę za ramię, by wyrwać jej pistolet. Padł strzał. Huk odbił się echem od drzew. Kobieta krzyknęła z bólu, gdy chłopiec wykręcał jej ramię do tyłu. Dziewczynka złapała pistolet i natychmiast wycelowała go

w kobietę. Ale wtedy zobaczyła, że chłopiec osunął się na ziemię.
Został postrzelony.
A tą dziewczynką... byłam ja.
To byłam ja!

Janie zakręciło się w głowie, musiała złapać się stołu kuchennego.

— Hades... — powiedziała pomału.

Lena otworzyła szeroko oczy.

— Ty? To ty go zabiłaś — wyszeptała Jana. — Widziałam to. Zabiłaś go na moich oczach!

Lena milczała, zmrużyła oczy i mierzyła Janę wzrokiem z góry na dół.

— Kim jesteś? — spytała po chwili.

Janie zaczęły się trząść ręce. Chwyliła pistolet obiema dłońmi, by powstrzymać drżenie, by nie spuścić Leny z celownika.

— Kim jesteś? — spytała Lena. — Nie możesz być tym, kim myślę, że jesteś.

— A jak myślisz, kim jestem?

— Kera?

Jana wolno skinęła głową.

— To nie może być prawda... — wyszeptała Lena. — Nie może.

— Zabiłaś go!

— On żyje. Kto ci powiedział, że jest inaczej?

— Ale ja widziałam przecież...

— Nie wierz wszystkiemu, co widzisz — przerwała jej Lena.

Jana zmarszczyła czoło.

— Wiesz, co znajdowało się w kontenerach, prawda? — spytała pomału.

— Tak — odrzekła Lena. — Ty też powinnaś to wiedzieć.

— Mów!

— Nie wiesz? Nie pamiętasz?

— Mów, co w nich było!

Lena pomału podniosła się z podłogi, westchnęła głęboko i usiadła, opierając się plecami o drzwi szafki kuchennej.

— Nic szczególnego...

Skrzywiła się, podniosła sweter i spojrzała na czerwony ślad, który został po uderzeniu.

— Mów dalej!

— O czym?

— Co w nich było? Narkotyki?

Lena spojrzała na Janę ze zdziwieniem. Uśmiechnęła się.

— Tak — odpowiedziała, skinąwszy głową. — Dokładnie. Narkotyki. My...

— Jacy my? Mów!

— Ach, nie ma tu aż tak wiele do opowiadania... Zaczęło się od przypadku

i stopniowo przerodziło się w coś bardziej... zorganizowanego.

— Wiesz, dlaczego mam wyryte na karku imię?

Lena nie odpowiedziała.

— Mów!

Jana zrobiła krok do przodu i wymierzyła pistolet w głowę Leny.

Lena wzruszyła ramionami.

— To był jego pomysł, nie mój. Ja nie miałam z tym nic wspólnego. Ja tylko... pomagałam.

— Kim jest ten on? Mów!

— Nigdy.

— No dalej!

— Nie! Za nic, nigdy, przenigdy!

Jana chwyciła silniej pistolet.

— A Thomas Rydberg czym się zajmował? — spytała.

— Wiedział, kiedy miały nadejść transporty i dawał mi znać.

— SMS-em?

— Tak. Może i trochę głupio.

Lena wzięła głęboki oddech.

— Ale płacił dobrze.

— Kto? Thomas? Kto dobrze płacił?

Lena znów się uśmiechnęła.

Nagle Jana usłyszała, że koło domu zahamował samochód.

— Czekasz na kogoś?

Lena potrząsnęła przecząco głową.

— Wstań, pospiesz się. Do góry! — rozkazała Jana, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Trzymała pistolet skierowany w stronę Leny i popchnęła ją w kierunku okna.

— Kto to?

— Policja!

Policja? — pomyślała Jana. Co oni tu robią? Co wiedzą?

Przygryzła wargę. Musiała niezwłocznie opuścić mieszkanie. Lecz co miała zrobić z Leną? Zdusiła w sobie impuls zabicia jej. Nie był to dobry pomysł, Lena była ważnym źródłem informacji i w obecnym położeniu tylko ona mogła im powiedzieć, kto za tym wszystkim stał. Więc co miała z nią zrobić? Związać? Pobić do nieprzytomności?

Zakłęła w myślach. Włożyła rękę do kieszeni i wyczuła w niej komórkę Thomasa Rydberga. Wtedy zaświtała jej w głowie pewna myśl. Położyła telefon przed Leną.

— Ten pomysł z SMS-ami nie był aż taki głupi — powiedziała. — A nawet można by powiedzieć — doskonały. Wiesz, co to jest? To komórka Thomasa Rydberga.

— Skąd ją masz?

— To nie ma znaczenia, ale teraz wiem, jak jej się pozbyć.

Jana skinęła w stronę Leny.

— Ruszaj się!

Przed drzwiami wejściowymi dało się słyszeć kroki.

Jana trzymając pistolet wycelowany w głowę Leny, kazała jej pójść do sypialni.

Gdy zobaczyła leżącą na łóżku otwartą walizkę, nakazała jej usiąść obok. Wytarła telefon i przycisnęła do niego palce Leny.

— Co robisz? Co ci przyszło do głowy?

Jana włożyła komórkę do walizki.

— Policja już tu jest. Masz się do wszystkiego przyznać, że to ty stałaś za morderstwem Hansa Juhléna i Thomasa Rydberga.

— Chyba zwariowałaś. Nigdy tego nie zrobię.

— Widzę, że masz dzieci. I nawet wnuki. Zabiję je wszystkie, po jednym za każdy mijający dzień, aż do momentu, gdy się przyznasz.

— Nie zrobisz tego!

— Owszem, zrobię. I dobrze o tym wiesz.

— To się tu nie kończy. To się nigdy nie skończy. Nigdy!

— Nie byłabym tego taka pewna.

— Pójdiesz za to za kratki! Już ja o to zadbam, Jano, i chcę, żebyś o tym wiedziała.

— Wiesz co? Nie sądzę, aby ktoś podejrzewał prokuratora. À propos, zobaczymy się w sądzie. Za około dwa tygodnie oskarżę cię o morderstwo. W Szwecji za morderstwo zasądzany jest najwyższy wymiar kary. Więc cóż, jakkolwiek by na to spojrzeć, wszystko kończy się tutaj. Nadszedł finał. Dla ciebie, Leno!

Jana opuściła sypialnię i w tym samym momencie usłyszała dzwonek. Cicho otworzyła drzwi na werandę. Ogród był pogrążony w ciemności, która otuliła ją, gdy wyszła na zewnątrz.

CZUŁA KREW W USTACH. Nie miała już siły.

Dziewczynka rzuciła się na ziemię i przyczołgała do kamienia. Igliwie kłuło ją poprzez spodnie i w niektórych miejscach pojawiły się małe czerwone plamki krwi, która przesączyła się przez materiał. Podczas biegu gałęzie poraniły jej nogi. Próbowwała wstrzymać na chwilę oddech, by nasłuchiwać dźwięków. Lecz nie dawała rady, była za bardzo zdyszana. Serce biło szybko z olbrzymiego wysiłku, a w głowie huczało od pulsującej krwi.

Odgarnęła kosmyk włosów, który przykleił się do spoconego czoła, spróbowała wyprostować palce kurczowo zaciśnięte na pistolecie.

W magazynku zostało jeszcze siedem nabojów. Położyła pistolet na kolanach. Siedziała tak przez dwie godziny. Oparta o kamień. A potem znów zaczęła biec.

PONIEDZIAŁEK 23 KWIETNIA

LENA WIKSTRÖM ZOSTAŁA ZATRZYMANA jako podejrzana o morderstwo Thomasa Rydberga. Jana Berzelius wystosowała do sądu podanie o wydanie nakazu aresztowania i decyzja o tym powinna zapaść jeszcze tego samego dnia. Teraz mieli zaplanowane przesłuchanie Leny, po którym Gunnar wiele oczekiwał.

Pogwizdywał, czekając w korytarzu na windę. Była w drodze, wskazywał na to świecący się przycisk ze strzałką skierowaną w górę. Mimo to nacisnął na niego po raz drugi i trzeci. Jakby dzięki temu winda mogła przyjechać szybciej.

Był zadowolony i odczuwał ulgę, że w końcu doszli do przełomowego momentu w śledztwie.

Pojechali do Leny Wikström w zupełnie rutynowej sprawie i całkowicie nieoczekiwanie mieli teraz głównego podejrzanego o zamordowanie Thomasa Rydberga — przynajmniej wiedzieli, że była w nie zamieszana. Niezbitym dowodem było znalezienie komórki Rydberga w jej mieszkaniu.

Wiadomość o telefonie dotarła z rana do mediów i dopiero za piętnaście druga po południu Gunnarowi udało się wydostać z konferencji prasowej.

Do tego czasu rzeczniczka prasowa policji Sara Arvidsson i pozostałe osoby z kierownictwa komendy przez godzinę odpowiadali krótko na ogólne pytania dotyczące Leny Wikström, próbując jednocześnie ignorować te, które odnosiły się do jej udziału w zamordowaniu Hansa Juhléna i niezidentyfikowanego chłopca.

Gunnar miał nadzieję, że konferencja prasowa pozostawi wrażenie, iż śledztwo cały czas posuwa się do przodu i że dzięki przełomowi z Leną niedługo zostanie zamknięte. Ale kiedy Sara Arvidsson skończyła swoją relację, w górę podniósł się las rąk i zostali zasypani pytaniami: Czy stoi ona również za morderstwem Hansa Juhléna? Czy zabiła też chłopca? Czy to prawda, że zajmowała się handlem narkotykami?

Arvidsson odpowiadała tak wymijająco, jak potrafiła, tłumacząc się wymagającym dyskrekcji etapem śledztwa, na którym obecnie się znajdowali. Wreszcie spotkanie dobiegło końca.

Gunnar jechał właśnie windą do aresztu i nagle poczuł się głodny. Na obiad zjadł nie za bardzo sycącą zupę warzywną. Wyszedł z windy i spojrzał w stronę pokoiów przesłuchań. Do przesłuchania Leny pozostawało jeszcze trochę czasu.

Podszedł prosto do automatu w jednym z rogów korytarza, przy windach. Jego bogata oferta zwiększyła uczucie głodu. Wybrał czekoladowy wafelek, włożył pieniądze, odebrał go z luki i zjadł cały na miejscu.

Z windy wyszedł adwokat Peter Ramstedt, w błyszczącym garniturze, pomarańczowej koszuli i krawacie w kropki. Przylizane do tyłu włosy były teraz

o dziwo koloru blond.

— Ach, więc stoisz tu i ukradkiem się opychasz? Anneli cię nie pilnuje?

— Nie — odparł Gunnar.

— Jesteście razem, prawda? Krąży o tym tyle plotek.

— Nie należy wierzyć plotkom.

Peter głośno się zaśmiał.

— Nie, pewnie — powiedział, podciągając rękaw marynarki, by zobaczyć, która jest godzina. — Zaczynamy za dziesięć minut. Gdzie jest prokurator?

W tym samym momencie otworzyły się drzwi windy i Jana Berzelius pojawiła się na korytarzu. Miała na sobie wysoką w talii spódnicę do kolan, białą bluzkę i kolorową bransoletkę. Jej włosy były proste, a usta lekko różowe.

— O wilku mowa — powiedział głośno Peter. — Idziemy?

Gunnar wszedł pierwszy na korytarz.

Idący obok Jany Berzelius Peter Ramstedt zerknął w jej stronę.

— No cóż, tu też nie macie za wiele punktów zaczepienia — stwierdził.

— Na pewno nie? — odpowiedziała Jana.

— Żadnych dowodów rzeczowych.

— Mamy telefon komórkowy.

— Nie łączy jej z morderstwem.

— Wręcz przeciwnie.

— Nie przyzna się.

— Przyzna — powiedziała Jana, wchodząc do pokoju przesłuchań. — Wierz mi.

Mia Bolander stała z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Zza weneckiego lustra miała dobry widok na całą salę przesłuchań.

Lena Wikström siedziała skulona, ze wzrokiem skierowanym w stół; ręce spoczywały zaciśnięte w pięści na kolanach. Adwokat Peter Ramstedt usiadł koło niej i szepnął jej coś do ucha, na co potakująco skinęła głową.

Naprzeciwko siedział Henrik Levin. Mia widziała, jak przywitał się z Janą Berzelius, która postawiła aktówkę na podłodze, wyciągnęła krzesło i usiadła. Czujna. Elegancka. I dominująca. A niech ją diabli.

Drzwi za Mią otwarły się i do środka wszedł Gunnar Öhrn. Sprawdził, czy urządzenia techniczne są włączone. Wszystkim sterowało się za pomocą kilku przycisków i system umożliwiał nagrywanie na kilku różnych nośnikach jednocześnie. Poza tym do urządzenia były podłączone dwie kamery i Mia z Gunnarem widzieli na monitorach zarówno Lenę, jak i Henrika.

Gunnar stanął z nosem przy szybie.

Dokładnie o godzinie czternastej Henrik włączył magnetofon i rozpoczął przesłuchanie. Gdy zadawał pierwsze pytania, Lena cały czas miała wzrok utkwiony w stole, odpowiadała cicho i niewyraźnie.

— Z tego, co wiemy, w niedzielę piętnastego kwietnia usunęła pani kombinacje

cyfr i liter z komputera Hansa Juhléna. Dlaczego? — spytał Henrik.

— Takie dostałam polecenie — odrzekła Lena.

— Od kogo?

— Nie powiem.

— Znała pani Thomasa Rydberga?

— Nie.

— Dziwne. Wysłał przecież do pani wiadomość.

— Naprawdę?

— Proszę się nie zgrywać. Wiemy, że to zrobił.

— No to niech i tak będzie.

— Dobrze. Czy może nam pani wyjaśnić, co oznacza SMS o treści: Dost.wt.1?

— Nie.

— Nie wie pani, czy nie chce powiedzieć?

Lena milczała.

Henrik poruszył się na krześle.

— Ale przyznaje się pani do usunięcia dokumentu z kombinacjami? — spytał.

— Tak.

— Czy wie pani, co one oznaczają?

— Nie.

— A ja myślę, że jednak tak.

— Nie wiem.

— Według naszych informacji usunęła pani numery identyfikacyjne kontenerów.

Lena skuliła się nieznacznie.

— Potrzebujemy pomocy, by odnaleźć te kontenery — powiedział Henrik.

Lena milczała.

— Jest to bardzo ważne, by powiedziała nam pani, gdzie się znajdują.

— Ich odszukanie jest niemożliwe — wymruczała Lena.

— Dlaczego nie? Dlaczego nie można ich...

— Nie da rady — przerwała mu. — Bo ja nie wiem, gdzie one są.

— Mam wrażenie, że nie mówi nam pani całej prawdy.

— Albo też moja klientka mówi tylko to, co wie, i nic innego — wtrącił Peter Ramstedt.

— Nie sędzę — odrzekł Henrik.

Ja też nie, pomyślała Mia stojąca za szybą. Podrapała się palcem wskazującym pod nosem i ponownie skrzyżowała ramiona na piersi.

— Będziemy tu, aż powie nam pani, gdzie są kontenery — oznajmił Henrik. — No już, proszę mówić.

— Ale to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Wy tego nie rozumiecie.

— Czego nie rozumiemy?

— To nie jest takie proste.

— Nigdzie się nam nie spieszy, posłuchamy.

Lena westchnęła.

— Proszę nam teraz powiedzieć, co...

— Nie — przerwała mu. — Nawet gdybym wam powiedziała, to do nich nie dotrzecie.

W pokoju zapadła cisza.

Mia spojrzała na Janę, która utkwiała wzrok w Lenie.

Henrik oparł się na krześle i westchnął.

— Dobrze, pomówmy więc o czym innym, o pani. Czy mogę spytać...

Niespodziewanie przerwała mu Jana. Pochyliła się nieco do przodu, a jej ciemne oczy napotkały nieprzyjazne spojrzenie Leny.

— Ile ma pani dzieci? — spytała pomału.

No proszę, a teraz jest też prowadząca przesłuchanie, pomyślała Mia z irytacją. Spojrzała na stojącego obok Gunnara. Był pochłonięty przesłuchaniem i nawet nie zauważył, że odwróciła się w jego stronę.

— Dwoje — wyszeptała Lena, spuszczać wzrok na stół. Przełknęła ślinę.

— A wnuków? Ile ma pani wnuków?

— Ale... — zaczął adwokat Peter Ramstedt.

— Proszę pozwolić jej odpowiedzieć — przerwała mu Jana.

Mia przewróciła oczami i parsknęła. Spojrzała na Gunnara jeszcze raz. Ale on nie zauważył jej demonstracyjnej mimiki. Gapił się tylko na Janę. Na pewno uważał, że jest ładna z tymi swoimi długimi ciemnymi włosami i wszystkim innym. Jeśli ciemne włosy mogą w ogóle być ładne. Raczej nie. Takie ciemne włosy, a do tego jeszcze długie, są cholernie brzydkie.

Mia chwyciła kosmyk swoich blond włosów i spojrzała na Janę, która nadal oczekiwała na odpowiedź Leny.

— Prokurator spytała, ile ma pani wnuków — powiedział Henrik.

Ale co się dzieje, do cholery? — pomyślała Mia, przybliżając się do szyby. Wygląda jakby... tak, wygląda na to, że przesłuchiwana...

Lenie zadrżała warga. Zaczęła nerwowo przebierać palcami. Potem podniosła wzrok i spojrzała na Janę, na Henrika i znów na Janę.

Po jej policzku spłynęła łza.

— Kontenery znajdują się w pobliżu Brändö — powiedziała pomału.

Dwie godziny później Gunnar Öhrn i Henrik Levin siedzieli na długim i wyczerpującym spotkaniu z komendant regionalną policji Carin Radler, na którym streścili postępy w śledztwie. Carin wysłuchiwała cierpliwie ich raportu o przesłuchaniu Leny Wikström.

— No więc, to niesłychanie ważne, abyśmy dostali pozwolenie na wyłowienie tych

kontenerów — powiedział Gunnar.

— Ile osób wie o powiązaniu Leny z tą sprawą? — spytała Carin.

— Jak na razie tylko zespół śledczy. Musimy pracować szybko, zanim o wszystkim dowiedzą się media.

— A jak wytłumaczysz wyławianie kontenerów?

— Coś wymyślimy.

— Ja uważam, że te poszukiwania są zbędne. Może kontenery, o których rozmawiamy, w ogóle nie istnieją.

— Jestem przekonany, że istnieją, i musimy dowiedzieć się, co zawierają.

— To jednak ja podejmuję decyzję w tej sprawie.

— Wiem.

Carin założyła włosy za ucho.

— Taka operacja będzie bardzo kosztowna.

— Ale konieczna — upierał się Gunnar. — Zamordowano trzy osoby. Musimy się dowiedzieć dlaczego.

Carin się zastanawiała.

— Czego byś chciała? — spytał Gunnar.

— Rozwiązania.

— To dobrze, my też.

Carin skinęła w końcu głową.

— Niech będzie, zaufam waszej ocenie. Jutro zaczniemy wyławianie. Zadzwońcie do portu.

BYŁ WCZESNY RANEK, gdy dotarła z powrotem do stolicy.

Dziewczynka potykała się o kocie łby i podparła jedną ręką o chropowate fasady domów. Dokładnie wyczyszczone okna witryn odbijały jej sylwetkę, ale szła przed siebie, nie patrząc na swoje lustrzane odbicie. Mała rączka dotykała zamkniętych na klucz podwójnych drzwi, oszklonych menu à la carte i tytułów gazet z poprzedniego dnia. Szukała jakiejś kryjówki. Miejsca, gdzie mogłaby odpocząć. Pistolet obcierał jej brzuch, cały czas musiała przytrzymywać go ręką, aby jej nie wypadł.

Zobaczyła przed sobą wejście do tunelu. Z trudem zeszła po schodach i, będąc już na ostatnim stopniu, napotkała starszą parę. Zatrzymali się i zaczęli jej się przyglądać. Nie obchodziło ją to, szła dalej. Krok za krokiem. Podparła się ręką o wykafelkowane ściany. Wzrok utkwiała przed sobą i liczyła każdy krok. Żeby nie stracić koncentracji.

Na końcu tunelu zobaczyła bramkę zagradzającą drogę. Próbowwała przez nią przejść, ale ta nawet nie drgnęła. Schyliła się więc i przeszła pod nią.

Wówczas usłyszała głos dochodzący ze stojącej kawałek dalej budki:

— Halo! Musisz zapłacić!

Ale dziewczynka nie słuchała, tylko szła dalej.

Głos zabrzmiał tuż przy niej.

— Ej, dziewczyno, musisz zapłacić, jeśli chcesz jechać!

Zatrzymała się, odwróciła i wyjęła pistolet ze spodni. Stojąca za nią umundurowana kobieta natychmiast podniosła ręce do góry i cofnęła się o krok. Dziewczynka próbowała utrzymać równowagę, pistolet był bardzo ciężki. Ledwo dawała radę go podźwignąć.

Kobieta wyglądała na przestraszoną. Inne akurat przechodzące przez bramki osoby też. Wszyscy znieruchomieli. Stali jak skamieniali.

Trzymając pistolet przed sobą, wycofywała się w stronę schodów. Gdy doszła do ich szczytu, odwróciła się i pobiegła na dół tak szybko, jak tylko potrafiła. Ramiona drżały. Nie była w stanie dłużej trzymać pistoletu. Schodząc, liczyła schody, było ich trzydzieści dwa. Na ostatnim poślizgnęła się. Noga zgięła się w kostce i poczuła silny ból. Ale nawet się nie skrzywiła.

Podniosła się i, kulejąc, dotarła do kosza na śmieci. Usłyszała metaliczny odgłos, gdy pistolet wylądował na dnie. Pokuśtykała dalej, ciesząc się, że nie musi już dźwigać ciężkiej broni. Teraz było dobrze. A będzie jeszcze lepiej, jeśli uda jej się trochę przespać. Tylko trochę.

Wyczerpana schowała się za jedną z ławek i osunęła się na podłogę plecami oparta o ścianę. Twarda powierzchnia gniotła w kręgosłup.

Bolała ją kostka, ale się tym nie przejmowała. Była na granicy snu i rzeczywistości. Zasnęła.

Na siedząco, w metrze.

WTOREK 24 KWIETNIA

HENRIK LEVIN DLA ROZGRZEWKI uderzał rękoma po bokach. Puchowa kurtka nie była dostatecznie ciepła. Nieprzyjemny wiatr wiejący od strony Morza Bałtyckiego przewiewał przez zamek błyskawiczny. Henrik próbował ubrać się na cebulę, zakładając wiele warstw cienkich ubrań, ale trzy godziny przebywania na zimnie dało się we znaki. Rozglądał się dookoła, szukając schronienia. Przed nim rozciągało się otwarte morze, fale uderzały w śliskie skały.

Brändö było najdalej wysuniętym w morze przylądkiem zatoki Arkösund. Latem koło tego idyllicznego miejsca przepływały statki turystyczne, podobnie jak linia obsługująca archipelag Norrköping. Teraz letnie miesiące wydawały się bardzo odległe. Szalik trzepotał na wietrze i Henrik okręcił go jeszcze raz szczelniej wokół szyi. Zastanawiał się nad pójściem do samochodu. Spojrzał w stronę taśm odgradzających, za którymi stało w sumie piętnaście pojazdów. Odgradzony teren miał powierzchnię ponad pięciuset metrów kwadratowych i personel portowy pracował nad przygotowaniem do wydobycia kontenerów.

Zlokalizowanie ich zajęło trochę czasu. Pozycję kontenerów określano dzięki wielokrotnemu przeszukiwaniu dna morskiego za pomocą echosondy. Przy podejrzeniach, że fale odbijają się od dna, dodatkowo angażowano do poszukiwań nurków, co wydłużało czas, tak że rozpoczęcie pracy przesunęło się o ponad dwie godziny.

Dookoła miejsca wydobycia wyznaczono strefę bezpieczeństwa, w której zabroniony był ruch łodek i statków. Na miejscu znajdował się prom z dźwigiem do wyławiania kontenerów i prom towarowy, na który miały zostać załadowane.

Henrik zerknął na zegarek. Za dziesięć minut, powiedzieli.

Za dziesięć minut zaczną wyławianie.

Jana Berzelius słuchała radia. Jak zwykle przy szeroko zakrojonych działaniach, w które było zaangażowanych wiele osób, zawsze znalazł się ktoś, kto ujawnił więcej, niż było konieczne. Kto dał cynk prasie. Dlatego wyławianie kontenerów przyciągnęło uwagę i było najważniejszą informacją we wszystkich porannych serwisach informacyjnych w regionie.

Jana ściszyła radio i wyjrzała przez okno. Nie miała ochoty wychodzić z samochodu, by dołączyć do stojących za taśmami odgradzającymi, trzęsących się z zimna policjantów.

Kawałek dalej widać było Henrika Levina, on też wyglądał na zmarzniętego. Ramiona miał przykurczone, a szalik mocno zawinięty dookoła szyi. Od czasu do czasu uderzał dla rozgrzewki rękoma.

Podkręciła temperaturę o jeszcze jeden stopień — do dwudziestu trzech — zanim

wyjęła telefon komórkowy i ściągnęła ostatnie wiadomości mejlowe. Było ich osiem, większość związana z prowadzonymi przez nią sprawami. Jedno pytanie dotyczyło ochrony świadka, inne zbliżającej się rozprawy zaplanowanej na drugiego maja. Chodziło w niej o podpalenie, ofiarą była młoda kobieta, która wprowadzie uszła z pożaru z życiem, lecz odniosła poważne poparzenia twarzy.

Jana położyła telefon na kolanach i nagle poczuła, że zaczął wibrować. Na ekranie wyświetlał się numer rodziców. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego dzwoniłi. Właśnie teraz. I to po raz kolejny. Trzy rozmowy w tygodniu nie leżały w ich zwyczaju.

Jednocześnie ktoś zapukał w szybę samochodu.

Mia Bolander kiwnęła do niej ręką. Jej nos i policzki były zaczerwienione od silnego wiatru, a niegdyś biała czapka miała brudnoszary kolor.

— Zaczynamy — pokazała na migi przez szybę i poszła w stronę Henrika.

Jana skinęła głową i odrzuciła rozmowę.

Pracownicy portu Norrköping byli w ciągłym ruchu. Jeden dawał znaki ręką, inny biegł w stronę skał. Brodaty mężczyzna rozmawiał przez krótkofalówkę. Skinął głową i wskazał na morze.

Jana wyciągnęła się na skórzanym siedzeniu i próbowała dojrzeć, co się dzieje na zewnątrz, lecz nic nie widziała. Musiała wysiąść z samochodu.

Zapięła górny guzik parki i podniosła futrzany kołnierz. Czapka w kratkę i dobrany do niej długi szalik dobrze grzały, gdy zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę prowadzonych prac.

Henrik zauważył jej obecność, gdy stanęła tuż za nim.

Ktoś wywołał mężczyznę z brodą przez krótkofalówkę. Odebrał.

— Okej, macie zielone światło — powiedział, a następnie zwrócił się do Henrika i Gunnara: — Podnosimy pierwszy.

Jana spojrzała na morze i strefę bezpieczeństwa. Zmrużyła oczy i przyglądała się pracy dźwigu. Pomału, pomału stalowe liny wynurzały się na powierzchnię. Fale uderzały o prom, wiatr wył. W pewnym momencie wśród fal ukazała się ciemnoszara powierzchnia i z wody wyłonił się kontener. Woda spływała obficie po obu jego stronach.

Kontener został obrócony o sto osiemdziesiąt stopni wokół własnej osi i ustawiony ostrożnie na promie towarowym.

Drugi wyłowiony kontener był koloru niebieskiego. Gdy ukazał się nad powierzchnią, Jana znieruchomiała. Zobaczyła numer identyfikacyjny. I rozpoznała go. Jak sparalizowana przyglądała się kołyszącemu się na linach kontenerowi, zanim został ustawiony na promie. Gdy na powierzchni pojawił się trzeci kontener, zaczęła się niecierpliwić. Chciała zobaczyć, co się w nich znajduje. Od razu!

Podnoszenie kontenerów z dna zajęło półtorej godziny. Jeden za drugim przeniesiono je na ląd.

Jana zmieniła nogę, na której się opierała.

Mia Bolander podskakiwała i zataczała ramionami koła.

Anneli z Gunnarem stali obok Oli i rozmawiali.

Henrik pomagał dyrygować pracą przy ustawianiu dziesięciu wyłowionych kontenerów.

— Zaczniemy od tego! — zawołał Gunnar, wskazując na pomarańczowy kontener, który wyłowiono jako czwarty.

Zgromadzili się w półkolu przed stalowymi drzwiami. Brodaty pracownik portu stanął w środku, przy zasuwach.

— Przy otwieraniu musimy zachować dużą ostrożność. Proszę, aby wszyscy stanęli w odpowiedniej odległości. Kontenery zawierają z pewnością dużą ilość wody.

— Myślałem, że są wodoszczelne? — powiedział Henrik.

— Nie, proszę pana, nie są.

Henrik od razu sposepniał. Nadzieja znalezienia czegoś istotnego się rozwiała. Woda to wróg mogący zatrzeć ważne ślady. I często w bardzo krótkim czasie.

— Cofnąć się! — krzyknął pracownik portu.

Jana zrobiła wiele kroków do tyłu.

Gunnar chwycił Anneli za rękę i odprowadził ją na bok, jakby chciał ją chronić.

Henrik i Mia podążyli za nimi. Po dwudziestu metrach Henrik spojrzał pytająco na pracownika portu.

— Cofnijcie się jeszcze dalej! — zawołał.

Stanęli w odległości pięćdziesięciu metrów. Pracownik portu uniósł kciuk do góry i zaczął przyglądać się drzwiom kontenera. Dotykał zasuw i oglądał zamek. Za pomocą potężnego narzędzia otworzył kłódkę i stanął z boku drzwi. Przez chwilę zastanawiał się, jak nie dać się porwać masom wody, które mogły znajdować się w środku. Aż w końcu zrobił krok, chwycił za klamkę i pociągnął. Ale ta wyślizgnęła mu się z dłoni. Powierzchnia była śliska jak węgorz.

Spróbował jeszcze raz. Chwycił obiema rękoma i zaczął ciągnąć z całych sił. Drzwi rozwarły się, pchane olbrzymią siłą znajdującą się w środku wody. Mężczyzna został przez nią porwany i wylądował na plecach. Zalała go woda, zaczął prychać i pluć. Daremnie próbował wytrzeć twarz przemoczoną kurtką. W końcu udało mu się usiąść. Rozejrzał się dookoła. Ziemia była zalana wodą, która wydostała się z kontenera. Lecz kontener zawierał nie tylko wodę.

Mężczyzna przetarł oczy, by zobaczyć, co leży koło niego — okrągłe, pokryte wodorostami. Szturchnął to lekko i coś przykleiło mu się do rąk. Pchnął trochę mocniej i udało mu się przekreślić przedmiot na bok.

Cofnął się natychmiast na widok makabrycznego znaleziska.

Przed nim leżała ludzka głowa.

Jana Berzelius stała nieruchomo. Na jej twarzy nie pojawił się nawet grymas, gdy przesuwała wzrokiem po mokrej ziemi.

Wszędzie leżały ludzkie szczątki. Rozkładające się ręce i nogi. Pukle włosów.

Smród był straszny. Nie do wytrzymania.

Henrik Levin zatkał nos i nie odkrywał go ani na chwilę. Czuł skurcze żołądka, którego niewielka zawartość wciąż podchodziła mu do gardła. Walczył nieustannie, by jej nie zwrócić.

Anneli Lindgren z wielką ostrożnością zaczęła dokumentować pierwszą głowę. Twarz była rozpuszczona, bez skóry wokół oczodołów, przez co oczy zwisały na zewnątrz.

— Jeden rok — powiedziała, podnosząc się. — Leżały w wodzie mniej więcej od roku. Możemy dziękować naszemu zimnemu klimatowi, że ciała są tak dobrze zachowane.

Henrik skinął głową i przełknął ślinę. Przez to, że palcami zaciskał nos, zatykały mu się też uszy. Przełykał ślinę wiele razy, by temu zaradzić.

Mia Bolander była kredowobiała. Po otwarciu kontenera wykorzystała zapas przekleństw na cały rok z góry.

Jana stała w tym samym miejscu co wcześniej, w odpowiednim odstępnie. Nieruchomo.

Anneli podeszła ostrożnie do rozkładającej się nogi. Pochyliła się i zrobiła wiele fotografii. Skóra wisiała na nodze, co wyglądało, jakby pokrywały ją worki pełne wody. Gdy dotknęła odpadającej skóry, przykleiła jej się do gumowych rękawiczek. Wyglądało to, jakby się stopiła. W kilku miejscach widać było kości i Anneli podeszła blisko z aparatem, by lepiej sfotografować detale.

— Otwieramy następny kontener?

Henrik skinął głową.

Potem nie mógł już dłużej utrzymać zawartości żołądka.

Zanim otworzyli kolejny kontener, minęło sporo czasu. Z powodu makabrycznej zawartości pierwszego musieli trzymać się rygorystycznych zasad bezpieczeństwa. Anneli Lindgren przedyskutowała z szefem portu Rainarem Gustavssonem różne możliwości działania i doszła do wniosku, że muszą wypompować wodę, zanim otworzą drzwi. Ale by nie ryzykować, że zawartość zostanie wessana razem z wodą, potrzebne były filtry mechaniczne, a taki sprzęt znajdował się tylko w Linköping, co dodatkowo przedłużyło cały proces.

Minęły trzy godziny, zanim zjawiono się trzech instalatorów z pompą. Zaraz rozpoczęli montowanie filtrów, potem naboji, a w końcu dużego wentylu, który miał regulować przepływ wody.

Henrik Levin zostawił montowanie pomp specjalistom. Mimo iż temperatura na zewnątrz nieco się obniżyła po południu, nie odczuwał już zimna. Był skoncentrowany, by nie zwymiotować jeszcze raz. Trzy razy opróżnił żołądek i było to o trzy razy za dużo. Choć przynajmniej nie był w tym osamotniony, również Mia Bolander wymiotowała. Stała teraz obok niego, wciąż bardzo blada.

— Włączamy pompę — powiedział pracownik portu.

Woda z kontenera została wypompowana do dużej cysterny. Wszystko działo się w milczeniu. Rozkładające się ciała wszystkich zszokowały i Henrik dziękował opatrności, że taśmy odgradzające trzymały dziennikarzy z daleka. Anneli posłała po posiłki i teraz pięciu techników pracowało pod jej kierownictwem, zbierając szczątki, aby można je było przesłać do Zakładu Medycyny Sądowej. Henrik patrzył na rdzę pokrywającą niebieskie, stalowe ściany kontenera. Jana Berzelius stała tuż za nim. Ale nie widziała rdzy. Widziała cyfry. Litery. Kombinację. Dokładnie taką jak we śnie.

— Myślę, że w środku jest ich więcej — powiedziała Mia.

— Tak uważasz? — spytał Henrik.

— Tak, na pewno we wszystkich są umarlaki — skwitowała Mia.

— Mam nadzieję, że nie — odrzekł Henrik z rezygnacją w głosie.

— Gotowe! — zawołał jeden z instalatorów.

— Kto otwiera? — zawołał Henrik do tyłu.

— W każdym razie nie Urban. Jest w szpitalu na płukaniu żołądka. Połknął zbyt wiele wody. I innych rzeczy. Niech pan otworzy.

— Ja? — spytał Henrik zdziwiony.

— Tak. No niech pan otwiera.

Henrik podszedł do drzwi i dotknął ich. Były śliskie. Pociągnął do siebie jedną z zasuw, ale ta ani nie drgnęła. Wziął głęboki oddech, rozstawił szeroko nogi, złapał mocniej zasuwę — i szarpnął. Drzwi zaskrzypiały i pomału się otworzyły.

W środku kontenera było ciemno. Zupełnie czarno. Niemożliwe było zobaczyć, co się w nim znajduje. Spadające na podłogę krople wody odbijały się echem, wyglądało na to, że kontener jest pusty.

— Światło! — zawołał Henrik.

Mia Bolander pospieszyła do samochodu i wyjęła z bagażnika dużą latarkę. Szybko przybiegła z powrotem do Henrika.

— Czy ktoś mógłby nam dostarczyć tu latarek? — krzyknęła do pozostałych. — Nie możemy przecież wejść tam po omacku!

Henrik włączył latarkę, którą dostał od Mii. Smuga światła padła na ciemną podłogę. Ostrożnie postąpił krok do przodu, i jeszcze jeden. Światło tańczyło po podłodze, po ścianach, po suficie, aż w końcu dotarło do jednego z rogów.

Tam coś było. Henrik uniósł latarkę i trzymał ją skierowaną na znalezisko, starając się nią nie poruszyć. Potem poświecił w drugi róg. Tam też coś leżało. Jakaś sterta przedmiotów. Postąpił dwa kroki i znalazł się w kontenerze. Kroczył pomału, ostrożnie, żeby na coś przypadkiem nie nadepnąć. Skierował światło na podłogę, aby upewnić się, że nic przed nim nie leży. A potem znowu w róg. Teraz był już w połowie drogi. I zobaczył, co tworzyło leżącą w rogu stertę.

Ludzkie czaszki.

W tej samej chwili cały kontener został oświetlony reflektorem. Henrik zmrużył

oczy od silnego światła, odwrócił się i zobaczył Mię, która uniosła kciuk do góry. On sam skierował kciuk w dół.

— Miałaś rację, Mia. Tu jest ich więcej.

Mia podeszła szybko do drzwi i zajrzała do środka. Jana Berzelius poszła za jej przykładem.

Jedna obok drugiej stały w wejściu i spoglądały w róg, który wskazywał Henrik.

— Tutaj — powiedział.

— A tam co leży? — spytała Mia, pokazując ruchem głowy środek kontenera. Widniał tam jakiś przedmiot, zardzewiały, w różowej oprawce.

— To lusterko — powiedziała wolno Jana.

Rozpoznawała je. Wydawało się jej znajome. Jakby też takie kiedyś miała. Bo przecież takie miała. Prawda? Pęknięte. Dokładnie takie jak to. Ale... jeśli ono należało do mnie, to co tutaj robi?

Jana wstrzymała oddech. Włosy zjeżyły jej się na głowie. Na rękach. Pomału spojrzała na leżącą w rogu stertę kości. Dotarło do niej, co to jest. Zrozumiała, że tylko tyle z nich pozostało.

Z osób, które niegdyś znała.

— Niech to diabli, od teraz obserwujemy port dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Gunnar Öhrn uderzył pięścią w niewielki plastikowy stół. Jego twarz przybrała kolor ciemnoczerwony. Spoglądał na garstkę zmęczonych policjantów siedzących dookoła stołu.

Henrik miał podkrążone oczy.

Mia nieobecny wzrok, Ola szeroko ziewał.

Na spotkaniu brakowało tylko Anneli. Pracowała nadal nad dokumentowaniem szczątków z pierwszego kontenera. Do pomocy miała techników z Linköping i ze Sztokholmu, a w drodze był zespół z Örebro.

Z powodu daleko posuniętego rozkładu ciał praca była bardzo uciążliwa. Przeniesienie fragmentów zwłok samymi rękoma było prawie niemożliwe. Używano do tego specjalnie zaprojektowanych podnośników i miękkich podkładów, aby skóra nie odpadła podczas przemieszczania.

Otworzyli wszystkie dziesięć kontenerów i w każdym znaleźli ludzkie szczątki. Tylko szkielety, poza pierwszym, który leżał w wodzie najkrócej, od około roku.

Było tuż przed dziewiątą. Zespół przebywał na Brändö od jedenastu godzin. To, co wcześniej było miejscem wyławiania kontenerów, zamieniło się w miejsce pracy dla niezliczonych policjantów i techników. Działania miały być prowadzone przez całą noc. Może nawet przez kilka dni.

Gunnar robił się coraz bardziej czerwony na twarzy, gdy o tym myślał.

— Nie mogą rozładować ani jednego kontenera bez naszej kontroli. Zrozumiano? Musimy sprawdzać wszystko, co przychodzi do portu. Naprawdę wszystko.

Policjanci skinęli głowami.

Na stole przed nimi stało jedzenie na wynos zapakowane w aluminiowe pojemniki. Nikt go nie ruszył. Smród rozkładających się ciał ciągle unosił się w powietrzu, przez co wszystkich opuścił apetyt.

— Numery kontenerów zgadzają się z tymi, które Hans Juhlén miał u siebie w komputerze — zauważył Ola.

— I które usunęła Lena Wikström — dodała Mia.

— Dlaczego to zrobiła? — spytał Ola.

— Dostała od kogoś takie polecenie — odpowiedział Henrik.

— A my musimy się dowiedzieć od kogo. Powinniśmy ją zmusić, by nam to wyjawiała — stwierdził Gunnar.

— Mówimy tu o wielkiej liczbie zwłok, mamy do czynienia z dziesięcioma zbiorowymi grobami... — odezwała się Mia. — Kim są ci ludzie? A właściwie, kim byli?

— Hans Juhlén najprawdopodobniej znał odpowiedzi na te pytania — stwierdził Henrik.

— A Lena Wikström musi wiedzieć, jaką odgrywał w tym rolę, mimo wszystko pracowali razem.

Wszyscy zgodnie kiwnęli głowami.

— Czy są jakieś podobieństwa między kontenerami? — spytał Gunnar.

— Wszystkie kontenery pochodziły z Chile — odpowiedział Henrik.

— Tak, ale poza tym. W jakim mieście zostały załadowane? Przez kogo? — wyliczał Gunnar.

— Musimy to sprawdzić — odrzekł Henrik.

— Opierając się na liście rozmów z telefonu Thomasa Rydberga, możemy się spodziewać, że przybędzie jeszcze jeden transport. W wiadomości wysłanej do Leny napisał: „Dost.wt.1”. Lena nie chce powiedzieć, jak należy tłumaczyć wiadomość, ale ja zgaduję, że oznacza to dostawa, wtorek, pierwszego. W najbliższy wtorek mamy pierwszego maja, dlatego uważam, iż powinniśmy przejrzeć każdy centymetr kwadratowy każdego ze statków, które mają wówczas przybić do Norrköping.

— Ale wiadomość może równie dobrze oznaczać dostawę do jakiegoś domu o numerze jeden albo do jakiejś osoby, albo też statek numer jeden, albo... — wyliczała Mia.

— Rozumiemy, co masz na myśli — przerwał jej Gunnar.

— Chodzi mi tylko o to, że powinniśmy może spojrzeć na to trochę szerzej — tłumaczyła Mia.

— Tak.

— Czy było więcej takich SMS-ów? O podobnej treści? — spytał Henrik.

— Nie, ani od Rydberga, ani od nikogo innego do Leny Wikström — odrzekł Ola.

— No więc — powiedział Gunnar. — Jeszcze raz przesłuchamy Lenę. Zmusimy ją do mówienia. Dowiemy się, w jaki sposób był w to zamieszany urząd imigracyjny.

Sprawdźcie wszystkich pracowników...

Gunnar przeciągnął ręką po twarzy i kontynuował:

— I sprawdźcie komórkę Leny. Wiadomości, rozmowy — wszystko! Chciałbym też, abyście odnaleźli osoby, które kiedykolwiek miały z nią kontakt. Porozmawiajcie z kolegami z klasy, jej byłymi chłopakami, ciotkami, wujkami — z każdym — polecił Gunnar. — I poproście Rainera, aby sporządził listę mających przybyć do portu statków. Porozmawiajcie z ich kapitanami i każcie im zacząć otwierać kontenery jeszcze na pokładzie.

— To akurat nie jest możliwe. Jeden statek może przewozić do sześciu tysięcy kontenerów — zaprotestował Henrik.

— A na morzu mogą wiać silne wiatry, nie mówiąc już o sztormach — dodała Mia.

Gunnar ponownie przeciągnął ręką po twarzy.

— W takim razie musimy otworzyć wszystkie w porcie. Najważniejsze, byśmy złapali tego, kto to zrobił. I nikt, NIKT z nas nie może spocząć, zanim nie znajdziemy tego lub tych diabłów!

Fobos płynnym ruchem wyciągnął pistolet schowany przy biodrze. Wprawną ręką włożył go z powrotem za spodnie i ukrył pod kurtką.

Potem wyciągnął i schował broń jeszcze raz. I jeszcze raz.

Umiejętność szybkiego przestawiania się ze spoczynku w stan gotowości była bardzo ważna. Szczególnie gdy stało się na czatach. Wszystko mogło się zdarzyć, tego nauczyło go doświadczenie. Nie tylko mężczyźni w czerni mogli okazać się niebezpieczni, nawet lekko ubrane dziewczęta potrafiły czasem przysporzyć problemów.

Z dachu miał dobry widok na tylną uliczkę. Znajdował się na wysokości pierwszego piętra, oparty o betonową fasadę sąsiedniego budynku.

Pomieszczenie, którego pilnował, było dokładnie ogrodzone, schowane za blaszanymi ścianami. Pionowy szyld reklamowy rzucał na bruk migające światło, materiał uszkodzonej markizy łopotał na wietrze, a koło krawężnika hałasowała popychana wiatrem aluminiowa puszka.

Fobos spojrział na drzwi i znajdujące się obok zakratowane okno. Nikomu z pewnością nie przyszłoby do głowy, że tam, w środku, dokonywano transakcji. A tak właśnie było, od czterech godzin. Bo tyle już tutaj stał. Sam, w ciemności.

Po zakończonych negocjacjach miał dopilnować tego, by chroniony przez niego obiekt bezpiecznie dotarł na miejsce. Pewnie przyjdzie mu czekać jeszcze z godzinę. Choć żywił nieśmiałą nadzieję, że może trochę krócej.

Naprawdę miał taką nadzieję.

Gdyż marzył.

Dla rozgrzewki jeszcze raz wyjął pistolet z za spodni.

Myślał o niej przez cały dzień.

Karl Berzelius westchnął, wyłączył telewizor i podszedł do okna. Próbował wyrzeć na ogród, lecz na zewnątrz było ciemno jak w głębokiej studni.

Między białymi szczeblinami okna zobaczył swoje odbicie. Czuł się przygnębiony, zastanawiał się, dlaczego nie odebrała.

W domu było cicho. Margaretha wcześniej położyła się spać. Uciskał ją podczas kolacji, nie miał ochoty na rozmowę. A tym bardziej na jedzenie. Margaretha spojrzała na niego ze zdziwieniem. Poprawiła się na krześle. Była niewysoka, żylasta. Dotknęła okularów w cienkich stalowych oprawkach. Zaczęła jeść małymi kęsami.

Margaretha o niczym nie musi wiedzieć. Absolutnie o niczym, mówił sobie.

Spojrzał w dół, na swoje dłonie, i poczuł ogarniający go strach.

Dlaczego nie zakończył sprawy z napisem raz na zawsze? Dlaczego jej go zostawił na karku?

Choć w głębi duszy doskonale wiedział dlaczego — tłumaczenie, skąd wziął się ten napis, byłoby zbyt nieprzyjemne i krępujące. Jeśli wyszłoby na jaw, że miała wyryty na karku jakiś napis, nazywano by ją niedorozwojem. Odmieńcem. I plotka poszłaby w świat. Berzelius adoptował jakiegoś odmieńca! Najprawdopodobniej wszyscy myśleliby, że się samookalecza. Może zaczęto by rozważać oddanie jej do specjalnej placówki dla osób z destrukcyjnym zachowaniem.

Karl poczuł, jak strach zamienia się w złość. Historia się powtarzała. Po raz drugi Jana mogła zszargać nie tylko jego dobre imię, ale tym razem też i własne. Przeklęty bachor, myślał. To wszystko była jej wina!

Nagle poczuł ulgę, że nie odebrała telefonu.

Nie miał ochoty z nią rozmawiać.

Nie będzie już nigdy próbował się z nią skontaktować.

Pomału skinął głową, zadowolony z ostatecznej decyzji, którą powziął.

Stał przy oknie jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem zgasił lampę nad stołem w salonie, poszedł do sypialni i położył się koło Margarethy.

Leżał tak z godzinę, ale sen ciągle nie nadchodził. Wstał więc z łóżka, nałożył granatowy szlafrok i szerokie pantofle. Powłócząc nogami, podszedł do kanapy, opadł na nią wyczerpany i ponownie włączył telewizor.

Lodówka na wina mieściła dwanaście butelek.

Jana Berzelius wyjęła jedną z nich, przyłożyła do niej elektryczny korkociąg i napełniła po brzegi kryształowy kieliszek. Wzięła łyk i poczuła w gardle spływający jasnożłoty płyn.

Musiała opuścić miejsce wylawiania kontenerów. Przez chwilę stała tam i zaglądała do wnętrza kontenera, potem przeprosiła Henrika, szybkim krokiem przeszła przez odgradzony teren, wsiadła do samochodu i pojechała do domu.

Nie mogła stać bezczynnie, chciała się czymś zająć. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej kiść pomidorów. Zaczęła je kroić. Pomału przecinała cienką skórkę i odkładała połówki pomidorów do miski. Wypiła jeszcze jeden łyk wina. Wyjęła ogórek,

opłukała go i położyła na desce do krojenia.

Myślała o kontenerze. Gdzieś w środku wiedziała, że jego zawartość będzie miała dla niej znaczenie. We śnie widziała cyfry, litery, ich kombinację. Widziała ją i wiedziała. Ale nie przypuszczała, że w kontenerze znajdzie lusterko. Kroiła ogórek plasterkiem za plasterkiem. Skąd wiedziała, że to było jej lusterko? Nóż kroił coraz szybciej. Była w środku? Musiała tam być. Błyskawicznie odpadały kolejne plasterki ogórka. Była tam! Kroiła teraz jak opętana. Nagle podniosła nóż i z całej siły wbiła go w deskę do krojenia. Ostrze weszło głęboko w drewno.

Jana rozmyślała o wydarzeniach ostatnich dni. Myśli powędrowały w końcu do napisu na jej karku. Dlaczego go miała? Dlaczego była naznaczona?

Bardzo chciałyby otrzymać odpowiedź na wszystkie swoje wątpliwości, lecz nie miała kogo spytać. Poza Leną.

Od razu odrzuciła pomysł odwiedzenia Leny w areszcie. Ktoś mógłby usłyszeć, o czym rozmawiały. Może zaczęłyby coś podejrzewać albo pomyśleliby, że prowadzi na boku własne śledztwo. Nie chciała ryzykować tak bez potrzeby.

Wzięła głęboki oddech. Nie było nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić. Nikt nie potrafi jej pomóc. Jeśli nie... Spojrzała w dół, na nóż wbity pionowo w deskę do krojenia. Nie... Nie było nikogo. A może jednak? Tak, może jednak ktoś taki jest. Jeden jedyny człowiek. Choć z pewnością nie żyje. Jeśliby żył, mógłby na pewno jej wszystko opowiedzieć. Ale nie żyje. A może jednak? Może żyje? Nie... a może tak? Jana wzięła kieliszek do ręki i podeszła do komputera. Opróżniła resztkę wina jednym haustem, usiadła przy klawiaturze i otworzyła wyszukiwarkę osób i przedsiębiorstw. Zawahała się przez krótką chwilę, następnie wpisała „Hades” i nacisnęła na Enter.

Pojawiło się wiele nazw przedsiębiorstw i sklepów internetowych, ale ani jedna osoba prywatna. Otworzyła inną wyszukiwarkę i wpisała to samo hasło. Otrzymała trzydzieści jeden milionów rezultatów. Westchnęła. To nie miało sensu. Lecz dlaczego Lena twierdziła, że on żyje?

Zmieniła wyszukiwane słowo na „imię Hades”, ale również teraz otrzymała mnóstwo wyników prowadzących do stron internetowych firm. Szukała przeróżnych kombinacji imienia, aby znaleźć coś, co by ją do niego zaprowadziło.

I gdy już miała się poddać, przyszła jej do głowy pewna myśl. Jeśli naprawdę chce się odszukać jakąś osobę, trzeba ją sprawdzić w policyjnym rejestrze.

Musi się do niego dostać.

I to tak, by nikt tego nie zauważył.

KRISTIAN „KRILLE” OLSSON wystukiwał rytm na wózku na śmieci. Muzyka w słuchawkach bębniła. Chropowaty głos darł się na całe gardło.

Billy Idol.

„Hey, little sister what have you done?”

Krille kiwał do taktu głową i śpiewał razem z piosenkarzem:

„Hey, little sister who is your only one?”

Tuż przed północą peron był opustoszały. Krille jak zawsze zatrzymał wózek przed koszem na śmieci, otworzył pokrywkę i wyjął worek. Musiał mocno trzymać, bo był ciężki.

Cholera, ile gówna, pomyślał, zawiązując worek i ustawiając go koło trzech innych znajdujących się już na wózku.

Rozwinął nowy worek, podkręcił głośność w żółtym walkmanie i zaśpiewał: „It’s a nice day to start again”.

Zatrzymał się, zabębnił w wózek i ponownie zaintonował:

„It’s a nice day for a White Wedding”.

Uśmiechnął się do siebie, włożył nowy worek do kosza i zamknął go z kliknięciem.

Gdy skierował się ku następnemu koszowi, zauważył, że zza niewielkiej przestrzeni za ławkami wystaje czyjaś noga. Podszedł bliżej i zobaczył, że opierając się o ścianę, siedzi tam dziewczynka. Głęboko spała.

Krille rozejrzał się dookoła, jakby w poszukiwaniu jej rodziców. Ale peron był opustoszały. Pomału ściągnął słuchawki z uszu, podszedł do dziewczynki i szturchnął ją.

— Hej — powiedział. — Hej, ty!

Nie ruszyła się.

— Halo, dziewczynko, obudź się!

Dotknął palcami jej policzka. Jeszcze raz, trochę mocniej. Wówczas się obudziła. Jej ciemnobrązowe oczy spojrzały prosto w jego oczy i w ułamku sekundy podniosła się na nogi. Krzyczała, wymachiwała rękoma i próbowała pospiesznie się oddalić.

— Spokojnie — powiedział Krille.

Ale ona nie słuchała, tylko cofała się coraz bardziej.

— Hej, nie idź dalej — powiedział, gdy zobaczył, dokąd zmierza.

— Stój, do cholery. Uważaj!

Dziewczynka nadal się cofała.

— Stój! Uważaj! — krzyknął, rzucając się, by ją złapać. Lecz było za późno. Dziewczynka upadła prosto na tory. Ostatnim, co zobaczyła, była przestraszona twarz Krillego.

Potem zrobiło się ciemno.

ANNELI LINDGREN ŚCIAGNĘŁA rękawiczki. Czuła w głowie lekki zamęt. Dzień był bardzo intensywny, a do tego przez cały czas nie miała w ustach nic poza napojami.

Nie mogła się doczekać, żeby wrócić do domu i położyć się spać. Najpierw musiała jednak odebrać syna od mamy, którą poprosiła o pomoc w opiece nad chłopcem, gdy dotarło do niej, ile ją czeka pracy.

Była jedenasta wieczorem, gdy skończono z ostatnimi oznaczeniami w okolicy i przy kontenerach. W aparacie miała ponad tysiąc zdjęć i prawie wyczerpaną baterię. Zespół opuścił ogrodzony obszar, zostało tam tylko kilkoro policjantów i Gunnar Öhrn.

Podszedł do niej.

— Koniec pracy na dzisiaj?

— Tak — odrzekła Anneli.

— Mam cię podwieźć?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział.

— Dziękuję.

— Nie, nie to miałem na myśli...

— Wiem. Jestem zmęczona i chcę jechać do domu, ale muszę wstąpić do komendy, żeby zostawić aparat i inne rzeczy.

— No to najpierw tam pojedziemy.

— Jesteś pewien?

— Tak. Chodź już.

Jana Berzelius stała blisko ściany z aktówką w dłoni i rozglądała się po pomieszczeniach biurowych. Przy jednym ze stanowisk siedziała kobieta z wzrokiem utkwionym w ekran komputera. Poza tym wszędzie było pusto. Zegar wskazywał jedenastą i nocna zmiana była najprawdopodobniej na wyjeździe. Albo też skierowano ich do pilnowania kontenerów.

Doskonale, pomyślała.

Skłamała, że ma wizytę w areszcie i łatwo dostała się do komendy. Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kobiety, która od razu podniosła wzrok znad komputera. Była młoda, mogła mieć dwadzieścia parę lat. Niebieskie oczy, perły w uszach.

— Dobry wieczór, nazywam się Jana Berzelius. Jestem prokuratorem.

— Dobry wieczór, Matilda.

— Pracuję z Gunnarem i jego zespołem. Zazwyczaj spotykamy się w tamtym pomieszczeniu — wskazała na salę spotkań.

— Tak?

— No więc potrzebowałabym pani pomocy. Na ostatnim spotkaniu zostawiłam notatnik i chciałabym spytać, czy mogłaby mi pani na chwilę otworzyć salę?

Matilda zerknęła na zegar i podejrzliwie spojrzała na Janę.

— Idę do aresztu — wyjaśniła Jana. — I muszę mieć na czym pisać zeznania, jeśli dziś w nocy ktoś zostałby aresztowany.

Matilda kupiła kłamstwo, uśmiechnęła się i wstała z miejsca.

— Oczywiście, już otwieram.

Jana szybko rzuciła okiem na ekran. Rejestr był otwarty, Matilda była więc zalogowana.

Poszła za nią korytarzem prowadzącym do sali spotkań, policjantka otworzyła drzwi kartą magnetyczną i wpuściła Janę do środka.

— Proszę.

— Dziękuję — odpowiedziała Jana. — Teraz już sobie poradzę.

— Proszę zamknąć drzwi, gdy znajdzie już pani notatnik.

— Oczywiście, na pewno gdzieś tu jest — powiedziała Jana, wchodząc do pomieszczenia.

Słyszała, jak Matilda wróciła do swojego biurka. Jana obeszła dookoła stół, aby jej szukanie wydało się bardziej wiarygodne. Potem otworzyła aktówkę, wyjęła z niej notatnik i zamknęła za sobą drzwi.

— Znalazłam — powiedziała, mijając Matildę. — Dziękuję za pomoc.

— Nie ma za co — odpowiedziała policjantka, machając z roztargnieniem ręką w stronę Jany opuszczającej właśnie pomieszczenia biurowe.

Dookoła Matildy zapadła cisza. Dysk twardy szumiał głośno, podobnie jak wentylatory na suficie.

Lubiła być sama, szczególnie w nocy, gdy koledzy nie przerywali pracy nieustannymi pytaniami, a telefony nie dzwoniły na okrągło.

Matilda usłyszała dzwonek windy i ponowne zamknięcie drzwi. Wyjęła telefon komórkowy i już miała wybrać numer swojego chłopaka, gdy usłyszała metaliczny hałas dobiegający z kuchni. Nastawiła uszu. Czyżby jej się zdawało?

Wstała z krzesła, musiała pójść zobaczyć, co to było. Z komórką w ręku poszła do kuchni, zapaliła światło i rozejrzała się po pomieszczeniu.

W kuchni było zimno, objęła się ramionami i zadrżała. Znów usłyszała ten sam dźwięk. Spojrzała w stronę okna, stało otworem. Podeszła, by je zamknąć, i tej samej chwili usłyszała za sobą huk. Podskoczyła ze strachu. Drzwi kuchenne się zatrzasnęły.

— To nic takiego, to tylko przeciąg — przekonywała samą siebie, czując przyspieszone bicie serca.

Przekręciła rączkę od okna do pozycji zamkniętej i zerknęła na wypełniony po brzegi koszyk z owocami. Nie, miała ochotę na coś słodkiego. W pasiastej puszcze znalazła okrągłe ciastko i całe włożyła do ust. Wzięła jeszcze jedno ciastko do ręki, zamknęła pokrywkę i zdecydowała się wrócić na stanowisko.

Nacisnęła klamkę od drzwi kuchennych, ale ta... ani nie drgnęła. Drzwi były zamknięte na klucz! Do diabła!

Jeszcze raz złapała za klamkę. Nie, nie dało się otworzyć. Jak mogły same zamknąć się na klucz? Nic nie rozumiała. Zapukała delikatnie, ale jednocześnie zdała sobie sprawę, że nie ma to sensu.

Przecież oprócz niej nikogo tu nie było.

Jana Berzelius słyszała pukanie Matildy. Sama w tym czasie szybko usiadła na krześle i przyciągnęła do siebie klawiaturę.

Musiała działać błyskawicznie.

Gunnar Öhrn otworzył drzwi Anneli Lindgren, która szeroko ziewnęła. Zasypiała, gdy jechali samochodem do komendy policji z miejsca wydobycia kontenerów.

— Już jesteśmy? — spytała.

— Tak. Mam sam wszystko zanieść na górę?

— Nie, pójdę z tobą.

Gunnar otworzył bagażnik, wyjął z niego dużą, ciężką walizkę i torbę z aparatem, którą wręczył Anneli.

Zawiesiła ją sobie na ramieniu i ponownie ziewnęła. Potem poszli razem w stronę windy, aby pojechać na trzecie piętro.

Matilda nie wiedziała, co robić. Znowu zapukała i jeszcze raz chwyciła za klamkę, a potem z całej siły napała na drzwi. Ale to też nic nie dało. Zastukała pięścią jeden raz, drugi i trzeci.

— Halo? — zawołała — Halo!

Jeszcze raz przyszło jej do głowy, że oprócz niej nikogo nie ma. Wówczas przypomniała sobie, że w kieszeni ma telefon komórkowy. Tylko do kogo zadzwonić? Pomyślała o swoim chłopaku. On jednak nie mógł wejść do komendy policji. Niemal rozbawił ją ten głupi pomysł. W takim razie może zadzwonić na recepcję? Mogliby przysłać na przykład jakiegoś strażnika albo kogoś innego. Ale wtedy uświadomiła sobie, że ma ze sobą tylko prywatny telefon, w którym nie było numerów wewnętrznych do poszczególnych wydziałów.

A niech to, co za pech, pomyślała, kopiąc w drzwi.

Jana usłyszała, jak winda ruszyła. Słyszała też pukanie Matildy. Choć teraz brzmiało to bardziej jak kopnięcia.

Przeszukiwanie zostało zakończone i... i nic. Żadnego wyniku dla imienia Hades. Co innego mogła wpisać? Nerwowo szukała w myślach. No już, wymyśl coś, wymyśl!

Winda stanęła. Najprawdopodobniej na jednym z niższych pięter. Jednak kiedy odetchnęła z ulgą, usłyszała, że winda ponownie rusza. W górę.

Zastanawiała się. Jak inaczej mógł się nazywać?

Przygryzała wargę, myśli wirowały jej w głowie. W końcu w pamięci pojawiło się jakieś imię. Zaczynało się na Dan...

Wpisała Dan i otrzymała wiele informacji o osobach z tym imieniem. Ale coś jej nie pasowało. Dano... Damien... Daniel... Danilo... Danilo! To brzmiało znajomo. Wpisała imię.

Winda była blisko.

No już! Daj mi jakąś informację!

Jana szybko przeleciała wzrokiem przez ekran, z góry na dół. Wówczas go zobaczyła. W rejestrze było wiele osób o imieniu Danilo. Ale jej wzrok zatrzymał się na jednym wyniku. Danilo Peña.

W Södertälje.

Wyjęła telefon komórkowy, zrobiła zdjęcie ekranu i od razu zamknęła wyszukiwarkę. Szybko podbiegła do wind w samych skarpetach i nadusiła przycisk. Potem cicho podeszła do kuchni dla pracowników i ostrożnie wyjęła krzesło spod klamki, pospieszyła z powrotem do otwartej już windy i nadusiła przycisk garażu.

Drzwi pomału się zamknęły. W tym samym momencie usłyszała, jak zadzwoniła winda obok, drzwi się otworzyły i ktoś z niej wysiadł.

Ciężka walizka obcierała mu bok, Gunnar poprawił więc chwyt, gdy wyszedł z windy.

Anneli szła tuż za nim.

W biurach było cicho i pusto, jak zazwyczaj nocą.

Poszli do biura Anneli, zapalili światło i zostawili tam torbę z aparatem i walizkę.

— Halo? — zawołała Matilda. — Czy ktoś tam jest? Halo?

Uderzyła w drzwi i złapała za klamkę, która... bez oporu się ugięła.

Otworzyła drzwi i prawie zderzyła się ze zdziwionym Gunnarem Öhrnem.

— Och Boże! — powiedziała Matilda. — Jakie szczęście, że pan tu jest. Byłam zamknięta w środku.

— Zamknięta? — spytała Anneli, która właśnie wyszła ze swojego biura.

— Tak, w kuchni! Drzwi się zatrzasnęły i nie mogłam wyjść.

Gunnar podszedł do drzwi kuchennych i nacisnął klamkę. W górę i w dół, bez problemu.

— Dziwne. Nie powinny się zatrzasnąć, nie można ich nawet zamknąć na klucz — powiedział.

— Ale... nie mogłam wyjść — powtórzyła Matilda.

— A jak w końcu otworzyłeś drzwi?

— Cóż, nacisnęłam klamkę i... otworzyłam.

— Więc były otwarte?

— Nie, zamknięte. Nie mogłam ich otworzyć.

— A potem już mogłaś?

— Tak.

Matilda poczuła się głupio. Jak miała im to wytłumaczyć? Przecież naprawdę była zamknięta w kuchni! Ale teraz nie miała siły, by wyjaśniać im wszystko od początku.

— Wyobraźcie sobie, że potem jakoś mogłam — wymruczała i naburmuszona wróciła na stanowisko pracy.

ŚRODA 25 KWIETNIA

HENRIK LEVIN SIĘ przebudził. Na początku nie wiedział, gdzie się znajduje, i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że zasnął na kanapie w pokoju dziennym. Wszędzie było ciemno choć oko wykol. Wziął komórkę, by sprawdzić godzinę. Była trzecia w nocy. Spał tylko parę godzin. Ekran wygasł i w pokoju znów zrobiło się ciemno.

O siódmej obudził go stłumiony sygnał. Podczas snu telefon wypadł mu z ręki i teraz szukał go na podłodze. Znalazł go w końcu pod kanapą, wyłączył budzik, wyciągnął się i poczuł, że w ogóle nie jest wyspany.

Po szybkim śniadaniu z Emmą i dziećmi pojechał do komendy policji. Gunnar Öhrn był pierwszą osobą, którą zobaczył, i razem udali się do sali spotkań.

— Wygląda na to, że wszyscy w kontenerach zostali zastrzeleni. Wskazują na to ślady na szkieletach — powiedział Gunnar.

— Więc zostali zabici, a ciała zatopiono w morzu — stwierdził Henrik.

— Tak.

— Ale dlaczego ich zabito? Czy chodziło o pieniądze? O narkotyki? Może byli to uchodźcy, którzy nie chcieli zapłacić? Nie dotrzymali obietnicy? Przemycnicy?

— Nie wiem, ale coś podobnego też mi przychodzi do głowy. Lecz przede wszystkim zastanawiam się nad Hansem Juhlénem. Dlaczego on został zamordowany?

— Może powinniśmy jeszcze raz przesłuchać jego żonę?

— Być może, choć myślę, że dowiemy się więcej od Leny. Szczerze mówiąc, Henriku...

Gunnar przystanął i rozejrzał się po korytarzu. Potem przeniósł wzrok na Henrika i westchnął.

— To bardzo skomplikowana historia. Sam już nie wiem, na czym się powinniśmy skupić. Najpierw Hans Juhlén, potem chłopiec, no i Thomas Rydberg. A teraz odkryliśmy grób masowy w morzu — to wszystko nie trzyma się kupy. Nie możemy podać ludziom tych informacji. A Carin ciągle mnie naciska.

— By zwołać konferencję prasową?

— Tak.

— Lecz przecież wciąż nie znamy mnóstwa odpowiedzi. W obecnej sytuacji wiemy o wiele za mało.

— Tak, musimy najpierw nad wszystkim zapanować. Mam uczucie, jakby sprawa wymykała nam się z rąk. Być może będę musiał poprosić o pomoc Centralne Biuro Śledcze, choć wiesz, co o tym myślę.

Twarz Gunnara spochmurniała.

Henrik się zastanawiał.

— Poczekaj, aż jeszcze raz przesłuchamy Lenę — powiedział.

Gunnar spojrział na niego zaczerwionymi oczami. Rozłożył ręce.

— Okej, poczekam, aż będziemy wiedzieli coś więcej.

Za piętnaście siódma Jana Berzelius zjechała na drogę E4.

Słońce już wstało i oślepiało ją z lewej strony.

W radiu przerwano muzykę, by nadać wiadomości, a meteorolog ostrzegał przed marznącym deszczem i ślizgawicami.

Ruch wzmógł się po minięciu Nyköping i również wtedy schowało się słońce. Niebo było teraz szaroniebieskie, a temperatura spadła do zera. Silny deszcz zaczął uderzać w asfalt.

Jana patrzyła prosto przed siebie na mokrą drogę, wsłuchana w szum samochodu.

Za oknami po obu stronach migał las. Odgradzający go płot rozmywał jej się w oczach, a tylne światła samochodów zamieniały w czerwone kreski.

Przy miejscowości Järna zaczęły się korki. Oczekując, aż się rozładują, otworzyła odpowiednią aplikację w telefonie i wpisała adres Danila Peñy. Użycie nawigatora GPS zamontowanego w samochodzie było bardzo ryzykowne, gdyż przy ewentualnej kontroli można by było łatwo wyśledzić jej trasę.

Aplikacja pokazała dokładny opis drogi, do celu brakowało tylko dziesięć minut jazdy.

Deszcz przestał padać, ale ciężkie szare chmury nadal pokrywały całe niebo. Zjechała z autostrady i skierowała się ku centrum. Skręciła w prawo, w dzielnicę Ronna i znalazła się pośród wieżowców z zielonymi, niebieskimi i jaskrawożółtymi balkonami. Ulice mieniły się od mnóstwa szyldów z napisami w obcych językach.

Zdemolowaną wiatę przystanku autobusowego obsiadł gang młodzieżowy, kawałek dalej stała staruszka, podpierając się na brązowej lasce. Samochód z przebitą oponą, rower bez przedniego koła i przepełniony kosz na śmieci.

Poszukała wejścia numer trzydzieści sześć. Znajdowało się dalej, na końcu Svedjevägen.

Zaparkowała samochód na ulicy i przez chwilę zastanawiała się, czy zapłacić za parking. Problem rozwiązał się sam, gdyż parkomat, cały pokryty graffiti, był zepsuty. W drodze do wieżowca minęła wiele samochodów, wszystkie miały krzyżyki i obrazki świętych pozawieszane na lusterkach cofania. Małymi krokami omijała liczne kałuże.

W wejściu do budynku siedziały trzy kobiety w chustach na głowach i rozmawiały. Bez skrępowania obrzuciły Janę nieprzyjaznym spojrzeniem, gdy wchodziła do klatki schodowej. W środku odbijały się echem płacz dziecka, podniesione głosy i trzaskanie drzwiami. Było zimno i spartańsko, a w powietrzu unosił się zapach jedzenia.

Z tablicy przy wejściu dowiedziała się, że musi się udać na ósme piętro, wsiadła

więc do windy.

Gdy dojechała na miejsce, ostrożnie wyjrzała na piętro. Na drzwiach najbliższej schodów przeczytała „D. Peña”.

Wysiadła z windy i podniosła rękę, by zapukać do drzwi, lecz w tej samej chwili odkryła, że są uchylone. Nacisnęła klamkę i otworzyła je szerzej.

— Halo? — zawołała, wchodząc na korytarz.

Nie było tam żadnych mebli, tylko gałgankowy dywanik na podłodze i żółtobrazowa tapeta pokrywająca ściany.

Zawołała jeszcze raz, lecz odpowiedziało jej tylko echo.

Zawahała się, ale po chwili zebrała się na odwagę i poszła prosto do pokoju dziennego. Rozdarta kanapa, przed nią mały stolik, materac bez prześcieradła, poduszka i kraciasty koc. Wiatr wpadał do środka przez pękniętą szybę.

Przeszła przez pokój dzienny w stronę kuchni. Stała, wstrzymując oddech, i zaczęła nasłuchiwać.

Stała tak przez kilka sekund, potem przekroczyła próg kuchni. W tej samej chwili dostrzegła kątem oka zbliżającą się w jej stronę pięść, która powaliła ją na podłogę. Pięść pojawiła się ponownie i Jana automatycznie podniosła ramiona, by się osłonić. Uderzenie padło na nadgarstki, poczuła silny ból.

Wstać, pomyślała.

Muszę wstać!

Zrobiła szybki obrót w lewą stronę, podparła się prawą ręką pod klatkę piersiową i wstała.

Wówczas zobaczyła mężczyznę i to, co trzymał w ręku.

— Nie ruszaj się — powiedział. — Jeśli chcesz żyć.

DZIEWCZYNKA SPRÓBOWAŁA PRZEŁKNAĆ ŚLINĘ, lecz język miała jak sparaliżowany. Chciała otworzyć oczy, ale nie dawała rady. Słyszała czyjś głos, ktoś coś do niej mówił, jednak nie mogła odróżnić słów. Ktoś ją dotknął, spróbowała odepchnąć rękę.

— Spokojnie — usłyszała.

Gdy uniosła rękę do uderzenia, poczuła intensywny ból głowy, który zmusił ją do leżenia nieruchomo. W końcu otworzyła oczy i wtedy oślepiło ją silne światło.

Zamrugła wiele razy i ujrzała nieznaną osobę. Nad łóżkiem, na którym leżała, pochylał się ubrany na biało mężczyzna.

— Jak się nazywasz? — spytał.

Nie odpowiedziała.

Zmrużyła oczy, by przyzwyczaić je do światła. Mężczyzna miał blond włosy, okulary i brodę.

— Ja nazywam się Mikael Andersson. Jestem lekarzem. Znajdujesz się w szpitalu. Miałaś wypadek. Czy wiesz, jak się nazywasz?

Przełknęła ślinę. Szukała w głowie odpowiedzi.

— Pamiętasz, co się stało?

Przekręciła głowę i spojrzała na lekarza. Ból pulsował w zabandażowanej głowie. Zamknęła na chwilę oczy i pomału znów je otworzyła.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Bo nie pamiętała.

Nic nie pamiętała.

FOBOS DOTKNAŁ PISTOLETU. Wiedział, że doskonale wykonał zadanie. Zastrzelenie mężczyzny, który nie płacił na czas, nie było trudne.

Wystarczył jeden strzał w tył głowy. Jedna rana. Krew na podłodze. Lepiej było podkradać się do ofiary i strzelać od tyłu, wówczas nie zdążyła zareagować i mniej się ryzykowało. Po prostu padała przed siebie. Większość od razu umierała. Niektórzy się trzęśli. Lekko.

Woda uderzała w łódkę, mocno huštało. Mimo to czuł się odprężony i zadowolony. Bo wiedział, że dostanie nagrodę. W końcu dostanie działkę, na którą zasłużył.

Pistolet znajdował się o centymetr od policzka Jany Berzelius.

Stojący przed nią mężczyzna szybko otarł kroplę śliny z kącika ust. Miał długie, ciemne włosy, brązowe oczy i kanciastą twarz.

Kto to był? Hades?

— Kim, kurwa, jesteś? — spytał, przyciskając lufę do jej policzka.

— Jestem prokuratorem — powiedziała, zastanawiając się szybko nad ewentualnymi drogami ucieczki. Stali w kuchni, pokój dzienny był za nią, korytarz przed nią. Dwie drogi ucieczki, z czego jedna dłuższa. Mogła go pobić do nieprzytomności, ale miał pistolet, co mu dawało przewagę. Zerknęła na blat kuchenny, nie było na nim noży.

— Tylko niczego nie próbuj — powiedział mężczyzna. — Lepiej odpowiedz na pytanie, co prokurator robi w moim mieszkaniu.

— Potrzebuję twojej pomocy.

Mężczyzna się zaśmiał.

— Ach tak? Co ty nie powiesz. Interesujące. A w czym mógłbym ci pomóc?

— Myślę, że możesz mi pomóc wyjaśnić jedną rzecz.

— Jedną rzecz? A o co chodzi w tej rzeczy?

— O moją przeszłość.

— Twoją przeszłość? Jak miałbym ci w tym pomóc, jeśli nie wiem, kim jesteś.

— Ale ja wiem, kim ty jesteś.

— Naprawdę? Kim jestem?

— Jesteś Danilo.

— Sprytne. Doszłaś do tego sama, czy może przeczytałaś moje imię na drzwiach?

— Ale jesteś też kim innym.

— Chcesz powiedzieć, że jestem schizolem?

— Pokaż mi swój kark.

Mężczyzna zamilkł.

— Masz tam inne imię — powiedziała. — Ja wiem, jakie. Jeśli uda mi się zgadnąć, musisz mi odpowiedzieć, skąd je masz. Jak nie odgadnę, pozwolisz mi odejść.

— Zmienimy trochę umowę. Jeśli zgadniesz, opowiem ci. Pewnie, nie ma problemu. Jeśli nie odgadniesz albo jeśli nie mam na karku żadnego napisu, strzelę.

Odbezpieczył pistolet, cofnął się o kilka kroków i stanął w rozkroku, gotowy do strzału.

— Mogę cię oskarżyć o próbę morderstwa — powiedziała Jana.

— A ja mogę cię oskarżyć o włamanie. Zgaduj.

Jana przełknęła ślinę.

Była raczej pewna, że to jest on.

Ale czy odważy się to powiedzieć?

Zamknęła oczy.

— Hades — wyszeptała i w tym samym momencie padł strzał.

DZIEWCZYNIKA SIEDZIAŁA NA szczebelkowym krześle ze wzrokiem wbitym w podłogę. Miała zgarbione plecy, dłonie schowała pod uda.

Siedziała nieruchomo.

W milczeniu.

Sekretarka opieki społecznej Beatrice Malm spojrzała znad okularów na siedzącą przed nią chudą dziewczynkę i ostrożnie otworzyła leżący na stole rejestr.

— No tak — powiedziała, pochylając się do przodu i splatając ręce. — Masz szczęście, złotko. Będziesz miała mamę i tatę.

JANA OTWORZYŁA OCZY.

Danilo stał przed nią z opuszczonym pistoletem. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy została trafiona. Nie.

Kula przeszła obok, robiąc dziurę w ścianie za jej plecami.

Spojrzała na Danila. Ciężko oddychał.

— Skąd wiesz? — spytał przez zaciśnięte szczęki. — Co? Skąd to, cholera, wiesz? Mów!

Podszedł do niej i przysunął twarz blisko jej twarzy.

— Skąd to, do cholery, wiesz? Mów, od razu!

Chwyił ją za włosy i przechylił głowę do tyłu. Brutalnie. Potem uderzył ją w czoło pistoletem i przystawił go jej do skroni.

— Strzelę jeszcze raz. I przyrzekam, że tym razem kula przejdzie tutaj. Więc mów! Mów!

— Ja też mam imię — powiedziała butnie.

Danilo przekrzywił jej głowę na bok. Ciągnął za włosy, drapał skórę. Jana poczuła odsłonięty kark i spanikowała. Szybkim ruchem uwolniła się z jego mocnego chwytu. Cofnęła się o kilka kroków i spojrzała na niego.

Danilo pokręcił głową.

— To nie może być prawda, to nie możesz być ty.

— Owszem. To ja. A teraz masz mi powiedzieć, kim jestem.

Opowiedzenie krótkiej historii swojego życia zajęło Janie Berzelius dziesięć minut. Siedziała obok Danila na cienkim materacu w pustym pokoju dziennym. Oboje siedzieli z przyciągniętymi do brody kolanami i pochylonymi głowami.

— Więc zostałam adoptowana? — spytał.

— Tak, zostałam adoptowana. Dostałam imię Jana i nazwisko Berzelius. Mój ojciec, Karl Berzelius, był prokuratorem generalnym, teraz jest już na emeryturze. Najbardziej ze wszystkiego pragnął mieć syna, który poszedłby w jego ślady. Zamiast tego ja musiałam to zrobić.

Przyglądali się sobie. Badawczo.

Jana kontynuowała:

— Nic nie pamiętam z wypadku. Powiedziano mi, że spadłam na tory w metrze i tak mocno uderzyłam się w głowę, że straciłam pamięć. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, jak się tam znalazłam ani kim byłam przedtem. Byłam sama. Nikt mnie nie szukał ani o mnie nie pytał po wypadku.

Jana zamilkła.

— Więc nic nie pamiętasz? — spytał Danilo.

— Czasem w snach powracają jakieś fragmenty albo obrazy, ale nie wiem, czy są

to wspomnienia czy tylko fantazja.

— Pamiętasz twoich prawdziwych rodziców?

— A miałam takich?

Danilo nie odpowiedział.

Wiatr wiał przez pęknięcie w szybie. W pokoju nagle zrobiło się zimno. Jana objęła kolana ramionami.

— Czy mógłbyś opowiedzieć coś o swoim życiu? — spytała.

— Nie ma tu nic do opowiadania.

— Śniłam, że zostałeś zamordowany.

Danilo pokręcił się z zakłopotaniem.

— Uciekłem, okej? Zostałem trafiony w ramię — powiedział i odsunął sweter, ukazując dużą bliznę na prawym ramieniu. — Gdy uciekłaś, leżałem nieruchomo i udawałem martwego. Jak Mama pobiegła za tobą, wstałem i uciekłem. I teraz jestem tutaj. Koniec historii.

— Nie znaleźli cię?

— Nie.

Jana się zastanawiała.

— Tak się na nią mówiło?

— Na kogo?

— Mówiło się na nią Mama?

— Tak.

— Ja też tak mówiłam?

— Tak.

Ramiona Danila opadły.

— Dlaczego tutaj jesteś? Dlaczego grzebiez w przeszłości?

— Chcę wiedzieć, kim jestem. — Jana przygryzła wargę. — Mogę ci zaufać?

— To znaczy?

— Mogę ci zdradzić tajemnicę i mieć pewność, że nikomu o tym nie powiesz?

— Poczekaj. Kto cię tu przysłał?

— Nikt. Przybyłam tu na własną rękę, z powodów osobistych.

— Więc czego ode mnie chcesz?

— Doszłam do punktu, w którym potrzebne mi są odpowiedzi. I chciałabym je znaleźć bez mieszania w to policji.

— Ale przecież jesteś prokuratorem. Powinnaś więc rozmawiać właśnie z policją.

— Nie.

— Okej, okej. Chciałbym najpierw wiedzieć, o co ci chodzi, zanim zdecyduję, czy ci pomogę czy nie.

Jana przez chwilę się wahała.

— Obiecuję, że nikomu nie powiem o tym, co od ciebie usłyszę — powiedział w końcu.

Brzmiał przekonująco, a w obecnej chwili nie było nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić.

Zaczęła więc mówić.

Opowiedzenie wszystkich skomplikowanych detali śledztwa zajęło jej ponad godzinę. Mówiła o Hansie Juhlénie, o chłopcu z wrytym na karku imieniem, którego znaleziono martwego na plaży w Viddviken. Opowiedziała też o Thomasie Rydbergu, pomijając szczegół, że to ona pozbawiła go życia.

Gdy doszła do wyławiania kontenerów, Danilo zbladł.

— O kurwa — powiedział.

— W jednym z kontenerów znalazłam lusterko. Myślę, że należało do mnie. Musisz mi powiedzieć, czy byłam w tym kontenerze?

— Nie wiem.

— Proszę, powiedz mi.

— Nie, nie byłaś. Dotarło?

— Chciałabym się tylko dowiedzieć, kim jestem. Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Musisz mi pomóc. Powiedz mi, kim jestem!

Danilo wstał. Jego twarz spochmurniała.

— Nie.

— Nie?

— Jak chcesz, możesz grzebać w przeszłości, ale ja nie mam zamiaru tego robić.

— Nie mam w zwyczaju prosić, ale tym razem to robię. Proszę, pomóż mi.

— Nie. NIE!

Danilo patrzył przez okno.

— Proszę cię...

— Nie! — Danilo odwrócił się gwałtownie w stronę Jany. — Nigdy. Nie zrobię tego. A teraz wynoś się stąd.

Ściągnął ją z materaca. Uwolniła się z jego uchwytu.

— Nie dotykaj mnie!

— Nigdy więcej tu nie przychodź.

— Bez obaw, możesz być o to spokojny.

— To dobrze. Wynoś się!

Stała w pokoju. Spojrzała na Danila po ostatni raz i opuściła mieszkanie. Przeklinała siebie samą. Że wszystko mu opowiedziała. Otworzyła się. Nie powinna była tego robić.

Nie powinna.

Henrik Levin spojrział na zegarek. Była 15.55. Brakowało pięciu minut do przesłuchania Leny Wikström.

Jana Berzelius była spóźniona, nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało.

Henrik rwał sobie włosy z głowy i zastanawiał się, co zrobić, nie mając przy sobie

prokuratora.

Mia Bolander zauważyła jego niepokój.

— Na pewno przyjdzie — pocieszała.

W tej samej sekundzie pojawił się Peter Ramstedt.

— Ach, więc pani prokurator nie ma zamiaru stawić się na przesłuchanie na czas?

To smutne.

Zaśmiał się głośno, wchodząc do sali przesłuchań.

Henrik westchnął i ponownie spojrzął na zegarek. Brakowało jednej minuty. Miał właśnie zamknąć drzwi, gdy usłyszał w korytarzu szybkie kroki.

Jana Berzelius biegła truchtem po kamiennej posadzce. Na czole miała duży plaster.

— Jesteś spóźniona — powiedziała Mia z satysfakcją, gdy Jana się zbliżyła.

— Nie sądzę. Nie można być spóźnionym na coś, co jeszcze się nie zaczęło — odparła Jana i zamknęła drzwi z trzaskiem przed nosem Mii.

Przesłuchanie zajęło dwie godziny.

Henrik Levin zapukał delikatnie w drzwi Gunnara Öhrna.

— Nic — powiedział.

— Nic? — upewnił się Gunnar.

— Nie chce powiedzieć, kto nakazał jej usunąć pliki z numerami kontenerów ani co oznacza SMS, który dostała od Thomasa Rydberga.

— A co mówi o zawartości kontenerów?

— Zaprzecza, jakoby wiedziała o czymkolwiek.

— Kłamie. Wskazała przecież miejsce, w którym się znajdowały.

— Wiem.

— A więc co mamy?

— Nie przyznaje się do niczego i tak naprawdę nie wiem, co możemy jej udowodnić.

Gunnar westchnął głęboko, wypuszczając powietrze przez nos.

— Zakończ przesłuchanie, nie ma sensu dalej tego ciągnąć.

— Też tak uważam. A co u ciebie?

— Ja też zaraz kończę.

— Jakież plany na wieczór?

— Będę miał towarzystwo. KobiECE.

Henrik zagwizdał.

— Nie, nic sobie nie wyobrażaj. Anneli ma przyjechać po karton ze swoimi rzeczami. A co u ciebie?

— Chciałem zrobić niespodziankę rodzinie i zabrać wszystkich na kolację.

— Ekscytujące.

— Nie wiem, czy McDonald jest aż tak ekscytujący.

Gunnar się zaśmiał.

— Do jutra — powiedział Henrik i lekkim krokiem skierował się w stronę windy.

Jana Berzelius siedziała przy dwuosobowym stole w knajpce Durkslaget i odczuwała irytację z powodu zachowania swojego kolegi Pera Åströma. Przez dwadzieścia minut bez przerwy opowiadał o swoich osiągnięciach w turnieju tenisowym w ubiegły weekend. Jego towarzystwo nigdy wcześniej jej nie denerwowało, ale teraz walczyła z sobą, by nie odezwać się i go nie uciszyć.

Jana już dawno temu stwierdziła, że nie czuje się najlepiej w kontaktach z innymi i wybrała życie samotniczki. Nie żałowała swojego wyboru. Pewnie, praca wymagała od niej wielu spotkań z ludźmi, lecz jedynie powierzchownych, a takie odpowiadały jej najbardziej. Poznanie drugiej osoby wymagało czasu i było męczące. Nienawidziła też, gdy inni zaczynali grzebać w jej prywatnym życiu i zadawać pytania, na które nie miała ochoty odpowiadać.

Per Åström na początku ich znajomości denerwował ją do granic wytrzymałości, ale z jakiegoś dziwnego powodu nie zerwał kontaktów, gdy Jana oznajmiła mu, jak większości innych osób, iż chce być pozostawiona w spokoju. Wręcz przeciwnie, lubił jej chłodny sposób bycia i z biegiem lat nauczył się nawet odczytywać jej oszczędną mimikę.

Per bawił się kieliszkiem od wina.

— Co jest?

— W jakim sensie?

— Co się dzieje, widzę, że coś jest nie tak.

— Nie, wszystko dobrze.

— Czy coś się stało?

— Nie.

— Na pewno?

— Tak, mam się dobrze.

Napotkała jego spojrzenie. Niezręcznie się czuła, kłamiąc Perowi. Nie miała nikogo innego, komu mogłaby się zwierzyć, i bardzo chętnie wszystko by mu opowiedziała. Ale jak zareagowałby na wiadomość, że to ona zamordowała Thomasa Rydberga? Co by powiedział, gdyby przyznała, że odszukała dawnego przyjaciela, o którym myślała, że umarł? I jak mógłby zrozumieć jej zdeterminowanie w odkrywaniu swojego pochodzenia, swojej niewiadomej przeszłości? Nie miało sensu opowiadanie mu czegokolwiek. Ani nikomu innemu.

— Potrzebujesz pomocy?

Jana nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Wstała więc i opuściła restaurację, nie pożegnawszy się z Perem.

Poszła w dół ulicy Kvarngatan, przecięła rynek Holmentorget, a później Marknadstorget w Knappingsborgu. Będąc już w mieszkaniu, zdjęła płaszcz i kozaki na wysokim obcasie, po czym poszła do sypialni, gdzie od razu ściągnęła spodnie. Gdy zdjęła sweter, zadzwięczał jej telefon komórkowy. Wyszła na korytarz, ubrana

jedynie w jedwabną bieliznę. Spojrzała na ekran.

Zastrzeżony numer.

Z pewnością Per. Zawsze miał zastrzeżony numer, aby klientom nie przyszło do głowy dzwonić na jego prywatny telefon. Odebrała.

— Nie chcę wiedzieć, jakie dobre jest jedzenie — powiedziała.

Odpowiedziała jej cisza.

— Halo?

Miała właśnie zerwać połączenie, gdy usłyszała głos:

— Pomogę ci.

Włosy zjeżyły jej się na karku.

Rozpoznawała ten głos.

Należał do Danila.

— Spotkajmy się jutro w parku miejskim w Norrköping. O drugiej — powiedział.

Gunnar Öhrn uwolnił się z objęć Anneli Lindgren.

Siedzieli na jego ciemnobrązowej skórzanej kanapie, każde z kieliszkiem wina w ręku. Mieszkanie miało dziewięćdziesiąt siedem metrów kwadratowych, a sam pokój trzydzieści pięć. Ze stojącej w rogu lampy podłogowej emanował łagodny blask. Jedną ścianę zajmowały trzy nowo zakupione półki z książkami i przeszklona szafka, mieszcząca różne napoje alkoholowe. Na podłodze przy przeciwległej ścianie stało opartych o siebie pięć obrazów, a na szklanym stoliku dwie butelki po winie. Obie puste.

— To nie jest dobry pomysł — powiedział Gunnar.

— Co? — spytała Anneli.

— To, co próbujesz zrobić.

— To ty kazałeś mi tu przyjść.

— Po karton, tak. Ale nie, żeby...

— Żeby co?

Anneli położyła rękę na nodze Gunnara.

— Nie żeby tak robić.

— A co się stanie, jak zrobię tak?

Anneli przysunęła się bliżej i lekko pocałowała go w szyję.

— To już lepiej.

— A tak?

Anneli pomału rozpięła bluzkę.

— Właściwie całkiem nieźle.

— A tak?

Zdjęła bluzkę i usiadła na nim okrakiem.

— To jest naprawdę dobre — powiedział Gunnar, przyciągając gwałtownie Anneli do siebie.

CZWARTEK 26 KWIETNIA

JANA BERZELIUS ZGODNIE z instrukcjami, które otrzymała, skierowała kroki na szeroką żwirową alejkę. Na rabatkach kwitły wysokie żonkile i krokusy, pachniało mokrą ziemią. Skręciła przy dużym kamieniu i przeszła ścieżką około sto metrów. Gdy zobaczyła małą budkę z kiełbaskami, zwolniła, spojrzała na zegarek i stwierdziła, że przysła odrobinę za wcześnie.

Zamówiła w budce hot doga, zapłaciła dwadzieścia koron i poszła dalej alejką, aż dotarła do zielonej ławki, która miała miejsca do siedzenia po obu stronach oparcia. Usiadła z prawej strony, obok narysowanego symbolu anarchistycznego. Odgryzła kawałek kiełbaski i rozejrzała się po parku.

Dwie ławki dalej siedziało czterech miejscowych pijaczków, którzy właśnie wyjęli puszki z piwem z reklamówki sklepu monopolowego Systembolaget. Wydawało się, że ich wszystkie zmartwienia w tym samym momencie ulotniły się i zaczęli głośno dzielić się swoją radością z przechodzącymi obok rodzinami, zmierzającymi na plac zabaw. Dwie dziewczynki rywalizowały o to, która potrafi huśtać się wyżej, a mały chłopiec zastanawiał się, czy zjechać ze zjeżdżalni czy nie.

Już miała wziąć do ust kolejny kęs kiełbaski, gdy usłyszała za sobą głos:

— Nie odwracaj się, wyjmij telefon.

Poczuła jego obecność.

Jego plecy za jej plecami.

Przyłożyła telefon do ucha.

— Trzymaj tak telefon przez cały czas, żeby wyglądało, że przez niego rozmawiasz.

— Dlaczego chciałeś, abyśmy zobaczyli się w Norrköping? — spytała.

— Miałem tu do załatwienia sprawę.

— Co spowodowało, że zmieniłeś zdanie? Dlaczego chcesz mi pomóc?

— To nie ma znaczenia. Chcesz nadal, abym to zrobił?

— Tak.

— Ale sama musisz się zająć brudną robotą.

— Okej.

— Nie mogę ci podać wszystkiego.

— Co w takim razie możesz mi dać?

— Nazywa się Anders Paulsson. Znajdziesz go w miejscowości Sankt Anna. Spytaj go o podwożenie.

— O jakie podwożenie?

— Tylko to mogę ci dać.

— Ale o jakie podwożenie chodzi?

— Spytaj jego.
— Czy to on stoi za tym wszystkim?
— Nie. Ale jest w to wystarczająco zamieszany.
— Skąd to wiesz?
— Po prostu wiem. Zaufaj mi. Do zobaczenia.
— Ale...
Odwróciła się.
Nie było go.

Danilo Peña spiesznie opuszczał park. Wiedział, że Jana pojedzie do Andersa Paulssona. Uśmiechał się sam do siebie, gdyż był pewien, że pojedzie tam od razu. Wiedział też, że będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi w swoim życiu.

Będąc już poza parkiem, wyjął telefon komórkowy i napisał wiadomość:
„Będziesz mieć towarzystwo”.

Gunnar Öhrn szybko wyszedł spod prysznicza i okręcił ręcznik wokół bioder. W sypialni siedziała Anneli. Zapinała stanik, rozmawiając jednocześnie przez telefon z opiekunką syna. Zakończyła rozmowę i rzuciła telefon na łóżko.

Gunnar spojrział na zegarek. Był spóźniony na konferencję prasową, która miała zacząć się o trzynastej.

— Jak ja to teraz wytłumaczę? — spytał Anneli.

— Powiedz, że byłeś na wezwaniu, albo coś w tym rodzaju. Jesteś u licha policjantem.

Gunnar rzucił się na łóżko i przyczołgał się do niej.

— Pary, które dopiero co się rozeszły, nie powinny iść ze sobą do łóżka. Szczególnie nie po miesiącu od rozstania.

— Masz rację.

— To nie może się przerodzić w przyzwyczajenie.

— Nie.

Anneli wstała, włożyła dzinsy i zapięła bluzkę.

Gunnar wyszedł za nią na korytarz. Podniósł karton stojący obok drzwi wejściowych.

— Nie zapomnij tego — powiedział.

— Wezmę go dziś wieczorem — odpowiedziała Anneli, zamykając za sobą drzwi.

Gunnar został sam w korytarzu z kartonem w rękach.

Uśmiechał się.

Anders Paulsson jechał do domu swoim samochodem dostawczym z prędkością znacznie przekraczającą dopuszczalną. Ścinał zakręty, wjeżdżając przy tym na przeciwległy pas.

Gdy dotarł do malutkiej miejscowości Jansberg, skręcił z drogi 209 i zobaczył

czarnego mercedesa zaparkowanego na przydrożnym parkingu. Wcisnął sprzęgło do podłogi i z trudem włączył trzeci bieg. Czteryście metrów dalej zahamował gwałtownie i pospieszył do swojego czerwonego domku. Żaluzje były opuszczone we wszystkich oknach. Nie aby chronić się przed ciekawskimi — od najbliższego sąsiada dzielił go spory kawałek — po prostu nie lubił światła słonecznego.

W domu wszędzie wałały się śmieci. Sterty kartonów i starych gazet, resztki jedzenia na papierowych talerzach, butelki, puszki po piwie i opakowania od fast foodów. W powietrzu unosił się intensywny smród stęchlizny i zgnilizny, ale Andersa to nie obchodziło. W ogóle nic go nie obchodziło. Ani dom, ani on sam. Kiedyś było inaczej, ale to jeszcze zanim jego żona zmarła na raka, wiele lat temu. Po jej śmierci nie potrafił zająć się domem. Mijały lata i coraz trudniej było mu zabrać się za cokolwiek. Łatwiej było się poddać i o nic nie troszczyć.

Otworzył drzwi kluczem i wszedł w butach prosto do kuchni, omijając sterty odchodów, które jeden z jego kotów zostawił na podłodze przed jakimś tygodniem. Wówczas, gdy to zobaczył, oszalał ze złości i zamiast sprzątnąć brud, postanowił sprzątnąć jego przyczynę. Nie wiedział, który z kotów był winny, postanowił więc ukarać wszystkie. Diabelce protestowały, drapały go pazurami, syczały i gryzły, ale w końcu i tak udało mu się spakować wszystkie do zamrażarki w piwnicy.

Stał teraz w kuchni i zdziwiony spoglądał na stojak z nożami. Był pusty. Dziwne. Wyciągnął szufladę. W niej też nie było noży. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Otworzył szafkę i pomacał ręką na najwyższej półce.

Pusta!

Od razu sięgnął do biodra i dotknął małego futerału w poszewce spodni. W każdym razie mam ten, pomyślał.

— Szukałeś czegoś?

Znieruchomiał, gdy zniecka usłyszał za sobą głos.

Jana Berzelius stała w drzwiach z pistoletem w dłoni.

— Może tego szukałeś?

Odbezpieczyła pistolet i mocno objęła go dłońmi w rękawiczkach.

— Nie odwracaj się!

Anders zaczął się śmiać. Długo i sztucznie. Potrząsnął głową i spojrzał na blat kuchenny, cały czas z ręką przy biodrze.

— Skąd wiedziałaś, gdzie go trzymam? — spytał.

— Miałam czas, żeby sprawdzić, zanim wróciłeś do domu.

— Jak się tu dostałaś?

— Lubię okna.

— Kim jesteś?

— Nie lubię pytań.

— Więc nawet nie mogę spytać, czego chcesz?

— Jestem tu, aby spytać cię o podwożenie — powiedziała.

— O jakie podwożenie? Nie wiem, o czym mówisz.

— Myślę, że wiesz.

Anders westchnął, spojrział w górę na sosnowy sufit i z powrotem w dół.

— Co to jest za podwożenie? — spytała ponownie Jana.

Anders się wyprostował.

Zauważyła u niego powolne napięcie mięśni przedramienia i akurat zdążyła odchylić głowę w bok. Poczła tylko powiew wiatru lecącego ostrza. Mężczyzna błyskawicznie się odwrócił. Nóż był wbity w ścianę, kilka centymetrów od jej głowy.

Skierowała pistolet w jego stronę.

— Nie trafiłeś — powiedziała.

Anders rozglądał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, który mógłby mu posłużyć do obrony. Szybko spojrział na czarny toster.

— Nie zabijaj mnie, proszę — powiedział.

— Pytam cię jeszcze raz. Co to było za podwożenie?

Znowu spojrział na toster i w ułamku sekundy chwycił go i rzucił w stronę Jany z taką siłą, że upuściła pistolet. Wypadł jej z ręki i wylądował na podłodze.

Spojrzała na niego, a on na nią.

Oboje myśleli o tym samym.

O pistolecie!

Jednocześnie rzucili się na podłogę, ale ona była trochę szybsza i pierwsza objęła ręką magazynek. Próbował wyrwać jej broń, uderzył ją łokciem w bok, aby puściła, lecz Jana trzymała rękę kurczowo zaciśniętą na pistolecie.

Anders uderzył jeszcze raz. Jana zacisnęła tylko szczęki i włożyła całą siłę w jedno uderzenie. Mięśnie na plecach napięły się, podobnie jak te na ramionach. Uderzyła tak mocno, jak tylko potrafiła. Jej ręka dotarła do jego żeber i nagle osunął się na kolana, nie mogąc złapać powietrza.

Trzymała pistolet wycelowany prosto w niego. Patrzył w podłogę. Jego oddech stawał się coraz cięższy i w końcu przeszedł w łkanie. Po chwili Jana zorientowała się, że zaczął płakać.

— Nie zabijaj mnie — prosił. — Nie zabijaj mnie. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć... Nigdy nie powinienem był tego robić.

Spojrział na nią.

— Nigdy nie powinienem był tego zrobić.

Ponownie schylił głowę i pociągnął nosem.

— Nie zabijaj mnie, proszę. To nie ja je krzywdziłem. Ja tylko podwoziłem je tam, dokąd miały jechać. To było zwykłe podwożenie, do zleceń.

Jana zmarszczyła czoło.

— Kogo podwoziłeś?

— Dzieci.

Anders ukrył twarz w dłoniach. Głośno płakał.

Jana opuściła pistolet.

— Jakie dzieci?

— Dzieci... Odbierałem je, gdy były... gotowe. A gdy wykonały zlecenie, jechałem... z nimi z powrotem. Potem zobaczyłem grób. Widziałem... Stali tam...

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, czy się nie przesłyszała.

— Ja nic nie zrobiłem. Podwoziłem je tylko tam, dokąd miały jechać. Ze szkolenia i potem ze zlecenia. Ale to nie ja je zabijałem.

Janie odebrało mowę. Spojrzała na klęczącego przed nią mężczyznę. Napotkał jej wzrok. Oczy były czerwone, z kącika ust na wyblakły sweter kapłała ślina.

— Ja ich nie zabijałem. Nie ja, to nie ja, ja nic nie zrobiłem. Przysięgam, ja tylko podwoziłem. To nie było nic takiego, ja tylko podwoziłem i o niczym nie wiedziałem.

— Nic nie rozumiem — powiedziała.

— Musiały umrzeć. On też...

— Kto? Masz na myśli...

— Mają swoje imiona... Tanatos... — wyszeptał Anders. — On był wyjątkowy. On był...

Anders zaczął się trząść.

— To nie było specjalnie. Ja nie wiedziałem. On uciekał.

— To ty zabiłeś tego chłopca? Czy to ty zabiłeś Tanatosa?

— Nie miałem wyboru. Próbowałem uciec z łódki.

— Z łódki?

Anders zamilkł.

Spojrzał przed siebie. Zamrugał.

— Z łódki...

— Z jakiej łódki?

— Z łódki! Próbowałem uciec! Musiałem go zatrzymać. Miał płynąć z powrotem na wyspę. Ale on chciał uciec.

— Jak się nazywa ta wyspa?

— Nie chciał umrzeć.

— Mów, jak się nazywa wyspa!

— Nie ma nazwy.

— Gdzie leży? Mów, gdzie ona leży!

Anders ucichł, jakby nagle dotarło do niego, w jakim jest położeniu.

— Za wyspą Gränsö — powiedział cicho.

— Czy są tam teraz jakieś dzieci?

Pomału potrząsnął głową.

— Dla kogo pracujesz?

— Za dużo już powiedziałem — wycharczał.

— Dla kogo pracujesz? Chcę znać imię!

Anders otworzył szeroko oczy.

Rzucił się na Janę, próbując wyrwać jej pistolet z rąk.

Zaskoczył ją, ale nie wypuściła broni.

Anders ciągnął za pistolet, napierał na nią całym ciałem, głośno przy tym krzycząc.

Palec wskazujący Jany został zablokowany przy spuście. Ból był bardzo silny.

Zacisnęła zęby i walczyła, nie mogła się poddać i puścić broni. Ręka zaczęła drżeć, adrenalina pulsowała w żyłach. Stawiała opór ze wszystkich sił, ale już dłużej nie dawała rady. Palec był zakleszczony. Zaraz się złamie. Jana mimo to nie poddawała się i palec wygiął się w łuk.

Puściła dopiero wtedy, gdy poczuła, że pękła jej kość.

Anders chwycił pistolet i od razu wycelował go w nią, cofając się małymi krokami.

— To już koniec, wiem o tym.

Pocił się, ręce mu drżały, wzrok miał rozbiegany.

— Już jestem martwy. To koniec. Nadchodzi. Wiem o tym. To już koniec.

Anders podniósł pistolet.

Jana domyśliła się, co zamierza zrobić.

— To jeszcze nie koniec. Poczekaj — powiedziała.

— To koniec. Zresztą wszystko jedno — powiedział, wkładając pistolet do ust i naciskając spust.

Torsten Granath leżał na kanapie przed swoim biurkiem w prokuraturze.

Spojrzał na Janę Berzelius nadchodzącą korytarzem.

— Co się stało? — spytał, wskazując na plaster na jej czole.

— Nic takiego, zwykłe obtarcie. Upadłam przy bieganiu.

— Zwichnęłaś też palec?

Jana skinęła potakująco głową, spoglądając na swój palec wskazujący. Ból nie był silny, ale krwiak okazał się.

— W lesie nadal jest ślisko w niektórych miejscach — westchnął Torsten, kładąc się z powrotem na kanapie.

— Tak.

— Najgorsze są poślizgnięcia, trzeba uważać na stawy biodrowe. Szczególnie w moim wieku. Zastanawiam się nad kupieniem kolców, które przytwierdza się do podeszwy. Też takie powinnaś mieć, gdy biegasz.

— Nie.

— Nie, masz rację. Wygląda to dość śmiesznie.

— Dlaczego tu leżysz?

— Ból pleców, wiesz, jak jest. Ze starymi dziadkami są same problemy. Czas trochę zwolnić.

— Często to mówisz.

— Wiem.

Torsten usiadł na kanapie. Spojrzał poważnie na Janę.

— Jak idzie śledztwo? Mam wrażenie, że źle zrobiłem, zlecając ci je.

— Wszystko w porządku — powiedziała.

— Wystosowałaś jakieś oskarżenie?

— Tak. Ale podejrzenia w stosunku do Leny Wikström opierają się na przypuszczeniach i dość wątpliwych zeznaniach świadków. Nadal nie przyznaje się do zamordowania Thomasa Rydberga. Jako prokurator obawiam się o brak dostatecznych dowodów.

— A co z kontenerami? Z iloma morderstwami mamy do czynienia w tej historii?

— Wszystkie ofiary nie są jeszcze policzone.

— Więc, innymi słowy, statystyka może być przerażająca?

— Tak.

— Dobry Boże. Co za afera, może największa w kraju.

Torsten wstał i przyłożył rękę do dołu pleców. Wygiął się do przodu, krzywiąc się. Potem potrząsnął obiema dłońmi i zrobił kilka obrotów ramion.

— Gunnar Öhrn nie jest do końca przekonany, że jesteście na właściwym tropie, jeśli chodzi o Lenę.

— Nie?

— Nie. Uważa, że Lena ukrywa ważne informacje, ale że to nie ona jest mózgiem tej nieciekawej historii.

— Tak powiedział?

Torsten skinął głową.

— I uważa, że jesteś trochę zbyt małomówna, jak na prowadzącą śledztwo — dodał.

— Ach tak?

— Tak. Może mogłabyś trochę bardziej zaznaczyć swoją obecność.

Jana zacisnęła szczęki.

— Okej.

— Nie bierz sobie tego za bardzo do serca.

— Nie, skąd.

— To dobrze.

Poklepał ją po ramieniu i na sztywnych nogach poszedł do biura.

Jana natychmiast weszła do swojego i zamknęła za sobą drzwi.

A z tym Gunnarem to musi sobie porozmawiać.

Gunnar Öhrn oparł się o krzesło i potarł nos. Konferencja prasowa dobiegła końca. Dziennikarze zadawali mnóstwo pytań na temat wyławiania kontenerów, a rzeczniczka prasowa policji Sara Arvidsson zostawiała je bez komentarza. Choć z pewnością tylko kwestią czasu było dotarcie mediów do informacji i zdjęć szczątków ludzkich, które znaleziono w kontenerach. Wówczas nie będzie można dłużej wymigiwać się od odpowiedzi.

Nagle ogarnęło go uczucie bycia obserwowanym i obrócił się na krześle.

W drzwiach stała Jana Berzelius.

— Ale mnie wystraszyłaś — powiedział.

— Dowiedziałam się, że uważasz, że jestem zbyt słaba jako prowadząca śledztwo — powiedziała.

— Ja...

Podniosła rękę, by mu przerwać.

— Wolałabym, abyś najpierw mi przedstawił konstruktywną krytykę, zamiast rozmawiać o tym z moim szefem — powiedziała.

— Ja i Torsten jesteśmy starymi przyjaciółmi.

— Wiem. Ale jeśli coś dotyczy mnie, powinieneś rozmawiać o tym ze mną. Uważasz więc, że nie nadaję się na prowadzącą śledztwo?

— Nie. Nie chodzi o to, że się nie nadajesz. Uważam tylko, że nie jesteś tak aktywna, jak powinnaś być. Wydajesz się nieobecna... sam nie wiem... może za mało zaangażowana.

— Dziękuję za opinię. Czy to wszystko?

— Tak.

— W takim razie przedstawię ci teraz prawdziwy powód mojej wizyty.

— Ach tak?

— Chciałabym sprawdzić jedną wyspę.

— A to dlaczego?

— Dostałam informację, że coś się na niej dzieje.

— To znaczy?

— Tego właśnie mamy się dowiedzieć.

— Jak się nazywa ta wyspa?

— Nie wiem. Ma się znajdować za Gränsö.

— Skąd wiesz, że coś się tam dzieje?

— Dostałam taką informację.

— Poczekaj chwilę. Dostałaś informację o wyspie. Od kogo?

— Anonimową.

— Dostałaś więc anonimową informację o wyspie.

— Zgadza się.

— Kiedy dostałaś tę informację?

— Przed godziną.

— W jaki sposób?

Jana przełknęła ślinę.

— To nie ma znaczenia, liczy się, że dostałam informację — powiedziała szybko.

— Czy było to wówczas, gdy uderzyłaś się w głowę?

— Nie. Uderzyłam się w głowę, bo upadłam przy bieganiu — powiedziała, skrywając opuchnięty palec za plecami.

Gunnar umilkł na chwilę i spojrział na nią badawczym wzrokiem.

— I nie masz pojęcia, od kogo pochodzi ta informacja?

— Nie, jak już mówiłam, była ona anonimowa.

— Pochodzi od mężczyzny czy od kobiety?

— Głos był gruby, musiał to więc pewnie być mężczyzna.

— A dlaczego skontaktował się z tobą, a nie z policją? Skąd wziął twój numer?

— Nie mam pojęcia. Jedyne, co mi powiedział, to to, że powinniśmy sprawdzić jedną wyspę.

— Ale ja chciałbym wiedzieć dlaczego. Co czeka nas na tej wyspie? Może to pułapka? Może jakaś organizacja przestępcza chce utrudnić śledztwo? Jesteśmy na tropie czegoś bardzo brzydkiego, Jana.

— Posłuchaj — powiedziała. — Pierwszy raz zdarzyło mi się otrzymać anonimową wskazówkę. Biorę ją na poważnie i ty też powinienesz to zrobić.

Gunnar pomału pokiwał głową i westchnął.

— Okej — powiedział. — Wyślę tam Henrika i Mię.

— Dobrze. Pojadę z nimi. Aby wykazać się większą aktywnością jako prowadząca śledztwo — dodała, po czym odwróciła się i wyszła.

PIĄTEK 27 KWIETNIA

HENRIK LEVIN, MIA Bolander i Jana Berzelius jechali w ciszy w stronę archipelagu. Jana spoglądała na surowy krajobraz. Im bardziej zbliżali się do wybrzeża, tym więcej skał widać było za oknami samochodu. Gdy wysiedli, wciągnęła w płuca świeże morskie powietrze.

Arkösund było małą miejscowością, przyciągającą zarówno turystów zmotoryzowanych, jak i przyplływających łódkami. Był tam dom spokojnej starości, sklep spożywczy, stacja benzynowa i wiele stoczni produkujących łódki. Niedawno zbudowano hotel, a wieczorami można było wybierać między kilkoma pubami i restauracjami. Gdzieniedzie widniały pozamykane warsztaty rzemieślnicze. Tablica ogłoszeń informowała o organizowanym we wsi festynie z okazji pierwszego maja. Zaplanowano ognisko i tradycyjny marsz z pochodniami z jednego z portów turystycznych. Wieczór miał zakończyć pokaz sztucznych ogni i przemowa któregoś z działaczy na rzecz społeczności lokalnej. Na tablicy wisiało też zdjęcie jakiegoś trubadura wraz z datą jego występu w miejscowym amfiteatrze.

Poruszone wiatrem sznurki postukiwały o maszt flagi. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, mimo to przy pomoście stały zacumowane trzy plastikowe łódki.

Jana rozejrzała się po porcie przeznaczonym dla mniejszych łódek oraz jachtów i zobaczyła zmierzającego w ich stronę mężczyznę przytrzymującego czapkę z daszkiem, aby nie zdmuchnął mu jej wiatr. Mężczyzna przedstawił się jako Ove Lundgren, dodając, że jest gospodarzem portu. Powiedział, że to on odpowiada za cumowanie i zajmuje się utrzymaniem wszystkich czterech portów dla małych jednostek pływających. Miał kalosze i nieprzemakalną kurtkę. Jego twarz była ogorzała, już o tej porze roku opalona.

Zaprosił ich na pokład nimbusa, którego pożyczył specjalnie na tę okazję. Ciepło się wypowiadał o archipelagu, gdy z uśmiechem na ustach sterował łódką przecinającą wysokie fale.

— Jest tu bardzo wiele wysp — stwierdził. — I nie jestem zupełnie pewien, ale ta Gränsö musi leżeć kilka mil morskich za wyspami Kopparholmarna. Przez pół wieku nie można było się do nich zbliżyć, bo wojsko miało tam swoje bazy. A my płyniemy jeszcze dalej.

— Naprawdę? — pisnęła Mia, przytrzymując się siedzenia, aby nie przesunąć się po nim z powodu kołysania wzburzonego morza.

Płynęli szybko, mijając wiele wysp, niektóre z gigantycznymi willami letniskowymi należącymi do szefów przeróżnych firm i przedsiębiorstw oraz ich spadkobierców. Stopniowo takich wysp było coraz mniej i wszystkie imponujące posiadłości zostały za nimi.

Mia źle się czuła, miała mocną czkawkę. Była blada, oczy jej łzawiły. Wciągnęła morskie powietrze i wyjrzała za burtę. Niektóre z mijanych wysp były surowe i odludne, inne znów zamieszkane, wysiadywało na nich mnóstwo ptaków.

Mii znów się odbiło. Do ust dostało się trochę żółci z żołądka. Desperacko próbowała ją przełknąć. Dostała gęsiej skórki, gdy poczuła w gardle kwaśną wydzielinę. Zamknęła oczy i przez chwilę wydawało jej się, że mdłości minęły. Gdy je ponownie otworzyła, naprzeciw zobaczyła Janę. Cholernie nieporuszoną. Mia wymruczała coś do siebie i odwróciła głowę w drugą stronę. Mdłości pomału wracały. Postanowiła trzymać oczy zamknięte, aż dotrą do tej przeklętej wyspy.

Po przepłynięciu dwóch godzin zgodnie z mapą mieli przed sobą tylko otwarte morze. W końcu pojawiła się przed nimi dość duża, porośnięta drzewami wyspa. Ove wskazał na nią palcem, z ruchów jego ust można było wyczytać nazwę Gränsö, i skierował się w jej stronę. Gdy zbliżali się do skał, zwolnił.

Mia otworzyła oczy i od razu je zmrużyła, gdyż spojrzała pod słońce. Wychyliła się z ciekawością, by lepiej widzieć wyspę, ale ze względu na porastające ją świerki i inne drzewa nie można było stwierdzić, czy są na niej jakieś zabudowania.

Ove zauważył pomost i wyraził zdziwienie, że ktoś zadał sobie trud zbudowania go na tak daleko wysuniętej w morze wyspie. Dobił łódką do pomostu i pomógł Henrikowi i Janie wysiąść na ląd.

Mia ciągle trzymała usta zakryte ręką i zaraz po zejściu z łódki usiadła na ziemi.

Już nie potrafiła powstrzymać wymiotów.

— Pójdziemy się rozejrzeć — zwrócił się do niej Henrik, a ona skinęła ręką w potwierdzającym geście.

— Idźcie, ja się nią zajmę — powiedział Ove.

— Idziemy? — spytał Henrik, na co Jana potaknęła.

Zaczęli wdrapywać się pod górę po skałach.

— Więc ktoś zadzwonił z informacją? — spytał Henrik po chwili.

— Tak — odpowiedziała Jana.

— Całkowicie anonimową?

— Tak.

— Dziwne.

— Mmm.

— I nie masz pojęcia, kto to był?

— Nie.

Henrik ruszył przodem po wąskiej ścieżce i przez chwilę szli w milczeniu przez gęsty las. Wybrali najbardziej wydeptaną ścieżkę, która prowadziła w prawą stronę. Henrik trzymał rękę na pochwie pistoletu, wiele razy oglądał się za siebie i nasłuchiwał ewentualnych odgłosów. Drzewa coraz bardziej się przerzedzały i gdy ominęli duży kamień, ukazał się ich oczom dom mieszkalny.

Jana zatrzymała się i zrobiła krok w tył. Ogarnęło ją przerażenie.

Henrik też się zatrzymał ze zdziwioną miną. Spojrzał na Janę, na dom i znów na nią.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak — odpowiedziała.

Przeszła koło niego zdecydowanym krokiem. Widziała, jak zmarszczył brwi. Czowała na sobie jego wzrok, gdy szła w stronę domu.

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Jakby była zamknięta w kapsule z grubego szkła. Wydawało jej się, jakby stała z boku i obserwowała siebie samą idącą po żwirowej ścieżce w stronę domu. Jakby ciało reagowało, ale świadomość nie.

Nogi same prowadziły ją w stronę domu.

Mechanicznie.

Nagle poczuła ochotę, by podbiec do drzwi i je otworzyć.

W tym budynku było coś znajomego. Było to... no właśnie, co?

Zatrzymała się.

Henrik też, tuż za jej plecami.

Stała tak i patrzyła na dom, gdy nagle ogarnęło ją zupełnie inne uczucie. Naszła ją ochota, by zawrócić i pobiec z powrotem do łódki. Ale nie mogła. Musiała się opanować.

Spojrzała na ziemię i podniosła kamyk. W pamięci pojawiły się niewyraźne wspomnienia, w których widziała siebie jako małą dziewczynkę walczącą na żwirze przed domem. Pamiętała, jak bardzo bolało, gdy się na niego upadło.

Przez chwilę wpatrywała się w kamyk leżący na otwartej dłoni, a potem objęła jego twardą powierzchnię. Zacisnęła dłoń tak mocno, aż zbieleły jej kostki.

Henrik odchrząknął.

— Pójdę dalej — powiedział, mijając ją. — Poczekaj tutaj. Najpierw zabezpieczę miejsce.

Przeszedł po trawie i zatrzymał się kilka metrów od schodów. Wyciągnął broń, pomалу wszedł na schody i zapukał w obłazłe z farby drzwi wejściowe.

Z krzywej i zardzewiałej rynny na dachu kapą woda deszczowa do przepelnionej beczki.

Obszedł budynek, zatrzymując się przy każdym oknie, ale nie dostrzegł żadnych oznak życia. Zauważył za to stojącą nieco dalej stodołę.

Dał znak Janie i zniknął za rogiem domu, kierując się w stronę czerwonego budynku.

Jana stała przez chwilę z kamykiem w ręku. Dookoła niej zrobiło się cicho. Mięśnie rozluźniły się, krew z powrotem zaczęła krążyć w dłoni. Upuściła kamyk na ziemię. Pomалу poszła w stronę domu. Tak jak wcześniej Henrik zatrzymała się przed zniszczonymi schodami. Potem podeszła do popękanej drewnianej ściany, ukucnęła i przez brudne okno zajrzała do piwnicy. Zobaczyła ciasne pomieszczenie o niskim suficie.

Przy jednej ścianie znajdował się warsztat oraz dwie półki z kartonami i gazetami. Schody, poręcz i stołek.

Nagle, jak wielka fala, powróciło do niej inne wspomnienie. Zrozumiała, że kiedyś tam była. W ciemności. I był z nią ktoś jeszcze.

Tylko kto?

Minos...

— Znaleźliście coś?

Mia Bolander z trudem szła w górę zwirowej ścieżki. Miała zadyszkę. Wcześniej blada, teraz była zaczerwieniona, bo najprawdopodobniej biegła, by ich dogonić.

Jana przestała się wpatrywać w okno piwniczne i wstała.

— Gdzie jest Henrik? Zabezpieczył miejsce? Jest w środku? — pytała Mia.

Cholernie dużo pytań, pomyślała Jana, pozostawiając wszystkie bez odpowiedzi. Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać z Mią. I absolutnie nie chciała przeszukiwać terenu razem z nią. Poczowała w sobie jeszcze jedno dziwne uczucie. W jakiś niewytłumaczalny sposób odczuwała potrzebę chronienia tego miejsca. Odpędzenia Mii. Ona nie miała tu nic do szukania. To był dom Jany. Nikt nie mógł wejść do środka. Nikt nie miał prawa tu węszyć. Nikt. Tylko ona.

Mia podeszła bliżej.

Jana napięła mięśnie i pochyliła głowę. Przygotowała się do obrony.

Do uderzenia.

Wówczas nadbiegł Henrik. Miał na wpół otwarte usta i panikę w oczach.

Gdy zobaczył Mię, krzyknął ile sił w płucach:

— Zwołać wszystkich! Wszystkich!

Fobos miał dopiero co skończone dziewięć lat, mimo to był przyzwyczajony.

Umył ramię wodą i mydłem. Potem opuścił rękę, by krew spłynęła w odpowiednie miejsce. Potrząsnął ramieniem i zacisnął pięść. Usiadł na podłodze i ciasno zawiązał wężyk.

Igła weszła w żyłę ściętą powierzchnią w dół. Była to ta sama żyła, ta sama procedura, to samo pomieszczenie, ten sam budynek. Wszystko jak zawsze.

Odciągnął strzykawkę i zobaczył w niej ciemnoczerwoną, gęstą krew. Od razu rozwiązał wężyk i pomału zaczął wstrzykiwać narkotyk.

Gdy w strzykawce została tylko jedna kreseczka, zaczął odczuwać jego działanie. Ale tym razem było inne niż zwykle. Od razu wyciągnął igłę z żyły. Dwie krople krwi kapnęły mu na spodnie.

Ostatnim, co pamiętał, było to, że krzyczał głosem nie do poznania. Serce mu waliło, w głowie wirowało. Nic nie widział, nic nie słyszał, nic nie czuł, poza olbrzymim naciskiem na klatkę piersiową. Z trudem łapał oddech. Ze wszystkich sił starał się nie stracić przytomności.

Pomału dochodził do siebie.

I gdy odzyskał wzrok, zobaczył go przed sobą.

— Co ty do cholery wyrabiasz? — powiedział, uderzając Fobosa w twarz.

— Ja...

— Co?

Jeszcze jeden policzek.

— Chciałem tylko spać — wyjąkał Fobos. — Przepraszam... Tato.

Grób był podłużny, w formie rowu. Dzieci leżały w nim jak zwierzęta. Jedno na drugim, przykryte tym, co najprawdopodobniej było ich ubraniami.

— Znajduje się tu około trzydziestu szkieletów — powiedziała Anneli. — Ale są też ciała pogrzebane około rok temu.

Stojąc na dnie rowu, przypominała bardziej archeologa niż technika kryminalistyki. Przyleciała helikopterem, podobnie jak inni policjanci i pozostali technicy, którzy teraz znajdowali się na wyspie.

Dokładnie przeszukano dom.

— Co robimy? — spytał Gunnar z rezygnacją, stojąc na brzegu rowu.

— Każdy szkielet musi zostać oddzielnie zbadany, sfotografowany, zważony i opisany — wyjaśniła Anneli. — Ciała muszą zostać poddane obdukcji.

— Ile to zajmie?

— Cztery dni. Co najmniej.

— Masz jeden dzień.

— Ale...

— Żadnego ale. Sprowadź pomoc, tak żebyście zdążyli. Musimy działać szybko i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim do diabła chodzi!

— Gunnar? Możesz tu na chwilę przyjść?

Henrik Levin wyszedł ze stodoły, machając gwałtownie w stronę szefa.

— I zadzwoń natychmiast do Björna Ahlmanna. Ma być gotowy do pracy — rzucił Gunnar przez ramię do Anneli, kierując się w stronę stodoły.

W środku było wilgotno i oczy potrzebowały chwili, by przyzwycząić się do ciemności.

Zdziwiło go to, co zobaczył.

Sala treningowa, mniej więcej dwadzieścia na pięćdziesiąt metrów.

Gunnar rozejrzył się dookoła. Gumowa mata na podłodze, poprzecznie zamontowana rura do podciągania z jednej strony i worek treningowy zwisający z sufitu. W jednym z rogów leżały jedno na drugich dziesięciokilowe odważniki do sztangi, a obok gruba lina. Na lewo znajdował się biednie wyposażony kantorek ze starymi meblami, a z boku widniały drzwi prowadzące najprawdopodobniej do toalety. Dalej znajdowały się jeszcze jedne drzwi z zamkiem patentowym. W niektórych miejscach przesączała się woda i wymieszana z brudem utworzyła na podłodze małe, brązowe kałuże. Czuć było pleśnią.

— Co to, do cholery, jest za miejsce? — spytał Gunnar.

Jana Berzelius zbliżyła się do schodów domu i na chwilę przystanęła. Bardzo chciała pójść do góry i zobaczyć, co się tam znajduje, a jednocześnie tak samo mocno nie chciała w ogóle tego oglądać. Czuła się niepewnie, nachodziły ją mdłości.

— Tylko niczego nie dotykaj — powiedział stojący przy drzwiach wejściowych posterunkowy Gabriel Mellqvist.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, ale Jana udawała, że tego nie zauważa.

Dom wyglądał na opustoszały i miał wkrótce zostać przeszukany przez techników. Wiedziała to. Wiedziała też, że nie powinna wchodzić do środka. Mimo to szybko wbiegła po schodach na drugie piętro. Idąc do góry, zauważyła, że poręcz nie jest pokryta kurzem ani pajęczynami, z czego wywnioskowała, że ktoś przebywał w domu całkiem niedawno. Przeszedł ją dreszcz, przyspieszyła i poszła w lewo, do dużego pokoju, gdzie zatrzymała się na drewnianej podłodze. Deski były wypaczone od panującej w środku wilgoci.

Cztery metalowe łóżka stały jedno obok drugiego. Materace były dziurawe i wszędzie wałały się kłęby kurzu. Pod sufitem wisiała zepsuta lampa, a ściany były przejmująco szare.

Jej wzrok zatrzymał się na małym biurku stojącym przy jednym z łóżek. Podeszła do niego i wyciągnęła górną szufladę. Była pusta. Wyciągnęła wszystkie inne, ale one też były puste. Chwyciła biurko obiema rękoma i odciągnęła je od ściany tak cicho, jak tylko się dało. Pochyliła się, by spojrzeć na ścianę. Na tapecie widniały dwie twarze przedstawiające kobietę i mężczyznę. Mamę i tatę. Narysowane ręką dziecka.

Jej ręką.

SOBOTA 28 KWIETNIA

TERAZ PAMIĘTAŁA WSZYSTKO bardzo wyraźnie. Wspomnienia powracały za każdym razem, gdy zamykała oczy. Tak jakby ktoś nią potrząsnął. Pamiętała kontener, moment, gdy została z niego wyciągnięta i wepchnięta do samochodu. Pamiętała wykańczające treningi i swoją ucieczkę. Od wszystkiego.

Od niego. Od Taty.

I jednocześnie zdała sobie sprawę, że każdy szczegół, każda notatka i każdy rysunek w jej zeszytach były wzięte z rzeczywistości. To nie były sny, to były wspomnienia. A nikt jej nie wierzył. Jej matka i ojciec próbowali uciszyć ją przy pomocy psychologów i lekarstw.

Jana uderzyła ręką w kierownicę. Zamknęła oczy i wykrzyczała cały swój strach. Potem ucichła i ponownie otworzyła oczy.

Gdy znów je zamknęła na kilka sekund, zobaczyła przed sobą Tatę.

Stał nad nią i napawał się jej strachem. W jej oczach wzrastało przerażenie, w jego nienawiść.

Gdy podał jej nóż, zrozumiała, co ma zrobić. Musiała zabić, aby sama nie zostać zabita. Odwróciła się więc i pomału wbiła nóż między żebra chłopca leżącego koło niej.

On też miał usta zaklejone taśmą i oczy przepełnione paniką.

W jakiś przerażający sposób było to piękne.

Gdy Jana znów otworzyła oczy, uśmiechała się. Przez ułamek sekundy doświadczyła uczucia, które towarzyszyło wykonywaniu zadania dla Taty. Ale zaraz powróciła do rzeczywistości.

Uruchomiła samochód i wjechała na autostradę. Gdy minęła tablicę witającą w Linköping, przyspieszyła i poczuła przepływającą w żyłach adrenalinę. Przed Zakładem Medycyny Sądowej poprawiła marynarkę i przyglądziła ręką włosy.

Z powrotem stała się prokuratorem.

Björn Ahlmann stał pochylony nad małą dziewczynką leżącą na stole sekcyjnym. Ciało było w dość mocno zaawansowanym stanie rozkładu. Oczodoły świeciły pustką. Björn trzymał w ręku dłoń dziewczynki i zdejmował jej odciski palców. Gdy usłyszał, że ktoś stoi w drzwiach, odwrócił się i zobaczył Janę Berzelius.

— Czy można je zidentyfikować? — spytała.

— Mam nadzieję. Ze względu na ich rodziców — powiedział Björn.

— Ich rodzice nie żyją — stwierdziła krótko Jana.

— Skąd wiesz?

— Tak przypuszczam.

— Kto przypuszcza, ten tylko zgaduje. Prokurator powinien być pewny faktów.

— Jestem pewna.

— Naprawdę?

— Tak. Sądzę, że rodzice tych dzieci znajdowali się w kontenerach, które wyłowiliśmy.

— To też jest tylko zgadywanie.

— Porównaj ich DNA z DNA dzieci, to zobaczysz.

— Wiesz, że to oznacza sporo pracy.

— Tak. I możliwość ich identyfikacji.

Björn Ahlmann już miał coś odpowiedzieć, gdy Henrik Levin i Mia Bolander weszli do sali.

Mia zmarszczyła czoło na widok leżących na stole zwłok i stanęła w pewnym oddaleniu.

— Miała niewiele lat, co?

— Około ośmiu — odrzekł Björn.

— Co wiemy? — spytał Henrik.

— Zastrzelona — odpowiedział Björn. — Wszystkie zostały zastrzelone.

— Wszystkie? — powtórzył Henrik.

— Tak, ale rany wlotowe różnią się od siebie — powiedział lekarz.

— Czy dzieci zostały zabite tam, gdzie jej znaleźliśmy? — spytał Henrik.

— W rowie, tak. Na to wygląda. Najprawdopodobniej stały nago na brzegu rowu, gdy do nich strzelano.

— To też tylko przypuszczenie — powiedziała Jana.

Björn odchrząknął.

— Mamy powód, aby sądzić, że są to dzieci osób znalezionych w kontenerach — zauważył Henrik.

— Tak, słyszałem. Pani prokurator poprosiła o porównanie DNA — powiedział Björn.

Henrik przejechał ręką po włosach i na chwilę zatrzymał ją na karku.

— Dobrze. Rozpocznij więc niezwłocznie konieczne badania — zgodził się.

Björn skinął głową w odpowiedzi.

— Coś jeszcze? — spytał Henrik.

— Tak, znalazłem coś interesującego na karku dziewczynki — odparł Björn.

Przekręcił głowę dziewczynki na bok i odsłonił kark. Na skórze, u nasady włosów widniał wyryty napis: Erida.

Mia od razu wyciągnęła z kieszeni komórkę i wpisała imię do wyszukiwarki internetowej.

— Musiała to zrobić ta sama osoba, która okaleczyła chłopca znalezionego w Viddviken — powiedział Henrik.

— Tak — potwierdziła Mia, nie odrywając wzroku od telefonu. — Erida jest boginią nienawiści, to imię też pochodzi z mitologii greckiej. Tak jak Tanatos.

W sali zapadła cisza.

Słyszał tylko szum wentylatorów.

— I jeszcze coś — powiedział w końcu Björn. — Głowa dziewczynki była ogolona, mimo to na jej ciele znalazłem wiele długich włosów, ciemnych i grubych, z pewnością nienależących do niej.

— Wyślij je natychmiast do laboratorium.

— Już to zrobiłem — odrzekł Björn.

Członkowie zespołu siedzieli w sali spotkań i czekali na rozpoczęcie zebrania. Gunnar Öhrn szukał czegoś w stercie dokumentów, Anneli Lindgren bawiła się kosmykiem włosów, Henrik Levin siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi, Mia Bolander huśtała się na krześle, a Jana Berzelius pochylała się nad leżącym przed nią notesem.

Gunnar wstał.

— Po pierwsze — rozpoczął — rozmawiałem z Björnem Ahlmannem, który potwierdził, że wiele z zamordowanych dzieci ma ten sam profil DNA co szczątki ludzi znalezionych w kontenerach. To oznacza, że są spokrewnieni.

— Są to więc ich rodzice? — spytał Henrik.

— Tak, na to wygląda — odrzekł Gunnar. — Możemy założyć, że dzieci były w kontenerach, skąd je zabrano i uprowadzono na wyspę. Rodzice zostali zastrzeleni i zatopieni w morzu.

— Kontenery przyplłynęły z Chile. Czy możemy mieć tu do czynienia z handlem ludźmi? — zastanawiał się na głos Henrik.

— Tak. Zgaduję, że są to nielegalni imigranci z Chile.

Zapadła przytłaczająca cisza.

Gunnar kontynuował:

— Wszystkie dzieci, których sekcje zwłok dało się przeprowadzić, miały imię wyryte na karku. Imiona pochodzą z mitologii greckiej. Takie naznaczenie, nadawanie nowej tożsamości.

— Często spotyka się to w gangach. Wystarczy wspomnieć o tatużach, symbolach — powiedziała Mia.

— Ale tu wszystko było przemyślane. Zaplanowane porwania — stwierdził Gunnar.

— Musiał to zrobić jakiś wariat.

— Analizy toksykologiczne wykazały, że kilkoro dzieci miało we krwi narkotyki — powiedział Gunnar. — Również nasz chłopiec, Tanatos, był pod wpływem narkotyków. Zgaduję więc, że sprzedawały je albo były pośrednikami w handlu.

— Poszukujemy więc handlarza narkotykami — stwierdził Henrik.

— Jednego lub kilku — dodała Mia. — Zainteresowanych mitologią grecką.

— Okej, ale najpierw musimy zrozumieć, jak to wszystko jest ze sobą powiązane...

— oznajmił Gunnar. Lena w dalszym ciągu nie mówi, skąd wiedziała o kontenerach

ani kto dał jej rozkaz skasowania dokumentów z komputera Juhléna. Więc ja rozumię w ten sposób: Dlaczego ktoś usuwa jakiś dokument? Z pewnością aby coś ukryć. Hans Juhlén nie zrobił tego sam. A więc to Lena musi mieć coś do ukrycia.

— Ale Juhlén wiedział o kontenerach? — spytał Henrik.

— Tak, ale może na tym kończy się jego udział w sprawie. Pewnie przez przypadek dowiedział się czegoś od swojej sekretarki i musieli mu zamknąć usta. Może tylko wiedział, że coś takiego miało miejsce.

— Handel narkotykami z udziałem dzieci?

— Właśnie.

— Więc w kontenerach mogły znajdować się też narkotyki? — zastanawiał się Henrik.

— Nie sędzę, aby ktoś przemycał narkotyki razem z nielegalnymi imigrantami, ale kto wie, to jedna z teorii.

— No dobrze, ale gdy pozbyli się już dorosłych, to dlaczego porywali dzieci?

— Są małoletnie, nie mogą zostać skazane — powiedziała Mia triumfująco. — A poza tym dzieci najczęściej są lojalne wobec zleceniodawcy...

— Na wyspie znajdowało się swojego rodzaju pomieszczenie treningowe i sporo broni — powiedział Henrik. — Może dzieci szkolono do...

W sali zapadła cisza. Henrik kontynuował:

— Uważam, że Hans Juhlén wpadł na trop całej sprawy. Dlatego był w porcie u Thomasa Rydberga. A Thomas wystraszył się, że zostanie nakryty, i doniósł o tym Lenie, która usunęła dokumenty z komputera i kazała komuś sprzątnąć Juhléna, a potem Thomasa.

— Tak naprawdę mamy jeszcze jedno interesujące nazwisko, które należałoby włączyć do śledztwa — powiedział Gunnar. — Björn Ahlmann na ciele jednego z dzieci znalazł włosy, które zgodnie z analizami DNA pochodzą od tego mężczyzny.

Wyciągnął rękę po pilota i włączył projektor, na którym ukazało się zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny z szerokim nosem i wielką blizną przecinającą twarz.

— Ale wygląda, a niech go cholera — zakląła Mia.

Jana chciała wykrzyknąć: To ON! Ale udało jej się opanować i dalej nieruchomo siedziała na krześle.

— Gavril Bolanaki, zwany też Tatą — powiedział Gunnar. — Chcę, abyś ty, Ola, sprawdził, jakie powiązania mógł mieć z Thomasem Rydbergiem i Leną Wikström. Sprawdź, czy łączyło ich coś w przeszłości. Firma? Ta sama szkoła? Wszystko, co tylko się da.

— Co wiemy o Gavrilu? — spytał Henrik.

— Nie za wiele. Urodzony w 1953 roku na wyspie Tilos w Grecji, obywatel Szwecji już od 1960 roku. Służba wojskowa w jednostce w Södertälje. W latach siedemdziesiątych skradziono część wyposażenia wojskowego z bazy w Södertälje i Gavril z początku był podejrzewany o tę kradzież, ale później został oczyszczony

z zarzutów z powodu braku dowodów.

— Czy wiemy, jaka broń zginęła? — spytał Henrik.

— Nie — odparł Gunnar.

— Gdzie on się znajduje? — spytała Jana przesadnie łagodnym głosem.

— Rozesłaliśmy już informację o poszukiwaniu. Mam nadzieję, że dzięki temu szybko go złapiemy — powiedział Gunnar. — Myślę, że jesteśmy teraz na właściwym tropie.

Ja też tak sędzę, pomyślała Jana.

— Przy pierwszym przeszukaniu wyspy znaleźliśmy resztki jedzenia, co pozwala nam sądzić, że ktoś tam był zupełnie niedawno. Czy był to ten Gavril, czy kto inny, tego jeszcze nie wiemy. Zamierzam przeszukać teren z psami i chciałbym, abyście wy, Henriku i Mio, pojechali razem ze mną i z Anneli. Wyruszamy za dwadzieścia minut.

Mia Bolander znów cierpiała na chorobę morską.

Próbowała skupić wzrok na jednym punkcie w oddali, gdy łódź straży przybrzeżnej unosiła się na wysokich falach. Starła się nie myśleć o zawartości żołądka, która ciągle podchodziła jej do gardła. Zjadła śniadanie pół godziny temu, zanim opuścili komendę. Kawę z automatu zaspokoila najgorszy głód i całe szczęście udało jej się namówić jednego z posterunkowych na postawienie kanapki. Dziś był dwudziesty ósmy. Od wypłaty minęły trzy dni, a pieniądze już się skończyły. Miesiąc do następnej wypłaty. Poza tym dziś była sobota, co oznaczało wyjście ze znajomymi. Mia zastanawiała się, skąd zdobyć pieniądze na obowiązkowe wieczorne piwo. Była też winna Henrikowi obiad. To był co prawda najmniejszy dług, ale też najbardziej pilny do spłacenia.

Najwięcej pieniędzy wisiła kumplowi, czy też koledze, czy też jej ex, czy za co tam się uważał, ale zerwała z nim kontakt już dawno temu i nie miała od niego żadnych wieści, więc stwierdziła, że nie musi spłacać tych dwudziestu sześciu tysięcy koron, które wydała na samochód.

Mdłości nasiliły się, gdy Mia pomyślała o tych tysiącach koron. Ale tak długo jak jej ex miał ją gdzieś, nie miała zamiaru oddawać mu jego pieprzonych pieniędzy. Że też wszystko musi się ciągle kręcić wokół kasy.

Przyłożyła rękę do ust. Gdy między palcami zaczęły przesączać się ciemne krople kawy, szybko przechyliła się przez burtę i zwymiotowała.

Przeszukanie wyspy szybko przyniosło rezultaty. Patrol z psami znalazł podziemny betonowy bunkier, tuż przy stodole. Wejście było dobrze ukryte za krzakami.

Gunnar Öhrn pierwszy wszedł do środka i zatrzymał się po trzech metrach. Musiał stać pochylony, gdyż sufit był bardzo niski. Na podłodze stały trzy puste walizki, a na ścianach wisało dużo broni palnej.

Gunnar od razu rozpoznał AK-47, Sig Sauera i Glocka. Na znajdującym się

w pomieszczeniu stole zauważył całe mnóstwo nabojów, równiutko poukładanych w plastikowych przegródkach. Leżało tam również pięć mniejszych noży i duża liczba tłumików.

Gunnar wyszedł na zewnątrz. Henrik Levin i Mia Bolander spojrzeli na niego pytająco.

— Jest to magazyn broni. Największy, jaki kiedykolwiek widziałem — powiedział Gunnar.

— Czy może ona pochodzić z Södertälje? — spytał Henrik.

— To bardzo prawdopodobne, są tu zarówno starsze, jak i nowsze modele.

— Więc ten Gavril być może w jakiś sposób przemycał tutaj broń z Södertälje i zbudował sobie na wyspie skład broni — powiedział Henrik.

— W bunkrze znajduje się wiele Glocków, a jak wiemy, ten model jest często używany w wojsku — powiedział Gunnar.

— I morderca posłużył się nim do zastrzelenia Hansa Juhléna — dodał Henrik.

Gabrielowi Mellqvistowi brakowało pół godziny do zakończenia służby. Przytupywał, aby się rozgrzać. Jeszcze raz spojrzął na horyzont. I wtedy zauważył zbliżającą się do wyspy łódź. Zaczął się w nią wpatrywać, by zobaczyć, czy są na niej policjanci.

Łódź zwolniła, przez chwilę stała nieruchomo, a potem zawróciła, odpływając od wyspy.

Gabriel chwycił za radio.

Nie było czasu do stracenia.

Henrik Levin wychodził właśnie z bunkra, gdy przybiegła posterunkowa Hanna Hultman.

— Zauważyliśmy nieznaną łódź, szybko odpływa od wyspy!

Henrik pobiegł w stronę pomostu, ile tylko miał sił, i wskoczył na pokład łodzi straży przybrzeżnej.

Mia Bolander przybiegła tuż za nim.

— Płyn! — krzyknęła. — Nie czekaj na Gunnara! Płyn!

Henrik zamachał do strażnika Rolfa Vikmana, który szybko odbił od pomostu. Łódź zniknęła im z pola widzenia i Rolf zwiększył prędkość, kierując się w stronę, gdzie po raz ostatni ją widzieli, i przekazując jednocześnie wiadomość o pościgu do centrali regionalnej. Henrik szukał łodzi wzrokiem. Płynęli teraz z prędkością trzydziestu węzłów, rozpryskując na boki kaskady wody. Gdy zbliżyli się do małej wysepki, zwolnili, ale ściganej łodzi nadal nigdzie nie było widać.

Henrik rozglądał się na wszystkie strony. Mia też. Nasłuchiwali odgłosów silnika, ale trudno było usłyszeć cokolwiek poza warkotem łodzi, na której się znajdowali.

Gdy podpłynęli do następnej wyspy, Rolf nieco zwolnił i Henrik rozejrzał się po zwietrzających skałach. Wiatr gwizdał mu w uszach. Dwie mewy latały wysoko nad ich głowami, wydając przejmujące okrzyki.

Mia stanęła na palcach, by wyrzeć za burzę. Jeszcze bardziej zwolnili i Rolf kluczył między falami, które znosiły ich w stronę wyspy.

— Płyn prosto! — zawołał Henrik, gdy okrążyli wyspę. Rolf przyspieszył i wiatr ponownie zaczął szarpać kurtkę Henrika. Czuł narastające zwątpienie. Nigdzie nie było widać żadnej łodzi.

— Tam! — zawołała nagle Mia, wskazując palcem. — Tam! Tam! Widzę ją!
Rolf od razu popłynął w tę stronę.

— To chaparral! — zawołał. — Niestety, bardzo szybka rzecz.

Łódź błyskawicznie odpłynęła, jakby kierujący nią dojrzał właśnie łódź straży przybrzeżnej. Henrik wyciągnął pistolet, Mia też. Rolf przyspieszył i pomąku zaczął doganiać drugą łódź.

— Policja! — krzyknął Henrik, unosząc broń. — Stać!

Warkot silników zagłuszył jego słowa.

Chaparral przyspieszył do maksimum i odstęp między łodziami się zwiększył.

— Próbuje nas zgubić! — zawołał Rolf, zwiększając jednocześnie prędkość.

Pościg trwał. Kurtka Henrika łopotała na wietrze. Zimno atakowało policzki, włosy sterczały na głowie.

— Policja! — zawołał Henrik jeszcze głośniejszym głosem, gdy zbliżyli się do łódki.

Udało mu się dojrzeć kierującego łodzią, zanim skręcił tuż przed nimi. Mężczyzna o ciemnej karnacji, niemłody, ciemne włosy wystające spod grubej czapki.

— Cholera! — krzyknął Rolf, też skręcając.

Szybko mknęli po falach. Kaskady rozpryskiwanej wody były coraz większe.

Nieoczekiwanie chaparral zwolnił.

Henrik podniósł pistolet, nie puszczając drugą ręką burty.

— Stać! — krzyknął do kierującego.

Ale łódź skręciła i odpłynęła.

— Płyn, Rolf! Szybko!

Rolf przyspieszył maksymalnie i płynął tuż za uciekającą łodzią. Chaparral zwolnił po raz drugi. Potem skręcił i znów odpłynął. Nie chciał się poddać.

Jana Berzelius wiedziała, że nie powinna tego robić. Mimo to siedziała z telefonem w ręku i pisała wiadomość do Danila. Próbowwała sformułować ją tak enigmatycznie, jak to było możliwe. Choć nowy telefon i nowa karta SIM nigdy nie mogłyby zostać z nią powiązane, nie czuła się całkiem pewnie.

Napisała: „A. podał mi miejsce. Tata niedługo będzie w domu”.

Już miała wysłać wiadomość, gdy w kieszeni zadzwonił jej prywatny telefon komórkowy. Wzięła go do ręki, ukryty numer. Miała nadzieję, że to Danilo, więc od razu odebrała.

Jednak w słuchawce usłyszała Henrika Levina.

— Mamy go — powiedział spokojnym, opanowanym głosem.

Jana wstrzymała oddech.

- Złapaliśmy go po półtoragodzinnym, dzikim pościgu łodzią — wyjaśnił Henrik.
- W końcu — szepnęła Jana.
- Potrzebujemy nakaz aresztowania. Niezwłocznie.
- Dostaniecie go. A przesłuchanie?
- Zacznie się jutro rano.

Jana zakończyła rozmowę. Cała się trzęsła. Drżącymi rękoma chwyciła nowo zakupiony telefon komórkowy i skasowała przed chwilą napisane słowa. Wiadomość brzmiała teraz: „A. podał mi miejsce. Tata już jest w domu”.

Potem nadusiła przycisk i wysłała wiadomość.

Danilo wpatrywał się w swój telefon.

— Do diabła! — krzyknął głośno. — Niech to wszyscy diabli!

Z całej siły uderzył pięścią w ścianę.

— Kurwa, kurwa, kurwa, KURWA!

Nie potrafił się opanować, był wściekły. Jak mógł na to pozwolić, żeby sprawy przybrały taki obrót. Anders miał ją przecież zabić!

Anders był idiotą, pieprzonym, przeklętym idiotą, który nie potrafił zrobić dobrze jednej pieprzonej rzeczy w całym swoim pieprzonym życiu. Najpierw nie udało mu się przywieźć chłopca z powrotem na wyspę, a teraz nie udało mu się usunąć Jany.

Danilo musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Jak zwykle. Zawsze po innych sprząta. A teraz wszystko szło do diabła.

— Kurwa mać! — wykrzyknął jeszcze raz.

Zaczął się zastanawiać, jak mógłby załatwić Janę. Raz na zawsze. Chyba że można by było ją wcześniej do czegoś użyć? W jakiś sposób wykorzystać?

Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniejszy plan jawił mu się w głowie.

Po dziesięciu minutach wiedział już dokładnie, co ma zrobić. Sama mogła się o to winić. To ona rozpoczęła grę, a jak już się w niej brało udział, trzeba było grać do końca.

Bez względu na to, co ten koniec miałby przynieść.

NIEDZIELA 29 KWIETNIA

GUNNAR ÖHRN STAŁ z filiżanką kawy w ręku i oglądał fragment wiadomości z ostatniej chwili o schwytaniu Gavrila Bolanaki.

Komendant regionalna policji zażądała, aby rzecznik prasowy niezwłocznie wystosował informację do mediów o schwytaniu mężczyzny po godzinnym pościgu.

— Zadowolony?

Anneli Lindgren leżała na łóżku w jego sypialni owinięta prześcieradłem. Ona też wysłuchiwała wiadomości w telewizji.

— Cieszę się, że go złapaliśmy. Jutro przesłuchanie. Zdążymy do tego czasu przeszukać całą wyspę?

Anneli położyła się na plecach i wyciągnęła się na materacu.

— Tak, dziś pracuje tam wielu techników, a można wysłać kolejnych. Taką mam w każdym razie nadzieję.

— Ja też — odpowiedział Gunnar.

Wypił łyk kawy. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Był to Ola Söderström.

— Słuchaj, w końcu otrzymaliśmy wiadomość — powiedział. — Wydział kontroli ruchu zidentyfikował kierowcę samochodu dostawczego, który Erik Nordlund widział na Arkösundvägen. Samochód należy do Andersa Paulssona, pięćdziesiąt pięć lat. Pracował jako kurier w DHL przez dwadzieścia lat. Ma teraz własną firmę, też przewozową. Najbardziej interesujące jest to, że był on żonaty z siostrą Thomasa Rydberga. Niestety zmarła na raka przed dziesięcioma laty i wygląda na to, że od tamtego czasu nie ma nikogo innego.

— Więc Thomas i Anders są ze sobą powiązani — stwierdził Gunnar. — Gdzie on mieszka?

— Arkösund. W domku jednorodzinny — powiedział Ola.

— Brzmi to bardzo interesująco. Wyślę tam od razu Mię i Henrika.

Gunnar odłożył słuchawkę.

Również Mia Bolander piła kawę. Zmusiła Henrika Levina, by ją kupił na stacji benzynowej, zanim opuścili Norrköping w drodze do Arkösund.

Gdy przyszło do zapłaty, powiedziała, że zapomniała portfela. I łyknął kłamstwo. Znowu. I zapłacił. Znowu. Co prawda trochę marudził, otwierając portfel, ale nie dlatego, że musiał za nią zapłacić, tylko dlatego, że tracili czas.

Aby okazać swoje niezadowolenie, spuścił portfel z lekkim stuknięciem do pojemnika na kubki między siedzeniami.

Ach, nie bądź śmieszny, pomyślała Mia.

Napój był ciągle gorący i Mia sączyła kawę, przeglądając się jednocześnie

w lusterku na osłonie przeciwsłonecznej. Tusz do rzęs zostawił po nocy małe czarne kropki dookoła oczu. Pośliniła palec i mocno potarła powiekę, aby je usunąć. Ale tylko pogorszyła sytuację. Ślina rozmyła kropki i przekształciła je w kreski.

— Cholera — zaklęła głośno.

— Ciężka noc? — spytał Henrik.

— Jakbyś wiedział, co to znaczy.

— Wiem całkiem sporo o imprezach.

— Masz na myśli przyjęcia dla dzieci?

— Nie.

— Kiedy ostatnio tak się upiłeś, że głowa pękała ci na kawałki?

— Ach więc tak się wczoraj zabawiałaś.

— Tak. Dokładnie. I się do tego pieprzyłam. Było naprawdę super.

— Dziękuję, ale podałaś mi nieco więcej szczegółów, niż potrzebowałem.

— Więc tyle nie pytaj.

Henrik westchnął i spojrzał na prędkościomierz, by się upewnić, że nie przekracza dozwolonej szybkości.

Mia znowu zaczęła trzeć oczy.

Do Arkösund, gdzie mieszkał Anders Paulsson, brakowało im dziesięć kilometrów. Piętnaście minut później zatrzymali się przed czerwonym domkiem. Na parkingu stał biały samochód dostawczy marki Opel. Ogród był zaniedbany, rolety opuszczone. Narożniki domu, niegdyś białe, były teraz szare i pokryte zaciekami.

Henrik przejechał pomału koło domu, zatrzymał się kawałek dalej, wyłączył silnik i wysiadł z samochodu.

Mia wypijała ostatni łyk kawy. Gdy miała odstawić pusty kubek między siedzenia, zobaczyła, że leży tam portfel. Wyjrzała przez szybę i poszukała Henrika wzrokiem. Stał odwrócony do niej plecami i przyglądał się sąsiednim domom. Mia błyskawicznie chwyciła portfel i otworzyła go. W środku znajdowały się trzy banknoty stukoronowe, stłumiła w sobie ochotę, aby wziąć wszystkie. Byłoby to zbyt oczywiste. Wzięła tylko jeden, wcisnęła go do kieszeni i odłożyła portfel na miejsce. Potem przybrała na twarz uśmiech, otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

Henrik podszedł ostrożnie do domu i do zaparkowanego samochodu. Ukucnął przy tylnym kole. Gdy Mia podeszła do niego, oczy błyszczały mu z radości.

— Goodyear — powiedział.

Mia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Razem podkradli się do domu i stanęli po obu stronach drzwi wejściowych. Mia jedną nogą przytrzymywała drzwi, aby nikt ich nie otworzył.

Zadzwonili. Dźwięk rozległ się w środku echem. Odczekali pół minuty. Dalej nic. Wymienili spojrzenia i zadzwonili jeszcze raz, ale nadal nic się nie działo.

Mia obeszała dom, przyglądając się fasadzie i oknom z zaciągniętymi roletami. Wszędzie było cicho. Z boku domu odkryła uchylone okno. Zawołała Henrika. Gdy

do niej dołączył, była już w połowie drogi do środka. Otworzyła okno, oparła się rękoma o parapet i wciągnęła najpierw jedną nogę, a potem drugą. Po dosyć niezręcznym skoku znalazła się w mieszkaniu.

Natychmiast uderzył ją straszny smród odchodów. Podniosła rękaw, żeby zasłonić nos. Spojrzała na podłogę, gdzie zobaczyła kał i wyschnięte plamy moczu.

Wszędzie wały się śmieci. Sterty kartonów i starych gazet, gnijące resztki jedzenia na papierowych talerzach, puste butelki, puszki po piwie i opakowania po jedzeniu na wynos. Puszki po konserwach, ubrania, plastikowe torebki i rolki po papierze toaletowym. Na kanapie leżał stary akumulator. Dywan był zwinięty, stół pęknięty, a tapeta podarta.

Henrik zajrzał do środka przez otwarte okno i, gdy tylko poczuł kwaśny smród odchodów, od razu go zemdliło. Cofnął głowę, zebrało mu się na wymioty.

Mia ostrożnie postąpiła kilka kroków do przodu. Trzymając broń w pogotowiu, szła między górami śmieci i odchodów.

— Policja! — zawołała, ale jej okrzyk został stłumiony przez nagły atak mdłości.

Weszła na przylegający do kuchni korytarz. Tu też był bałagan, prawie nie było widać wzoru tapet zza zwałów śmieci walających się wzdłuż ścian.

Gdy znalazła się w kuchni, uderzył ją jeszcze gorszy smród. Pochodził od mężczyzny leżącego na ziemi w dziwnej pozycji. Miał na wpół otwarte usta i nieruchome oczy. Mia nie potrzebowała wiele czasu, by stwierdzić, że nie żył.

PONIEDZIAŁEK 30 KWIETNIA

JANA BERZELIUS CHCIAŁA przesunąć rozprawę zaplanowaną na przedpołudnie, ale nie dysponowała żadnymi prawnymi możliwościami, aby to zrobić. Po raz pierwszy w swojej karierze prokuratora miała nadzieję, że któraś ze stron okaże ważne usprawiedliwienie i nie przybędzie. Jeśli ktoś z wezwanych nagle by zachorował, nie mógł dotrzeć na miejsce z powodu problemów ze środkami komunikacji publicznej lub z powodu innych nieprzewidzianych okoliczności, rozprawa zostałaby przesunięta na inny dzień. Lecz niestety wszystkie strony były już na miejscu, podobnie jak biegli oraz sędzia, Jana straciła więc wszelką nadzieję. Rozprawa rozpocznie się o wyznaczonym czasie.

Westchnęła i otworzyła czerwoną teczkę z materiałem dowodowym, który miała przedstawić w sądzie. Była to sprawa o podpalenie. Spojrzała na zegarek. Za pięć minut rozpocznie się przesłuchanie Gavrila Bolanaki. Przez telefon dała pozwolenie Henrikowi Levinowi, żeby rozpoczynali bez niej. Miała nadzieję, że sprawa skończy się przed upływem godziny i wówczas od razu uda się do aresztu, aby spotkać się z nim twarzą w twarz. Aby spotkać się z Tatą.

Poprawiła włosy i przejechała ręką po karku.

Poczuła litery.

Nadszedł czas.

W końcu.

Henrik Levin spojrzał na siedzącego przed nim mężczyznę. Czarna koszula, podwinięte rękawy. Włosy czarne, dosyć długie, zaczesane do tyłu. Nos szeroki, ciemne oczy z szerokimi brwiami. Brzydka blizna przecinająca całą twarz od czoła do brody, od której trudno było oderwać wzrok. Henrik zabrał głos, starając się skupić na drugiej połowie twarzy:

— Co robił pan na morzu?

Żadnej odpowiedzi.

— Dlaczego pan przed nami uciekał?

Żadnej odpowiedzi.

— Czy to pan mieszka na wyspie?

Cisza.

— Czy widział pan wcześniej tego chłopca?

Henrik pokazał mężczyźnie zdjęcie Tanatosa.

Mężczyzna uniósł jedną stronę ust w kpiącym uśmiechu.

— Chcę mieć adwokata — powiedział powoli.

Henrik westchnął.

Nie miał wyboru, musiał posłuchać.

Po dwóch godzinach rozprawa była dopiero na półmetku. Jana odczuwała frustrację. Wysłuchano zeznań pokrzywdzonego i oskarżonego, a po przerwie mieli przyjrzeć się zeznaniom świadków i dowodom pisemnym. Jana wstała z miejsca i opuściła salę sądową. Po krótkich odwiedzinach w toalecie wyciągnęła telefon z kieszeni i zobaczyła, że ma nieodebrane połączenie od ukrytego numeru. Z zostawionej wiadomości głosowej dowiedziała się, że chodzi o Henrika Levina, od razu więc do niego oddzwoniła.

— Jak idzie? — spytała, gdy tylko odebrał.

— Na razie nie mamy nic — odpowiedział.

— W ogóle? — zapytała.

— Nie. Nic nie mówi. Żąda adwokata.

— To go dostanie. Ale najpierw chciałabym z nim porozmawiać.

— To nic nie da.

— Chciałabym spróbować.

Spojrzała na zegarek i kontynuowała:

— Za trzy godziny sprawa powinna się skończyć. Możemy wtedy wrócić do przesłuchiwania Gavrila.

— Okej. Więc kolejne przesłuchanie o drugiej — powiedział Henrik.

— Bez adwokata.

— To niemożliwe.

— Wręcz przeciwnie. To podejrzany w sprawie, którą kieruję, i chciałabym z nim porozmawiać.

Jana położyła szczególny nacisk na słowa: podejrzany w sprawie, którą kieruję.

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Tylko pięć minut, tyle mi wystarczy.

— Dobrze.

Gdy rozmowa się zakończyła, stała jeszcze przez chwilę z telefonem przyciśniętym do piersi. Odczuwała swojego rodzaju zadowolenie.

Prawie że radość.

Mia siedziała oparta na krześle z ramionami splecionymi na piersiach. Henrik opuścił w pośpiechu salę przesłuchań, aby odebrać telefon od Jany Berzelius, i w tym czasie Mia miała pilnować podejrzanego.

Siedzący przed nią mężczyzna cały czas lekko się uśmiechał. Głowę miał pochyloną i lampa rzucała cień na bliznę na jego twarzy.

— Wierzysz w Boga? — spytała Mia.

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Twoje imię, Gavril, oznacza, Bóg jest...

— ...moją mocą — dokończył za nią. — Dziękuję za wyjaśnienie, ale wiem, co oznacza moje imię.

— Więc wierzysz w Boga?

— Nie. Ja jestem Bogiem.

— Tak? A to miło.

Mężczyzna wykrzywił się w szerokim uśmiechu. Mia poczuła się nieswojo. Poruszyła się na krześle. Gavril zrobił to samo, przedrzeźniał ją.

— Bóg nie zabija — powiedziała Mia.

— Bóg daje i odbiera.

— Ale nie zabija dzieci.

— Wręcz przeciwnie.

— Więc zabijałeś dzieci?

Gavril znów wykrzywił się w uśmiechu.

— I z czego się śmiejesz?

Oparła się o krzesło. Gavril też.

— Nie zabiłem żadnych dzieci. Sam mam syna, dlaczego miałbym zabijać takie małe stworzenia?

— Ale znaleźliśmy przecież, do cholery, twoje włosy na ciele dziewczynki z masowego grobu na wyspie, na którą płynąłeś!

— Co nie oznacza, że ją zabiłem, prawda?

Mia spojrzała ze złością na Gavrila. Odpowiedział jej takim samym spojrzeniem. Mia nie chciała pierwsza uciec wzrokiem.

— Lecz tak się zastanawiam — zaczął mężczyzna pomału, cały czas ze wzrokiem utkwionym w policjantkę — jeślibym wiedział, kto je zabił i bym wam to wyjawiał, co moglibyście dla mnie zrobić?

— Tak, co moglibyśmy dla ciebie zrobić?

Gavril usłyszał ironię w jej głosie, zacisnął szczęki i wysyczał:

— Wydaje mi się, że nie zrozumiałaś, co powiedziałem. Jeśli wyjawię, kto to zrobił, co dostanę w zamian?

— To nie jest jakaś cholerna transakcja. Czy nie dotarło do ciebie...

— Posłuchaj mnie teraz uważnie.

Gavril pochylił się do przodu. Znalazł się bardzo blisko Mii. Zbyt blisko.

Nie uciekła wzrokiem. Nie mogła przegrać.

— Jeżeli mnie zamkniecie, to chciałbym, abyś zapamiętała moją twarz do dnia, kiedy wyjdę. Zrozumiałaś, co mam na myśli? — wysyczał.

Potem się uspokoił, oparł o krzesło i powiedział:

— Jeśli mnie zamkniecie, popełnicie poważny błąd. Dlatego zaoferuję wam układ. Bardzo łatwo mogę wskazać wiele kluczowych osób, które kierują dzisiaj handlem narkotykami w Szwecji. Mogę wskazać miejsca i osoby. Choć chyba najbardziej jesteście zainteresowani udziałem dzieci w całej tej sprawie. Mam rację?

Mia nie odpowiedziała.

— Więc jeśli powiem, jak się sprawy mają, co wówczas dla mnie zrobicie? Nie

przyznam się do niczego, ale mogę opowiedzieć wam wszystko, co wiem o innych. Jeśliby to was interesowało, oczywiście. A sądzę, że tak jest.

Mia przygryzła wargę.

— Mam propozycję — kontynuował Gavril. — Jeśli będę z wami współpracować, macie dać ochronę mnie i mojemu synowi. Jeśli mnie zamkniecie, niczego się nie dowiecie, i mogę wam zagwarantować, że umrą kolejne dzieci. Tylko ja mogę to zatrzymać. Chcę mieć najlepszą ochronę, z najwyższej instancji. W przeciwnym razie nic nie powiem. No więc — co wybieracie?

Mia przegrała. Uciekła wzrokiem. Spojrzała na stół, a potem prosto w lustro weneckie. Wiedziała, że Gunnar za nim stoi i jest tak samo zdezorientowany jak ona.

Co, do cholery, mieli teraz zrobić?

Była 13.42. Sprawa się zakończyła. Jana Berzelius zebrała swoje dokumenty i w pośpiechu opuściła salę sądową. Jak zwykle skierowała się do wyjścia bezpieczeństwa i pchnęła biodrem białe drzwi przeciwpożarowe. Szybkimi krokami zbiegła po schodach do podgrzewanego garażu. Wycofując samochód z miejsca parkingowego, wybrała numer do Henrika, aby namówić go do przygotowania kolejnego przesłuchania Gavrila Bolanaki. Ale numer był zajęty. Szybko wyjechała z garażu i ponownie spróbowała skontaktować się z Henrikiem, ale mimo iż teraz numer nie był zajęty i odczekała wiele sygnałów, nie odbierał. Wydawało jej się, że wszystkie światła uliczne zmieniały się na czerwone, gdy się do nich zbliżała. Piesi za wolno przechodzili przez przejścia, a kierowcy przed nią jechali nadzwyczaj pomału. Gdy w końcu dotarła do komendy policji, na domiar złego wszystkie miejsca parkingowe były zajęte i musiała trzy razy okrążyć garaż, zanim znalazła niewielką przestrzeń do zaparkowania.

Prawie nie mogła otworzyć drzwi i musiała wciągnąć brzuch, i wstrzymać oddech, by wysiąść z samochodu.

Truchtem pobiegła w stronę klatki schodowej, gdzie nacisnęła przycisk windy. Czekwała dość długo, ale na monitorze widziała, że winda przemieszcza się tylko między górnymi piętrami. W końcu skierowała się w stronę schodów.

Gdy dotarła na górę, miała zadyszkę. Zanim otworzyła drzwi do sal przesłuchań, spróbowała doprowadzić się do porządku.

W środku kręciło się pełno ludzi. Pierwszą osobą, którą napotkała, był posterunkowy Gabriel Mellqvist.

Od razu podniósł rękę w górę.

— Zakaz wstępu.

— Mam przesłuchanie podejrzanego i jestem trochę spóźniona — wyjaśniła Jana.

— Jak się nazywa podejrany?

— Gavril Bolanaki.

— Niestety, nie mogę cię przepuścić.

— Dlaczego nie?

— Sprawa jest zakończona.

— Zakończona? Jak może być zakończona?!

— Przykro mi, Jano, nie możesz wejść.

Gabriel wyprowadził ją za drzwi i zamknął je za nią.

Stała tak przez chwilę, zaskoczona i zła.

Wyjęła telefon i ponownie wybrała numer Henrika. Nie odebrał. Zadzwoiła do Gunnara. To samo.

Zaklęła głośno i pobiegła do garażu.

Lena Wikström siedziała w celi i pukała głową w betonową ścianę. Jedynym miękkim przedmiotem w pomieszczeniu był materac obleczoney podgumowaną powłóczką, przykryty bladeżółtym prześcieradłem. Siedziała skulona przy wezgłowiu, ramionami obejmując nogi. Na ścianie wisiała owalna lampa, obok której ktoś czymś czarnym nasmarował z błędem słowo *fuck*, teraz to było „fukc”. Przez zakratowane okno wpadało słabe światło. Cella miała osiem metrów kwadratowych i oprócz łóżka stało tam swojego rodzaju biurko drewniane z wbudowanym krzesłem, również drewnianym.

Lena siedziała w areszcie już od siedmiu dni. Nie ciążyło jej to aż tak bardzo, bo w głębi duszy miała nadzieję, że zostanie uwolniona z zarzutów i wypuszczona. Ale dziś jej nadzieja zgasła. Gdy stała w kolejce po obiad, dotarła do niej wiadomość, że Gavril został zatrzymany i też znajduje się w areszcie.

Jedzenie pozostawiła nieruszone na tacce, nie wypiła też ani łyka mleka, które otrzymała wbrew swojej chęci. To on miał jej pomóc wydostać się z aresztu. A teraz sam tu siedział, w jakiejś celi niedaleko od niej.

To już koniec, pomyślała, i mocniej zaczęła walić głową w ścianę. Wszystko się skończyło, moje życie też. Trzeba się z tym pogodzić. Nic nie da się już zrobić. Pozostaje tylko jedno. Odejść stąd.

Ze świata żywych.

Torsten Granath stał przy biurku ubrany w beżowy płaszcz i właśnie wkładał teczkę do aktówki, gdy Jana Berzelius wpadła do jego biura. Stanęła naprzeciw niego, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

— Co tu się dzieje? — spytała.

Torsten spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

— Muszę jechać do domu. Żona dzwoniła, martwi się o Luddego. Przez ostatnią dobę zjadał własne odchody, musimy zawieźć go do weterynarza.

— Mam na myśli Gavrila Bolanaki. Co tu się dzieje?

— Ach to. Mieliśmy cię powiadomić.

— Dlaczego sprawa jest zakończona?

— Sprawa jest zamknięta. Przejęły ją służby specjalne. Nikt nie może z nim rozmawiać, ty też nie.

— Dlaczego nie?
— Będzie informatorem policji.
— Jakim informatorem?
— Ma pomóc policji w zdemaskowaniu handlarzy narkotyków w Szwecji. Z powodu zagrożenia on i jego syn znajdują się pod opieką służb specjalnych i zostaną przewiezieni z więzienia jutro o godzinie dziewiątej.
— On ma syna?
— Najwyraźniej tak.
— Dokąd ich przewożą?
— To sprawa poufna, wiesz o tym, Jano.
— Ale...
— Zostaw to już.
— Ale przecież mieliśmy go...
— Zadaniem prokuratora nie jest wsadzanie ludzi do więzienia, tylko dowiadywanie się prawdy.
— Wiem.
— A teraz policja uzyska wiedzę na temat handlu narkotykami w kraju. To najlepsze, co mogło się zdarzyć.
Nie, nie jest to najlepsze, co mogło się zdarzyć, pomyślała Jana, odwróciła się na pięcie i wybiegła z biura.

Jana Berzelius się zawzięła. Oczy się zwięzły, a szczęki zacisnęły. Miała ochotę kogoś pobić. A — dokładniej mówiąc — tę osobę, która zdecydowała, że Gavril Bolanaki ma być chroniony. Gavril zmanipulował policję, wiedziała o tym. Przekonał ich, że on jest tylko pionkiem w grze, w której dobrze się orientował. A teraz uniknie aresztu, procesu i wyroku. Wszystko ujdzie mu płazem!

Mocno objęła rękoma kierownicę, zahamowała i otworzyła okno samochodu. Szybkim ruchem przeciągnęła kartę parkingową przez czytnik i wjechała do garażu z piskiem opon. Zatrzymała się na swoim miejscu i zatrzasnęła drzwi. Idąc schodami do mieszkania, pokonywała dwa stopnie naraz. Energicznie włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i weszła do środka. Już miała je zamknąć, gdy zobaczyła rękę chwytającą je od zewnątrz. Nie zdążyła zareagować i do jej mieszkania wślizgnął się ubrany na ciemno mężczyzna.

Jego twarz skrywał duży kaptur. Uniósł obie ręce i pokazał puste dłonie.

— Nie przyszedłem szukać guza, Jano — odezwał się, a ona od razu rozpoznała głos.

Był to Danilo. Zdjął kaptur, odsłaniając twarz.

— Powinnaś bardziej na siebie uważać — powiedział.

Jana prychnęła, zapalając lampę.

— Wysłanie SMS-a nie było najmądrzejszą rzeczą — kontynuował.

— Dlaczego nie? Kryjesz się przed kimś? — spytała.

- Nie, ale ty tak.
- Policja nie jest w stanie dotrzeć do właścicieli kart SIM.
- Nigdy nie wiadomo.
- Oboje przyglądali się sobie w milczeniu. Pierwszy odezwał się Danilo.
- Więc go mają?
- Tak. A właściwie...
- Co masz na myśli?
- Wejź, to ci opowiem.

Henrik Levin gwałtownie się przebudził. Zasnął tylko na krótką chwilę. Nie było to takie dziwne — wydarzenia minionego dnia wymagały od niego ciągłej koncentracji, co wyczerpało go psychicznie, a w dodatku całe ciało miał obolałe ze zmęczenia.

Spojrzał znad poduszki. Na jego brzuchu leżała książka o misiui. Vilma spała na jego prawym ramieniu. Małe ciało lekko się poruszało. Felix leżał blisko niego po drugiej stronie. Głęboko oddychał. Henrik spróbował wyjąć ramię spod głowy Vilmy tak ostrożnie, jak tylko się dało, ale ona zmieniła pozycję i przysunęła się jeszcze bliżej. Spojrzał na uśpioną twarzyczkę córki, przycisnął swój nos do jej nosa i uwolnił ramię. Felix nie poruszył się, gdy ramię taty zniknęło spod jego głowy. Otworzył oczy i nadal śpiąc, patrzył we śnie niewidzącym wzrokiem, jak piskłę. Henrik pogładził go ręką po policzku. Potem spróbował, tak delikatnie, jak to tylko było możliwe, wyjść z ciasnego łóżka, lecz po kilku nieudanych próbach został w końcu zmuszony do wyczołgania się przez wysoki kant. Był cały spocony od ciepła dziecięcych ciałek, T-shirt przyklejał mu się do pleców. Zdecydował, że dzieci mogą spać tej nocy w jednym łóżku.

Zgasił lampkę nocną w kształcie księżycy i zamknął drzwi do pokoju Feliksa.

Umycie zębów, użycie nici dentystycznej i wypłukanie ust dokładnie odmierzoną dawką płynu zajęło mu piętnaście minut. Przejrzał się dokładnie w lustrze i stwierdził, że na prawej skroni posiwiowało mu kilka kolejnych włosów. Jednak ich nie wyrwał. Był na to zbyt zmęczony. Opuścił łazienkę i poszedł do sypialni.

Telewizor był wyłączony. Emma leżała w łóżku w różowym T-shircie, przykryta kołdrą do pasa. Była całkowicie pogrążona w lekturze.

Henrik rozebrał się i położył ubrania po swojej stronie łóżka. Z ziewnięciem opadł na poduszkę, położył jedno ramię pod głowę i spojrzał w sufit. Drugą rękę włożył pod kołdrę, do bokserek i dotknął swoich części intymnych. Aby poprawić ich położenie. Emma odłożyła książkę i spojrzała na niego. Poczul jej wzrok, był jak uderzenie.

— Co jest? — spytał.

Nie odpowiedziała.

Wyjął rękę z bokserek i położył się na boku, twarzą w stronę Emmy.

— No więc, ostatnio nie robiliśmy... — zaczęła.

— Czego ostatnio nie robiliśmy?

— Nie kochaliśmy się zbyt często.

— To prawda.

— Ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

— Nie?

— Chodzi o mnie.

— To nie ma znaczenia — odpowiedział Henrik, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego to powiedział. Pewnie, że ma znaczenie. I to duże. Największe ze wszystkiego.

Emma pochyliła się i pocałowała go namiętnie. On odpowiedział jej tym samym. Pocałowali się jeszcze raz, jakby w potwierdzeniu. Jego dłoń na jej piersi, jej dłonie na jego plecach. Zaczęła go lekko drapać, potem trochę mocniej, Henrik wyczuł więc, że chodzi o zaproszenie. W końcu, pomyślał, przyciągając Emmę do siebie. Ale wtedy przypomniał sobie, że nie powiedziała, o co jej chodzi i czemu ostatnio nie miała takiej samej ochoty jak wcześniej. Delikatnie odsunął ją od siebie. Spojrzała na niego swoimi dużymi, niebieskimi oczami, pełnymi pożądania.

— Więc od czego to zależało? — spytał Henrik. — Mówiłaś, że chodziło o ciebie.

Emma uśmiechnęła się i dookoła oczu pojawiły się zmarszczki śmiechu. Kochał każdą z nich.

Potem przygryzła wargę, ciągle z uśmiechem na ustach. Wzrok miała zadziorny. Na prześcieradle narysowała palcem niewidzialne serce.

Gdy myślał później o tej chwili, chciałby ją uwiecznić. Dałby wszystko, aby czas się zatrzymał, właśnie tam i właśnie wtedy. Bo wyglądała na taką szczęśliwą.

A potem to powiedziała.

— Jestem w ciąży.

Od razu pożałował swojego pytania. Dlaczego po prostu nie poddał się żądzy, ochocie, którą miała? Dlaczego był taki głupi i spytał?

Emma położyła się na nim.

— Prawda, że to wspaniałe?

— Tak.

— Prawda?

— Tak, naprawdę.

— Cieszysz się?

— Mmm. Tak. Cieszę się.

— Nie chciałam ci nic mówić. Byłeś tak pochłonięty pracą, że po prostu nie było ku temu odpowiedniej okazji. Aż do teraz.

Henrik nie poruszał się. Leżał pod Emmą jak skamieniały. Ona poruszała się pomału, ocierając się o niego. Myśli wirowały mu w głowie. W ciąży?

W ciąży! Koniec z seksem na dziewięć miesięcy! Tak było, gdy oczekiwali Feliksa i Vilmy. Wówczas on nie chciał. Uważał, że nie powinni tego robić, gdy Emma ma dziecko w brzuchu. A teraz znów je miała.

Dziecko.

W brzuchu.

Znów odsunął Emmę.

— Co jest? — spytała. — Nie masz ochoty?

— Nie — odpowiedział krótko, wyciągając do niej ramię. — Chodź, połóż się tutaj.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Chodź — powiedział. — Chcę cię przytulić.

Położyła głowę na jego piersi.

Objął ją.

— W ciąży — powiedział, patrząc w sufit. — Super. Naprawdę super.

Nie odpowiedziała.

Henrik wiedział, że jest zawiedziona brakiem seksu dziś wieczorem. Pewnie teraz czuła to, co on za każdym razem, gdy ona nie chciała. Role się odwróciły, pomyślał, zanim zamknął oczy. Sen nie nadejdzie, wiedział o tym. I nie pomylił się.

Nie nadszedł przez całą noc.

— Więc przewiozą go jutro — stwierdził Danilo.

Stał w salonie Jany, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i wzrokiem utkwionym w jeden punkt za oknem gdzieś w oddali.

Jana siedziała na szeszlunku, w rękach trzymała szklanke wody. Przez dwadzieścia minut opowiadała Danilowi przebieg wydarzeń. Cały czas stał w tej samej pozycji.

— Dokąd go przewiozą? — spytał. — Wiesz coś o tym?

— Nie, nie mam pojęcia — odpowiedziała Jana.

Danilo chodził po pokoju w tę i z powrotem.

— Do diabła — powiedział.

— Co robimy?

Danilo milczał i chodził coraz szybciej. Nagle stanął i spojrzał na Janę.

— Więc nie masz pojęcia, dokąd go przewiozą — powtórzył.

— Nie. Jak już mówiłam, jest to tajne.

— Jest więc tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

— Jaki?

— Za pomocą nadajnika sygnałów.

— Świetny plan. Naprawdę.

— Mówię poważnie. Nadajnik jest jedyną możliwością.

— A może po prostu pojedziemy za samochodami policyjnymi? Co o tym sądzisz? Nie jest to trochę prostsze?

— Ryzykując, że nas odkryją? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Za pomocą nadajnika możemy ich śledzić z odpowiedniej odległości.

— Ale w ten sposób mogą też odkryć nas.

— Nie, jeśli wszystko dobrze przeprowadzimy.

— Skąd weźmiemy nadajnik?

— Ja to załatwię.

— Jak?

— Zaufaj mi.

— Ale czy nie zapomniałeś o jednym ważnym szczególe? To znaczy o tym, że Gavril jest zamknięty? W areszcie? W jaki sposób masz zamiar przytwierdzić do niego nadajnik?

Danilo usiadł koło niej.

— Ja tego nie zrobię.

— Ach nie?

— Tylko jedna osoba może umieścić nadajnik na Gavrilu. Ktoś, kto zawsze ma wolny wstęp do aresztu. Kogo policja nigdy by nie podejrzewała.

— Kto taki?

— Ty.

WTOREK 1 MAJA

KORYTARZ BYŁ NIESKOŃCZENIE DŁUGI. Stukot obcasów odbijał się echem. Aby się skoncentrować, liczyła kroki. Zaczęła liczyć je od wyjścia z windy przy areszcie i teraz była przy pięćdziesięciu siedmiu. Spojrzała na swój rolex.

8.40.

Utkwiła wzrok w drzwiach i mocniej chwyciła aktówkę. Siedemdziesiąt dwa kroki, pomyślała, stawiając aktówkę na podłodze. Przycisnęła dzwonek, i po chwili zażądano, aby się przedstawiła.

— Jana Berzelius, prokuratura. Chciałabym zamienić kilka słów z podejrzaną Leną Wikström — powiedziała.

Drzwi się otworzyły, podniosła aktówkę i weszła do środka. Strażnik więzienny Bengt Dansson z ledwo widoczną szyją i dużymi małżowinami usznymi uśmiechnął się do niej głupkowatym, poufałym uśmiechem, gdy się zbliżyła.

Bengt wziął do ręki jej legitymację i uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy ją Janie oddawał, co spowodowało, że podbródek wylał mu się zza kołnierza.

— Tylko szybkie przeszukanie — powiedział.

Jana wyciągnęła ramiona i poczuła, jak ręce Bengta przesuwają się po jej ciele, od pach, po żebrach i bokach. Sapnął, przykucając przed nią, a ona przewróciła oczami, gdy kontynuował przeszukiwanie od pachwin aż po stopy.

— Co wolisz, wykrywacz metali czy inspekcję nago? — spytał, patrząc na nią łakomym wzrokiem.

— Słucham? — odrzekła Jana.

— Możesz wybrać: wykrywacz metali albo nago.

— Żartujesz, prawda?

— Nigdy dość ostrożności.

Jana nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Bengt wybuchnął tak niepohamowanym śmiechem, że zaczęły mu się trząść policzki. Położył jedną dłoń na kolanie i podniósł się, nie mogąc przestać się śmiać.

— Cha, cha, cha, chaaaa! Powinnaś zobaczyć swoją minę!

— Zabawne — powiedziała, podnosząc aktówkę.

— Ale wyglądałaś! — powiedział, robiąc przy tym minę, która upodobniła go do zezowatego hipopotama.

Naszła ją nieopisana ochota, aby sprać jego tłustą gębę, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że areszt nie jest najodpowiedniejszym miejscem do używania przemocy.

Bengt osuszył łzy. Potrząsnął głową i zaśmiał się głośno jeszcze raz.

— Nie chciałabym ci przerywać, ale trochę mi się spieszy. Rozumiesz, jestem

w pracy. Nie mam czasu na gry i zabawy — powiedziała.

— Możesz wejść — odparł.

Gdy znalazła się w korytarzu aresztu, skinęła w stronę głównego strażnika. On również skinął głową i zwrócił wzrok z powrotem na jeden z trzech ekranów komputerów znajdujących się przed nim na biurku. Dwóch strażników stojących koło jego budki rozmawiało przyciszonymi głosami. Zastanawiała się, czy to właśnie oni mieli za zadanie odebrać Gavrila z celi. Jeszcze raz spojrzała na zegarek.

8.45.

Zostało piętnaście minut. Serce zaczęło jej bić szybciej.

Bengt zamknął za nią drzwi i poszedł przodem korytarzem, który jasno oświetlały zamontowane na suficie mocne jarzeniówki. Pęk kluczy podzwaniał głośno przy każdym jego kroku. Ściany miały łososiowy kolor, a gumolit pokrywający podłogę delikatny, miętowy odcień. Minęli kilka cel, wszystkie drzwi były białe, wzmocnione szeroką metalową listwą biegnącą z góry do dołu. Na każdym widniał numer.

Bengt zatrzymał się przy drzwiach z numerem osiem, wziął do ręki pęk kluczy przytwierdzone przy biodrze i odszukał odpowiedni. Spojrzał na Janę, zaśmiał się głośno i jeszcze raz potrząsnął głową. Potem otworzył drzwi kluczem i wpuścił ją do środka. Tuż przed wejściem Jana zobaczyła, jak strażnicy stojący przy stróżówce przywitali się z dwoma na ciemno ubranymi policjantami. Domyśliła się, że wkrótce rozpocznie się transport więźnia.

— Zaczekaj przed celą — powiedziała do Bengta. — To będzie krótkie spotkanie.

Weszła do celi i usłyszała, jak drzwi się za nią zamknęły.

— Co tu robisz?

Jana drgnęła, gdy usłyszała zachrypnięty głos Leny Wikström. Siedziała na łóżku, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Prześcieradło zwisało z łóżka przez kant aż na podłogę. Lena miała na sobie ciemnozielone spodnie i ciemnozieloną koszulę. Była bosa. Oczy miała zmęczone, mocno podkrążone.

— Co tu robisz? — spytała ponownie. — Przyszłaś, by mnie znów szantażować?

— Nie — odpowiedziała Jana. — Nie przyszłam cię szantażować, jestem tu w zupełnie innym celu. Potrzebuję twojej pomocy.

— Nie mam zamiaru ci w niczym pomagać.

— Już to zrobiłaś. Przez to, że tu jesteś.

Lena nic nie rozumiała. I nie miała siły, aby się nad tym zastanawiać.

— Ile czasu mi zostało?

— Co masz na myśli?

Jana postawiła aktówkę na podłodze.

— Aż mnie zamkniecie.

— Chciałabym ci przypomnieć, że już jesteś uwięziona.

— Ale to jeszcze nie jest tak naprawdę. To tylko etap przejściowy, przystanek w drodze.

— Do rozprawy pozostały dwa dni — powiedziała Jana, ponownie spoglądając na zegarek.

8.52.

Ukucnęła przy aktówce, otworzyła ją i włożyła do środka dłoń, aby je ukryć. Zdjęła rolex i otworzyła jego tylną tarczę. Długimi paznokciami wyciągnęła mały nadajnik, po czym z powrotem zamknęła zegarek. Szybko założyła go na przegub i, trzymając nadajnik w jednej ręce, zamknęła aktówkę.

— Więc za dwa dni nadejdzie koniec — powiedziała Lena prawie szeptem.

Ale do Jany dotarły cicho wymówione słowa. Zastygła w połowie ruchu.

Lena skapitulowała, pomyślała. Poddała się.

— Tak, wówczas nadejdzie koniec — przytaknęła.

Lena zrobiła się biała na twarzy.

— Będzie po wszystkim — kontynuowała Jana.

— Chciałabym, aby już było po wszystkim — powiedziała Lena, spoglądając na swoje dłonie.

Wyglądała mizernie, zgarbiona i szara.

— Myślę, że dłużej już nie wytrzymam. Chciałabym stąd odejść.

— Będziesz tu jednak musiała zostać dość długo.

— Nie chcę siedzieć w więzieniu. Wolę umrzeć. Zabij mnie, proszę. Wiem, że potrafisz. Zabij mnie!

— Cicho!

— Nie mogę tak żyć. Muszę odejść.

Jana wstała, spojrzała na zegarek.

08.59.

Nadszedł czas. Teraz to się zdarzy. Podniosła rękę, by zapukać w drzwi, ale zatrzymała się, gdy usłyszała głos Leny.

— Proszę — błagała cicho. — Pomóż mi...

Jana zastanowiła się przez kilka sekund, po czym podeszła do Leny. Chwyła prześcieradło, oderwała od niego długi pasek i włożyła go Lenie do ręki.

— Sama możesz sobie pomóc — powiedziała.

Potem zdecydowanie zapukała w drzwi. Bengt natychmiast je otworzył. Zatrzymała się na chwilę w wejściu. Czekwała na odpowiednią okazję.

Kącikiem oczu widziała, jak się zbliżali: strażnicy, policjanci i Gavril między nimi. Gdy ją mijali, postąpiła do przodu jeden krok i udała, że się poślizgnęła. Zamachała aktówką, ugięła nogę i krzyknęła. Padając na podłogę, chwyciła się Gavrila i błyskawicznie wcisnęła nadajnik w kieszeń jego spodni.

Bengt pospieszył jej z pomocą.

— Oj, przepraszam — wydusiła z siebie. — To przez te obcasy. Są nowe.

Strażnicy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Policjanci niemalże z niechęcią.

A Gavril się uśmiechał.

Jana nie mogła oderwać od niego wzroku. Choćby nie wiem jak siebie przekonywała, że musi przestać, nie dawała rady. Serce zaczęło bić mocniej. Była tak blisko niego, a jednak tak daleko. Nienawiść wzrastała z każdym kolejnym oddechem. Najchętniej od razu by go zabiła. Poczwała nieopanowaną ochotę, aby wbić nóż w jego głowę, wiele razy. Musiał umrzeć.

Umrzeć.

Umrzeć.

Umrzeć.

— Powinnaś na siebie uważać, panienko — powiedział z kpiącym uśmiechem, zanim został poprowadzony dalej korytarzem przez strażników i policjantów.

Ty też, pomyślała Jana.

Powinieneś bardzo na siebie uważać.

— Mam nadzieję, że wiesz, w co się ładujesz? — powiedział Danilo siedzący na fotelu pasażera.

W rękę trzymał telefon komórkowy, który pokazywał pozycję Gavrila na mapie. Na podłodze, między jego nogami, leżał plecak.

Jana miała wzrok utkwiony w autostradę. Jedną rękę trzymała na kierownicy, drugą opierała o drzwi. Siedzenie czarnego volvo S60, który Danilo pożyczył od przyjaciela albo z lokalnej wypożyczalni samochodów, było miękkie, obite materiałem. Nie obchodziło jej, skąd wziął samochód. Najważniejsze, że sama nie musiała się tym zajmować i ryzykować, że przy ewentualnym dochodzeniu zostałyby z nim skojarzona.

W środku czuć było silny zapach środków czyszczących. Znajdowali się za Trosą. Ruch był mały, poruszali się z dużą prędkością.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — powiedziała z zawziętością. Nigdy w swoim życiu nie była niczego tak pewna jak teraz. Całe jej ciało drżało z chęci postawienia Gavrila pod ścianą — skonfrontowania się z nim. Odpłaci jej za wszystkie niegodziwości, których się dopuścił. Za to, że pozbawił życia jej rodziców. I innych rodziców. I ich dzieci. Pomści ich śmierć, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Darowanie mu tych krzywd nie wchodziło w grę, nie można było o wszystkim zapomnieć i pozwolić mu żyć.

— Wiele ryzykujesz. A jeśli trafisz do więzienia?

Nie odpowiedziała.

Zdawała sobie sprawę, że może zapłacić najwyższą cenę. Ryzykowała całym swoim życiem, by się zemścić. Mimo to nic nie było w stanie jej powstrzymać.

— Boisz się? — spytał.

— Przestałam się bać, gdy miałam siedem lat — odpowiedziała krótko.

Danilo nie zadawał więcej pytań, w samochodzie zapadła cisza. Słychać było jedynie szum kół sunących po asfalcie.

Jechali w milczeniu przez całą podróż. Nadajnik wskazywał im drogę przez Järnę

do miejscowości Nykvarn. Po dwudziestu minutach Danilo poprawił się na siedzeniu.

— Zatrzymali się — powiedział.

Zwolniła. Wszędzie dookoła rozciągały się lasy.

— Jak daleko stąd się znajdują?

— Może dwieście, trzysta metrów od nas — odpowiedział Danilo. — Ostatni kawałek przejdziemy piechotą.

— Dokąd go zabrali?

— Dowiemy się.

Po przejechaniu pięćdziesięciu metrów żwirową drogą znaleźli dobrze schowany leśny parking. Jana wyłączyła silnik i spojrzała na Danila, który wziął do ręki plecak.

— Chyba powinnam ci teraz podziękować — odezwała się. — Za to, że mi pomagasz.

— Później mi podziękujesz — odpowiedział, wychodząc z samochodu.

Wysokie bramy otwierały się pomału.

Umundurowany policjant machnął ręką i samochód policyjny wjechał na żwirową drogę, za nim czarny bus z przyciemnianymi szybami, a na koniec jeszcze jeden samochód policyjny.

Fobos czuł lekkie podekscytowanie. Miał dostać nowy dom. Spojrzał szybko na siedzącego koło niego na tylnym siedzeniu Tatę, a potem z ciekawością zwrócił wzrok na wznoszący się przed nimi duży biały budynek. Dookoła biegł mur, wzdłuż całej jego długości rosły krzewy. Na posesji było też kilka pojedynczych drzew i fontanna w kształcie syreny. Niegdyś tryskająca z niej woda utworzyła brązowe smugi na jasnej ceramicznej powierzchni. Teraz fontanna była wyłączona. I szpetna.

Dom przypominał dworek, z dwoma piętami i dużymi oknami. Drzwi wejściowe były czerwone, a fasada dobrze oświetlona, zarówno przez silne reflektory, jak i lampy ścienne. Przed domem stały też słupy z kamerami. Nieźle.

Fobos objął mocniej brązowego pluszowego misia. Bardzo się z niego cieszył. Po raz pierwszy w życiu dostał od Taty jakiś prezent. Przykazano mu jednak surowo, by absolutnie nie okazywał radości. Żadnych uśmiechów ani szczebiotania. O misiu też nie miał wspominać, tylko go przytulać. Tak jak to robią zwykli mali chłopcy.

Podjechali do budynku, samochód skręcił przed drzwiami wejściowymi i się zatrzymał. Dwóch umundurowanych policjantów otworzyło drzwi samochodu. Fobos wysiadł z jednej strony, Tata z drugiej.

— Sprawdzamy też syna? — zawołał jeden policjant do drugiego, tego, który był już w trakcie przeszukiwania Taty.

— Nie, to przecież tylko dzieciak — usłyszał w odpowiedzi.

— Chodź ze mną — powiedział policjant do Fobosa i zaprowadził go do drzwi domu.

Chłodne powietrze szczypało w policzki. Szedł koło policjanta małymi kroczkami, ze wzrokiem utkwionym w to, co miało być jego nowym domem.

Fobosa znów zakręciło w brzuchu z podniecenia. Mocno objął misia i, choć był on wypchany, poczuł znajdującą się w jego wnętrzu twardą stal.

Jana stała oparta plecami o wysoki mur otaczający dom. Trawa pod jej stopami była wilgotna. Czuła, jak zimno wdziera się pod obcisłą czarną bluzkę. Poza tym miała na sobie czarne dopasowane spodnie i lekkie buty biegowe.

Danilo też miał czarne ubranie, z dużym kapturem. Ukucnął i wyjął z plecaka Sig Sauera. Sprawdził go dokładnie, potem wziął do ręki tłumik i z wprawą przykręcił go do lufy.

— Nie zapomniałeś rzemiosła — skomentowała Jana.

Danilo nie odpowiedział. Podał jej pistolet.

— Nie potrzebuję pistoletu — odrzekła.

— A czym go zabijesz? Rękoma?

— Wolę nóż.

— Uwierz mi, przyda ci się. Jeśli nie do czego innego, to przynajmniej po to, by dostać się do środka.

— Skąd go masz?

— Kontakty — odrzekł krótko Danilo.

Włożył rękę do plecaka i wyciągnął jeszcze jeden pistolet.

Też z tłumikiem. Modelu Glock.

Potem wstał i naciągnął na głowę kaptur.

— Poczekamy, aż samochody policyjne opuszczą teren. Potem musimy działać szybko. Im szybciej, tym lepiej. Wejść, strzelić i wyjść. Pamiętaj — powiedział, uśmiechając się do niej.

Po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy ten uśmiech.

Na twarzy Danila dorosłego.

Samochody policyjne włączyły silniki i pomału skierowały się po zwirowej drodze z powrotem w stronę bramy. Przy domu zostało czterech nieumundurowanych, lecz dobrze uzbrojonych policjantów. Gdy tylko zamknięto bramy, rozeszli się na wcześniej uzgodnione pozycje.

— Wy dwaj po bokach, ty przed dom, a ja za. Zmiana o drugiej — powiedział głośno jeden z policjantów. — Jasne?

— Tak — odpowiedzieli chórem pozostali.

— W takim razie zajmujemy pozycje. Raport dokładnie za dwie godziny.

I minęły dokładnie dwie godziny, zanim znaleźli ją strażnicy więzienni. Splecione paski materiału mocno zacisnęły się na szyi, zablokowały drogi oddechowe. Pierwszą myślą było uczucie ulgi. Potem nadeszła panika, ale było już za późno. Nie można się było cofnąć. Podjęła ostateczną decyzję, od której nie było odwrotu. Wiedziała, że nie da rady się uwolnić, lecz mimo to walczyła. Kopała i wierzgała nogami, chwyciła

rękoma za spleciony materiał i ciągnęła. Walczyła do ostatniej chwili.

Gdy strażnicy weszli do celi, stanęli, wpatrując się w nią w osłupieniu, zwisającą z zakratowanego okna.

Lena Wikström wisiała nieruchomo i też na nich patrzyła martwym spojrzeniem.

— Okej — powiedział Danilo, puszczając brzeg muru. — Samochody odjechały.

Wylądował koło Jany i ukrył plecak w krzakach.

— Ty pierwsza. Dalej — wyciągnął w jej stronę splecione dłonie. — Podsadzę cię.

Jana włożyła pistolet za spodnie, postawiła prawą nogę na dłoniach Danila i oparła rękę o jego ramiona.

— Gotowa? — spytał.

Kiwnęła w odpowiedzi.

— Okej. Raz, dwa, TRZY.

Danilo uniósł jej stopę, Jana chwyciła obiema rękoma za mur i przeskoczyła na drugą stronę. Było wysoko, twardo wylądowała na ziemi.

Ukucnęła za słabo ulistnionymi krzakami i spróbowała rozejrzeć się po posesji. Tkwiąc tak nieruchomo, nasłuchiwała odgłosów, wyglądała ruchów.

Danilo wylądował obok niej z lekkim stuknięciem. Od razu ukucnął i wyciągnął pistolet.

— Widzisz tamtą kamerę? — wyszeptał, wskazując na słup umieszczony przy wejściu. — To kamera typu IP. Potrafi rejestrować wszystko nawet z dużej odległości, tak jak lornetka. Nigdy nie odwracaj się w jej stronę przodem, rejestruje ona szczegóły i rysy twarzy z odległości ponad stu metrów. Dlatego zawsze trzeba najpierw oczyścić teren z kamer. Kiedyś nie musieliśmy myśleć o takich rzeczach, ale teraz nastały inne czasy.

Potem wskazał na policjantów pilnujących domu.

— Jeden stoi przed domem, jeden za, a dwaj po bokach. Uważaj na nich. Jak cię zobaczą, jest po tobie. Jasne?

Jana skinęła głową.

— Gdy strzelę do kamery, pobiegiesz do domu. Trzymaj się zacienionych miejsc.

— Wiem, co należy robić.

— Okej, okej.

Danilo wstał i naciągnął kaptur jeszcze bardziej na twarz. Wziął głęboki oddech, wyszedł na trawnik, wycelował w kamerę i strzelił.

Gdy Jana usłyszała strzał, szybko pobiegła w stronę domu. Z lekką zadyszka stanęła przy fasadzie i po zrobieniu kilku kroków w bok zniknęła w cieniu. Wówczas usłyszała jeszcze jeden stłumiony strzał i dwa kolejne. Potem zapadła cisza.

Przez chwilę wsłuchiwała się w swój oddech, po czym spojrzała w prawo i w lewo. Spoglądała na front i bok budynku. Nasłuchiwała. Pochylona zrobiła kilka kroków do przodu, stanęła przy rogu domu i ostrożnie zza niego wyjrzała.

W tej samej chwili nadbiegł jeden z policjantów. Z pewnością usłyszał strzały

i biegł teraz na przód domu z wyciągniętym pistoletem. Gdy zniknął jej z pola widzenia, usłyszała kolejny strzał. I jeszcze jeden. Potem zapadła cisza.

Jeszcze raz wyjrzała zza węgła i zauważyła, że na tyłach budynku też znajduje się ruchoma kamera. Zastanawiała się, jak długo była na nią skierowana. Zdecydowanie za długo. Nie uda jej się wejść do środka niezauważonej.

Odbezpieczyła pistolet i położyła się na trawie. Gdy miała już oddać strzał, szkło w kamerze rozprysło się od innego strzału. Został oddany zza jej pleców i trafił perfekcyjnie w sam środek obiektywu. Szybko ukucnęła i w tej samej chwili u jej boku pojawił się Danilo. Miał zacięty wyraz twarzy i zaciśnięte usta.

— Droga wolna? — spytał krótko.

— Tak — odparła Jana, podnosząc się. — Zabiłeś policjantów?

— Nie miałem wyboru.

Danilo wyjrzał na tył domu i podbiegł do drzwi. Pochylał się przy każdym mijanym oknie. Pomacał zamknięte oszklone drzwi i przywołał ją ruchem ręki.

— Posłuchaj — powiedział, gdy do niego dołączyła. — Musisz działać szybko. Długo się nie zastanawiaj, tylko wykonaj zadanie. Okej?

— Okej — odpowiedziała Jana.

— Ja zostanę tutaj. Jak nie wyjdiesz za dziesięć minut, wchodzę do środka.

Danilo wyciągnął wytrych i zaczął grzebać w zamku w drzwiach. Po dziesięciu sekundach dało się słyszeć kliknięcie.

— Jesteś pewna tego, co chcesz zrobić? — spytał.

— Tak — odpowiedziała Jana. — Nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

Podniosła pistolet na wysokość twarzy i objęła go ręką. Potem wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Znalazła się w środku.

Pokój miał mniej więcej pięć metrów na dziesięć. Był to z pewnością pokój dzienny, stała w nim kanapa, fotel i szklany stół. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające sceny z natury. Po jednej stronie widniało białe podwyższenie, a obok niego stała lampa podłogowa z kloszem w kwiaty. Żadnych roślin, żadnych dywanów.

Przeszła przez pokój na palcach i zatrzymała się przed łukiem łączącym go z sąsiednim pomieszczeniem. Ostrożnie zajrzała do pokoju oświetlanego przez okrągłą lampę stołową. Wyglądał na jadalnię. Dookoła owalnego stołu znajdowało się dziesięć krzeseł. Szybko ogarnęła wzrokiem powierzchnię stołu i poszła dalej, do następnego pomieszczenia, do którego wiodły uchylone drzwi. Zajrzała przez szparę. Był to korytarz, z ławą i półką na kapelusze, który kończył się szerokimi schodami okrytymi bordowym dywanem. Na piętrze świeciło się światło.

Jana nie mogła się powstrzymać, musiała pójść do góry. Pchnęła więc drzwi nogą, lecz w tej samej chwili usłyszała za sobą kliknięcie. Pomału odwróciła głowę i ujrzała małego chłopca. Jego oczy płonęły. W ręku trzymał wycelowany w nią pistolet. Stał nieruchomo. Był blisko, za blisko. Z tej odległości nie mógł chybić. Wolno zbliżał się

w jej stronę.

— Spokojnie — powiedziała.

— Rzuć broń — odrzekł chłopiec. — W przeciwnym razie strzelę.

— Wiem, że to zrobisz — odpowiedziała, opuszczając pistolet. Podniosła drugą rękę w geście poddania.

— Jak się nazywasz?

— Gównu cię to obchodzi.

— Chciałabym tylko wiedzieć, jak się nazywasz.

Chłopiec westchnął głośno, przez chwilę się zawahał, a potem powiedział:

— Fobos.

— Masz to imię wyryte na karku? Fobos?

Spojrzał na nią zdezorientowany. Odruchowo dotknął ręką karku.

Jana kontynuowała:

— Jeśli jesteś tym, kim sądzę, chciałabym, abyś mnie posłuchał. Ja też byłam jedną z was — powiedziała, próbując zdobyć jego zaufanie.

— Rzuć pistolet — powtórzył.

— Ja też mam napis na karku — powiedziała. — Pokazać ci?

Przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu.

— Nie — powiedział po chwili zdecydowanym głosem.

— Nie mogę ci pokazać? — spytała jeszcze raz. — Proszę, pozwól mi. Chciałabym ci pomóc. Mogę pomóc ci stąd uciec, nie musisz tu dłużej być.

Ale chłopiec nie słuchał.

— Rzuć pistolet! — krzyknął.

— Jak chcesz.

Rzuciła pistolet, tak że przeleciał wysoko nad Fobosem. Chłopiec śledził go wzrokiem. Gdy broń znajdowała się nad nim, Jana zrobiła krok do przodu, chwyciła za pistolet chłopca lewą ręką, prawą mocno złapała go za ramię i wykręciła je do tyłu. Przyłożyła mu lufę do głowy.

— Przepraszam — powiedziała. — Byłam zmuszona to zrobić. Wiem, do czego jesteś zdolny, i to jest jedyny sposób, by chronić ciebie i mnie.

Chłopiec próbował wyrwać jej rękę. Chwyciła go za gardło i ścisnęła tak mocno, że zabrakło mu powietrza.

— Uspokój się — powiedziała. — Chcę ci pomóc. Ale musisz robić to, co mówię. Jak nie, będzie bolało.

Znieruchomiał. Charczał, z trudem wciągając powietrze. Poluźniła nieco chwyt.

— Rób tylko to, co ci będę mówić — powiedziała. — Obiecujesz?

Spróbował skinąć głową. Poluźniła chwyt jeszcze bardziej i odszukała wzrokiem swój pistolet. Na środku podłogi dojrzała błysk szarego metalu. Lecz oprócz pistoletu zobaczyła coś jeszcze. Stał tam jakiś mężczyzna i wpatrywał się w nią. Mimo ciemności wiedziała, kto to jest.

To był on.

Gavril.

— Brawo — powiedział, klaszcząc w dłonie. — Musisz wiedzieć, że nie jest łatwo go rozbroić, dobrze sobie poradziłaś.

Głos dobiegający z ciemności był spokojny, niemal przyjazny.

— Widziałem, jak weszłaś.

— Oddaj mi broń — powiedziała.

— Nie mam broni.

— Twój syn ją miał, w takim razie ty pewnie też masz.

— Tak, on miał, ale ja nie. Myślisz, że służby specjalne wpuściłyby mnie tu z bronią?

— Jeśli twojemu synowi się udało, to przypuszczam, że tobie też.

— Nie, nie było to tak samo łatwe.

— Jak to zrobił?

— Czary-mary — wysyczał Gavril, robiąc gest w stronę światła lampy. Szybki ruch, który momentalnie rozplynął się w powietrzu.

— Więc nie masz broni?

— Nie, panienczko. Nie mam.

Jana szybko przyjrzała się ubraniu Gavrila, żeby sprawdzić, czy nie kłamie.

— Pokaż ręce! — rozkazała.

Gavril wyciągnął ręce w stronę światła i wzruszył ramionami.

— Trzymaj ręce tak, abym cały czas je widziała. Gdy tylko czegoś spróbujesz, odstrzelę twojemu synowi głowę!

— Pewnie, pewnie — powiedział i wykrzywił usta w mało przekonującym uśmiechu. — A mógłbym spytać, co tu robisz?

— Musiałam tu przyjść. Mam zbyt wiele pytań.

— Ach tak? Jesteś dziennikarką?

Gavril zaśmiał się głośno.

— Nie. Chcę tylko wiedzieć dlaczego.

— Dlaczego co?

— Dlaczego to robisz.

Jana zdecydowanym ruchem głowy wskazała na Fobosa, który charczał przy każdym wdechu. Wciąż trzymał mocno ramię Jany, z całej siły.

— Dlaczego to dobre słowo. Dlaczego na przykład miałbym ci to powiedzieć?

— Bo jesteś mi to winny.

— Mam długi u wielu osób.

— Lecz przede wszystkim u mnie.

— A co ja ci takiego zrobiłem?

Jana czuła narastającą złość, z trudem zachowywała spokój.

— Nazywałeś mnie Kerą — powiedziała, cedząc słowa.

— Co powiedziałaś?

— Dałeś mi imię Kera.

Gavril zrobił krok do przodu. Światło lampy padło na jego twarz i ukazało bliznę. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

— No proszę. Kera. Więc jednak przeżyłaś. Nie uściśniemy się?

— Idź do diabła.

— Oj, po co ta złość.

— Zabrałeś mi dzieciństwo, zabiłeś moich rodziców i wyrzyłeś mi na karku jakieś cholerne imię. Dlaczego? Chcę wiedzieć dlaczego! Mów! Dlaczego to robisz?

Gavril odchylił głowę do tyłu, wyszczerzył zęby i wysyczał:

— Bo jest to takie proste. Nikt nie szuka takich jak ty. Jesteście nielegalnymi czarnuchami. Nie macie dokumentów, nie istniejecie.

— I wówczas można porywać i torturować...

— Ja nie torturuję! — przerwał Gavril, podnosząc głos. — Ja kształcę. Daję wszystkim drugą szansę w życiu. Szansę zostania kimś. Częścią czegoś większego.

— Większego od czego?

— Nie sądzę, abyś była w stanie pojąć boską moc decydowania o życiu i śmierci innej osoby.

— Mówimy tu o dzieciach — powiedziała twardo Jana.

— Właśnie. O niemających najmniejszego znaczenia dzieciach. Są z nich doskonali mordercy.

Fobos poruszył się i Jana wzmocniła chwyt dookoła jego gardła. On w odpowiedzi wbił jeszcze głębiej palce w jej ramię.

— Dlaczego uczysz ich mordować?

— A co myślisz? Trzeba się bronić. Rynek jest cholernie trudny. Mam najlepszych dostawców, pośredników i dealerów. Kupujących jest wielu, trzeba zapewnić sobie dochody. Pieniądze są wszystkim. Cokolwiek by ludzie mówili, wszyscy chcą pieniędzy. Chcą się bogacić. A gdy w coś zamieszane są pieniądze, jest tam też dużo brudu. Gdy do tego są w to zamieszane narkotyki, jest jeszcze więcej brudu. Dlatego zawsze trzeba zadbać o to, by mieć dookoła osoby mające takie samo podejście do sprawy. Które chcą chronić mnie i to, co stworzyłem — rynek. Które sprzątają kapusiów, donosicieli i tych, którzy nie płacą — nie dotrzymują umowy, mówiąc prościej. Sama rozumiesz, że trudno jest najmować dorosłych. Są zbyt drodzy, a gdy skosztują dostatniego życia, robią się zachłanni. Albo popadają w rutynę i stają się zupełnie bezużyteczni. Nieuważni.

Gavril kontynuował:

— Z dobrze wyszkolonego dziecka łatwo jest zrobić śmiertelną broń. Żołnierz bez własnej osobowości, niemający nic do stracenia, jest najgroźniejszy.

— Czy to dlatego zabijasz...

— Ich rodziców, tak. Łatwiej jest wtedy kierować dziećmi. Są bardziej posłuszne.

No nie? Prawda, że tak jest? Nie zgodzisz się?

Jana nie odpowiedziała, tylko zacisnęła szczęki.

Gavril ponownie rozłożył ręce.

— Dzięki mnie Szwecja staje się lepszym krajem. Niektórzy mogą uważać, że moje czyny są karygodne, ale tak naprawdę przyczyniam się do budowania lepszego świata poprzez usuwanie słabych osobników. Z jednej strony oddaję przysługę społeczeństwu, eliminując brudasów, z drugiej strony pozwalam brudasom sprzątnąć najsłabszych w społeczeństwie. Jak u Darwina, tylko najsilniejsi przeżywają.

— Ale ty zabijasz wszystkich.

— Od zawsze mordowano dzieci, we wszystkich epokach. Czytamy o tym nawet w Biblii. Nie pamiętasz Ewangelii według świętego Mateusza, w której po narodzeniu Jezusa król Herod kazał zamordować wszystkie żydowskie dzieci poniżej dwóch lat, gdyż dowiedział się, że urodził się przyszły król, i chciał się pozbyć rywala?

— Więc uważasz się za Heroda naszych czasów?

— Nie. Moim zdaniem śmierć jest bronią samą w sobie. Aby pokazać innym, kim się jest. Używam dzieci, by pozbyć się rywali.

Gavril spojrział w prawo. Jego blizna zgięła się w ruchu i zakryła oko.

— Nie ruszaj się! — krzyknęła.

Gavril odwrócił wzrok. Czerwono-różowa skóra z powrotem się wygładziła.

— Nie ruszam się — powiedział pomału.

— A narkotyki? Dlaczego podajesz je dzieciom?

— Trzeba je czymś nagradzać. A co może być lepsze od uzależnienia? Nie tylko od narkotyków, ale i ode mnie. Przez to są też mniej skore do ucieczki. Rozumiesz, dzieci robią to, co im się mówi. Patrzą na dorosłych z podziwem. Jak im się poda odpowiednią dawkę odpowiedniego towaru, jest się dla nich jak ojciec.

— Jak Bóg?

— Nie do końca, raczej jak jego przeciwieństwo. Powiedziałbym, jak demon.

— A skąd imiona na karku?

— Muszą czuć przynależność. Wspólnotę. Jak w rodzinie. Wszyscy z tym samym nazwiskiem albo z imieniem o tym samym znaczeniu.

— Bogowie śmierci.

— Dokładnie. Naznaczam was tym imieniem, abyście nie zapomnieli, kim jesteście. Dałem ci twoje prawdziwe imię.

— Na imię mi Jana. To jest moje prawdziwe imię.

— Jesteś Kera.

— Nie.

— Ależ tak! W środku jesteś dokładnie tym, do czego cię wyszkoliłem.

Jana nie odpowiedziała.

— To, co robię, nie jest niczym nowym. W wielu krajach rekrutuje się nieletnich, trenuje i wykorzystuje w walkach zbrojnych. Ja robię to samo, tylko posunąłem się

o krok dalej. Wszyscy potrafią strzelić z pistoletu, ale nie wszyscy mogą zostać zawodowymi mordercami.

— Ile?

— Wyszkoliliśmy?

— Jeśli tak to nazywasz.

— Siedemdziesięcioro.

Słowa Gavrila trafiły ją jak uderzenie pięścią. Siedemdziesięcioro! Poluźniła lekko chwyt dookoła szyi chłopca, w odpowiedzi on też przestał tak mocno wbijać palce w jej ramię.

— Ale wybieraliśmy tylko najsilniejszych z każdego miotu.

— Masz na myśli kontenery, z tego, co mi wiadomo.

— Tak.

— Więc z każdego wybieraliście siedmioro dzieci?

— Czasem mniej, czasem więcej. Potem zostawialiśmy dwoje najlepszych. Albo tylko jedno. Resztę się usuwało. Pamiętasz z pewnością, w jaki sposób?

Gavril uformował z palców pistolet i wymierzył w stronę Jany.

— Nie ruszaj się! — krzyknęła.

Chłopiec też się poruszył. Chwyciła go za gardło i uniosła kilka centymetrów nad ziemię. Zamachał w powietrzu nogami, zanim go ponownie postawiła.

— To, co może cię zainteresować, to fakt, że jeszcze do niedawna miałem na wyspie ucznia.

— Tanatosa?

— Tak. Był wyjątkowy.

— Zabił Hansa Juhléna. Dlaczego?

— Ojjoj, jaka jesteś odczytana. Cóż, jakby to powiedzieć. Hans Juhlén trochę za bardzo zaczął wkładać nos w nie swoje sprawy. Stało się to dla nas niewygodne.

— Mówiąc nas, masz na myśli siebie samego, sekretarkę Juhléna, Thomasa Rydberga i Andersa Paulssona?

— Właśnie!

Gavril uderzył w dłonie, na co Jana uniosła pistolet w jego stronę. Wykrzywił się w drwiącym uśmiechu i jeszcze raz klasnął. Żeby ją podrażnić.

— Stój spokojnie! — krzyknęła. W ustach czuła suchość, przełknęła ślinę. — Mów dalej!

— Sama się wszystkiego domyśliłaś.

— Mów, słyszysz!

Gavril spowaźniał.

Dolne zęby odsłoniły się w dziwnym grymasie.

— Hansowi Juhlénowi udało się znaleźć listę z numerami kontenerów i wyciągnąć informacje od Thomasa Rydberga. Groził, że wszystko wyda, więc musieliśmy go sprzątnąć. Tanatos wykonał zadanie doskonale, ale Anders zawalił. Gdy miał odwieźć

chłopca na wyspę, coś poszło nie tak. Tanatos próbował uciec, więc Anders go zastrzelił. Był to błąd, który drogo nas kosztował.

— Kontener, którym przyплыnęłam...

— Był pierwszym, który sprowadziliśmy. Wymagało to długich przygotowań. I nadal tak jest.

— Oczekujecie jeszcze jednego transportu, prawda?

Gavril podniósł wzrok i wysyczał:

— Trzeba cały czas się odnawiać, wówczas nie zdążą się zorientować. Gdy wykonają zadanie i nie są już potrzebne, znikają. Ciągłe przecież przybywają nowe dzieci. Każdego roku tysiące z nich przekracza granicę Szwecji. Dzieci, których nikt nie szuka, nikt nie chce. Prawda, że nikt ciebie nie szukał? Nikt, mam rację?

— Milcz!

— Nikt... nie... szukał...

Gavril wyciągnął w jej stronę obie ręce i wymachując nimi, zaczął syczeć. Jak wąż.

— Ssssssszz!

— Nie ruszaj się! Bo strzelę! — krzyknęła, celując w niego.

Gavril uspokoił się i opuścił nieco głowę.

Jana czuła, jak serce łomocze jej w piersi.

— Wiem, że to zrobisz. Wiem, jakie jest twoje myślenie. W końcu to ja cię wyszkoliłem.

— Ale byli tam też inni...

— Tak, to prawda — powiedział Gavril, robiąc krok w stronę pistoletu leżącego na ziemi. — Ale oni już dawno nie żyją. Mówiłem przecież, że trzeba się otaczać ludźmi, którym się ufa. I nie może ich być zbyt wielu, bo ma się wtedy za dużo gąb do nakarmienia.

Jana przełknęła ślinę. Mocniej objęła pistolet.

— To już koniec — powiedziała zdecydowanym głosem.

— To się nigdy nie skończy. Dzieci są naszą przyszłością.

Gavril zrobił krok do przodu.

Zauważyła to.

— Stój! Stój!

Nie słuchał jej, postąpił kolejny krok.

— Stój! Nie ruszaj się! W przeciwnym razie...

— W przeciwnym razie co?

Zrobił kolejny krok.

— W przeciwnym razie go zastrzelę! — krzyknęła, wycelowując pistolet w Fobosa. Przyłożyła mu lufę do skroni, przechylając tym samym jego głowę w lewą stronę.

Gavril stanął i się uśmiechnął.

— Strzelaj. On i tak nic nie znaczy.

— To twój syn! — krzyknęła, przyciskając pistolet jeszcze mocniej do skroni chłopca. Fobos był spięty, zajęczał.

Gavril zaśmiał się głośno.

— To nie jest mój syn, to tylko jeden z tych nic nieznaczących dzieciaków! Tak samo bezwartościowy jak wszyscy inni. Kompletne zero.

Spojrzała na Gavрила, nic nie rozumiejąc. Potem na Fobosa, który się krzywił z bólu. Od razu odjęła pistolet od jego skroni i zobaczyła czerwony ślad, który lufa pozostawiła na delikatnej skórze.

— Zastrzel go, i tak miałem to zrobić. On o tym wie. Mimo to robi, co mu każe. Prawda, Fobos? Prawda, że mnie słuchasz?

Gavril mrugnął do Fobosa, który od razu zrozumiał sygnał i zaczął kopać Janę swoimi chudziutkimi nogami. Trafił ją w piszczel, na co drgnęła z bólu i nie zauważyła, że w tym samym momencie Gavril podniósł pistolet z podłogi.

Mocniej chwyciła Fobosa za gardło i zmusiła go do stania na palcach, aby przestał wierzgać. Gdy znów spojrzała na Gavрила, zobaczyła pistolet w jego ręku. Szybko się odwróciła. Gavril nacisnął na spust, ale... broń wydała z siebie tylko kliknięcie.

Nacisnął jeszcze raz i jeszcze raz. Klik, klik. Magazynek był pusty!

Gavril zaczął się śmiać w głos.

Jana gapiała się na trzymany przez niego pistolet. To mój pistolet, pomyślała. Dlaczego jest nienaładowany?

Nagle z drugiego kąta pokoju dał się słyszeć czyjś głos:

— Masz dziś pecha.

Danilo wyszedł z cienia i stanął kilka metrów od Gavрила z wymierzonym w niego pistoletem.

— Co ty tu, kurwa, robisz? — spytał Gavril.

W jego sposobie zwracania się do Danila było coś, co zdezorientowało Janę. Jakby byli przyjaciółmi. Wtedy do niej dotarło. Oni się znali!

— Pozwól mi to zrobić — powiedział Danilo, kierując w stronę Jany swojego Glocka.

— Widzisz — powiedział Gavril. — Trzeba się otaczać ludźmi, do których ma się zaufanie.

— Masz rację — przytaknął Danilo. — Ale ja do nich nie należę.

Błyskawicznie zmienił cel i z powrotem wycelował broń w Gavрила.

— Co ty do diabła wyprawiasz? — spytał Gavril.

Potem zamilkł.

Gdy upadł na twarz, uderzając w kamienną posadzkę, już nie żył.

Danilo zmienił pozycję, okrążył Gavрила i strzelił do niego jeszcze raz. W tył głowy.

Fobos stał nieruchomo. Oddychał szybko z szeroko otwartymi oczami. Jana pomalą odjęła lufę od jego głowy i wymierzyła ją w stojącego przed nią Danila. On ściągnął z głowy kaptur i wbił w nią wzrok. Oczy miał czarne, wzrok lodowaty.

— Jano — powiedział wolno. — Mała, słodka, kochana Jano. Czy naprawdę musiałaś grzebać w przeszłości? Mówiłem ci przecież, żebyś sobie dała spokój.

Podszedł do niej z pistoletem wiszącym na palcu wskazującym.

— Wiem, co myślisz: jak Tata mógł mnie rozpoznać? Nad tym się zastanawiasz, prawda?

Jana skinęła głową.

— Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że tam, w lesie, udawałem martwego, gdy Mama ruszyła za tobą? I że pobiegłem wtedy w drugą stronę? Pamiętasz?

Jana ponownie skinęła głową.

— Okłamałeś mnie?

— Nie, to była prawda. Wszystko było prawdą. Zacząłem biec, ale nie miałem siły, aby uciec daleko. Anders znalazł mnie potem w pobliskim rowie i wciągnął z powrotem do samochodu. Myślałem, że umrę, lecz dzięki niemu przeżyłem. Zaopiekował się mną. Zawsze był jak baba, zbyt wrażliwy. Lecz znał się na swoim rzemiośle. Dlatego myślałem, że mu nie podołasz. Sądziłem i miałem taką nadzieję, że cię załatwi u siebie w domu.

Danilo zataczał półkole, chodząc przed Janą. Pistolet w jej ręce przesuwiał się w ślad za nim.

— To dlatego podałeś mi jego namiary — stwierdziła cicho.

— No właśnie — przytaknął Danilo.

— Jesteś częścią tego wszystkiego — dodała.

— To też się zgadza.

Danilo był teraz za nią.

— Ale w jaki sposób...

— W jaki sposób udało mi się przeżyć? Dorastałem na wyspie, tam nauczyłem się wszystkiego. Byłem dobry i dostałem wiele zleceń. A nie tylko jedno, tak jak inni.

Idąc wolnym krokiem, znów znalazł się przed nią.

— Gdy miałem siedemnaście lat, zostałem trenerem. Tato pozbył się innych trenerów. I wszystkich pozostałych idiotów.

Skinął znacząco głową w stronę Fobosa.

— Nie mogę zrozumieć, że tak go nazywasz — powiedziała Jana.

— Jak? Tato? Ty też tak na niego mówiłaś.

— Ale to było kiedyś.

Danilo cały czas chodził dookoła Jany i teraz znalazł się po jej lewej stronie.

— On jest moim Tata. Ach, przepraszam — był. To on, ja, Lena, Thomas i Anders zajmowaliśmy się wszystkim. Teraz zostałem tylko ja, innych już nie ma. Odeszli. Może trochę szybciej, niż się spodziewałem, ale, niech mnie cholera, poszło nadzwyczaj dobrze.

Jana próbowała pozbierać myśli. Słyszała, co mówił, ale nie rozumiała sensu.

— Jak to? Więc wszystko zaplanowałaś?

— Od razu zaplanowałeś. Nie chciałem zabijać Thomasa Rydberga, zrobił to ktoś inny.

Jana spuściła wzrok. Danilo zamilkł na chwilę, a następnie podjął wątek:

— Gdy Thomas wypadł z gry, odebrałem to jako znak. Że nadszedł czas.

— Na co?

— Aby wyjść z cienia.

Nagle do niej dotarło.

— Wykorzystałeś mnie, by zabić Gavrila — powiedziała pomału.

— A ty na to poszłaś.

— Zaufałam ci.

— Wiem. Dlatego było to takie proste. Pomogłem ci sobie pomóc.

Jana wyprostowała się. Pistolet w dłoni ciążył jej coraz bardziej. Spojrzała na Danila i znów dostrzegła ten jego lodowaty wzrok. Postąpił trzy kroki do przodu i zaczął kopać ciało Gavrila.

— Pragnąłem twojej śmierci! Nie wiedziałeś o tym, co? Nie sądziłeś, że chciałem cię zabić!

Kopał z całych sił, aż na czoło wystąpiły mu żyły. Nozdrza były rozszerzone, ścięgna na szyi napięte jak struny, a zęby obnażone.

Po kilku sekundach się uspokoił.

Jana milczała. Fobos też.

Danilo usiadł na krześle, odgarnął włosy z czoła i zaczął się jej przyglądać.

— Przykro mi — powiedział pomału. — Ale chyba rozumiesz, że tu umrzesz.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko skinęła głową. Ręka jej drżała, ze wszystkich sił próbowała to ukryć.

— Że też niczego się nie domyśliłaś.

— A powinnam — powiedziała, patrząc mu w oczy. — Powinnam wszystko zrozumieć już wcześniej, lecz dopiero teraz widzę powiązania. Dałeś mi Sig Sauera. Tanatos zginął z takiej broni i teraz wiem, że dostałam narzędzie zbrodni. Ale dałeś mi broń z pustym magazynkiem, aby łatwo było mnie zabić.

Danilo zaśmiał się w odpowiedzi.

— Chciałeś mnie tu zostawić, aby nikt nie podejrzewał ciebie — powiedziała pomału.

Śmiech stał się głośny i szyderczy.

— Właśnie!

Gwałtownie wstał z krzesła i stanął przed nią.

— Gdy przybędzie policja i cię tu znajdą, zrozumieją, że to ty wszystkich zabiłaś, moja kochana, śliczna, słodka pani prokurator, i że przy okazji sama zostałam zabita. Pomyśl o skandalu, jaki to wywoła.

Jana przygryzła wargę. Jak ma wybrnąć z tej sytuacji? Ręka zaczęła jej drżeć jeszcze bardziej, pistolet stał się ciężki.

— A do tego przy sekcji zwłok odkryją imię wyryte na twoim karku. Wówczas wszystko zrozumieją. Że byłeś jednym z dzieci z wyspy. Będą sądzić, że chciałeś zemścić się na tych, którzy wyciągnęli cię z kontenera i zabili twoich rodziców. Proste, co?

Danilo cofnął się kilka kroków.

— A wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? Że nic nie podejrzewałaś. Przecież ci mówiłem, że masz być ostrożna. Ostrzegałem cię, ale mnie nie słuchałaś.

Skierował pistolet w jej stronę i rozkazał puścić Fobosa.

Odmówiła.

— Dobrze — powiedział. — W takim razie zastrzelę was oboje.

Wycelował.

I strzelił.

W tym samym momencie Jana rzuciła się na bok, pociągając za sobą Fobosa. Upadli oboje na podłogę. Przetoczyła się po niej, skierowała Glocka w kierunku Danila i strzeliła, ale również chybiła.

Danilo potknął się o ciało Gavrila i wypuścił pistolet z rąk. Błyskawicznie rzucił się za drzwi. Jana leżała na plecach, oddychając szybko, cały czas z pistoletem skierowanym w stronę drzwi.

Po chwili wstała i rozejrzała się za Fobosem, lecz ku swojemu przerażeniu odkryła, że on też zniknął.

Wyszła na korytarz, cały czas rozglądając się dookoła. Nasłuchiwała dźwięków. Przyłgnęła do ściany, skierowała pistolet na schody, potem w bok i znów na schody. Gdy stanęła na pierwszym stopniu, usłyszała niewyraźny hałas. Dochodził zza drzwi znajdujących się za nią.

Po cichu do nich podeszła, odczekała chwilę i otworzyła. Prowadziły do piwnicy. Nad schodami kołysała się lampa. Zawahała się. Jeśli zdecyduje się zejść na dół, w świetle lampy będzie bardzo łatwym celem.

Nagle z boku usłyszała pstryknięcie. Odwróciła się w tamtą stronę.

Koło drzwi widniał główny wyłącznik prądu.

Uśmiechnęła się do siebie.

Trochę się teraz pobawimy, pomyślała.

W bardzo wesołą grę.

Jana Berzelius wyłączyła główny bezpiecznik prądu i wzięła głęboki wdech przez nos. Postąpiła krok do przodu i wkroczyła w inny świat. Prosto we wspomnienia.

Nagle stała się małą dziewczynką zamkniętą w piwnicy, która chciała przeżyć. Ale tym razem nie walczyła z ciemnością, cieszyła się na nią. Miała nad nią kontrolę.

Nadstawiła uszu, nasłuchując jakichś dźwięków, lecz wszędzie było cicho.

Ogłuszająco cicho.

Zrobiła jeszcze jeden krok, zatrzymała się i znów zaczęła nasłuchiwać. Po około trzech krokach powinna być na dole.

Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu poręczy. W głowie liczyła kroki. Jeden, dwa, trzy. Pod ręką poczuła drewno. We wspomnieniach było ono chropowate i popękane. Teraz było gładkie i wypolerowane. Pomału schodziła w dół. Gdy dotarła do ostatniego stopnia, puściła poręcz i wyciągnęła rękę przed siebie. Wówczas usłyszała jakiś dźwięk. Ktoś był w piwnicy. Blisko niej.

Ale kto? Danilo czy Fobos?

Wolno odwróciła głowę, nasłuchując nowych dźwięków.

Lecz wszędzie było cicho. Za cicho.

Danilo może stał gdzieś w ukryciu i na nią czekał. Ta myśl sprawiła, że zapagnęła wydostać się na zewnątrz. Uciec stamtąd.

Lecz wtedy go usłyszała.

Oddech.

Sygnal.

Zareagowała instynktownie i skierowała pistolet w stronę, skąd dochodził dźwięk. Wówczas poczuła mocne uderzenie w ramię, straciła równowagę i upadła do tyłu. Leżała zupełnie nieruchomo.

Danilo był teraz blisko. Spróbowała podnieść ramię, by wymierzyć w niego pistolet, ale ból był zbyt duży.

Danilo kopniakiem wytrącił jej broń z ręki, słyszała, jak poszybowała na ukos po podłodze.

— Nie tylko ty lubisz zabawy w ciemności — powiedział, kopiąc ją w bok.

Jęknęła.

— Prawda, że jest to zabawna gra? Co? Dobrze się bawisz?

Kopnął ją tak mocno, że coś pękło w przedramieniu. Jana krzyknęła z bólu.

Obszedł ją dookoła. Czuła jego złość wibrującą w powietrzu.

— Czas zakończyć zabawę — powiedział, siadając na niej okrakiem i zaciskając jej dłonie na gardle.

Udało jej się podnieść jedną rękę i zaczęła go drapać, aby zwolnił ucisk. Ale to nic nie dawało. Przyciskał coraz mocniej, brakowało jej tchu.

Otoczał ich mrok, nie mogła się więc zorientować, czy zaczyna jej ciemnieć przed oczami. Ale pomału poczuła ogarniające ją dobrze znane, straszne uczucie. Wiedziała, że za chwilę straci przytomność.

Jej druga ręka była uwięziona pod Danilem. Palcami próbowała desperacko wydostać nóż, który miała przytwierdzony do boku. W końcu ostatkiem sił dosięgła czubkami palców rękojeści, szybko wyciągnęła nóż i wbiła go w bok uda Danila, który krzyknął z bólu i natychmiast zwolnił uścisk na gardle.

Charcząc, wciągnęła powietrze, szybkim kopnięciem przewróciła Danila i wstała. Wyciągnęła nóż z jego uda i przystawiła mu do brody.

— Mówiłam ci, że wolę noże — wysyczała.

Ale jej przewaga nie trwała długo. Danilo kopnął ją kolanem w plecy, tak że upadła

na bok, na podłogę. Wylądowała na czymś twardym i natychmiast zrozumiała, co to było — pistolet! Szybko podniosła go i wymierzyła w ciemność. Słyszała jego kroki na schodach, ruszyła za nim. Krok za krokiem, aż do ostatniego stopnia.

Jednak w tym momencie usłyszała oddech dochodzący z drugiego końca pomieszczenia. Mimo że dookoła niej i tak było ciemno, zamknęła oczy, by się skupić. Potem strzeliła.

Na sekundę czas stanął w miejscu.

Potem usłyszała czyjś jęk.

Ręka pulsowała jej z bólu, lecz to zignorowała. Odnalazła wyłącznik prądu i szybkim ruchem zapaliła światło.

Odwróciła się, by spojrzeć na swoją ofiarę leżącą na podłodze.

Nie był to jednak Danilo.

Tylko Fobos.

Przekazanie Gavrila Bolanaki służbom specjalnym odbyło się o godzinie dziewiątej. W tym samym czasie w komendzie policji rozpoczęła się wspólna konferencja prasowa, pod przewodnictwem służb specjalnych. Zainteresowanie mediów było olbrzymie. W sali konferencyjnej zjawilo się bardzo wielu dziennikarzy.

Gunnar Öhrn czuł się zestresowany całą tą uwagą, ale przy pomocy rzeczniczki prasowej Sary Arvidsson udało mu się przedstawić mediom pozytywne wyniki działań zespołu śledczego z nim na czele. Jednak gdy opuszczał salę, odczuwał w środku pustkę.

Resztę popołudnia spędził na przekazywaniu sprawy służbom bezpieczeństwa. Rzucenie im teczek na stół i pojechanie do domu nie było w jego stylu. Gdy zdał sobie sprawę, że dla niego i jego policjantów śledztwo ostatecznie się zakończyło, pustka, którą odczuwał, stała się jeszcze bardziej dojmująca. Nie mieli już nic więcej do zrobienia.

O czwartej zespół śledczy zebrał się w sali spotkań.

Henrik Levin siedział wyprostowany na krześle i pustym wzrokiem wpatrywał się przed siebie. Anneli Lindgren pochyliła się do przodu, opierając ramiona na stole. Ola Söderström gryzł długopis. Mia Bolander, z włosami upiętymi w niedbały kok, huśtała się na krześle. Miała zadowoloną minę. Zakończenie śledztwa było dla niej zwycięstwem. Cieszyła się też z tego, że nie będzie dłużej spotykać codziennie swojej rywalki, prokurator Jany Berzelius.

— To smutne — powiedział Gunnar, rozglądając się po pomieszczeniu.

Na ścianach było pusto. Mapy i zdjęcia ofiar zniknęły. Tablica została zmaszana, projektor wyłączony.

— Wiele kwestii zostało niewyjaśnionych. Na domiar wszystkiego dostaliśmy negatywną odpowiedź z Interpolu. W ich bazie danych nie ma żadnej informacji o zaginionych osobach z Chile.

Gunnar był zawiedziony. Wyglądało na to, że zidentyfikowanie ofiar z kontenerów

nie będzie możliwe. W jego głosie dało się jednak wyczuć pewną ulgę, gdy referował sprawę samobójstwa Andersa Paulssona — nie miał bowiem najmniejszej ochoty, aby przekazać służbom bezpieczeństwa jeszcze jeden przypadek morderstwa.

— A dlaczego właściwie się zastrzelił? — spytał Ola.

— Najprawdopodobniej rozterki moralne — powiedział Gunnar. — Wyrzuty sumienia. Podobnie jak w wypadku Leny Wikström. Żaden człowiek nie jest w stanie żyć, mając na sumieniu takie zbrodnie.

W zespole nagle zapadła cisza, która otuliła ich jak gęsta mgła.

— Cóż — powiedział Gunnar. — Pozostaje nam tylko jedno do zrobienia.

— Dziękuję za wszystko — powiedziała Mia, wstając od stołu.

— A ty dokąd?

— Jeszcze nie skończyliśmy?

— Nie, jeszcze nie. Mamy do zrobienia jeszcze jedną rzecz.

Wszyscy spojrzeli na Gunnara ze zdziwieniem.

— Jedziemy do portu.

Pięć minut później Henrik Levin siedział zamyślony w swoim biurze i bębnił palcami po rysunku, który zrobił dla niego Felix. Całkiem nowy, z trzema małymi duszkami. Ale to nie o nim rozmyślał Henrik.

Myślał o tym, co mu oznajmiła Emma. Nie wiedział, jak ma się odnieść do tego, że po raz trzeci zostanie ojcem.

Gdzieś w środku się cieszył, ale niepokój o praktyczną stronę tego faktu zagłuszał radość. Nie spał przez całą noc, a na ostatnim spotkaniu zespołu trudno mu było skoncentrować się na tym, o czym mówiono.

Podniósł wzrok znad rysunku i wyjrzał przez okno. Mimo iż śledztwo się zakończyło, ciągle rozpamiętywał wydarzenia minionych tygodni. Myślał o zabitych dzieciach i zastanawiał się, co by czuł, gdyby to jego dzieci porwano i szkolono na małych zawodowych morderców.

Zadrżał.

Pomyślał o Lenie Wikström i o Andersie Paulssonie i zaczął się zastanawiać, co może skłonić człowieka do odebrania sobie życia. On sam dwa razy stworzył nowe życie. A teraz po raz trzeci.

Odłożył rysunek.

— Co jest?

Mia stanęła w drzwiach w pełnym zimowym umundurowaniu.

— Wyglądasz strasznie.

— Zostanę tatą — powiedział wolno Henrik.

— Znowu?

— Tak. Do trzech razy sztuka.

— Więc w każdym razie się pieprzyłeś! To dobrze!

Henrik nie odpowiedział.

— Aha — powiedziała Mia. — Zanim zapomnę.

Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła pognieciony banknot stukoronowy.

— Masz.

— Nie trzeba.

— Weź, chcę ci oddać. Jestem ci winna obiad i kawę. Weź!

— Okej. Dziękuję — powiedział Henrik, biorąc banknot.

— Nie ma za co — odparła Mia.

Okręciła szalik trzy razy dookoła szyi.

Henrik wyjął portfel z kurtki wiszącej na haku za drzwiami.

Wsunął banknot między pozostałe dwa znajdujące się w portfelu.

Dwa?

Był przekonany, że miał trzy stukoronowe banknoty.

Mia zwróciła uwagę na jego zdziwioną minę.

— Ach, daj spokój. Chodź już, jedziemy — powiedziała, żeby nie miał więcej czasu na zastanawianie się.

Fobos siedział oparty o ścianę. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała. Oddech miał przyspieszony. Ciemne oczy były szeroko otwarte i z przerażeniem wpatrywały się w Janę. Trzymał rękę na gardle. Krew, pulsując, przeciekała mu między palcami i tworzyła na bluzie powiększającą się czerwoną plamę. U jego boku leżał Glock.

Kątem oczu zauważyła jakąś postać. Danilo przebiegł trzy metry od niej, z jednego pokoju do drugiego. Od razu wstała i pobiegła za nim. Zapomniała o bólu ręki. Musi go dorwać, nie może jej uciec.

Zniknął w jadalni. Gdy weszła za nim, zobaczyła, jak wbiega do kolejnego pomieszczenia. Próbowwała go dogonić, ale był zbyt szybki. Kilkoma długimi susami przemierzył pokój i wypadł na tył domu. Gdy dobiegła do drzwi wyjściowych, nie było po nim śladu.

Przez chwilę stała nieruchomo, gotowa do strzału.

Serce waliło w piersi jak młotem, krew pulsowała w żyłach.

Uciekł. Udało się uciec temu skurwysynowi!

Niechętnie opuściła pistolet i wsunęła go za pasek od spodni.

Ból w ramieniu pomału powracał. Zła i sfrustrowana zmusiła się do zawrócenia i wejścia do domu.

Do Fobosa.

Henrik Levin stał w porcie. Odruchowo zaczął uderzać rękoma dla rozgrzewki, lecz szybko zorientował się, że to zbędne. Puchowa kurtka dobrze grzała, do tego miał na sobie ciepłą bieliznę i zimowe buty. Zatrzymał się i spojrzał na keję. Zbliżający się do portu duży statek wydał głuchy sygnał. Z nieba spadały duże płatki śniegu, tworząc na ziemi białą powłokę. Obszar, na którym rozładowywano kontenery, był odgradzony; policyjna taśma tańczyła na wietrze.

— Podejźmy bliżej? — spytała Mia.

Stała u boku Henrika. Ręce trzymała w kieszeniach, uniosła w górę ramiona i ukryła twarz za wełnianym szalikiem. Widać było tylko jej oczy i nos.

— Poczekajmy, aż statek zacumuje — powiedział Henrik, kiwając w stronę Gunnara i Anneli, którzy stali na kei razem z personelem portowym i umundurowanymi policjantami. Zamachali do niego i odwrócili się w stronę wpływającego do kanału statku. Dziobem rozbijał fale. Dziesiątki mew krążyły wokół rufy, głośno krzyząc. Na pokładzie stało wielu marynarzy w zielonych kombinezonach, w dłoniach trzymali liny cumownicze.

Gdy statek był już prawie w porcie, najpierw zrzucono na brzeg cumy z dziobu, a potem pozostałe. Cumownicy portowi chwyтали długie liny i przymocowywali je do polderów — krótkich pionowych słupków. Wszyscy mieli na głowach kaski, a na plecach logo przedsiębiorstwa.

Niezwłocznie rozpoczęto rozładunek.

Henrik spojrzał w stronę kadłuba statku, na którym widniały poustawiane jeden na drugim kontenery, wysoko na trzy piętra.

Na przemian niebieskie, brązowe i szare.

— Wyjdiesz z tego — powiedziała Jana.

Przykucnęła obok Fobosa. Jeszcze bardziej osunął się na podłogę. Głowa opadła mu na ramię. Nic nie mówił, słycać było tylko jego świszczący oddech. Bluzę pokrywały czerwone plamy. Krew spłynęła na podłogę i utworzyła kałużę. W oczach wciąż miał przerażenie, ale jego wzrok był teraz zamglony. Wyglądał na przestraszonego, lecz nie płakał.

— Robi się jaśniej — powiedział gardłowym głosem.

Zakaszła i w kąciku ust pojawiła się krew.

— Wyjdiesz z tego — powtórzyła Jana, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak głupio go okłamywać.

Spojrzał na nią.

— Jest biało... Wszystko jest... białe... — wyszeptał.

Jego ręka opadła.

Zamknął oczy i zrobił ostatni wdech.

Jana natychmiast wstała. Wzięła Glocka, dokładnie go wytarła i włożyła w martwą dłoń chłopca. Następnie podeszła do wyłącznika prądu i też go wytarła. Potem ukucnęła przy martwym ciele Gavrila, by wyjąć nadajnik sygnałów z jego kieszeni. Podniosła z podłogi drugi pistolet, starannie go wytarła i położyła koło ciała. Przez krótką chwilę siedziała tak, wpatrując się w Gavrila. Aż nagle zrobiła to, czego nie robiła przez całą wieczność.

Uśmiechnęła się.

Jej twarz rozpromienił prawdziwy uśmiech.

Potem wstała i przypomniała sobie, że musi się pozbyć jeszcze jednego pistoletu.

Szybko, krzywiąc się z powodu bolącej ręki, wyjęła Glocka zza pleców. Musiała go tu zostawić. Z wprawą oczyściła powierzchnię z odcisków palców, ostrożnie uniosła dłoń Gavrila i docisnęła ją do magazynku. Ciągle nie była zadowolona. Brakowało ważnego szczegółu.

Noża.

Wróciła do piwnicy, ukucnęła i zaczęła go szukać. Pod jedną z półek dojrzała okrwawione ostrze. Delikatnie wyciągnęła nóż i wsunęła go w cienki futerał umieszczony pod spodniami. Wróciła na górę i rzuciła ostatnie spojrzenie na Fobosa.

— Przepraszam — wyszeptwała.

A potem opuściła dom.

Makabrycznego odkrycia dokonali w czternastym kontenerze. Był niebieski i pordzewiały. Płatki śniegu miękko lądowały na jego powierzchni i natychmiast zamieniały się w kropelki wody, które po chwili spływały na ziemię.

Zespół śledczy stał cztery metry od drzwi. Zamykały je cztery ocynkowane zasuwki przebiegające z góry na dół i jeden z pracowników portowych walczył ze znajdującą się na środku potężną kłódką. W końcu zamek się poddał i mężczyzna otworzył drzwi. Wszyscy spodziewali się zobaczyć części samochodowe, rowery, kartony, zabawki albo inne rzeczy, którymi były wypełnione poprzednie kontenery. Ale tym razem ich oczom ukazała się tylko ciemność.

Henrik Levin podszedł bliżej, by przyjrzeć się zawartości. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu, tak że stanął tuż przy wejściu do kontenera, stopami dotykając jego krawędzi.

Wówczas ją zobaczył. Dziewczynkę. Obejmowała nogi mamy i patrzyła na niego wielkimi oczami.

Jana prowadziła volvo po autostradzie z dużą prędkością. Zanim pobiegła i wsiadła do samochodu, odczekała kilka minut. Ale po Danilu nie było śladu.

Ustawiła ogrzewanie na maksimum. Wycieraczki oczyszczały przednią szybę z zimnego deszczu. Radio miała wyłączone. Adrenalina opadła i Jana oparła się o zagłówek, trzymając kierownicę jedną ręką. Druga, złamana, spoczywała na udzie.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy. Podejrzliwie spojrzała na ekran, który wyświetlał zastrzeżony numer. Zawahała się przez sekundę, lecz w końcu zdecydowała się odebrać.

Henrik Levin uprzejmie się przedstawił.

— Gavril Bolanaki nie żyje — powiedział.

Jana milczała, więc kontynuował:

— Służby specjalne nie mogły skontaktować się z policjantami strzegącymi domu, więc wysłały posiłki i znaleźli go zabitego. Ze wstępnych ustaleń wynika, że zastrzelili się nawzajem, on syna, a syn jego. Ale strażnicy też zostali zastrzeleni, więc do końca nie wiedzą, co się wydarzyło. Najwyraźniej rozegrała się tam

prawdziwa bitwa. Policja odnalazła na miejscu zbrodni trzy pistolety. Znaleźli też rozciętego misia, broń była więc pewnie w środku.

— Rozumiem — powiedziała Jana.

Henrik zamilkł na chwilę.

— Jestem w porcie — oznajmił.

— Tak?

— Znaleźliśmy ich, dziesięć rodzin z dziećmi. Wszyscy są już bezpieczni.

— To dobrze — odrzekła Jana.

— Mam nadzieję, że to był ostatni.

— Ja też.

— Sprawa jest zakończona.

— Definitywnie zakończona — powiedziała, rozłączając się.

Była 18.59, gdy Jana podniosła rękę, by zapukać do mahoniowych drzwi w wysokiej na trzy piętra willi w Lindö w Norrköping. Zatrzymała się jednak w połowie gestu i zdecydowała, że to przenikliwy sygnał dzwonka ma oznajmić jej przybycie. Cofnęła się o krok i przeciągnęła ręką po włosach, nadal wilgotnych po szybkim prysznicu. W oknach świeciły się lampy z kloszami z materiału, rzucając na ziemię przed jej nogami długie cienie.

Drzwi otworzył siwowłosy mężczyzna.

— Witaj, ojciec — powiedziała, stojąc przez chwilę nieruchomo, by mógł się jej przyjrzeć.

Potem rozciągnęła usta w dobrze wyćwiczonym uśmiechu, krótko skinęła głową i weszła do środka.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[NIEDZIELA 15 KWIETNIA](#)

[PONIEDZIAŁEK 16 KWIETNIA](#)

[WTOREK 17 KWIETNIA](#)

[ŚRODA 18 KWIETNIA](#)

[CZWARTEK 19 KWIETNIA](#)

[PIĄTEK 20 KWIETNIA](#)

[SOBOTA 21 KWIETNIA](#)

[NIEDZIELA 22 KWIETNIA](#)

[PONIEDZIAŁEK 23 KWIETNIA](#)

[WTOREK 24 KWIETNIA](#)

[ŚRODA 25 KWIETNIA](#)

[CZWARTEK 26 KWIETNIA](#)

[PIĄTEK 27 KWIETNIA](#)

[SOBOTA 28 KWIETNIA](#)

[NIEDZIELA 29 KWIETNIA](#)

[PONIEDZIAŁEK 30 KWIETNIA](#)

[WTOREK 1 MAJA](#)